

EDYTA ŚWIĘTEK

Uroki promiennych dni

SAGA KRYNICKA

MANDO

Edyta Świętek

Uroki promiennych dni

Saga krynicka, część IV

W POPRZEDNIEJ CZĘŚCI

Aurelia rozmawia z Teodozją o okolicznościach śmierci Litworów. Zobowiązuje podopieczną do zachowania sprawy w sekrecie nawet przed Stanisławem. Aby się zrehabilitować za wcześniejsze wybryki, Teodozja podejmuje naukę na pensji, zamierza również ukończyć kurs dla kandydatek na akuszerki. Doktor Henryk Ebers wspiera ją w tych działaniach. Przed wyjazdem do szkoły dziewczyna romansuje z Orzechowskim, a następnie go odtrąca. Upokorzony mężczyzna postanawia ożenić się z Wiktorią Brodzką.

Stanisław rozpoczyna studia, lecz nie daje sobie rady. Po jakimś czasie porzuca uczelnię i podejmuje pracę w Słotwinach.

Po ukończeniu kursu Teosia wraca do Krynicy z zamiarem praktykowania. Doktor Ebers informuje ją, że w Krakowie zostanie utworzona szkoła dla świeckich pielęgniarek. Dziewczyna wyraża zainteresowanie dalszą edukacją. Wypoczywając w domu Pod Lipami, ponownie wdaje się w romans z Orzechowskim. Józef Trelewicz przyłapuje Teodozję na schadzce z Augustem.

August jest rozczarowany małżeństwem z Wiktorią. Kobieta nie może się pogodzić z tym, że mąż jej nie kocha, lecz daremnie próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. Orzechowski daje żonie odczuć, że pragnie jej śmierci.

Stanisław zakochuje się w Konstancji, lecz ona zdaje się nie odwzajemniać jego uczuć.

Teodozja kończy naukę w szkole dla pielęgniarek, a następnie wyjeżdża do Lwowa, żeby podjąć pracę w tamtejszym szpitalu. Podczas spaceru spotyka Nikodema Strzeleckiego, syna

Zuzanny. Na polecenie Tytusa Nikodem wypytuje Teosię o powód, dla którego dziewczyna przebywa we Lwowie.

Podupadająca na zdrowiu Eudokia martwi się o losy Nikifora. Marzy, aby syn został malarzem.

Stanisław zaleca się do Konstancji. Chce stać się godnym ręki ukochanej, więc postanawia podjąć przerwana naukę i zdobyć zawód aptekarza. Wybuch wojny krzyżuje mu szyki. Młody mężczyzna zaciąga się do Legionów Polskich. Na front wyruszają również Teodozja, Józef Trelewicz oraz znudzony żoną August. Litworzanka i Orzechowski spotykają się podczas wojennej tułaczki i nawiązują romans. August postanawia, że po wojnie weźmie rozwód, by poślubić Teodozję. Mężczyzna ponosi śmierć podczas jednej z bitew. Zdruzgotana Teodozja nie potrafi o nim zapomnieć.

Po wojnie Stanisław wraca do Krynicy. Oświadcza się, prosi o rękę Konstancji i zostaje przyjęty. Jakiś czas później wraca również zgorzkniała Teodozja. Na wieść o zaręczynach brata wywołuje awanturę, ujawniając, że ona i Staś są dziećmi morderców. Konstancja zrywa zaręczyny, a Matylda ma żal do Aurelii o zatajenie prawdy. Między przyjaciółkami następuje rozbrat.

Teodozja, nie mogąc znaleźć sobie miejsca w Krynicy, wraca do pracy we Lwowie. Tam przypadkowo odkrywa, że Tytus i Zuzanna są właścicielami dwóch kamienic. Dziewczyna wspomina o tym w liście do Aurelii.

Konstancja postanawia wybaczyć Stanisławowi, że nie wyznał jej prawdy o swych rodzicach. Narzeczeni się godzą.

Aurelia wykorzystuje okazję do pojednania się z przyjaciółką i zdradza jej treść listu Litworzanki. Matylda wynajmuje prywatnego detektywa, który demaskuje oszustwa Tytusa

Strzeleckiego. Kobieta ma realną szansę na odzyskanie utraconego mienia.

Osierocony Nikifor postanawia na dobre zająć się malarstwem.

ROZRACHUNKI

Rok 1919

Lwów

– Co za bezczelność! – wykrzykiwała zirytowana Zuzanna, nie bacząc na to, że może ją usłyszeć ktoś z mieszkańców kamienicy przy ulicy Kochanowskiego. Zwykle starała się zachowywać z daleko posuniętą dyskrecją, tym razem emocje wzięły górę. – To są zwyczajne oszczerstwa! Pomówienia! Bzdury, które wymyśliła sobie moja, pożałuj Boże, zrujnowana bratowa. Nie mówiąc już o tym, że śmie pana tutaj przysyłać, w chwili gdy nasz dom okryty jest żałobą! – przywołała mało racjonalny argument, wszak skąd niby Matylda mogła wiedzieć, że „czerwona zaraza” zabrała Zuzannie syna, dwie synowe oraz troje wnuków?

Strzeleccy nawet w czasie wojennej zawieruchy nie ponieśli równie dotkliwych strat. Jeszcze parę tygodni temu żyli całkowicie beztrosko, podróżując południowym wybrzeżem Włoch, dokąd uciekli przed zimowymi chłodami oraz zarazą. W Italii także panoszyła się epidemia, lecz tam przynajmniej było cieplej niż w Polsce. Plagi egipskie spadły na rodzinę w chwili powrotu do Lwowa. Okazało się, że najstarszy z synów, Karol, oraz cała jego rodzina złożeni są chorobą. Żadne nie przeżyło, pochowali ich w ciągu tygodnia, a zaraz po nich Marię – jeszcze jedną synową. Po jej śmierci Emil pograżył się w tak wielkiej rozpacz, że chciał się targnąć na życie. Cudem odratowanego mężczyznę musieli zamknąć w szpitalu dla obłąkanych, bowiem nie wiedział o bożym świecie, wciąż

przyzywał zmarłą. Z tego związku nie zrodziły się żadne dzieci, więc przynajmniej nie było sierot, które wymagałyby troski. Dla rodziny był to jednak bardzo dotkliwy cios. Zuzanna nie zdążyła jeszcze przeboleć śmierci Karola i jego bliskich, gdy przyszło jej uzalać się nad Emilem.

I właśnie teraz, gdy rodzina powinna w spokoju przeżywać żałobę, pojawił się człowiek znikąd, przedstawiający się jako plenipotent Matyldy! No szczyt bezczelności, by nękać rodzinę w tak dramatycznych okolicznościach!

Strzelecka już miała wyrzucić go z wrzaskiem za drzwi, lecz oprzytomniała: nie mogła tego zrobić! Zdając sobie sprawę, że wizyta tego osobnika może być zaczątkiem skandalu, podeszła do okna gabinetu, w którym przyjęli z mężem posłańca Juraszkowej, i starannie je zamknęła. Potem opadła ciężko na fotel i nerwowo powachlowała się dłonią.

– Szanowna pani, pozwolę sobie zauważyć, że mam niezbite dowody na to, iż przed laty zostało dokonane oszustwo. Moja klientka, mimo krzywdy, jaką państwo jej wyrządziliście, postanowiła zaproponować polubowne, a przy tym dyskretne załatwienie tej sprawy.

– Och, cóż za wspaniałomyślność! – wykrzyknęła wzburzona kobieta. – Najpierw oskarża nas o kradzież, której nie popełniliśmy, a teraz łaskawie chce polubownie załatwić sprawę – podsumowała kąśliwie. – Lepiej niech pan wraca do tej naciągaczki i przekaże od nas, że nic z tego! Nie ulegniemy perfidnym szantażom.

– Szanowna pani, może jednak zechcą państwo zerknąć na dokumenty, które mam ze sobą. One niezbitie świadczą o tym, że pani Juraszko ma całkowitą rację. Radziłbym nie stawiać oporu, ponieważ sprawa trafi do sądu, a wówczas echo skandalu może mocno zaszkodzić państwa rodzinie.

– Czy ty to słyszysz, Tytusie? – zwróciła się do męża. – Ci ludzie śmiają nas bezczelnie oczerniać! O nie! Ja tego tak nie pozostawię! – wybuchła niczym mityczna Furia. – Cóż to za niewdzięczność? Za tyle serca z mojej strony! Za zainteresowanie, które okazywałam jej na każdym kroku! Nie ma co, odpłaciła mi piękną monetą. Tytusie, no powiedz coś w końcu! – Nie wytrzymała, gdyż mąż, który zwykle miał wiele do powiedzenia, tym razem uporczywie milczał.

Ostatecznie, ku jej niebotycznemu zaskoczeniu, zamiast wyrzucić natręta, który naszedł ich we własnym domu, Tytus przemówił całkowicie spokojnym tonem.

– Proszę mi pokazać te dokumenty – zażądał, starając się zachować pokerową twarz.

W rzeczy samej czuł, jak wzdłuż kręgosłupa cieknie mu strużka zimnego potu. Doskonale wiedział, co mogą zawierać papiery, które ma przy sobie Mieczysław Życzyński – prawnik przysłany przez Matyldę. Zachodził tylko w głowę, jakim cudem po tylu latach kobieta odkryła oszustwo. Chociaż działał wówczas w pośpiechu, starannie wszystko przygotował i dokładnie pozacierał za sobą ślady. To nie miało prawa się wydać!

Mecenas podał Strzeleckiemu akta. Ten położył na biurku teczkę, wyjął zawartość i niespiesznie zaczął przewracać kolejne kartki. Dobrze je znał, wszak sam większość z nich spreparował. Tytus czuł, jak oblewa go fala gorąca, bowiem wyszło na jaw każde jego oszustwo, choć w głębi duszy miał nadzieję, że wdowa po współniku nie natrafiła na wszystkie przekręty. Już wiedział, że nie jest w stanie się z tego wyłgać.

– Panie mecenasie, zechce pan wrócić tutaj jutro. Muszę spokojnie przeanalizować sytuację – wykrztusił.

– Ależ oczywiście, to zrozumiałe – stwierdził prawnik.

Pozbierał dokumenty rozłożone na biurku pana domu. Właściwie chciał je zabrać, wszak Strzelecki dobrze wiedział, co zawierają. Po krótkim namyśle zostawił je Tytusowi, posiadał jeszcze dodatkowe komplety. Te tutaj były zaledwie kopiami. Wierzył, że to podziela oszustowi na wyobraźnię.

Po wyjściu Życzyńskiego Zuzanna zerwała się z fotela i zaczęła nerwowo dreptać po gabinecie. Pomieszczenie wydało jej się dziwnie duszne, więc uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz. Po natrętnym gościu nie został nawet ślad. Nie dostrzegła także służącej, która zapewne oddaliła się, by przygotować pokój jadalny do obiadu.

– I co teraz będzie? – zapytała zbolalym tonem. – Czy ta idiotka rzeczywiście odkryła prawdę?

– Obawiam się, że tak. Wątpię jednak, by dokonała tego samodzielnie. Ktoś musiał jej pomóc, a przynajmniej doradzić, jakie powinna podjąć kroki. Wątpię, by to był ten prostak, z którym związała się twoja siostrzenica – wspomniał o Rapaczu. – Nie przypuszczam także, aby wpadł na to Rusnak, ten pozał się Boże mąż Matyldy. Nikt z naszych lwowskich znajomych nie ma pojęcia o kamienicach. Wszak po to przystąpiłem do faktorii, by zalegalizować nasze źródło przychodów.

– Może ta mała flądra, którą przygarnęła Aurelia, zdołała coś wywęszyć? – zastanowiła się Zuzanna.

– Nie jest to niemożliwe – przyznał zafrasowany Tytus. – Wprawdzie uczulałem Nikodema, by rozmawiając z nią, nie zdradzał żadnych szczegółów, ale kto ją tam wie? Może to ona go szpiegowała?

– Och! – Zuzanna załamała ręce. – Pewnie Aurelia przysłała ją tutaj po to, by powęszyła wokół naszej rodziny. Bo niby skąd panna z dobrego domu wzięłaby się sama we Lwowie? Praca

w szpitalu jest z całą pewnością bujdą! Przecież to absurd, by osoba o znacym pochodzeniu trudniła się tak mało chlubnym zajęciem! A ja naiwnie uwierzyłam w to, czego dowiedział się Nikodem!

– Być może popełniłem błąd, zlecając mu śledzenie Litworzanki – mruknął Strzelecki. – Liczyłem jednak, że jemu będzie łatwiej ją wybadać. Zapewne pokładałem zbyt dużo wiary w jego zdrowym rozsądku i umiejętności oceny sytuacji. Dał się zwieść jak pierwszy lepszy sztubak! – zirytował się mężczyzna.

– Kiedy zdawał nam relację ze spotkania z tą dziewczuchą, sprawiał wrażenie wiarygodnego. Mówił z ogromnym przekonaniem – przypomniała żona. – Ta bajeczka od samego początku wydawała mi się szyta grubymi nićmi, ale ostatecznie uwierzyłam w nią, ponieważ Aurelia jest wyjątkowo ekscentryczną osobką. Mogła więc wychować swą podopieczną na kogoś równie zdziwaczałego i umykającego normom przyjętym w naszym środowisku.

– No dobrze. To chyba jedyne logiczne wyjaśnienie tego, w jaki sposób Matylda dowiedziała się o kamienicach.

– I co teraz będzie? Czy te dowody – wskazała plik dokumentów – rzeczywiście są dość mocne, by Matylda mogła ograbić nas z mienia?

Strzelecki miał na końcu języka stwierdzenie, że to nie Juraszkowa chce ograbić ich, lecz oni ograbili ją, lecz zmilczał. Pokiwał głową.

– Niestety, papiery nas pogrążają. Byle mecenas jest w stanie wykazać przed sądem, że doszło do oszustwa.

– I ty to mówisz? Ty? Prawnik z dziada pradziada? – oburzyła się żona. – No zrób coś! Ratuń nasz majątek! Ocal nas od zguby!

– A cóż ja mogę? Wszystko świadczy przeciwko nam.

– Przekup kogoś. O! Sędziego, który będzie wydawał wyrok.

– Rozum postradałaś, kobieto? Za coś takiego poszedłbym do więzienia. Jestem zdania, że trzeba się dogadać z Matyldą po cichu. Być może ocalimy wówczas cokolwiek. Wiele zależy od dobrej woli Matyldy. Jeśli zażąda zadośćuczynienia za brak możliwości korzystania ze spadku w minionych, hm... blisko dwudziestu latach, znajdziemy się w trudnej sytuacji. Będziemy musieli wówczas spieniężyć obydwie kamienice.

– Co ty mówisz? – jęknęła zbolalym głosem, przyciskając dłoń do piersi. – Taka ruina? Taki upadek?

Nie mogła sobie wyobrazić życia na niższym poziomie. Ostatnie lata upływały bez trosk o finanse rodziny. Strzeleckich, jak nigdy wcześniej, stać było na długie zagraniczne wojaże, nie musieli liczyć się z pieniędzmi. Mogli wykształcić synów i zapewnić im przyszłość. Brylowali w towarzystwie, wzbudzając powszechny szacunek. Prowadzili elegancki dom na światowym poziomie, wydawali przyjęcia, o których często pisywano w rubryce towarzyskiej najpoczytniejszych dzienników, wychwalając wykwintność potraw, dyskrecję służby, a przede wszystkim idealną panią domu. A teraz ten piękny świat, który sobie z Tytusem zbudowali, miałby prysnąć niczym bańka mydlana? Czyż nie wystarczyło okrutnemu losowi, że pozbawił rodzinę Karola i właściwie także Emila? Że fiksjacja jednego z synów i tak narażała na szwank reputację Strzeleckich, ponieważ nikt przy zdrowych zmysłach nie chce się zadawać z wariatami, a już samo posiadanie takowego w rodzinie mogło wzbudzać niechęć. Na razie Zuzanna nie odczuwała skutków skandalu wywołanego przez Emila, ponieważ żałoba niemalże całkowicie ograniczała życie towarzyskie, lecz przecież przyjdzie czas, gdy trzeba będzie się z tym zmierzyć. Zdaniem Zuzanny było to aż nadto dużym

nieszczęściem, więc czemu miałyby cierpieć jeszcze z innych powodów? Wszak konsekwencje czynu Tytusa sprzed lat mogą wyrządzić nieodwracalne szkody!

– To wszystko twoja wina! – wykrzyknęła. – To ty mnie do tego namówiłeś! Ty dokonałeś oszustwa! Przez ciebie straciłam najbliższą rodzinę, bo zmusiłeś mnie do ucięcia wszelkich kontaktów z Matyldą oraz Aurelią! I właśnie z tego powodu Kazimierz wyjechał za ocean, a Julian zaszył się w Gdańsku – wspomniała o synach, którzy przed laty opuścili rodzinne gniazdo, by wyruszyć w daleki świat. Oni nie kryli się z niezadowoleniem, które odczuwali na myśl o ojcowskim oszustwie, i na wszelki wypadek woleli wyjechać. Z rodzicami utrzymywali luźny kontakt poprzez wymianę lakonicznej korespondencji.

– Ach, tak! Czyli teraz to moja wina? – zdenerwował się Tytus. – Jakoś nie protestowałaś, kiedy zdradziłem ci mój zamysł. Sama ponaglałaś mnie do działania, tak bardzo zależało ci na tym, aby położyć ręce na majątku swego brata. Nie przejmowałaś się wtedy utratą rodziny. Co więcej, o ile dobrze pamiętam, na każdym kroku podkreślałaś, że zarówno Aurelia, jak i Matylda są dla ciebie zbyt ekscentrycznym towarzystwem. Z wielką radością ucinałaś wszelkie kontakty z nimi! Dobrze wiedziałaś, co ryzykujemy!

– Bo dałam ci się otumanić. Nigdy w życiu nie powinnam była wyrazić na to zgody! Przez ciebie żyjemy na wygnaniu, z daleka od bliskich.

– Na jakim wygnaniu? Kobieto! Przecież masz tutaj mnóstwo znajomych oraz kuzynkę Berenikę. Nigdy nie narzekałaś na nudę czy osamotnienie. Nawet wyjazd naszych synów nie wytrącił cię jakoś szczególnie mocno z równowagi, gdyż pieniądze były ważniejsze od pretensji Kazimierza i Julka.

– Och... No dobrze, przyznaję: mieszkaliśmy tutaj w miarę spokojnie przez wiele lat. Dopiero ta cholerna zaraza mocno nas doświadczyła. Ledwo podźwignęliśmy się po tamtym nieszczęściu, przyszedł kolejny cios. Ale nawet mimo choroby Emila jakoś sobie radziliśmy. Jednak teraz... Teraz możemy całkowicie stracić wypracowaną z wysiłkiem pozycję towarzyską! Boję się, że sprawa zostanie nagłośniona.

– Ja także. Dlatego uważam, że lepiej będzie, jeśli po cichu zwrócimy pieniądze.

– Mam nadzieję, że oszczędności, które odłożyliśmy, wystarczą na zamknięcie ust Matyldzie – zagadnęła ostrożnie, bojąc się odpowiedzi męża.

Mężczyzna pokręcił głową. Największym kapitałem Strzeleckich były dwie kamienice, przynoszące stały i dość ładny dochód. Cóż, gdy niemalże wszystko trwonili na bieżąco? Wszak apetyt rośnie w miarę jedzenia, więc z chwilą gdy osiągnęli pierwsze solidne przychody, zaczęli zdecydowanie więcej wydawać na wystawne przyjęcia, podróże, kształcenie synów i wyprawianie ich w świat.

– Jeśli chcemy uniknąć skandalu, który odbiłby się szerokim echem nie tylko we Lwowie, musimy zadośćuczynić twojej bratowej. Nie mamy jednak dość środków, aby ją spłacić. Obawiam się, że sytuację może uratować wyłącznie sprzedaż kamienic.

Zuzanna zamarła. Spojrzała na męża z przerażeniem.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? Sprzedamy kamienice i co potem? Będziemy tutaj żyli jak nędzarze? Cóż za poruta! Toż to wstyd nie do zniesienia! Pewnie musielibyśmy się przeprowadzić do mniejszego lokalu, choć w tej sytuacji wolałabym chyba uciec na koniec świata. Nie wyobrażam sobie, bym miała tutaj pozostać i wystawiać samą siebie na wytykanie

palcami. Bo nie dość, że Emil napytał nam biedy, to jeszcze na dodatek czeka nas ruina! Przecież bez kamienic nic nie będziemy znaczyli! Nie możemy sobie pozwolić na ich utratę. Twoja faktoria nigdy nie przynosiła dochodów, wręcz dokładałaś środków, by zachować pozory.

– Doskonale wiesz, że faktoria była tylko przykrywką. Musiałem jakoś ukryć przychody z kamienic, wszak tutaj nikt nie wie, że jesteśmy ich właścicielami – przypomniał.

– A może dałoby się to jeszcze jakoś zatrzymać? Zamknąć usta Matyldzie? Trzeba za wszelką cenę unikać sprzedaży kamienic. Tytusie! Jesteś prawnikiem, wymyśl coś, na pewno jakoś potrafisz się z tego wybronić!

– Niestety nie. Sprawa jest oczywista, stoimy przed koniecznością sprzedaży obydwu budynków. A skoro już je sprzedamy, nic nas tu nie będzie trzymało. Możemy się przeprowadzić gdzieś, gdzie nikt nas nie zna i nie poczujemy ciężaru blamażu.

– O nie! – jęknęła Zuzanna. – Znowu? Już mam dosyć, chcę mieć swoje miejsce w świecie, a nie przeprowadzać się co kilka lat.

Tytus przewrócił oczami.

– To byłby raptem nasz trzeci dom. Nie dramatyzuj!

– Ale ja czuję się już zbyt leciwa na to, by zaczynać od nowa! Starych drzew się nie przesadza – skomentowała cierpko Zuzanna, choć wcale jeszcze nie uważała się za posuniętą w latach kobietę. – Mój Boże! I na co nam przyszło? Po co te kłamstwa i oszustwa? Mogliśmy do dzisiaj spokojnie mieszkać w Krakowie, ty prowadziłyś dalej praktykę, mielibyśmy przyzwoite dochody, żylibyśmy jak dawniej. Może nawet Kazimierz i Julian nie wyjechaliby tak daleko?

– Dobrze wiesz, że praktyka nie funkcjonowałaby bez Seweryna. Nie poradziłbym sobie sam.

– A zatem trzeba było upierać się przy tym, by Emil i Kazimierz wdrożyli się w działania kancelarii – warknęła żona.

– Przecież wiesz, że żaden z nich nie chciał współpracować z wujem. Zresztą Seweryn też nie był zainteresowany przyjmowaniem ich do pracy.

– Ale powinieneś był ich zaangażować po jego śmierci.

– Nie, bo po pierwsze, każdy z nich pragnął samodzielności, a po drugie, brakowało im doświadczenia, więc i tak nie byłoby z nich pożytku – stwierdził z bezwzględną obiektywnością.

– W takim razie należało poszukać nowego wspólnika!

– Tobie się wydaje, że to takie proste? – zapytał kąśliwie Tytus. – Przypominam ci, że awantura z Bardeckimi mocno nadszarpnęła naszą reputację. Zresztą ja nie byłem tak skuteczny jak Seweryn – przyznał z niejakimi oporami, bowiem do tej pory trudno mu było pogodzić się z myślą, że on był tym drugim: stojącym zawsze w cieniu i zdecydowanie mniej efektywnym. – To Seweryn brał najtrudniejsze sprawy i zawsze zwyciężał. On brylował podczas rozpraw swymi mowami. Przystępując do spółki z kimkolwiek innym, na pewno byłbym na pozycji drugorzędnej. Mógłbym nie zarobić nawet połowy tego, co zarabiałem dzięki twojemu bratu. To jego nazwisko skutecznie przyciągało nam najlepszych klientów i dzięki zaradności Seweryna mogliśmy dyktować duże stawki za nasze usługi.

Nawet po tylu latach niełatwo było przyznać się do tego, że tak naprawdę Adamczykowi zawdzięczał niezły status materialny w czasach, gdy jeszcze byli wspólnikami. Seweryn po prostu dbał o dobrobyt swojej siostry. To on miał głowę do interesów

i wiedział, jak obracać pieniędzmi, aby maksymalnie je pomnażać.

– Zrozum! Zarabialiśmy nie tylko na usługach wynikających z naszego zawodu, ale również na innych inwestycjach.

Zuzanna miotała się jak szalona po gabinecie. Chodziła z miejsca na miejsce, brała do ręki różne przedmioty. Odkładała je potem nerwowym ruchem, w końcu nie wytrzymała i cisnęła o posadzkę kałamarzem. Atrament chlusnął na wszystkie strony, plamiąc na niebiesko fragment dywanu, meble oraz skraj sukni.

– Że też do tego wszystkiego musiało dojść! – wykrzyknęła zbulwersowana.

W głębi ducha cieszyła się, że Nikodema nie ma w domu. On jeden wciąż z nimi mieszkał, nie zdezerterował wzorem Kazimierza i Juliana, nie założył także rodziny jak Emil, Karol oraz najmłodszy z gromadki Piotr. Wściekłość Zuzanny była bezgraniczna, kobieta miała ochotę skoczyć mężowi do oczu, przeorać jego twarz paznokciami do krwi, wyszarpać resztki siwych włosów z łysiejącej głowy. Nie mogła jednak wyładowywać złości na mężu. Wszak był jej opoką. Bez niego nie poradziłaby sobie w świecie. To Tytus zapewniał dochody rodzinie. Ona miała tylko dbać, by owa rodzina funkcjonowała jak należy. Musieli więc trzymać wspólny front.

Pierwszy raz w życiu zaświtała jej myśl, że jednak Aurelia miała odrobinę racji, głosząc pogląd, że kobieta nie może być zależna od widzimisię mężczyzny, powinna mieć własne pieniądze i stanowić sama o sobie, ponieważ uzależnianie się od drugiego człowieka może ją przywieść do zguby. *Tak, mnie przywiodło!* – jęczała w duchu. – *Nie powinnam była słuchać Tytusa, gdy zaczął przebąkiwać, że Seweryn pozostawił mu wszystkie pełnomocnictwa dotyczące rozporządzania*

majątkiem spółki oraz prywatnym na wypadek jego śmierci. Wszak okazja czyni złodzieja!

Miotając się rozpaczliwie, Zuzanna rozmyślała nad tym, jak załatwić tę sprawę w możliwie najprostszy sposób, by ponieść jak najmniejsze straty. Przyszło jej nawet do głowy, by zwrócić się bezpośrednio do Matyldy. Pokajać się przed nią, błagać o wybaczenie i prosić, by nie pozbawiała ich całego majątku. Szybko jednak odrzuciła owe rojenia. Duma nie pozwoliłaby jej, aby nagiąć się do tego stopnia. Wszak Zuzanna w zamierzchłych czasach była osobą, która stanowiła autorytet dla bratowej. Jak po czymś takim miałyby spojrzeć jej w oczy? Juraszkowa na pewno wykpiłaby ją okrutnie, może nawet obrzuciłaby najgorszymi epitetami, wyzywając od złodziejek. Przypomniałaby o tym, jak to zawsze Zuzanna stała na straży moralności, a następnie pozwoliła mężowi na popełnienie oszustwa.

– Mój Boże, jesteśmy skończeni towarzysko! – jęczała. – Przecież wszyscy się od nas odwrócą. Jeśli sprawa wyjdzie na jaw, to będzie całkowita kompromitacja, a nawet jeśli zdołamy zachować rzecz w dyskrekcji, będziemy bankrutami i nikt nie zechce się z nami spoufalać.

– Ty tylko o jednym! – zdenerwował się mężczyzna. – Zamiast martwić się o utraconą pozycję towarzyską, lepiej pomyśl, z czego będziemy żyli. Faktoria nie przynosi zysków. Nie jestem już młodzikiem, a jeśli chodzi o prawo, zbyt dawno temu zarzuciłem praktykę. Otwieranie kancelarii nie wchodzi więc w grę. Po sprzedaży kamienic i spłaceniu Matyldy zostanie nam zapewne niewielka sumka. Może zdołamy się z niej utrzymać przez jakiś czas, ale na długo tego pewnie nie wystarczy. Piotr ma własną rodzinę, więc nie możemy mu być ciężarem, bo ze wszystkich chłopaków jemu wiedzie się najgorzej, nawet

studiów nie skończył, gamoń jeden – utyskiwał pod adresem najmłodszego syna. – Przeprowadzka do Gdańska stanowiłaby znaczną uciążliwość, a o wyprawie za ocean w ogóle nie ma mowy. Zresztą ani Julek, ani Kazik nie zaproponowaliby nam gościny. Jeden i drugi natomiast chętnie rzuciłby nam w twarz przypomnieniem, jak szybko pożałowali swego udziału w zagarnięciu mienia Matyldy. Mieli z tego powodu wyrzuty sumienia, chcieli nawet wyznać prawdę ciotce. Ledwo ostudziłem ich zapędy. Zapomniałaś już o tym?

– Nie, nie zapomniałam. Wszak to dlatego obydwaj wyjechali – burknęła ślubna.

Tytus dalej analizował niewesołą sytuację.

– Juliana i Kazimierza wolałbym w ogóle nie wtajemniczać w to, że wszystko się wydało. Emil o bożym świecie nie wie, Piotr na pewno będzie się boczył, ale przed nim nie zdołamy zataić faktów. Jeden Nikodem nam pozostał. Tylko na niego możemy liczyć. Chłopak ma trochę za miękkie serce, lecz nie jest głupi. To dobrze rokujący prawnik. Z tarapatów nas nie wyciągnie, choć może w razie czego wesprze finansowo.

Droga Teodozjo!

Wiem, że nigdy nie byłyśmy sobie szczególnie bliskie, nad czym bardzo ubolewam, ponieważ wychowywałyśmy się razem, więc zawsze czułam, jakbyś była moją prawdziwą, a nie przybraną kuzynką. Postanowiłam do Ciebie napisać, ponieważ zależy mi na tym, abyś wiedziała, że nie żywię urazy za to, co ujawniłaś o przeszłości swoich rodziców. Wiem, że działałaś w dobrej wierze i być może w swoim odczuciu chciałaś zapobiec potencjalnemu nieszczęściu. Rozumiem Twoją argumentację i nie mam żalu, że usiłowałaś poróżnić mnie ze Stanisławem oraz udaremnić nasz ślub.

Przyznaję, że w pierwszym momencie, gdy usłyszałam rewelacje o świętej pamięci Emilii i Dionizym Litworach, trochę się wystraszyłam, więc na początku zadziałałam emocjonalnie. Nie chciałam widzieć Twojego brata ani mu wybaczyć, iż zataił tak istotny fakt. Kiedy jednak wszystko spokojnie przemyślałam, doszłam do wniosku, że nie można obarczać dzieci odpowiedzialnością za przewiny rodziców. Ani Ty, ani Stanisław nie mieliście najmniejszego wpływu na ich poczynania. Nie wierzę, że złe skłonności dziedziczy się po przodkach.

Postanowiłam dać szansę naszej miłości. Wiem, że nie chcesz, abyśmy zawierali związek małżeński, ale mimo wszystko błagam Cię, Teodozjo, przyjedź na nasz ślub. Uczyniłabyś nam zaszczyt i wielką przyjemność, zostając moją druhną. Jeśli jednak odmówisz pełnienia tej funkcji, zrozumiem. Wiedz, że bardzo mi zależy, abyś w tym szczególnym dniu była razem z nami. Zrób to, proszę, choćby ze względu na swego brata. Stanisław jest do Ciebie bardzo przywiązany, i wiem, że za Tobą tęskni, chociaż poczuł się mocno dotknięty Twoim postępowaniem...

Teodozja nerwowym ruchem zgmiotła w kulkę list, który przed godziną otrzymała od Konstancji. Najpierw w ogóle nie chciała czytać korespondencji, spodziewając się lawiny wymówek, a na ostatek triumfalnego stwierdzenia, że Teodozja nie postawi na swoim. Później przełamała się, by otworzyć kopertę. Oczekiwała wszystkiego prócz gałązki oliwnej.

Po przeczytaniu epistoły odczuwała nieprzyjemną gorycz, gdyż „kuzyneczka” pisała w pogodnym i nader życzliwym tonie, wręcz zabiegając o względy Teosi. Przez chwilę Litworzanka walczyła z narastającą wściekłością. Potem jednak rozprostowała kartkę i jeszcze raz przeczytała całość.

Popadła w głęboką zadumę.

Nikt nie miał prawa przeżywać radości wtedy, gdy ona wciąż pogrążona była w rozpacz i żałobie! Stanisław starał się wieść normalne życie i budować wizje przyszłości, a tymczasem ona swoją szansę na szczęście już dawno temu utraciła.

Po chwili przyszła refleksja, że od wielu lat jej czynami powoduje zazdrość o cudze szczęście.

Doskonale pamiętała jeden z kilku wieczorów, które spędziła w ramionach ukochanego mężczyzny nad szemrzącą cicho Koprzywianką. Siedziała wraz z Augustem na obalonym pniu drzewa, rozmawiając o przeszłości; musieli wyjaśnić sobie kilka nieporozumień. Orzechowski wyznał wtedy, że zamierzał prosić Teosię o rękę nazajutrz po tym, gdy po raz pierwszy ją posiadł. Myślał nawet czekać, aż Teodozja ukończy szkołę. Cóż, gdy ona wówczas uniosła się dumą i nie chciała z nim rozmawiać! A on poczuł się tak dotknięty jej chłodem, że poddał się bez walki i postanowił utrzczyć jej nosa w najbardziej idiotyczny sposób: żeniąc się z inną. Przeprosił za to, a ona mu wybaczyła. Chciała wyjść za niego po zakończeniu wojny.

Jednakże przewrotny los zdecydował inaczej i ukochany mężczyzna spoczął w mogile, a ona została sama ze złamanym sercem.

Być może to był właśnie jeden z powodów, dla których chciała stanąć bratu na drodze do zawarcia związku małżeńskiego. Niełatwo było pogodzić się z myślą, że ludzie wokół przeżywają swoje miłości, a ona niczym potępiona dusza błąka się samotnie po świecie, nie mogąc znaleźć dla siebie miejsca.

Stach nie odzywał się do niej od dnia, gdy wyjechała do Lwowa, choć minęło już sporo czasu. O tym, że pogodził się z Konstancją, wiedziała z listu Aurelii. Ciotka regularnie do niej pisywała, choć Teodozja odpowiadała rzadko i zdawkowo.

Podła ze mnie istota – westchnęła ciężko kobieta. – Nie powinnam przenosić mojego gniewu na najbliższą rodzinę. Nie czarujmy się, jestem sfrustrowaną i rozgoryczoną starą panną, która zaprzepaściła szansę na ułożenie sobie życia zupełnie inaczej. Popełniłam mnóstwo błędów.

Po raz pierwszy dopuściła do głosu myśl, że jednak winy rodziców nie powinny rzutować na nią oraz na Stanisława i że brat ma prawo robić to, czego pragnie, i realizować marzenia, nie oglądając się wstecz.

Ponieważ ślub zaplanowano na koniec czerwca, miała jeszcze wystarczająco dużo czasu, by podjąć decyzję, czy pojechać do Krynicy. Zarówno zdrowy rozsądek, jak i serce podpowiadały jej, że taki krok byłby mile widziany. Pokazałoby w ten sposób, że nie jest zazdrosną egoistką. Na pewno właśnie tego oczekiwali od niej bliscy.

Sęk w tym, że nie miała na to ochoty. Uważała, że dla Polaków czas hucznych zabaw jeszcze nie nadszedł. Wolność, którą zyskali po stu dwudziestu trzech latach zaborów rozdzierających niegdysiejsze potężne państwo na pozbawione suwerenności części, wciąż była krucha i zagrożona. Od wschodu napierał groźny wróg w postaci bolszewików chcących zaszczepić swą chorą ideologię wśród mieszkańców kraju położonego nad Wisłą.

Jakby tego było mało, przez Europę przetaczała się epidemia zarazy dziesiątkującej całe miejscowości. Wokół Lwowa zaniemogło mnóstwo osób. Gdy tajemnicze choróbko pojawiała się w jakiejś chałupie, wiadomo było, że dotknie całą rodzinę. Problem zaistniał jeszcze przed zakończeniem wojny – już wtedy ludzie zaczęli masowo zalegać w łózkach, niemalże krztusząc się własną krwią. W polach zostały niewykopane

ziemniaki, nie zaorano roli pod zboża ozime. Prasa alarmowała o poważnym zagrożeniu i straszyla wizjami głodu.

Teodozja wciąż otrzymywała od Aurelii pełne emocji listy wzywające podopieczną do Krynicy. Ciotka twierdziła, że w Beskidzie jest bezpiecznie, gdyż na razie zaraza nie daje się mocno we znaki okolicznym mieszkańcom. Po trosze przypisywano to dobrodziejstwu tutejszych wód, po trosze klimatowi. Litworzanka pozostawała jednak głucha na jej prośby. Czowała, że w domu Pod Lipami nie ma już dla niej miejsca. Uważała ponadto, że jest potrzebna we Lwowie, gdyż tutejsze szpitale przepełnione były chorymi. Właściwie gdyby nie epidemia, zwana przez Polaków potocznie czerwoną influencją, chorobą bolszewicką bądź ukrainką¹, a przez inne nacje hiszpanką, Teosia ruszyłaby zapewne na kolejną wojenną tułaczkę, bowiem wciąż wzywano młodych ludzi, by stawali w obronie ojczyzny atakowanej przez inną czerwoną zarazę – radziecką.

Powroźnik

Witalis ubolewał, że jego relacje rodzinne uległy znacznemu rozluźnieniu. Odkąd zabrakło matuli, każdy zdawał się żyć własnymi sprawami, mniej było okazji do wspólnych spotkań. Chociaż to nie on pozostał w domu rodzinnym, który powinien jednoczyć rodzeństwo, jako pierworodny czuł na sobie ciężar dbania o to, by nie stali się sobie obcy. Zagadnął więc ślubną, czy będzie miała coś przeciwko temu, by tego roku zaprosił całą swą rodzinę na wielkanocne śniadanie. Matylda nie protestowała, chociaż wiedziała, że mentalnie mocno odstaje od krewnych męża. Ułujanka i Eufrozyna starały się być dla niej miłe, lecz ze strony Dymitra wyczuwała delikatną niechęć. Uważał ją za bogatą paniusią, która do reszty „zepsuła”

Witalisa. Robiła jednak, co mogła, by nie pogłębiać postępującego rozbratu, wiedziała bowiem, jak ważna jest dla męża rodzina. Sama mogła liczyć wyłącznie na Aurelię i jej bliskich, więc rozumiała osamotnienie jak mało kto.

W niedzielny poranek zasiedli całą gromadą do odświętnie nakrytego stołu. Ponieważ zgodnie z tradycją tego dnia Łemkowie jadają wyłącznie poświęcone pokarmy, każda z gospodyń przyniosła ze sobą część wiktuałów, które zostały pokropione wodą święconą. Czego tam nie było? Ręcznie malowane jajka, kielbasa z domowej wędzarni, tłusciutka słonina, boczek z grubym płatem różowutkiego mięsa, wyciskający łzy z oczu starty chrzan, żółte masło, biały ser i oczywiście miód z pasieki Juraszków, bo jakżeby się obeszło bez tego, co żywiło rodzinę od wielu lat? Pachniało więc w jadalni tak, że aż ślinka ciekła. Do wspólnego świętowania Matylda zaprosiła także Onufra, Jewkę i gromadkę ich dzieci, wszak posługiwali u niej od wielu lat, traktowała więc ich życzliwie niczym rodzinę. Służący czuli się nieco skrępowani, lecz nie wykręcali się od biesiadowania z państwem. A ponieważ większość osób stanowili Łemkowie, rozmowa szybko zeszła na temat Ruskiej Ludowej Republiki Łemków powołanej tuż po zakończeniu wielkiej wojny.

Dymitr od dawna prawił o konieczności tworzenia przez Rusnaków własnej państwowości, dlatego brał aktywny udział we wszystkich wydarzeniach mających na celu utworzenie odrębnego kraju. Na razie powołana przez Łemków republika nie miała formalnego umocowania. On, podobnie jak inni pobratymcy z Ruskiej Rady, optował za tym, by na konferencję pokojową do Paryża wysłać rusnacką delegację. Brał także udział w zjeździe Łemków, który odbył się w położonej kilkanaście kilometrów dalej Florynce, i to właśnie wówczas

proklamowano republikę ze stolicą w owej niewielkiej miejscowości. Na jej czele stanął ksiądz Mychajło Jurczakewycz². Mimo iż zadbano o posiadanie własnego sądownictwa i policji, Łemkowie sami traktowali republikę jako coś tymczasowego. Docelowo nie marzyli o całkowicie odrębnym państwie, lecz o autonomicznym regionie będącym częścią innego kraju.

– Problemem jest oczywiście kwestia terytorialna – stwierdził Dymitr – bo nasze ziemie położone są i w Polsce, i na Ukrainie, i w Czechosłowacji. Właściwie nie wiadomo, ku któremu z tych narodów się skłaniać, lecz chyba najbliższej nam do Czechosłowaków.

– No tak, ale tutaj oficjalnie jest Polska – powiedział Witalis. – A w pobliskiej Krynicy, która mocno oddziałuje na naszą gospodarkę, mniej więcej połowę stałych mieszkańców stanowią Żydzi, choć skłaniałbym się ku stwierdzeniu, że starozakonnych jest najwięcej. To Polacy i Żydzi posiadają najbardziej dochodowe interesy, dając zatrudnienie nielicznym Łemkom. Naszych jest tam zaledwie garstka. Może naliczyłby ich ze trzystu? Wątpię więc, by Polacy przymknęli oko na chęć podporządkowania tych terenów Czechosłowakom. A co by było, gdyby tak jeszcze Żydzi zaczęli wysuwać żądania? Gdyby też zapragnęli własnej państwowości?

– O ile mi wiadomo, Żydzi są rozproszeni dość równomiernie po całej Polsce. Oni raczej nie uprawiają ziemi, zajmują się głównie handlem, posiadają karczmy, a nade wszystko kochają pieniądze i potrafią nimi obracać. Im nie w głowie powoływanie własnego państwa, wolą być bankierami w cudzym – zauważył Dymitr. – My mamy swoją ziemię, uprawianą z dziada pradziada. Przywiązanie do ojcowizny sprawia, że nie szukamy przygód w dalekim świecie, lecz

od pokoleń siedzimy w jednym miejscu. Dlatego łatwiej jest nam tworzyć własne struktury państwowe. Ale mimo wszystko Łemkom potrzebne jest oparcie ze strony innego stabilnego narodu. Z Rosjanami dobrze byłoby się zbratać, bo wyznają tę samą wiarę co my i dysponują potężną armią, która daje poczucie bezpieczeństwa. Ale Rosja jest zbyt daleko, a ponadto nie podoba nam się ideologia bolszewicka. Najlepsi są Czechosłowacy, którzy obiecują nam autonomię.

– Niby kto składa nam takie obietnice? – zdziwił się Witalis. Nie był tak obeznany w bieżących sprawach jak młodszy brat, gdyż absorbowwała go praca w tartaku. Chociaż dążenia narodowościowe uważał w głębi duszy za sensowne, nie angażował się w politykę i ze sceptycyzmem podchodził do niektórych poczynań swych ziomków. Zdecydowanie bliżsi jego sercu byli Polacy, z Czechosłowakami niemalże nie miewał do czynienia.

– Naszą nadzieją jest Tomáš Masaryk³ – przyznał Dymitr.

– A cóż my możemy oferować prezydentowi? – zapytał z goryczą Witia. – Setkę ubogich górskich wiosek, które musiałby wziąć pod opiekę? Mało ma własnych problemów z Niemcami?

Dymitr zwiesił ramiona. Nie mógł nie zgodzić się z argumentacją brata. Po wojnie wszystkie narody cierpiały z powodu nędzy. Na mapach świata kreślono nowe granice, co powodowało różne konflikty i wprowadzało zamęt – szczególnie wśród mniejszości narodowych. Łemkowie faktycznie mogliby stanowić kłopot dla Słowaków, których połączono w sztuczny twór z Czechami. Było przecież czymś oczywistym, że nie powstanie Czechosłowacko-Łemkowszczyzna, choć i tak śmiało myśli rodziły się w ludzkich głowach.

Panie, które do tej pory skupione były na mniej politycznych pogawędkach, zaczęły się w końcu niecierpliwić. Matylda siedziała jak na szpilkach, bała się, by przy stole nie doszło do kłótni lub choćby ostrzejszej wymiany zdań. Czuła jednak, że nie wypada, aby to właśnie ona, „damulka”, przerywała tę dyskusję, chociaż bardzo ją korciło. Nie zamierzała ani narażać się Dymitrowi, ani psuć atmosfery. Ostatecznie jednak to Anastazja poprosiła mężczyzn, by przy świątecznym śniadaniu dali spokój pewnym sprawom.

Krynica

Przygotowania do ślubu Konstancji i Stanisława szły pełną parą. Juraszkowie uparli się, by mimo szalejącej epidemii wyprawić narzeczonym choćby skromne wesele, wszak taka uroczystość zdarzała się zwykle raz w życiu i należało ją odpowiednio uczcić.

Miłość dodawała młodym ludziom skrzydeł. Stanisław starał się skoncentrować na dopieszczeniu domu rodzinnego. Mimo że domostwo było skromne, mniejsze nawet od willi Juraszków, Konstancja bardzo cieszyła się na myśl, że już wkrótce zamieszka tam ze swoim wybrankiem. Chociaż Stanisław dość długo obstawał przy tym, że samodzielnie pokryje wszelkie koszty, po jakimś czasie uległ namowom Matyldy i wyraził zgodę, by to ona zaprojektowała poszczególne wnętrza. Przyjął także pomoc finansową ze strony Witalisa, który opłacił zakup mebli, dekoracji oraz wskazanych przez ślubną przedmiotów codziennego użytku. Zastrzegł jednak, że życzy sobie, aby wszelkie koszty, które przyszli teściowie poniosą na poczet remontu tego domu, zostały odliczone od posagu jego ukochanej. Nie chciał nadużywać ich dobroci, podobnie jak wzdragał się przed przyjmowaniem czegokolwiek od Aurelii.

Wychodził z założenia, że nie wypada, by ciotka nadal łożyła na niego lub jego fanaberie. Wszak z winy rodziców młodo owdowiała. Co więcej, utrzymywała jego oraz Teosię przez długie lata, choć nie musiała tego robić. Zawdzięczał Drzewickiej-Rapacz tak wiele, że do końca życia będzie się czuł dłużnikiem.

Na szczęście po kilkuletnim przestoju tartak pracował teraz pełną parą. Polska podnosiła się po wojennych zniszczeniach, chociaż gospodarka wciąż była w fatalnym stanie i szalała inflacja. Potężne traki nie nadążały z cięciem kłód na deski, krokwie i inne wyroby. Zamówień było tak dużo jak w czasach największej prosperity tuż przed wybuchem wojny, a to dawało ludziom zatrudnionym w przedsiębiorstwie godziwe zarobki.

Stanisław ufał więc, że zapewni ukochanej naprawdę przyzwoite warunki życia. Właściwie na niemalże nieskalanym błękitnym niebie zakochanych istniała tylko jedna ciemna chmura w postaci troski o to, czy Teosia zechce przyjechać na ich ślub.

– Och, Stasiu – westchnęła pewnej majowej niedzieli Konstancja, gdy przechadzała się z narzeczonym po deptaku. – Pomyśl tylko, jak pięknie by to było, gdyby twoja siostra zechciała zostać moją druhną.

– W rzeczy samej też byłbym temu rad. Nie wiem tylko, jak zapatrywałyby się na druźbowanie wraz z Józefem Trelewiczem. O ile znam moją siostrę, raczej nie byłaby zachwycona tym faktem.

Pomysł, by doktor został ich drużbą, przyszedł zupełnie naturalnie. Pewnego dnia młodzi po prostu stwierdzili, że chcą, aby Trelewicz towarzyszył im przed ołtarzem w tak ważnym momencie, a to dlatego, że w minionych miesiącach Józef i Stanisław dość mocno się ze sobą zżyli. Już wcześniej

kilkakrotnie ich drogi przecięły się podczas wojennej tułaczki. Oczywiście wszyscy mieli świadomość tego, że swego czasu Trelewicz durzył się w Teodozji. Co więcej, wciąż pozostawał kawalerem. Czy nadal był w niej zakochany? Tego nie wiedział nikt. Niemniej Konstancja, która patrzyła teraz na świat oczami zakochanej panny, chciała wszystkich łączyć ze sobą w szczęśliwe związki. I to ona pomyślała, że gdyby Józef i Teodozja stanęli razem u stopni ołtarza, być może w sercu pielęgniarki zrodziłoby się uczucie.

– Pięknie byłoby widzieć razem tych dwoje – stwierdziła. – Uważam, że stanowiliby wyborną parę.

– Nie jestem co do tego przekonany. Moja siostra jest wyjątkowo dziwną osobą – odparł Stanisław. – Czasami myślę, że ona nie kocha nikogo. Jest potworną egoistką.

– Chyba błędnie ją oceniasz – zaprotestowała Konstancja. – Egoiści kochają samych siebie, a Teodozja zdaje się żywić niechęć do całego świata ze sobą włącznie. Wciąż nie mogę oprzeć się wrażeniu, że karze samą siebie za jakieś urojone przewiny, ale jak każdy potrzebuje miłości, ciepła i zaangażowania ze strony drugiej osoby.

– Jest zgorzkniała niczym piołun.

– A ja uważam, że uświadomiła sobie, iż staropanieństwo nie jest dobre dla kobiety. Być może żałuje jakichś zaprzepaszczonych okazji z czasów, gdy była znacznie młodsza i mogła dobrze wyjść za mąż. Właściwie wciąż ma na to szansę, bo gdyby ona i Józef...

– Ja jednak uważam – przerwał jej narzeczoney – że swatanie tych dwojga nie ma najmniejszego sensu. Józef skupiony jest na pracy. Na razie wciąż pochłania go rozszerzanie praktyki, wszak stracił sporo pacjentów, gdy wyruszył na wojnę. Nie wątpię jednak, że pewnego dnia obwieści wszem wobec,

że zaręczył się z jakąś miłą panną. Jestem głęboko przekonany, że niejedna dziewczyna byłaby zainteresowana mariażem z doktorem. Józef nie pozostanie przecież kawalerem w nieskończoność, bo jak wiadomo, każdy szanowany mężczyzna potrzebuje małżonki, która zadba o jego wizerunek w towarzystwie. Nie przypuszczam, by obiektem uczuć Józefa nadal pozostawała moja siostra. Myślę, że Teodozja skutecznie zraziła go swoim chłodem i wzgardą. Takie zachowanie na pewno zniechęca. O ile dobrze pamiętam, bo wtedy wciąż byłem chłoptasiem wykluczonym z salonowego świata, w czasach gdy Teosia rozglądała się za kandydatem na męża, Józef w ogóle nie był przez nią brany pod uwagę. Wyrażała się o nim z niechęcią.

– Powinieneś mieć więcej wiary w siostrę. Ludzie się zmieniają. Teodozja doświadczyła wystarczająco dużo, by inaczej spoglądać na świat.

– Te doświadczenia raczej pogłębiły jej defetyzm.

– A może nie? Może wyjazd do Lwowa pomógł jej w otrząśnięciu się z ponurych wspomnień? Przecież pojechała tam, aby zajmować się tym, co ją satysfakcjonuje. Na pewno czuje się potrzebna ze swoimi umiejętnościami. Pomaga w ratowaniu ludzkiego życia.

– Na wojnie robiła to samo – zauważył Stanisław.

– Niezupełnie. Wojna siała spustoszenie wśród zdrowych młodych mężczyzn oraz niewinnych ofiar. Była barbarzyńska i nieludzka, pozbawiająca złudzeń. We Lwowie Teosia ma do czynienia z ludźmi, którzy nie zostali potwornie okaleczeni przez żołnierzy, lecz rozchorowali się z innych powodów, zapewne w wielu przypadkach wskutek panoszącej się zarazy. To całkowicie zmienia perspektywę! – zaprotestowała żywo panna.

– Dobry Boże! – westchnął Stanisław. – Mówisz, jakbyś osobiście doświadczyła koszmarów, które chciałbym puścić w niepamięć. To z moich ust powinny być paść takie słowa. Masz rację, ukochana. Wojna i pokój rządzą się zupełnie innymi prawami. Inna też musi być rola mej siostry w szpitalu, gdzie nie ma ludzi poszkodowanych w wyniku działań zbrojnych. Ale mimo wszystko skłaniam się ku stwierdzeniu, że w Teodozji doszły do głosu najgorsze cechy jej charakteru i raczej będą się pogłębiały.

– A ja uważam, że w swym odczuciu działała w dobrej wierze, choć metodę postępowania obrała najgorszą z możliwych. Zachowała się niczym słoń w składzie porcelany.

– Dobrymi chęciami wybrukowano piekło. Swą dobrą wiarę udowodniła aż nadto dobitnie, kiedy niemalże udaremniła nasze plany ślubne.

– Nie zamierzasz jej tego darować?

– Myślisz, że to takie proste? Omal cię nie straciłem!

– Ale przecież pojedналиśmy się ze sobą, Stachu! Miej serce.

– Mam i dlatego niedawno napisałem do niej list, ale nie doczekałem się odpowiedzi. Nie zdajesz sobie sprawy, jaką sprawiła mi przykrość. Wciąż mnie tutaj piecze. – Dotknął dłonią gardła. – Wszak to moja siostra, kiedyś byliśmy sobie wyjątkowo bliscy. Ale wiesz, kochana? Doceniam to, że chcesz nas ze sobą pojednać. To bardzo szlachetne z twojej strony.

– Wierzę, że pewnego dnia wyzbędziesz się żalu do Teodozji, bo tak naprawdę nie masz się o co na nią gniewać. Nasze uczucia zostały wystawione na próbę, z której wyszliśmy zwycięsko – stwierdziła.

Zapadło milczenie. Stanisław nie chciał ciągnąć dłużej tematu siostry, Konstancja natomiast uznała, że z jej ust padło

wszystko, co miała do powiedzenia w tej sprawie. Nie chciała, aby narzeczony uznał ją za natrętną.

– Ech... Pusto w Krynicy – podrzuciła nowy wątek pogawędki. – O tej porze roku zawsze było tutaj pełno kuracjuszy.

– Epidemia skutecznie odstrasza ludzi – zauważył Stach.

– Aha. Ale tego tam jakoś nie zniechęca. – Narzeczona ruchem głowy wskazała niepozornego człeczyne, który od jakiegoś czasu często widywany był przy jednym ze skwerów, gdzie rozkładał się z farbami, kredkami i dość nieudolnymi malowidłami, mającymi być niby pamiątkami z Krynicy. W odczuciu dziewczyny brakowało mu talentu, wycucia i w ogóle jakiegokolwiek stylu. Jego rysunki były proste, wręcz prymitywne – jak sam „artysta” zresztą. Znała tego człowieka z widzenia, mieszkał w Powroźniku kątem u jednego z gospodarzy. Uchodził za wiejskiego głupka, niezdatnego do żadnej roboty. Niektórzy nawet dziwowali się, że Hryniak trzyma go w swoim obejściu. Dymitr mieszkający po sąsiedzku z Witalisem wręcz mawiał, że niedojdę powinno się popędzić do pracy, bo kto to widział, by parobek, nawet tak mikry, siedział u kogoś na łaskawym chlebie. Stąd nawet Konstancja, która nie chodziła do cerkwi, ale przyjeżdżała wraz z matką i rodzeństwem na nabożeństwa do krynickich kościołów i nie do końca orientowała się w miejscowych plotkach, wiedziała, że osobnik ów nosi imię Nikifor i jest niepełnosprawnym Łemkiem osieroconym przez matkę.

Stach spojrział we wskazanym kierunku. Zmarszczył czoło, chociaż widok Rusnaka go nie dziwił – mężczyzna w bliżej nieokreślonym wieku wyjątkowo upodobał sobie ten zakątek. Litwora często widywał tam Nikifora, choć wolałby stracić go z oczu i wyrzucić z pamięci. Dla niego był wyrzutem

sumienia. Przed laty Stanisław oraz jego koledzy mocno dawali w kość temu oberwańcowi. Teraz było mu wstyd z tego powodu, ponieważ pastwił się nad osobnikiem znacznie od siebie słabszym. Na dodatek robili to całą zgrają chłopaków, podczas gdy pętał był sam jak palec, miał jedynie wiecznie zapracowaną matulę, uchodzącą za niedojdę.

Że też przeżył wojenną zawieruchę i epidemię! – przemknęło mu przez myśl. – Gdzie on się uchował? W wojsku chyba nie służył, bo kto dałby mu do łapy karabin czy inną broń?

Szybko odwrócił spojrzenie.

Lwów

W następnych dniach atmosfera w domu Strzeleckich stała się nader ciężka. Mecenasa wynajęty przez Matyldę przyniósł rozliczenie, z którego jasno wynikało, że aby zadośćuczynić krzywdzie wyrządzonej kobiecie, Strzeleccy muszą sprzedać obydwie kamienice. Tytus wnikliwie sprawdził kwoty, niestety świadczyły jednoznacznie, że nie ma mowy o żadnej pomyłce. Osoba przygotowująca dokumenty dla Juraszkowej podeszła do problemu nader skrupulatnie. Suma odsetek, chociaż astronomiczna, ani trochę nie wydawała się zawyżona. Nie było się co dziwić, wszak wciąż szalała inflacja, więc pieniądze mocno się dewaluowały.

Prawnik zasugerował, by Strzelecki od razu przepisał jedną z kamienic na rzecz Matyldy, a różnicę w zobowiązaniu uregulował gotówką. W rzeczy samej było to dość wygodne rozwiązanie, wymagało znacznie mniej zachodu. Czasy były niełatwe, więc zapewne trudno byłoby szybko znaleźć nabywcę na dom ulokowany przy reprezentacyjnej ulicy. Transakcję należało przeprowadzić jak najszybciej, bowiem każdy dzień zwłoki oznaczał dalsze naliczanie odsetek. Przy pospiesznym

poszukiwaniu kupca nieruchomość zostałaaby sprzedana ze znaczną stratą. Na szczęście Matylda zgodziła się poczekać na spłatę, do momentu aż Tytus sprzeda drugą kamienicę, chociaż prawnik ostrzegł, by nie nadużywać jej cierpliwości.

Pierwsza transakcja została przeprowadzona bez obecności Matyldy, która dyplomatycznie wyjaśniła, że z uwagi na szalejącą zarazę woli unikać przyjazdu do Lwowa, wokół którego notowano znaczną liczbę zakażeń, choć oczywiste było, że jest to tylko wymówka. W rzeczywistości Juraszkowa nie miała ochoty widzieć się z ludźmi, którzy potraktowali ją nader podle. Formalności załatwił w jej imieniu wyznaczony prawnik. Strzeleccy odetchnęli z ulgą, ponieważ przynajmniej na razie nie musieli stawać twarzą w twarz z oszukaną powinowatą. Wciąż jednak zostało im do spłacenia spore zobowiązanie.

Czas naglił, trzeba było na gwałt szukać nowego mieszkania oraz kupca na kamienicę. Nie był to najlepszy moment, gdyż uwaga lwowian skupiona była głównie na doniesieniach o epidemii. Niektórzy bogacze wręcz snuli plany ucieczki z miasta, lecz informacje napływające z innych stron świata nie były optymistyczne. Kraków, Warszawa i inne duże miejscowości zmagaly się z tym samym problemem. Ludzie niechętnie zajmowali się sprawami innymi niż ratowanie oraz ochrona zdrowia. Mimo to Strzeleccy, by nie tracić czasu, zaczęli pakować dobytek. Nie obyło się przy tym bez utyskiwań ze strony Zuzanny, która nie omieszkała obarczać męża winą za zaistniałą sytuację. Zdawała się nie pamiętać, że sama namawiała Tytusa, by postąpił w tak niegodny sposób. Co gorsza, kobieta kręciła nosem przy wyborze kolejnego miejsca zamieszkania. Nie chciała opuszczać Lwowa, a do Krakowa nie widziała szansy powrotu.

– I co my teraz zrobimy? – jęczała. – Pewnie wylądujemy w Kołomyi, bo tutaj jesteśmy skończeni towarzysko.

Mąż przestał reagować na spazmy, miał znacznie większy problem. Liczył blisko siedemdziesiąt lat i zamiast w spokoju dożywać swoich dni, ciągle zamartwiał się o to, z czego będą się utrzymywali, gdy już spłacą Matyldę. Zakładał, że będzie musiał otworzyć kancelarię, lecz we Lwowie nie widział pola manewru. Tu znało go mnóstwo osób z towarzystwa i wszyscy wiedzieli, że nie praktykuje od wielu lat. Siłą rzeczy nikt nie powierzyłby mu żadnej istotnej sprawy, ponieważ każdy wychodziłby z założenia, że jako prawnik wypadł z obiegu i nie jest na bieżąco z kodeksami. Należało więc rzeczywiście wyjechać ze Lwowa.

Pretensje do Tytusa mieli wszyscy: zarówno żona, jak i synowie, chociaż doskonale wiedzieli, jakie jest źródło pochodzenia majątku. *Póki były pieniądze, było dobrze – rozmyślał z przekąsem mężczyzna. – A gdy sytuacja uległa pogorszeniu, nagle się ode mnie odwrócili.*

Rzeczywiście w nikim teraz nie miał oparcia i na nikim nie mógł polegać. Co więcej, Piotr i Nikodem zadeklarowali, że mimo wszystko zostaną we Lwowie, ponieważ sprawę z Matyldą udało się załatwić w miarę dyskretnie. Każdy z nich miał własne źródła przychodów. Problemy finansowe rodziców nie odbiły się na nich wcale. Kazimierz i Julian w ogóle nie zostali poinformowani o tarapatach rodziców, podobnie jak Emil, który wciąż przebywał w szpitalu dla obłąkanych i nie dawało się z nim nawiązać kontaktu. Właściwie nikt w towarzystwie nie miał jeszcze pojęcia o tym, że Strzeleccy są bankrutami. Wiadomo jednak było, że ich pozycja towarzyska w którymś momencie runie, gdyż nie byli w stanie prowadzić domu na takim poziomie jak dotychczas. Na razie

żałoba stanowiła idealne wytłumaczenie, ponieważ Strzeleccy już wcześniej przestali bywać w teatrze czy na balach, nie przyjmowali gości i nie wydawali przyjęć. Ale każda żałoba kiedyś dobiega końca, a wówczas wypada ponownie pojawiać się pomiędzy ludźmi, zapraszać ich do siebie, składać innym wizyty. Tylko że to wszystko kosztuje.

– Nie możemy wyjechać zbyt daleko. Nie chcę się rozstawać z synami, a zwłaszcza z biednym Emilem, do którego po naszym wyjeździe nie zajrzałby nawet pies z kulawą nogą – denerwowała się Zuzanna za każdym razem, gdy mąż proponował jej kolejne potencjalne miejsce zamieszkania. – Jestem przywiązana do moich dzieci oraz wnuczki. Nie wyobrażam sobie, abyśmy się mieli rozdzielić. Wystarczy, że nie mam kontaktu z dziećmi Juliana oraz Kazimierza, a jedyne informacje na ich temat otrzymuję w niezbyt częstych i mało wylewnych listach. Helcia jest moim jedynym pocieszeniem, moją iskierką. – Rozczuliła się na myśl o wnuczce.

Ostatecznie jednak Strzeleccy podjęli decyzję o przeprowadzce do Sambora, choć i na tę lokalizację ślubna kręciła nosem.

– Proszę, zostańmy we Lwowie. Może zdołamy spłacić Matyldę bez sprzedawania drugiej kamienicy? Powinniśmy negocjować – usiłowała przekonać męża.

– Nic z tego. Nie zamierzam się przed nią płaścić. Zresztą bądź pewna, że prędzej czy później rzecz może się wydać, a wówczas sama będziesz błagała o to, abyśmy czym prędzej wyjechali.

– Wstrzymajmy się więc przynajmniej do czasu, póki lekarze nie opanują epidemii. Ponoć okolice Lwowa zdziesiątkowane są przez zarazę. Najbezpieczniej czuję się tutaj, w domu.

– Nie możemy sobie pozwolić na zwłokę. Czasy są trudne, nasza gospodarka jest w ruinie, bo nie dość, że wyeksploatowali nas Austriacy, a wojna też zrobiła swoje, to jeszcze „ukrainka” mocno daje w kość. Cud, że zdołałem znaleźć godziwe zajęcie. Nie mogę tego zaprzepaścić.

Tytus miał obiecaną pracę w kancelarii prawnej. Wprawdzie oferowano mu jedynie posadę sekretarza, ale to i tak go ratowało, ponieważ nie miał innych perspektyw. Zdawał sobie jednak sprawę, że pensja, jaką będzie otrzymywał, wystarczy zaledwie na skromne życie. Dla niego była to okropna degradacja – czekało go wysługiwanie się komuś innemu, mozolne wertowanie kodeksów, porządkowanie dokumentów i przygotowywanie różnych mniej lub bardziej błahych materiałów. Wiedział, że mimo wieloletniego doświadczenia już nigdy nie dostanie żadnej porządnej sprawy do poprowadzenia. Cóż za upadek!

Atutem lokalizacji była bliskość Lwowa, pozwalająca w perspektywie na częste kontakty z synami. Mieszkania tam były znacznie tańsze niż we Lwowie, a miasta łączyła linia kolejowa.

Nazajutrz po tym, jak zapadła decyzja o przeprowadzce do Sambora, do Strzeleckiego zgłosił się człowiek zainteresowany odkupieniem kamienicy. Pojawiła się zatem dość realna szansa na szybkie sfinalizowanie transakcji. Strzelecki mógł odetchnąć z ulgą, bowiem miało mu to pozwolić spłacić niecierpliwą się Matyldę. Rodzinie pozostanie także niewielki kapitał na początek w nowym miejscu.

Mimo to frustracja Tytusa narastała z każdym dniem.

Jestem już w takim wieku, gdy nie powinienem mieć w ogóle żadnych problemów egzystencjalnych – rozmyślał Strzelecki.

Zapewne gdyby był w innej sytuacji, synowie pospieszyliby mu z pomocą. Ale choć ochoczo korzystali z majątku przez minione dwadzieścia lat, z chwilą gdy nastąpił kryzys, niemalże się od niego odżegnawali. Zuzanna zabiegała o ich przychyłność. Matkę, choć była współwinna temu, co się wydarzyło, traktowali znacznie łagodniej niż ojca. Z Tytusem nie chcieli mieć nic do czynienia. Ją usprawiedliwiali tym, że kobieta nie zawsze potrafi logicznie rozumować i nader często po prostu ulega wpływom. Zresztą to mężczyzna zwykle ma w domu decydujący głos – z takiego nieładnego założenia wychodziła cała familia.

Tytusowi nie pozostawało nic innego jak sfinalizować ostatnie transakcje. Pierwszą kamienicę już przepisał na Matyldę, oczywiście za pośrednictwem mecenasa. Nie miał ochoty na osobiste spotkanie z powinowatą, ponieważ nie potrafiłby spojrzeć jej w oczy. Zdawał sobie sprawę z tego, że jest wielkim łotrem. Wszak ograbił tę kobietę z ogromnej części spadku. Co więcej, miał również chrapkę na kamieniczkę usytuowaną przy Małym Rynku. Ostatecznie jednak zostawił ją wdowie, wychodząc z założenia, że ta potrzebuje jakichś środków do życia i nigdy w życiu nie uwierzy, że odziedziczyła po mężu wyłącznie długi. Wtedy wydawało mu się to rozsądnym posunięciem i nader szlachetnym, gdyż nie skazywał jej na nędzę.

Teraz żałował, że w ogóle pogrążył się do tego stopnia. Gdyby Matylda zechciała, mogłaby mu narobić wielu kłopotów. Wiedział, że po kres swoich dni wciąż będzie dygotał ze strachu, by pewnego dnia prawda nie ujrzała światła dziennego. Gdyby Juraszkowa była osobą mściwą, mogłaby całkowicie zniszczyć mu reputację. Być może straciłby nawet stanowisko, które z wielkim wysiłkiem udało mu się zdobyć.

Perspektywa wysługiwania się w charakterze sekretarza mocno go uwierała. Kiedy sam był współwłaścicielem kancelarii, sekretarzom powierzali wraz z Sewerynem najgorszą robotę, za którą płacili adekwatnie, czyli niewiele. A teraz sam miał pełnić tę upokarzającą funkcję! Nie potrafił sobie tego wyobrazić. I choć bardzo zabiegał o to, by go przyjęto do pracy, odczuwał ogromne rozgoryczenie. Momentami żałował wręcz, że tak mocno nalegał, by przeprowadzili się z żoną do Sambora. Może gdyby się tak nie spieszył, znalazłby godziwszy wakat.

Na wszystko było jednak już zbyt późno. Mieli zaledwie kilka dni na spakowanie reszty rzeczy oraz przeprowadzkę. Na szczęście w tym względzie Zuzanna okazała się roztropną osobą i o wszystko zadbała. Ale ile przy tym miała do gadania! We Lwowie był w stanie jakoś unikać żony, mieszkanie przy Kochanowskiego było duże. Poza tym zawsze mógł dokądś pójść: niby po to, by załatwić jakąś pilną sprawę. W Samborze nie będzie mu tak łatwo się przed nią ukryć.

Zresztą oceniał, że na razie jeszcze ślubna i tak zachowuje się w miarę powściągliwie, jakby nie do końca do niej docierało, że mają się przeprowadzić. Zupełnie jakby pakowała się na wyjazd na kolejne zagraniczne wojaże. Albo w celu przeprowadzki do innego, równie pięknego lokum. Tymczasem w nowym miejscu czekały na nich skromne cztery pokoiki na trzecim piętrze. Na domiar złego mogli sobie pozwolić na tylko jedną służącą. A zatem żonie na pewno przybędzie obowiązków, podczas gdy w ostatnich latach Zuzanna bardzo przywykła do wygod.

Strzelecki żałował, że nie może cofnąć czasu i wymazać części przeszłości. Wówczas przynajmniej żyłby spokojnie i nie brzydziłby się samego siebie. Mógłby sobie spojrzeć w lustrze

w oczy bez poczucia wstrętu. Nie dręczyłyby go wyrzuty sumienia, że tak się sprzeniewierzył.

Owszem, przychodziły momenty, gdy przeklinał Matyldę, która wywęszyła, że ją ograbił. To znowu pomstował pod adresem Teodozji, oceniając, że ona musiała być osobą, która jakimś cudem go wyszpiegowała. Złorzeczył pod adresem Nikodema, który musiał się z czymś zdradzić.

Potem przychodziło opamiętanie. Nie byłoby tego wszystkiego, gdyby nie zniżył się do złodziejstwa. *Jestem skończony* – pomyślał, opróżniając szuflady biurka w swoim gabinecie. Żał mu było rozstawać się z pomieszczeniem, które zasadniczo nie służyło do pracy, ale do tego, by mógł się w nim zamknąć przed żoną i spokojnie wypalić cygaro oraz wysączyć lampkę koniaku. Gabinet był jego twierdzą. Dodawał prestiżu. To w nim Strzelecki przyjmował petentów. *Mężczyzna nieposiadający własnego pomieszczenia jest nikim* – stwierdził.

Biurko było już niemalże opróżnione. Została jeszcze tylko drewniana skrzynka z pistoletami. Nigdy ich nie używał, ale jak każdy szanujący się dżentelmen uważał, że posiadanie takiego cacka to konieczność. Miały mu służyć do samoobrony w sytuacji zagrożenia. Podczas wojennej zawieruchy często do nich zaglądał. Czyścił je, oliwił, sprawdzał, czy ma odpowiedni zapas amunicji. Na szczęście nie musiał z nich skorzystać.

Uchylił wieczko i opuszkami przesunął po zawartości. *Powiniem je spieniężyć* – stwierdził. – *Żaden ze mnie dżentelmen. Złodziejaszek spod ciemnej gwiazdy, niczym nie różnię się od typów, których niegdyś bronilem przed majestatem prawa.*

Ujął w dłonie jeden z pistoletów. Był ciężki i chłodny w dotyku. Strzelecki odciągnął cyngiel. Wymierzył do niewidzialnego

wroga stojącego na tle drzwi. Czasami bawił się w ten sposób, wyobrażając sobie przygody, które nigdy nie miały być jego udziałem – pojedynki, których nie musiał toczyć.

PRZEDŚLUBNY ZAMĘT

Powroźnik

Rodzina Juraszków skończyła spożywać obiad. Pokojówka pozbierała nakrycia ze stołu. Odniosła je do kuchni, a następnie udała się do gabinetu Witalisa z filiżanką kawy oraz gazetą. Pan domu dawno już nabrał zwyczaju popijania naparu tuż po obiedzie i czytania w tym czasie artykułów w prasie codziennej. To była jego chwila na wypoczynek, w której nie należało mu przeszkadzać. Potrzebował wytchnienia po całym dniu spędzonym wśród ogłuszającego huku maszyn. W tym czasie żona zajmowała się zwykle kreśleniem projektów wewnątrz na zamówienie. Ewentualnie rozliczała guwernantkę z pracy.

Mężczyzna rozłożył płachtę „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” na biurku. Przejrzał nagłówki z pierwszej strony. Wciąż najgorętszym tematem była epidemia choroby przypominającej influencę, która dziesiątkowała Kraków, Lwów i inne miejscowości. Tych doniesień Witia miał już szczerze dość. *Strach przed niewidzialnym wrogiem w postaci zatrutego powietrza jest chyba gorszy niż realne zagrożenia* – westchnął. Przeczytał kilka artykułów niezwiązanych z „chorobą bolszewicką”.

Pociągnął łyk kawy. Kiedyś pewnie wybrałby napitek, czyli tradycyjny napój łemkowski. Po ślubie docenił aromatyczną mokkę, uwielbianą przez Matyldę. Właściwie to ukochana nauczyła go pić kawę, chociaż w pierwszych latach małżeństwa traktowali ten napój raczej jako odświeżający. Był zdecydowanie

zbyt drogi, by pijać go ot tak. W tamtym okresie żona usiłowała prowadzić dom dosyć oszczędnie. Początkowo czarny napar w ogóle mu nie smakował. Witia pijał go z cukrem lub ze śmietanką. Z biegiem czasu podniebienie przyzwyczało się do nowego smaku. Teraz Juraszko nie wyobrażał sobie dnia bez wypicia dwóch czy trzech filiżanek.

Mężczyzna kartkował dziennik. Nagle jego uwagę przykuł artykuł o zgonie szanowanego lwowskiego mieszczanina. W pierwszej chwili można było sądzić, że chodzi o jeszcze jedną ofiarę zarazy, wszak o tym pisano najczęściej. Zazwyczaj takie informacje podawano jako wzmianki w rubryce towarzyskiej, ewentualnie w dziale nekrologów. Obszerniejsze artykuły poświęcano przeważnie znanym osobistościom. Tym razem jednak było inaczej. Człowiek, o którym wspomniano, nie był szerzej znany. Sęk w tym, że dla Witalisa był znajomy. Juraszko omal nie zakrztusił się kawą, widząc nazwisko Tytusa Strzeleckiego w połączeniu z informacją o samobójczej śmierci.

O Święta Przeczysta! – jęknął w duchu. – Lepiej, żeby Matylda się o tym nie dowiedziała! Gotowa pomyśleć, że desperat palnął sobie w łeb z powodu jej poczynań.

Można było założyć, że Strzelecki popełnił ten szaleńczy akt na skutek utraty znacznej części majątku. Być może został pozbawiony środków do życia. Na ile dobrze Juraszkowie orientowali się w sytuacji finansowej Strzeleckich, faktoria, której Tytus był współnikiem, nie przynosiła wiele zysków. Utrzymywali się głównie z wynajmu mieszkań w kamienicach. Jedna z nich formalnie należała już do Matyldy. Druga miała zostać lada dzień spieniężona na pozostałą część odszkodowania. *Czyżby ten łotr wpadł w panikę, że nie będzie miał za co się utrzymać?* – zastanowił się Witalis. Przyszło

mu do głowy, że być może trudno było Tytusowi pożegnać się z dotychczasowym poziomem i stylem życia.

Matylda i tak postąpiła wspaniałomyślnie, nie ujawniając prawdy publicznie. Starła się załatwić sprawę jak najdyskretniej. Nie chciała szkodzić powinowatym. Mimo wszystko uważała ich za swoją rodzinę, chociaż nie łączyły jej z nimi więzy krwi. To jej dzieci spokrewnione były z Zuzanną. I być może właśnie przez wzgląd na to żona postanowiła zachować wszystko w tajemnicy.

Czyżby sprawa wyszła jednak na światło dzienne?

A może faktycznie chodziło wyłącznie o utratę majątku?

Tak czy inaczej, Witalisa ogarnęła wielką obawą o to, by żona nie wpadła z tego powodu w poczucie winy. Zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie przed nią zataić niedobrej wieści. Prędzej czy później ślubna usłyszy od kogoś o tym, co zaszło. Może więc lepiej, by sam ją poinformował o śmierci Tytusa?

Poskładał gazetę, wsunął ją pod pachę, a następnie opuścił gabinet.

Żonę zastał w salonie. Siedziała tam wraz z córką oraz przyszłym zięciem.

– Dzień dobry, wuju. – Stanisław zerwał się na widok przyszłego teścia.

Tego dnia nie widzieli się w tartaku, bowiem Litwora jeździł po okolicy, załatwiając różne sprawy, więc wciąż się rozmijali z Witalisem.

– Dzień dobry, Stachu – przywitał się krótko.

Zasady dobrego wychowania nakazywały, aby usiadł wraz z gościem w salonie chociaż na krótką chwilę. Juraszko był jednak zbyt zaferowany, by zawracać sobie głowę drobiazgami natury towarzyskiej.

– Pozwól, Matyldo – zwrócił się do ślubnej. – Muszę z tobą o czymś pilnie pomówić.

Juraszkowa wstała, zmarszczyła gniewnie brwi, lecz przeprosiła gościa i wyszła wraz z Witalisem. To był jeden z tych momentów, kiedy w jej odczuciu z męża wychodziło chłopskie pochodzenie.

– Czy stało się coś istotnego, Witalisie, że uczyniłeś afront Stachowi? – zapytała surowym tonem. – Rozumiem, że na co dzień widujecie się w tartaku, gdzie nie bawicie się w grzeczności, ale na gruncie prywatnym pewne formy wypadła zachowywać.

Mąż sprawiał wrażenie rozkojarzonego i nie zwrócił uwagi na gniewne nuty rozbrzmiewające w głosie kobiety.

– Lepiej usiądź, moja droga. – Wskazał fotel w swoim kantorku. – Myślę, że musisz się o czymś dowiedzieć.

Przez moment zastanawiał się, czy powinien sam jej o tym powiedzieć, czy po prostu pokazać artykuł w prasie. Ostatecznie jednak rozłożył gazetę, lecz zanim wskazał artykuł, wspomniał, w czym rzecz.

– Ale jak to: nie żyje?! – wykrzyknęła zdenerwowana kobieta.

Zerknęła na notatkę prasową. Musiała się upewnić, że mąż się nie pomylił i mówi o tej samej osobie, którą ona ma na myśli. W pierwszej chwili stwierdziła, że to pewnie jakieś nieporozumienie. Niestety, krótki artykuł nie budził wątpliwości. Tytus Strzelecki targnął się na życie. Strzelił sobie w głowę z pistoletu w gabinecie własnego mieszkania. Przyczyny jego postępowania na razie nie były znane. Domniemywano jednak, że chodzi o bankructwo, bowiem Strzelecki do niedawna poszukiwał kupca na kamienicę. Chociaż usiłował załatwić sprawę dyskretnie, wieści i tak rozeszły się wśród znajomych. Wiele osób było w ogóle

zdziwionych faktem posiadania przez niego budynku. Dziennikarz wspomniał także o factorii, która przynosiła mierne przychody. Wspólnik Strzeleckiego wręcz przebąkiwał o kilkakrotnym dopłacaniu do interesu.

– O mój Boże! – jęknęła Juraszkowa. – To wszystko przeze mnie!

– Nawet o tym nie myśl, duszko. To diabeł omamił twojego szwagra. Widać Strzelecki był człowiekiem mało odpornym na pokusy. Najpierw nie wzdragał się przed tym, by cię okraść, a teraz oddał duszę szatanowi. Przyzwoici ludzie tak nie postępują.

– Ale ja mam wrażenie, że to z mojej winy. Pchnęłam Tytusa do tego czynu, pozbawiając go znacznej części majątku.

– Mylisz się, moja droga. Nie pozbawiłaś go niczego, po prostu odebrałaś to, co ci się należało. Przecież to on cię okradł! Nie pamiętasz już, w jak przykrej sytuacji znalazłaś się po śmierci męża? Sama nieraz mówiłaś, że gdyby nie pomocna dłoń Aurelii, byłoby z tobą krucho.

Ramionami Matyldy wstrząsnął szloch.

– Ależ Witalisie, nie byłoby tego, gdybym nie upomniała się o swoje. Przecież nam niczego do szczęścia nie brakowało. Sęk w tym, że po prostu chciałam odzyskać to, co należało się moim dzieciom, abym mogła zapewnić dobre posagi dziewczynkom. Pragnęłam także opłacić w przyszłości studia Mateuszkowi i Michałowi.

– Nie płacz, jedyna. – Witalis ukucnął przed ślubną i objął ją w tali. – W moim odczuciu nie masz sobie nic do zarzucenia. Prawo stało po twojej stronie. Zaoszczędziłaś Strzeleckiemu wielu upokorzeń i wstydu, załatwiając sprawę dyskretnie. Palnął sobie w łeb, bo był słabym człowiekiem. A może po prostu nie mógł unieść ciężaru poczucia winy? Zdał sobie

sprawę z tego, jakim był łajdakiem, ograbiając cię ze schedy po Sewerynie.

– Wątpię w to ostatnie. Gdyby chodziło o wyrzuty sumienia spowodowane kradzieżą, dawno by to zrobił, a nie teraz, kiedy wykryłam oszustwo. Biedna Zuzanna... – jęknęła Juraszkowa. – Nawet nie próbuję sobie wyobrazić, jak ona musiała to wszystko strasznie przeżyć. Taki skandal! Nie dość, że została sama ze splamionym nazwiskiem, to jeszcze być może nawet bez grosza na utrzymanie. Może po prostu żądałam zbyt wiele? Może prawnik i buchalter pomylili się w obliczeniach? Powinnam była zadowolnić się samą kamienicą i nie oczekiwać żadnych dodatkowych środków.

Witalis delikatnie potrząsnął ślubną.

– Ochłoń, Matysiu. Nie ponosisz za to odpowiedzialności!

Nagle z korytarza dobiegł hałas. Matylda zdążyła odsunąć się od Witalisa, nim w drzwiach gabinetu stanęła Aurelia. Drzewicka-Rapacz miała bardzo poważny wyraz twarzy.

– Och, Matyldo! – wykrzyknęła na widok zapłakanej przyjaciółki. – Zatem wiesz już o wszystkim?

Przypadła do niej i mocno ją przytuliła. Ponad ramieniem przyjaciółki spojrzała na przybranego brata. Ten pokiwał do niej głową, jakby chciał podziękować.

– Dobrze cię widzieć, Alenko. Przybyłaś w samą porę. Mam nadzieję, że przemówisz tej nieszczęśnicy do rozsądku. Matylda obwinia się o śmierć Tytusa.

Krynica

– Wiesz, Aurelio, może powinniśmy przełożyć ślub Konstancji i Stanisława? Okoliczności są doprawdy niesprzyjające. Bo nie dość, że szaleje zaraza, wciąż zbierając krwawe żniwo, to jeszcze ten niefortunny czyn Tytusa! Jakkolwiek na to patrzeć, Strzelecki był moim szwagrem. Przez kilka lat

miałam z nim do czynienia niemalże na co dzień. Chyba powinnam uszanować jego niespodziewaną śmierć – oznajmiła Juraszkowa kilka dni później przyjaciółce, gdy spotkały się w foyer Teatru Modrzewiowego, gdzie Aurelia miała brać udział w spektaklu amatorskim.

Po wojnie działalność Teatru Amatorskiego ruszyła pełną parą. Po latach stagnacji wskrzesił go Roman Nitribitt⁴, syn znanego aptekarza Henryka, który z miejsca zaangażował w występy swą niestrudzoną matkę Stanisławę, słynącą z upodobania do sztuki i papierosów. A później sprawy nabrały tempa, dzięki czemu nikt nie narzekał na nudę czy brak rozrywek.

– Akt desperacji – poprawiła przyjaciółkę Aurelia. – Nawet o tym nie myśl, kochana! Młodzi czekali na siebie wystarczająco długo. Przecież na drodze do szczęścia stanęła im wojna. Gdyby nie to, być może znacznie wcześniej zdecydowaliby się na zawarcie małżeństwa. Odnosiłam wrażenie, że mają się ku sobie już wtedy, gdy Kotusia debiutowała towarzysko. Weź poprawkę na to, że twoja córka liczy dwadzieścia cztery wiosny. To odpowiednia pora na zakładanie rodziny. Zwłaszcza gdyby małżonkowie, podobnie jak ty czy ja, musieli poczekać nieco dłużej na pojawienie się pierwszego dziecięcia – wspomniała o problemie, który przed laty dręczył obydwie przyjaciółki.

– Może masz rację? Chociaż właściwie nie wiadomo, co było tego powodem, że żadna z nas nie powiła maleństwa tuż po ślubie. Może chodziło o te okropne gorsety, które nie dawały nam oddychać? Niby wyglądałyśmy w nich piękniej niż dzisiejsze rozluźnione modnisię, ale wiązały się ze znacznymi ograniczeniami – przyznała Juraszkowa, która wzorem przyjaciółki oraz innych postępowych dam zrezygnowała z niewygodnego elementu bielizny. – Mniejsza o to. Nie chodzi

mi o odkładanie ślubu o cały rok, lecz chociaż o symboliczne kilka miesięcy. Wypada, abym jakoś wyraziła żalobę po śmierci Tytusa.

– Kochana, wybacz to, co teraz powiem, lecz uważam, że bredzisz niczym ogarnięta maligną. Gotowa byłabym nawet sprawdzić, czy nie masz gorączki wywołanej influencą – zirytowała się Aurelia. – Niechlubny czyn Strzeleckiego nie powinien rzutować na plany matrymonialne młodych. Wszak od wielu lat nie utrzymujemy żadnych stosunków towarzyskich z tą rodziną, na ich ewidentne życzenie, *de facto*. Cokolwiek wydarzyło się we Lwowie, należy przejść nad tym do porządku dziennego. Nie pozwól, by nasze dzieci ponosiły konsekwencje wybryku człowieka, z którym niewiele ich łączyło.

– Och... Tobie łatwo mówić. Znałaś Strzeleckich krócej i bardziej powierzchownie niż ja. Nie byłaś z nimi związana emocjonalnie, a przynajmniej nie aż tak silnie. – Matylda jeszcze próbowała bronić swej racji.

– Może właśnie to pozwala mi spoglądać na wszystko z większym dystansem. W moich oczach Strzeleccy są niegodziwcami niezasługującymi na żadne względy. I chociaż to nie moja sprawa, uważam, że nie powinnaś darować Zuzannie reszty należnego ci zadośćuczynienia. Na twoim miejscu wyz byłabym się skrupułów, ponieważ zostałaś najzwyczajniej w świecie obrabowana.

Matylda zdusiła parsknięcie.

– Mówisz jak nie ty. Nigdy nie byłaś zawzięta, nie zabiegałaś także o żadne korzyści materialne – zauważyła.

– Nie mówimy teraz o mnie, lecz o tobie – przypomniała Aurelia. – Może już taka moja natura, że bardziej interesuje mnie dobro cudze niż własne? A może po prostu uważam, że każdy niecny czyn winien zostać odpowiednio ukarany?

– Pff – fuknęła Juraszkowa, dla której nawet te słowa w ustach przyjaciółki stanowiły znaczące przekłamanie. Aurelia w jej oczach była uosobieniem łagodności.

– Zrobisz, jak będziesz uważała za słuszne. – Drzewicka-Rapacz machnęła ręką na decyzję Juraszkowej. Wszak chodziło o majątek Matyldy, która miała pełne prawo do tego, by nim dysponować.

– Okażę wspaniałomyślność. Zuzanna znalazła się w niewesołym położeniu.

Matylda i tak była usatysfakcjonowana, ponieważ przejęcie kamienicy przy ulicy Łyczakowskiej znacząco poprawiło sytuację finansową rodziny. Mogła sobie pozwolić na to, by wypłacić Konstancji większy posag, niż zaplanowała początkowo. Równie hojnie zamierzała wyposażyć młodsze córki – dorosłe już panienki na wydaniu, których debiut towarzyski znacznie się opóźniał głównie z uwagi na wcześniejsze trudności finansowe, a potem na weselny rozgardiasz. Dla Mateusza mogła ze spokojnym sumieniem przeznaczyć kamienicę zlokalizowaną w Krakowie przy Małym Rynku. Michał w przyszłości znajdzie zapewne pracę w tartaku.

– Jeśli liczysz na wdzięczność Zuzanny, moja droga, możesz się przeliczyć – stwierdziła Aurelia, choć zwykle była osobą łagodzącą konflikty i usprawiedliwiającą niecne postępowanie innych osób. Tym razem jednak wyjątkowo surowo osądzała Strzeleckich.

– Nie, absolutnie nie liczę na jej wdzięczność. Właściwie nie chcę mieć już z nią nic do czynienia. Doszłam jednak do wniosku, że tak będzie przyzwoicie. Nie mogę tej kobiety pozbawiać środków do życia. A informacje zgromadzone przez mojego człowieka wskazują, że to był główny powód desperackiego aktu Tytusa. Strzelecki bał się ruiny i mimo

że był grubo po sześćdziesiątce, wystarał się o etat sekretarza. Sekretarza! Uwierzysz? – zaakcentowała mocno stanowisko, na jakim szwagier miał podjąć pracę. – Znam Zuzannę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że musiała mu wciąż robić awantury zarówno z powodu problemów finansowych, jak i skandalu, który mógłby wybuchnąć, gdyby sprawa kradzieży wyszła na jaw. Dla kogoś takiego jak ona radykalne obniżenie poziomu życia musi być dotkliwym ciosem. Z plotek, jakie docierały do nas ze Lwowa, wiedziałam, że w minionych dwóch dekadach brylowała w towarzystwie. Wydawała huczne przyjęcia, bywała na balach oraz w teatrach, dużo podróżowała. Wyposażyła także dość hojnie swoich synów. A przecież w Krakowie nie żyła aż tak rozrzutnie! Już samo to dawało mi do myślenia, ale nie miałam pojęcia, że posiada dwie kamienice, które przynoszą niebagatelne dochody. I że właśnie z tych przychodów Zuzia finansuje wszystkie swoje zachcianki. Niech więc zachowa mniejszy i nie tak reprezentacyjny budynek. Przynajmniej nędza nie zajrzy jej w oczy. A mnie może kiedyś dobry Bóg policzy to na sądzie ostatecznym? Może choć tak zadośćuczynię jej krzywdzie?

– Jakiej krzywdzie? O czym ty mówisz? Matyldo! – Aurelia załamała ręce. – Jeśli wciąż chodzi ci po głowie myśl, że Tytus targnął się na życie z twojego powodu, to przestań się w końcu obwiniać! Skup lepiej uwagę na weselu. Wszak nie codziennie wydaje się pierworodną córkę za męża. I to jeszcze za kogo? Za wychowanka najlepszej przyjaciółki! – zakończyła radośnie. Liczyła na to, że odwróci uwagę Juraszkowej od ponurych rozmyślań. – Och! Czas na mnie. Muszę biec do garderoby, by przebrać się w kostium.

– W takim razie ja idę poszukać Witalisa. Znając go, ćmi cygaro w towarzystwie twojego męża. Zaraz ich pousadzam

na widowni. – Zachichotała.

Powroźnik

Wisława i Izabela wróciły do Powroźnika z pensji, gdy w domu panował chaos ostatnich weselnych przygotowań. Początkowo przyjęcie miało być znacznie skromniejsze, lecz z chwilą gdy Matylda otrzymała pierwsze profity z odzyskanego majątku, postanowiła uczcić zamążpójście pierworodnej córki z większym rozmachem. Podniosła także kwotę posagu, który młoda dama miała wnieść do majątku małżeńskiego.

Dziewczęta, rozświergotane niczym ptaki, narobiły w domu jeszcze większego zamieszania. Wisława od razu zaczęła się upominać o nowe sukienki i pantofle, aby mogła zadawać szyku. Iza, znacznie od niej powściągliwsza, zamiast oczekiwać prezentów dla siebie, rzuciła się do pomocy w kompletowaniu wyprawy.

– Nie bądź taka roszczeniowa – łajala siostrę. – To Kotusia wychodzi za mąż, nie ty. Ona potrzebuje ładnych strojów i kapelusików, by się podobać Stachowi.

– Phi! Stachowi bardziej przypadną do gustu te wszystkie frymuśne dessous. Albo to, co pod nimi – zachichotała.

– No wiesz? – prychnęła oburzona bliźniaczka. – O tym się na głos nie mówi! – pouczyła ją niczym echo własnej matki, płoniąc się przy tym niepomierne.

Wszak wychowywano je w czystości i kulcie wszelkich cnót, z niewinnością na czele. A Wiśka, która od małości zapowiadała się na niezłe ziółko, zdawała się przeczyć wszystkim zasadom moralnym, z ogromnym zapalem tłoczonym w ich głowy przez matkę oraz guwernantkę, pannę Hilarię, zwaną przez Wisławę Hildą, Świętoszkowatą Hildą czy nawet Brunhildą.

Dziewczęta toczyły pogawędkę w ogrodzie. Izabela pochylona była nad kanwą. Obok niej leżała cała sterta serwetek, na których pracowicie wyszywała monogramy Konstancji. Wisia natomiast siedziała na wiklinowym fotelu, z nogą założoną na nogę, za co matka wciąż ją karciała, tłumacząc, że pannie tak nie przystoi. Obok na stoliku porzuciła tomik poezji, której lektura znużyła ją zdecydowanie zbyt szybko.

– No jak ci idzie, Izabelo? – zaskoczyła je nagle Matylda, która podeszła tak cicho, że nie usłyszały jej kroków. – Skończysz dzisiaj?

– Powinnam się z tym uwinąć.

– Ach to dobrze, dobrze. Za godzinę jedziemy do Krynicy na przymiarki – przypomniała córkom, uszczęśliwiona, że w końcu ją stać na to, by sprawić sobie oraz dziewczętom nowe stroje, i nie musi nicować bądź przerabiać przechodzonych sukni. Czas wojenny był bowiem dla niej niełatwy. Dopiero niedawno wszystko jakoś ruszyło z miejsca, ponieważ Witalis zaczął lepiej zarabiać, a ona zyskała porządny przychód z lwowskiej kamienicy. Dodatkowo otrzymała intratne zlecenie na zaprojektowanie wnętrza kolejnego pensjonatu budowanego w uzdrowisku. Koło fortuny odwróciło się więc dla Juraszków. – A ty co tak siedzisz beczynnie? – zagadnęła Wisławę. – Pomogłabyś siostrze.

– Kiedy mnie literki krzywo wychodzą. Mogłabym zniszczyć serwetki Kotusi – bąknęła pannica.

– Och! Zajmij się więc czymś pożyteczniejszym. A w ogóle wyprostuj się i nie zakładaj nogi na nogę – obsztorcowała córkę. – Tak się nie godzi panience na wydaniu. Od opierania się w ten sposób będziesz miała garbate plecy. Że też gorsety wyszły z mody – westchnęła. – Wbrew pozorom bywały przydatne, ponieważ wymuszały ładną postawę u dziewcząt.

– Ależ mammo! Kiedy mnie tak wygodnie – jęknęła pannica, prostując się jednak.

– Piękna sylwetka jest ważniejsza od wygod. Jak chcesz zrobić dobrą partię, musisz mieć nienaganne maniery i dobrą prezencję.

– A na co mi dobra partia? Może w ogóle nie wyjdę za mąż?

– Bzdury wygadujesz. Chcesz zostać starą panną?

– Czemu nie? Przynajmniej dla mnie nikt nie będzie musiał w upalny dzień ślęczeć nad haftowaniem serwetek. Zresztą Teosia nie ma męża i żyje!

– Też sobie obrałaś przykład – prychnęła matka. Potem przewróciła oczami i westchnęła. – Za jakie grzechy los pokarał mnie takim rarogiem?

– Ale co złego jest w tym, by kobieta miała zawód, zarabiała pieniądze na swoje utrzymanie i była niezależną od jakiegokolwiek mężczyzny?

– Teodozja skazała samą siebie na osamotnienie. Może i dobra taka niezależność, póki jest się młodą, ale przyjdzie czas, gdy pożałuje, że nie ma męża i dzieci. Kto jej osłodzi życie na stare lata?

– Ach, mateczko. Spójrz lepiej na siebie. Masz w nas tak dużo osłody, że panna Lodzia będzie musiała popuścić zaszewki w twej sukni – skwitowała przekornie córka. – No... Matulu, nie frasuj się moją przyszłością. Zapewniam cię, że nie dam sobie w kaszę dmuchać. Pójdę na studia razem z Mateuszkiem. Chcemy się uczyć dziennikarstwa. Przy odrobinie szczęścia może dostanę pracę w „Ikacu” i wraz z panią Zofią Ordyńską⁵ będę opisywała bale i toalety dam w rubryce towarzyskiej? Ta od Hersego, ta od Diora, tę zaprojektowała młodziutka, ale bardzo obiecująca Coco Chanel... – paplała. – Tylko wprowadź nas już, mateczko, na salony, bo na razie zanosimy się

na kandydatki do staropanieństwa. Ze mną pół biedy, mnie się nie chce wydawać za męża. Ale biedna Izunia zwiędłaby ze swymi dziewiczymi cnotami. – Zachichotała. – Ona w sam raz nadaje się na przykładną panią domu.

– Wiśka! – zaprotestowała oburzona siostra, czerwieniejąc na twarzy.

Matylda z przygnębieniem pomyślała o starych, dobrych przedwojennych czasach, gdy młodzieży zdecydowanie mniej uchodziło na sucho, a panny bardziej dbały o dobre zamążpójście. *Zdaje się, że nasza emancypacja podążyła w złym kierunku* – stwierdziła. – *Świat staje do góry nogami.*

Mimo że pomiędzy Wisławą a Konstancją była zaledwie pięcioletnia różnica wieku, Matylda odnosiła wrażenie, że córki dzieli przepaść. Wisława była ewidentnie wytworem nowych, powojennych czasów. Ze śmiałością wypowiadała myśli, wtrącała się w rozmowy prowadzone przez mężczyzn i za nic miała konwenanse. Konstancja była potulna, a matczyne słowo traktowała jak wyrocznię, z którą nie ma dyskusji. Zawsze najpierw myślała, potem mówiła i w ogóle liczyła się z opinią innych.

A Izabela?

Izabela czasami sprawiała wrażenie nieobecnej na łonie rodziny. Cichutka niczym myszka, wycofana. Nikomu nie mąciła wody. Skora do pomagania innym, nigdy nie stawiała siebie na pierwszym miejscu. Żyła obok bliźniaczki niczym cień, bliska, lecz niezauważalna. Jakby Wisia jeszcze w łonie Matyldy wyssała z niej całą rezolucję. Wiśka miała wszystkiego w nadmiarze: włosów, kanciastości w ruchach, ciętego języka. Izabela sprawiała wrażenie osóбки zadowolającej się po prostu resztkami, których matka natura nie wykorzystwała do ulepiania jej siostry.

Kilka dni przed ślubem Matylda uznała, że powinna przypomnieć Konstancji rozmowę, którą przeprowadziła z nią już jakiś czas temu, uświadamiającą, na czym polega małżeństwo. Pierwszą taką pogawędkę odbyła z córką krótko po tym, jak panna debiutowała towarzysko. Wtedy chciała jej uprzytomnić, do czego w rzeczywistości sprowadza się poszukiwanie męża. Teraz mówiła głównie o tym, że związek to nie tylko przyjemności, ale przede wszystkim obowiązki, niekoniecznie miłe dla kobiety, bowiem nie każda dama znajduje szczęście u boku mężczyzny.

– Bywa tak, że ten wyśniony ksiązę z bajki okazuje się kimś zupełnie innym, niż wydawać się mogło przed ślubem.

– Ależ mammo! – jęknęła zażenowana młoda dama. – Przecież rozmawialiśmy na ten temat. Wszystko mi opowiedziałaś.

– Pamiętam, ale wolę się upewnić, że zrozumiałaś należycie moje słowa. Zdajesz sobie chyba sprawę z tego, że małżeńskie powinności trzeba po prostu wypełniać, czy ci się to podoba czy nie. Owszem, niekiedy można stosować jakieś wymówki, ale nie wolno korzystać z nich zbyt często, żeby nie zdenerwować małżonka. Mężczyźni bardzo nie lubią, gdy im się odmawia – tłumaczyła.

Córka spojrzała na nią, jakby mowa była o czymś zupełnie niedorzecznym.

– Mammo, przecież ja kocham Stanisława. Ufam, że wszystko między nami będzie się dobrze układało.

– Wiem, kotusiu, ale wyobrażenia nie zawsze się pokrywają z rzeczywistością. Ba! Czasami bywają od nich bardzo odległe. Życie z mężczyzną rządzi się swoimi prawami. Stach niekoniecznie może się okazać w codziennym pożyciu taki, jak byś sobie tego życzyła. Panowie bywają dziwni i miewają w sypialnianym zaciszu zaskakujące pomysły – powiedziała

dość oględnie. – Niekiedy wysuwają takie oczekiwania, że zastanawiasz się, czy podążasz ich wypełnianiu. Ale nawet jeżeli masz jakieś wątpliwości, nie możesz odmawiać. Taka już jest dola kobiet, musimy godzić się na wiele rzeczy, które nie zawsze są dla nas komfortowe.

– Nigdy nie zauważyłam, abyś ty miała jakieś problemy z moim ojczymem.

– Sekrety alkowy zawsze powinny pozostawać w alkowie – ucięła krótko matka. – Wyszłam za mąż z miłości i cieszymy się, że również tobie będzie to dane. Nie musiałaś przy wyborze narzeczonego kierować się wyłącznie głosem rozsądku, tak jak chciała swego czasu zrobić Teodozja. Na szczęście w porę się opamiętała, bo wkładanie małżeńskich kajdan na siłę prowadzi czasami donikąd, choć może ona nie jest najlepszym przykładem, gdyż w rezultacie została starą panną.

– Mówisz tak, jakby małżeństwo wymagało od kobiety nie wiadomo jakich wyrzeczeń – zauważyła córka.

– Ponieważ bardzo często tak bywa. Zdarza się, że musimy rezygnować z własnych pragnień, marzeń i dążeń po to, by podporządkować się woli męża. Ale to jeszcze nie wszystko. Tak naprawdę najważniejsze jest w tym pożycie i obyś miała tyle szczęścia co ja. Wiem, że niektórzy panowie domagają się swoich praw bez względu na chęci żony, nie przyjmują do wiadomości żadnego bólu głowy ani innych wymówek. To prawda, że żyjemy w czasach niezwykłego postępu. Świat się zmienia. Panie zyskały prawa wyborcze. Niby zapanowało równouprawnienie, ale mimo to w kwestiach małżeńskich nadal musimy pozostawać posłuszne mężczyznom. Przyjmij więc do wiadomości, moja droga Konstancjo, że wbrew obiegowym opiniom instytucja małżeństwa stworzona została przede wszystkim dla mężczyzn oraz ich wygody. Tak

naprawdę kobiety, wychodząc za mąż, rezygnują z niezależności, zyskując w zamian stabilizację, poczucie bezpieczeństwa oraz stałą obecność człowieka, który będzie dbał o ich potrzeby materialne.

Konstancja zżymała się w duchu, bowiem matka wciąż mówiła tylko o obowiązkach, odpowiedzialności, wyrzeczeniach i o posłuszeństwie wobec mężczyzny, ale właściwie nie zdradziła wielu szczegółów dotyczących sekretów alkowy. O samym akcie współżycia mówiła tak bardzo ogólnikowo, że niewiele z tego można było wywnioskować. Widać było także, że jest ogromnie zażenowana.

Od porządnych dziewcząt wymagano niewinności. Nie mogły być wyuzdane. Panna powinna być czysta niczym lilia. Zainteresowanie cielesnością było ciężką przewiną. Jakikolwiek dotyk czy pocałunek stanowił grzech. Nawet narzeczeni musieli zachowywać się powściągliwie i zasadniczo do dnia ślubu kawaler nie powinien znać smaku ust narzeczonej. Matylda wpajała to swym córkom przez całe życie. Konstancja, posłuszna woli matki, nie pozwoliła Stachowi absolutnie na nic, co uchodziło za zachowania nieakceptowane.

Teraz, niemalże z dnia na dzień, czekało ją zanurzenie się w świat małżeństwa i robienie wszystkich tych rzeczy, o których nikt nigdy nie chciał mówić na głos. Czy można było przygotować się na to w odpowiedni sposób?

Konstancja ufała, że mimo braku doświadczenia poradzi sobie z czekającymi ją wyzwaniem, choć nie bardzo pojmowała, jak zdoła z dnia na dzień przedzierzgnąć się z niewinnej panny w kobietę ulegającą męskim żądom. Wszak wymagano od niej prawdziwej rewolucji w sposobie myślenia!

Czasami, gdy była sama w towarzystwie przyjaciółek, szeptały sobie to i owo na ten temat, tak by fragmenty ich pogaduszek

nie doleciały do uszu żadnej szacownej matrony, ale te rozmowy były bardziej domysłami niż stwierdzeniem jakichkolwiek faktów. Niewiele dziewcząt potrafiło powiedzieć cokolwiek więcej o szczegółach anatomicznych i fizjologicznych. Panny próbowały sobie wyobrazić, jak to jest być oblubienicą. Sam akt połączenia się z mężem traktowały jako coś bardzo romantycznego. Każda żywiła nadzieję, że chwila ta pełna będzie cudownych uniesień, chociaż matki zazwyczaj straszyły, że w pierwszych małżeńskich momentach może być niezbyt miło.

Ale czyż matki nie straszyły regularnie swych córek przed pożyciem właśnie po to, by utrzymać je w ryzach i dopilnować, aby każda z nich zachowała niewinność aż do chwili, gdy stanie na ślubnym kobiercu?

Tymczasem wszystkie romanse opisywały miłość jako coś wspaniałego, wzniosłego, pełnego emocji. Każda dziewczyna chciała wyjść za mąż. Zgodnie uważano, że staropanieństwo jest czymś uwłaczającym i że zdecydowanie lepiej jest mieć męża niż być samotną. Czyż miliony kobiet pchałoby się w paszczę lwa, wiedząc, że małżeństwo może sprawić jakąkolwiek przykrość?

To mężatki nosiły piękne suknie, obsypywane były przez mężów klejnotami i cieszyły się wieloma przywilejami niedostępnymi dla panien. Musiały więc być szczęśliwe!

Być może w noc poślubną w każdej alkowie pojawiała się jakaś niewidzialna dobra wróżka, która machnięciem czarodziejskiej różdżki dokonywała mentalnej przemiany niewinnej panny w kobietę i pomagała gładko przebrnąć inicjację.

Chociaż Konstancja odnosiła wrażenie, że jej wiedza na temat małżeństwa jest dość wybiórcza, nie bała się momentu, gdy

połączy się na zawsze ze Stanisławem. Ufała, że podoła nowym obowiązkom, a miłość okaże się samą słodyczą.

I tylko jedna myśl nie dawała jej spokoju: jakże zdoła rozebrać się do naga przy mężczyźnie, skoro nawet przed służką wstydziła się to robić i od dawna sama sobie radziła z kąpielą?

Na szczęście matka, wspominając dość oględnie o tych najbardziej krępujących sprawach, napomknęła, że nie każdy mąż wymaga od swej żony aż takich poświęceń i podobno niektórzy panowie radzą sobie w sypialnianym zaciszu nawet wówczas, gdy żona ma na sobie koszulę nocną.

Przekonam Staszka, że tak być powinno – stwierdziła z optymizmem.

Przecież się kochali, on na pewno nie zrobi nic, co sprawiłoby jej przykrość.

Józef Trelewicz czuł się wyjątkowo niekomfortowo, gdy okazało się, że podczas ślubu Konstancji ze Stanisławem stoi w pierwszej parze družbów wraz Litworzanką. Mimo upływu lat do tej pory nie wywietrzył mu z głowy afekt do tej panny, lecz tak jak umysł wypełniały wspomnienia wspólnych tańców, kuligów i innych przyjemności, tak serce przepełnione było bólem i wciąż tkwiła w nim ostra drzazga. Nie był w stanie zapomnieć, że przyłapał ją na schadzce z Orzechowskim.

Z jednej strony zazdrościł młodej parze, iż mogą sobie ślubować miłość po wsze czasy. Z drugiej gratulował w duchu samemu sobie, że nie spieszył się z wystąpieniem jako oficjalny absztyfikant Teodozji, ponieważ tylko by się zbłąźnił. Zapewne i tak nie zostałyby przyjęty, lecz gdyby jakimś cudem zyskał aprobatę, dzisiaj miałby rogi.

Nie, nie przyjęłaby mnie – pomyślał, gdy ich wzrok przypadkowo się zetknął. W spojrzeniu Teodozji nie było ani

odrobiny ciepła, zachęty czy w ogóle ludzkich uczuć. Jej oczy sprawiały wrażenie zimnych niczym stal.

PROBLEMY MAŁŻEŃSKIE

Lwów

Chociaż desperacki czyn Tytusa pociągnął za sobą lawinę plotek, Zuzanna kategorycznie odmawiała opuszczenia Lwowa. Tutaj miała znajomych oraz rodzinę. Należała do elit lokalnej społeczności. Zdawała się nie rozumieć, że jej pozycja towarzyska przepadła. Kiedy prawnik po śmierci Tytusa poinformował ją, że Matylda zrezygnowała z pozostałej części odszkodowania, pomyślała, że może warto byłoby zachować kamienicę przy ulicy Kochanowskiego i tam pozostać. Okazało się jednak, że jest już na to za późno, ponieważ mąż sfinalizował transakcję sprzedaży. Co więcej, Nikodem, który wcześniej wspominał, że nie wyjedzie ze Lwowa, czym prędzej załatwił sobie pracę w Samborze, gdzie Tytus tuż przed samobójczą śmiercią nabył mieszkanie.

Kobieta roniła gorzkie łzy, przeprowadzając się do nowego miejsca. Po latach życia w dużym mieście skazana została na prowincjonalną miścinę. Syn jednak nieustannie tłumaczył, że jest to konieczne.

Nikodem miał swoje powody, dla których desperacko pragnął opuścić Lwów. Wiedział, że w mieście znowu przebywa Teodozja. Litworzanka pracowała w tym samym szpitalu, w którym zatrudniona była przed wojną. Zdążył się zorientować w tej kwestii, ponieważ pozwolił sobie na to, by przez jakiś czas dyskretnie szpiegować dziewczynę. Nie robił tego bez powodu. Ta panna po prostu bardzo mu się podobała.

Właściwie wpadła mu w oko już podczas balu w Krakowie. Wtedy poprosił ją do tańca właśnie dlatego, że uznał ją za atrakcyjną. Niestety, gdy połapał się, z kim ma do czynienia, musiał odpuścić.

Gdy kilka lat później spotkał ją ponownie we Lwowie, doznał tego samego zauroczenia. Może nawet z większą mocą, ponieważ Teodozja urzekła go swoją determinacją w dążeniu do celu. Uznał wówczas, że jest nie tylko śliczną dziewczyną, ale również bardzo rozumną i z całą pewnością ma w głowie więcej niż niejedna pusta trzpiotka, która pragnie jedynie wydać się dobrze za męża. Byłby może próbował się do niej zalecać, lecz wiedział, że to całkowicie niemożliwe. Kiedy napomknął ojcu o spotkaniu z Teodozją, ten, uświadomiwszy sobie, kto zacz, omal nie dostał ataku apopleksji. Całkowicie zakazał Nikodemowi utrzymywania jakichkolwiek stosunków towarzyskich z Litworzanką. Poleciał mu jedynie, by wybadał, co dziewczyna wie na temat spraw rodzinnych i skąd wzięła się w mieście. Zabronił natomiast jakiegokolwiek spoufalania się z tą pannicą. Nikodem, choć był dojrzałym mężczyzną i właściwie już dawno powinien był założyć rodzinę, pozostał posłuszny woli ojca, jednak niepokorne serce drgało, ilekroć przez przypadek ją zobaczył. Szpital, w którym pracowała, znajdował się dość blisko ich kamienicy. Siłą rzeczy mężczyzna niejedną raz przypadkiem się na nią natknął. Albo raczej zdołał dostrzec ją z daleka i uniknąć spotkania bezpośredniego.

Mimo upływu czasu wciąż go fascynowała. Po wojnie wróciła do Lwowa – zdążył ją kilkakrotnie wypatrzeć na ulicy. Spacerowała zawsze w tych samych miejscach i właściwie prowadziła bardzo schematyczny tryb życia, więc łatwo było ją wysledzić.

Nikodem, choć zawsze ślepo słuchał swego ojca, teraz nie mógł się pogodzić z tym, co Tytus zrobił przed laty. Wręcz był wściekły na rodziciela, że ograbił Matyldę z majątku. To bowiem skazało Strzeleckich na wygnanie do Lwowa, a Nikodemowi całkowicie udaremniło snucie planów matrymonialnych z Teodozją w roli głównej. Nie mógłby się do niej zalecać nawet teraz, gdy ojciec nie żył, ponieważ w oczach tej dziewczyny na pewno był skompromitowany jako syn pospolitego złodzieja. A może niepospolitego? Wszak kradzież, której dokonał ojciec, wymagała znacznej zręczności. Niemniej jednak fakt pozostawał faktem i nie dało się rzeczy inaczej nazwać.

Nikodem zżymał się w duchu, że nie może wydać sercu polecenia, aby odmieniło obiekt swych uczuć. Przecież nie znał Litworzanki wystarczająco dobrze, by tak mocno mogła go ugodzić strzała Amora. Spotkali się przelotnie i niewiele ze sobą rozmawiali, a jednak pannica skutecznie wypełniała jego myśli i umysł. Zachodził w głowę, co takiego ma w sobie ta zadziwiająca osóbką, że przykuła jego uwagę.

Może gdyby nie był skompromitowany, wszystko ułożyłoby się inaczej? Zresztą nawet jeśliby sprawa oszustwa popełnionego przez ojca nie wyszła na jaw, i tak nie mógłby się związać z tą dziewczyną, ponieważ zawsze istniałoby ryzyko, że rzecz się wyda. Ojciec i matka nie bez powodu nie utrzymywali absolutnie żadnych relacji z Matyldą, Aurelią oraz ich bliskimi. Z wolą rodziców nie wolno mu było dyskutować, nawet jeśli się z nią w ogóle nie zgadzał. Dlatego też, chociaż początkowo myślał o pozostaniu we Lwowie, postanowił jednak przeprowadzić się do Sambora wraz z rodzicami.

Chciał umknąć przed Teodozją, by w przyszłości uniknąć przypadkowych spotkań. Obawiał się, że w którymś momencie

to właśnie kobieta dojrzy go pierwsza i on wówczas nie zdąży zrobić żadnego uniku. Będzie musiał stanąć z nią twarzą w twarz i spojrzeć jej w oczy. Zapadłby się chyba wtedy pod ziemię ze wstydu. Bez tego ciężko mu było dźwigać plamę na honorze, choć nie on ten honor splamił.

Nie ma nic gorszego niż ponoszenie odpowiedzialności za winy rodziców – zachnął się w duchu.

Kiedy Tytus palnął sobie w łeb, początkowo wszyscy traktowali to z wielkim niedowierzaniem i byli w głębokim szoku. Zwłaszcza znajomi, którzy nie mieli rozeznania w sytuacji Strzeleckich. Do tej pory udawało się tę przykrą sprawę utrzymywać w sekrecie. Zuzanna jednak wiedziała, że prędzej czy później plotki się rozejdą, ponieważ ludziom nigdy nie można było zatkać ust. I właśnie to był jedyny argument przemawiający za przeprowadzką do Sambora, chociaż kobieta bardzo jej nie chciała. Ostatecznie jednak uznała, że lepiej będzie uciec przed skandalem, który tak czy inaczej wybuchnie. Być może będąc poza zasięgiem oczu plotkarzy, nie odczuje tak mocno jego skutków jak wówczas, gdyby pozostała w Lwowie.

Odrażający łotr! – urągała w duchu mężowi. – Jak on mógł mi to uczynić? Zostawił mnie w tym całym bagnie, a sam stchórzył! Podły drań! Przekłęci prawnicy! Cholerna Matylda! Głupia, wścibska Litworzanka!

W jej oczach wszyscy byli winowajcami. Zarówno ślubny, który wybrał najgorsze z możliwych rozwiązań, jak i ci, którzy nachodzili ich w sprawie majątku zrabowanego Matyldzie, a także Teodozja, którą Zuzanna wciąż podejrzewała o zdradzenie Aurelii bądź Matyldzie, że Strzeleccy posiadają dwie kamienice. To właśnie na Litworzance skupiał się największy gniew. Strzelecka pomstowała za każdym razem,

gdy tylko przypomniawszy sobie o istnieniu tej panny, chociaż mieszkając we Lwowie, nie natknęła się na nią ani razu.

– Przeklęta godzina, w której spotkałeś tę małą żmiję! – złorzeczyła. – Żeby ją tak pokręciło, żeby zaraziła się w szpitalu bolszewicką chorobą i więcej nie wstała.

Nikodem z zaskoczeniem spojrzawszy na matkę, którą zawsze cechowała powściągliwość, a która teraz zachowywała się tak, jakby opuściły ją wszelkie skrupuły. Nigdy w życiu w ten sposób nie postępowała, nie złorzeczyła nikomu, nie ulegała emocjom. Do tej pory uważał ją za ostoję stoickiego spokoju. Na jego oczach matka przeszła niesamowitą metamorfozę i stała się niemalże obca.

Dodatkową przykrość sprawiał mu fakt, że urągała kobiecie, która tak naprawdę nie musiała być niczemu winna. Zionęła tak wielką nienawiścią, że nie można było przekonać jej do żadnych racji. Zresztą jak można obwiniać za własne nieszczęście kogokolwiek, skoro głównym powodem rodzinnego dramatu były niefortunne decyzje ojca, które zaakceptowała?

Nikodem zdawał sobie sprawę z tego, że nawet gdyby jakimś cudem zdobył się na odwagę, by uderzyć w konkury do Teodozji, i gdyby ta jeszcze większym cudem zechciała zwrócić na niego uwagę, to i tak musieliby się zmierzyć z przeszkodą nie do pokonania – brakiem akceptacji ze strony Zuzanny.

O czym sobie roję? – zachnął się w duchu.

To oczywiste, że najbardziej nienawidzi się tych osób, którym wyrządziło się krzywdę. Są niczym wyrzuty sumienia, dlatego unika się spotkań z nimi, udając, że nie istnieją.

Krynica

Noc poślubna przyniosła Konstancji rozczarowanie. Choć młoda mężatka starała się tego nie okazywać, wstyd oraz strach wzięły górę. Nie była w stanie się rozluźnić ani skupić uwagi na niczym. Wciąż przepełniało ją uczucie, że powinna otworzyć się na pieszczoty męża. A jednak, pomna tego, co przez całe życie wtłaczano jej do głowy – że musi być skromna, powściągliwa i cnotliwa, nie potrafiła się przełamać. Leżała sztywno, to zaciskając dłonie na prześcieradle, to kurczowo broniąc się przed tym, by mąż zdjął z niej koszulę nocną.

Sam akt małżeński sprawił jej wyłącznie ból, nie poczuła ani odrobinę przyjemności, o której wspomniała matka, czerwieniąc się po czubki uszu. Konstancja z rezygnacją pozwoliła na to, by Stanisław pochylił się nad jej ciałem i posapując, jakby podejmował nie wiadomo jaki wysiłek, pozbawił ją dziewictwa. Nawet pocałunki, o których poeci tak pięknie pisali w swoich wierszach i o których czasami czytała w romansach, nie smakowały żadną słodyczą. Cóż słodkiego mogło być w ślinie drugiego człowieka?

Pożycie było więc ze wszech miar rozczarowujące, chociaż Stanisław zapewniał ślubną, że z biegiem czasu zacznie czerpać przyjemność z tego, co dzieje się w małżeńskiej alkowie. Powinna tylko chociaż trochę się rozluźnić i wyjść mu naprzeciw. Konstancja jednak nie potrafiła.

Co więcej, z przerażeniem myślała o tym, że tak właśnie ma wyglądać reszta jej życia: w momencie kiedy będzie układała się na nocny spoczynek, zamiast zapaść w sen, będzie musiała najpierw spełnić małżeńską powinność, która dla niej stanowiła jedynie upokarzające poddaństwo i nie miała absolutnie nic wspólnego z przyjemnościami. Zachodziła w głowę, jak inne kobiety są w stanie to znosić. Sama dygotała

lub sztywniała za każdym razem, gdy mąż jej dotykał. I co najdziwniejsze, działało się tak wyłącznie w nocy. Za dnia przecież funkcjonowali razem w jednym domu: rozmawiali, chodzili na spacer, trzymała go pod rękę, dotykali się nawet przez przypadek. Wtedy nie miewała negatywnych odczuć. Konstancji nie przeszkadzało, gdy mąż ścisnął jej dłoń, a nawet gdy ją całował. To były piękne, romantyczne gesty. Niestety nocą każdy dotyk sprawiał jej przykrość i nie była w stanie nic na to poradzić. Nie potrafiłaby nawet doprecyzować, jaki jest to rodzaj dyskomfortu – wszak poza chwilą defloracji nie odczuwała fizycznego bólu. Ten, który ją dręczył, miał inny wymiar. Niemile jej było nawet zwyczajne głaskanie – kiedy była senna i zmęczona, zamiast działać kojąco, niemalże bolało, a już z całą pewnością wzbudzało negatywną reakcję jej ciała odpowiadającego nieprzyjemnymi nerwowymi skurczami.

Gdyby tylko miała z kim porozmawiać! Niestety matka tuż przed ślubem sama wspomniała o tym, że pożycie małżeńskie niekoniecznie musi sprawiać przyjemność. I że bardzo często żona musi się poświęcać i podporządkowywać mężowi. Cóż, w przypadku Konstancji te słowa się sprawdziły, zatem opowiadanie matce, jak bardzo rozczarowało ją małżeństwo, nie miałoby najmniejszego sensu. Matka tylko przypomniałaby to samo, co już raz powiedziała.

Konstancja rozmyślała o milionach kobiet na całym świecie, które żyły ze swoimi mężami i dzieliły z nimi łożę. Czy wszystkim sprawiało to jednakową nieprzyjemność, lecz potrafiły wkładać na twarz maskę z pogodną miną, by pokazywać światu, że nic złego się nie dzieje? Skąd czerpały siłę, by tak funkcjonować? Jak dobrymi aktorkami musiały być, skoro potrafiły grać potulne i zadowolone z życia żony?

Jej przychodziło to na razie z największym wysiłkiem.

Mimo wewnętrznego oporu starała się nie okazywać niechęci Stanisławowi. Przecież go kochała i sama była zaskoczona swoistym rozdwojeniem własnych uczuć. Za dnia gotowa była mężowi usługiwać, sprawiać drobne przyjemności. Lubiła spędzać z nim czas i rozmawiać. Gdyby mogła, z sypialni wyrzuciłaby go raz na zawsze i zamknęła drzwi na klucz.

Przychodziły niekiedy chwile, gdy myślała, że najchętniej cofnęłaby się do momentu, kiedy wyraziła zgodę na zawarcie małżeństwa ze Stanisławem. Mogłaby nawet posunąć się do tego, by u stopni ołtarza zamiast „tak” powiedzieć „nie”, wywołując wielki skandal, chociaż tego wolałaby raczej uniknąć. Żałowała, że podjęła tak definitywny i ostateczny krok. Cóż, gdy rozwody wciąż były bardzo negatywnie postrzegane przez społeczeństwo.

Doceniała ponadto, że może cieszyć się znacznie większą swobodą i jest traktowana zupełnie inaczej niż w okresie panińskim. Była panią samej siebie – pod pewnymi względami, rzecz jasna. Matka nie mogła jej narzucać, jakie ma kupować ubiory, jak może się czesać i jak powinna postępować. Nikt jej za nic już nie karcił. Była naprawdę dorosłą kobietą. Sama mogła prowadzić swój dom, decydować o tym, co zostanie podane na stół podczas obiadu, kolacji czy przy innych okazjach.

Zresztą jednego nie mogła mężowi odmówić: dbał o to, by na każdym kroku sprawiać jej przyjemności. Problem w tym, że ona nie potrafiła zrewanżować się czułością w sypialnianym zaciszu. Na razie jednak robiła dobrą minę do złej gry i udawała szczęśliwą młodą mężatkę, przeżywającą właśnie najpiękniejsze chwile swego życia. Ciągnęła grę pozorów, która tak mile widziana jest w towarzystwie wyższych sfer, wszak

pozory zawsze były najważniejsze – mimo zmian zachodzących w otoczeniu.

Pozostawała całkowicie osamotniona w swych przemyśleniach oraz bólach.

Krynica i Lwów

Piąty dzień września przyniósł mieszkańcom Krynicy smutną nowinę. Niespodziewanie zmarł doktor Henryk Ebers. Słyszając tę przygnębiającą wieść, Aurelia wybrała się na pocztę i zamówiła dwa połączenia telefoniczne z lwowskim szpitalem, żywiąc nadzieję, że zdoła rozmówić się z Teodozją. Za pierwszym razem poprosiła sekretarza, który odebrał, by poszukano Teodozji, gdyż za dwie godziny zadzwoni ponownie w pilnej sprawie. Wiedziała, że nikt nie znajdzie i nie zawoła pielęgniarki ot tak. Oczywiście liczyła się z tym, że Litworzanka może mieć wychodne i nie pojawić się o umówionej godzinie drugiej rozmowy, lecz wyjątkowo dopisało jej szczęście – panna była na dyżurze, bez trudu ją odnaleziono, przekazano informację i pozwolono na nieplanowaną przerwę w pracy. Aurelia zakomunikowała więc podopiecznej, co zaszło, i wspomniała o pogrzebie, który za kilka dni miał się odbyć w Krakowie na cmentarzu Rakowickim.

– Och... – zmartwiła się młoda kobieta. – Ogromnie mi przykro, ciociu, lecz nie zdołam dotrzeć do Krakowa. Nie dostanę teraz wolnego, ponieważ znowu mamy natężenie epidemii grypy hiszpańskiej. Lawinowo przybywa pacjentów. Szpital pęka w szwach. Jestem tutaj potrzebna, a poza tym boję się, że mogłabym przywieźć ze sobą zarazę do was.

– W Krakowie i okolicy ludzie też chorują – odparła podminowana ciotka. – Tylko Krynice zaraza szczęśliwie omija.

Martwię się o ciebie, kochanie. Wolałabym, abyś była tutaj z nami, bezpieczna.

– Ciociu, proszę, nie nalegaj na mój powrót. Rozmawialiśmy już o tym.

– Tak, rozumiem – westchnęła Drzewicka-Rapacz. – Szkoda, że nie możesz dotrzeć na pogrzeb Henryka. Właściwie tak zakładałam, postanowiłam jednak zadzwonić i ci o tym powiedzieć. Wiem, jak wiele dla ciebie znaczył.

– Tak. Jego śmierć to dotkliwa strata. Zawdzięczam Ebersowi wykształcenie. Był dla mnie dobrym duchem, dodawał mi skrzydeł, sprzyjał moim zamiarom. To był wspaniały człowiek. Prawdziwy dobroczyńca.

– O tak. Krynica pogrążyła się w żałobie. Oczywiście ja i Filip wybieramy się do Krakowa. Nie wyobrażam sobie innej możliwości. Do tej pory nie możemy otrząsnąć się z szoku. Wszak był naszym bliskim przyjacielem. Często gościliśmy go u siebie, leczył nas, gdy zachodziła potrzeba. Był zdecydowanie zbyt młody, by odchodzić na łono Abrahama. Dla naszego uzdrowiska skończyła się właśnie jakaś epoka – skwitowała, ciężko wzdychając.

Powroźnik

Schyłek lata jak zawsze przyniósł rześkie powietrze, będące niemalże balsamem dla ciał zmęczonych letnim skwarem. Aurelia, której z modą nie zawsze bywało po drodze, jak nigdy wcześniej zachwyciła się najnowszymi fasonami, które były zdecydowanie wygodniejsze od sukien, jakie nosiła, będąc świeżo upieczoną damą. Wtedy jej ruchy krępował gorset opinający ciało niczym sztywny pancerz. Szyję dusiły szmizetki, a balonowe rękawy i treny wymuszały nieustanne skupianie uwagi na tym, by nie zawadzić o coś strojem i nie wywołać gąfy

lub skandalu. Teraz z zachwytem nosiła luźne kreacje pozwalające paniom na całkowitą rezygnację z gorsetów i odsłaniające pantofle. Z zapalem wertowała katalogi, przyglądając się niezwykle funkcjonalnym i uproszczonym fatalaszkom. Małe kapelusiki wprawiały ją w zachwyt, ponieważ nie były przeładowane ozdobami. Choć wiele pań, w tym o dziwo Matylda, kręciło nosami na te innowacje, Aurelia zadawała szyku na deptaku w garsonkach o sportowym fasonie uszytych z miękkiego dżerseju. Jedno, na co sobie nie pozwalała, to obcięcie gęstych włosów, w których widać było coraz więcej siwych pasemek. Nie krytykowała jednakże dam, które porywały się na tak śmiały krok, co więcej, gdy Wisia samodzielnie ścięła swe długie warkoczki, stanęła w jej obronie przed rozgniewaną Matyldą.

Wisława w przeciwieństwie do bliźniaczej siostry – poczciwej i nieco safandulowatej, nie była w ciemną bita i wiedziała, że jeśli pozbędzie się znieawidzonych przez siebie warkoczy tuż przed spodziewaną wizytą cioci Aurelii, to ta z całą pewnością pomoże jej w przekonaniu mamy, że tak jest i ładniej, i modniej, i przede wszystkim praktyczniej. Bo mycie i czesanie blisko półtorametrowych pukli stanowiło istną katorgę. I jeśli zazdrościła czegokolwiek komukolwiek, to Izabeli włosów, które nie rosły w tak zastraszającym tempie, lecz spływały miękkimi falami zaledwie do połowy siostrzanych pleców.

Akurat było wczesne niedzielne popołudnie i do domu zjeżdżali się goście zaproszeni na obiad: cała rodzina Rapaczów wraz z Felicytą, która coraz rzadziej opuszczała domowe pielesze, oraz Litworowie. Zaproszeni zostali również Juraszkowie i siostry Witalisa, ale ich obecność stała pod

znakiem zapytania, gdyż od śmierci Paraski widać było w rodzinie znaczący rozłam.

Bliźniaczki, ubrane jak przystało na niezamężne panny w skromne jasne sukienki, zeszły do jadalni razem, i to w chwili gdy Wiśka upewniła się, że pod dom zajechał już powóz z willi Pod Lipami. Konstancja i Stach przyjechali nieco wcześniej bryczką powożoną przez Litworę.

– Coś ty najlepszego narobiła, dziewczyno! – huknęła matka na widok niesfornej, choć dorosłej latorośli, przykładając dłoń do bujnej piersi w spodziewanym ataku palpacji.

– Poprawiłam sobie czuprynę, mateczko – odparła Wisława, robiąc przy tym niewinną minkę, jakby chodziło o drobiazg.

Widząc ją, Konstancja zakrztusiła się kompotem, który sączyła, mimo iż jeszcze nie podano do stołu. Była jednak tak bardzo spragniona, że ledwo przekroczyła próg rodzinnego domu, poprosiła o napój. Mąż pospieszył z pomocą, delikatnie poklepując żonę po plecach, w czasie gdy Matylda rugała młodszą córkę.

– Jak mogłaś obciąć takie śliczne włosy? Wyglądasz teraz jak, nie przymierzając, panna o marnej reputacji. – Na końcu języka miała słówko „ladacznic”, lecz powstrzymała się z jego wypowiedzeniem przez wzgląd na gości. Oczywiście nie wypadało wszczynać awantury w obecności nawet tak bliskich ludzi, lecz nie mogła się opanować. Przez chwilę ciosała kołki na głowie Wisławy. W końcu we wszystko wmieszała się Aurelia.

– Matysiu, szkoda się denerwować. Stało się, Wisia podjęła decyzję, której nie można cofnąć. Nie pozostaje nic innego jak przyzwyczaić się do jej nowego wizerunku – perswadowała łagodnym tonem. – Gdy byłam w Krakowie na pogrzebie doktora Ebersa, widziałam mnóstwo pań ze ściętymi włosami.

– Och! Łatwo ci mówić. Beatka nie ma tak nieobliczalnych pomysłów! Ani Teosia, ani Konstia, ani Izia – dodała jednym tchem, by oddać sprawiedliwość pozostałym młodym damom z rodziny. – Mój Boże! Co ludzie powiedzą? Rozumiem, żeby Kotusia. Jest mężatką, jej o wiele więcej uchodzi. Ale żeby panienka? – Załamała ręce. – Co zrobiłaś z warkoczem? Może da się z niego wykonać szynion⁶ lub treskę? Przecież niepodobna, by dziewczyna z dobrego domu straszyla ostrzyżoną głową jak po przejściu jakiejś choroby... Albo jak panna, której nie zależy na tym, jak ją oceniają.

– A może mnie nie zależy, mameczko? – odparła przekornie Wisława, poprawiając włosy wijące się na linii podbródka. Marzyła jeszcze o grzywce, lecz tę bała się samodzielnie obciąć, by nie wyszło krzywo albo żeby się nie oszpecić. Już teraz jednak solennie sobie postanowiła, że przy pierwszej sposobności upora się również z tym. Po prostu pójdzie do fryzjera w Krynicy lub Muszynie i zleci doprowadzenie czupryny do ładu. – A włosy spaliłam w piecyku – skłamała gładko z obawy, by matka nie zechciała zrobić z nich użytku i nie zmusiła jej do noszenia doczepionego warkocza. Takie rzeczy modne były jeszcze przed wielką wojną, gdy damską modą rządziła nie wygoda, lecz próżność. Wiedząc, że Aurelia może stanąć w jej obronie, wbiła w ciotkę błagalne spojrzenie.

Ta uśmiechnęła się wyrozumiale.

– To na nic, Matysiu. Niejedna modnisia skraca teraz włosy. Antoni Cierplikowski⁷ wciąż lansuje w Paryżu modę *à la garçonne*⁸, która cieszy się coraz większym powodzeniem. Spójrz na córkę. Wszak Wisi do twarzy w krótszych włosach. Ja nawet na jej miejscu pokusiłabym się o grzywkę, to tylko podkreśliłoby jej piękne kości policzkowe i uwydatniło oczy – zauważyła, z miejsca zyskując wdzięczność winowajczyni.

Towarzystwo powoli lokowało się przy stole, lecz Matylda wciąż nie mogła pogodzić się z czynem córki.

– Ach, jak ty teraz znajdziesz porządnego kawalera? Z takimi włosami trafi ci się pewnie jakiś nieodpowiedzialny latawiec.

– Jak latawiec, to może lotnik? – mruknęła pod nosem pannica, na tyle cicho, by nie mogła usłyszeć jej rodzicielka, lecz jedynie siedząca obok bliźniaczka.

Izabela zdusiła parsknięcie śmiechem, by nie ściągnąć na siebie gniewu matki.

– Nie mogłaś wstrzymać się z tym chociaż do ślubu?

– A niby czyjego, skoro nie mam żadnych starających się o rękę? Mateczko, nie gniewaj się. Mnie te włosy wyrosły tak długie tylko na utrapienie. Iza, szczęściara jedna, ma o połowę mniej. Ba! Co mówię? Jej matka natura nie pokarała chyba nawet czwartą częścią tego, co ja musiałam nosić na głowie. Wiesz, ile miałam z nimi kłopotu? Męczyło mnie ciągle szczotkowanie, mycie, dźwiganie wszędzie tego ciężaru... Ech... – jęknęła wymownie, robiąc zboląłą minę.

– Ale teraz wyglądasz niczym jakaś czarownica. Ludzie będą gadali.

– W czarownicy już od dawna nikt nie wierzy i nikt nikogo nie pali na stosie – wtrącił Juraszko w obronie pasierbicy. – Nie irytuj się, Matysiu. Nie ona pierwsza i nie ostatnia. Mnóstwo pań z towarzystwa nosi krótkie fryzury.

– Och! – sapnęła Matylda. – Ludziom niewiele trzeba, by sobie na kimś ostrzyć język. Zbyt wyemancypowane panie nie mają łatwego życia. Pamiętacie Marysię Kossakównę⁹, córkę tego znanego malarza?

– Ach, Lilkę! Oczywiście, że pamiętam. Nie sposób zapomnieć tak żywotnej a zarazem uduchowionej osobki. To prawdziwa ozdoba krakowskich salonów. Ale ona wyszła za mąż w czasie

wojny za jakiegoś wojskowego i o ile wiem, zamieszkała wraz z nim w Mödling pod Wiedniem. Nie rozumiem związku – przyznała Aurelia.

– Tak, wyszła za Władysława Bzowskiego¹⁰ – podsunął milczący do tej pory Stach, gdyż mężczyźni zamieszanie wokół włosów Wisławy niewiele obchodziło. Zresztą panowie skupili się na własnych sprawach i puszczali mimo uszu utyskiwania pani domu. Litwora zareagował wyłącznie dlatego, że wciąż wszystkie sprawy związane z wojskiem i wojskowością wzbudzały jego emocje. – Poznałem człowieka. „Bzunio” nie należał do wojowniczych i raczej uchylał się przed czynną walką.

– Nie słyszałaś najnowszych plotek, gdy byłaś w Krakowie? – Matylda zignorowała podpowiedź zięcia, zwracając się bezpośrednio do przyjaciółki. – Otóż doszły mnie słuchy, a wieści mam z pierwszej ręki, ponieważ regularnie koresponduję z panią Szafrancową, która zajmuje obecnie moje mieszkanie w kamienicy, że mariaż dobiegł końca. Pan Wojciech¹¹ ponoć staje na głowie, by uzyskać dla ukochanej córeczki kościelne stwierdzenie nieważności małżeństwa. Czy już to nastąpiło, nie wiem. Ale wiadomo, że dla swych dziewcząt gotów jest poruszyć niebo i ziemię¹².

– To zrozumiałe – przytaknęła Felicjta. – Człowiek dla dziecka wiele jest w stanie poświęcić.

– Znam tę rodzinę na tyle dobrze, abym mogła stwierdzić, że małżeństwo Lilki musiało należeć do wyjątkowo nieudanych, skoro doszło do podjęcia tak radykalnych kroków. Nadal jednak nie widzę związku pomiędzy Marią a fryzurą Wisławy – zauważyła Aurelia.

– O ludzi chodzi, Aurelio. O ludzi! Czy ty masz pojęcie, jak plotkuje się teraz o Kossakach, a zwłaszcza o Lilce? Cały

Kraków trzeszczy w szwach od gadania. Biedną Marię odsądza się od czci i wiary. Czarownicą ją nazywają! A! I przecież nie tylko z powodu rozwodu, ale również dlatego, że nosi krótkie włosy! – dokończyła dobitnie, po czym z satysfakcją powiodła wzrokiem po zgromadzonych przy stole gościach i domownikach. – Taka poruta! Może to przez tę fryzurę Bzowski ją odprawił¹³? – wysnuła nader śmiały wniosek.

– Szczerze mówiąc, wątpię. Gdybym miała robić zakłady, obstawiałabym raczej brak porozumienia oraz jedności upodobań pomiędzy małżonkami. Lilka jest uduchowiona, ma naturę romantyczki. Dziw, że nie poszła w ślady zacnych przodków i sama nie zaczęła tworzyć, chociaż podobno próbuje coś malować i pisać. Bzowski natomiast, jak przystało na wojskowego, twardo stąpa po ziemi. Być może nie potrafi zrozumieć istoty jej charakteru? Kobiety takie jak Lilka zdają się nurzać w niebiańskim puchu, one wręcz słyszą, jak rozkwitają kwiaty. A wojak? Cóż, „grały jemu surmy zbrojne”¹⁴... – zacytowała Konopnicką.

– Jakkolwiek spoglądać na ten problem, to jednak poruta dla rodziny – stwierdziła Matylda. – Ludzie nie zostawiają suchej nitki na Kossakach. Niby świat idzie do przodu, lecz rozstanie małżonków to rozstanie. Dla niektórych rzecz nie do zaakceptowania. Podobnie jak krótkie włosy u panienki na wydaniu – skwitowała z goryczą.

Konstancja słuchała wywodów matki z mocno bijącym sercem. Plotki na temat Kossakówny dotarły również do niej. Kilka znajomych pań, w tym zamieszkująca w pobliżu bardzo już leciwa i mocno podupadająca na zdrowiu pani Wojnarowa, wypowiedziało się o nieszczęsnej Lilce w mało pochlebny sposób. Litworowa nie chciała powtarzać tych złośliwości, szczególnie przy stole, siedząc wśród mężczyzn, lecz mawiano

o tym, jakoby młoda mężatka zamiast gotować mężowi smaczne obiady, zajmowała się obserwowaniem robaczków i nasłuchiowaniem, jak rośnie trawa na łące. Czy było to prawdą? Szczerze wątpiła. Wszak Lilka pochodziła z zamożnej rodziny, zapewne więc nie wyszła za mąż za pierwszego lepszego adiutanta, lecz oficera, którego stać było na zatrudnienie gosposi. A skoro w grę wchodziło stwierdzenie nieważności złożonego ślubu, to być może prawdziwym powodem były alkowiane sekrety małżonków?

– Matysiu, kiedyś mi się wydawało, że masz bardziej postępowe poglądy – nie wytrzymała Drzewicka-Rapacz. – Nie gorszy cię chyba rozwód Kossakówny?

– Gorszy nie gorszy – bąknęła gospodyni. – Kossakowie zawsze byli skandalistami. Wojciecha wykluczono swego czasu z elitarnego towarzystwa. Ponoć przyłapano go podczas przyjęcia u Potockich, jak w garderobie dla dam zalecał się do pewnej mężatki, której nazwiska przez przyzwoitość nie wymienia się publicznie. To wielki artysta, więc wolno mu czasami naginać zasady. Takiemu wybacza się więcej niżli pospolitemu człowiekowi. Ale dla rodzin takich jak nasze rozwód czy skandal nigdy nie jest komfortową sytuacją. Sama się przecież przekonałaś, jak dokuczliwi bywają plotkarze.

– Owszem. Ale zawsze żyłam po swojemu i byłam ponad wstrętne plotki.

– Och, Aurelio! Poczekaj, aż Beatka dorośnie na tyle, by wydawać się za mąż. Wtedy sama odkryjesz, jak ważne są rzeczy, które dziś stanowią dla ciebie fraszki. Na pewno marzysz o porządnym zięciu i szczęściu małżeńskim córki. Rozwody, choć niby nasze społeczeństwo stało się bardzo postępowe, wciąż postrzegane są jako coś plamiącego honor

rodziny. Każdy rodzic musi boleć nad tak drastyczną decyzją dziecka.

Konstancja przełknęła gwałtownie ślinę, zaskoczona kierunkiem, w jakim potoczyła się rozmowa wywołana wybrykiem siostry.

Nie mogę dawać Staszкови powodów do tego, by mnie odprawił z domu – westchnęła w duchu, obiecując sobie solennie, że bardziej się postara, gdy znajdą się znowu w sypialnianym zaciszu. Nie mogła mu okazywać, że coś jej doskwiera. Nie chciała, jak Maria Bzowska, zostać napiętnowana hańbą rozstania. Skoro ludzie nie oszczędzali tak znanej i powszechnie szanowanej rodziny, jaką byli Kossakowie, i nie pozostawiali suchej nitki na Lilce, to jakże ona – pospolita osóbką, córka mieszczan i pasierbica łemkowskiego chłopca, miałaby się ustrzec przed złośliwą obmową? Przecież nie mogła sprawić maceczce takiego zawodu! Mamie serce pękłoby z żalu, gdyby usłyszała, że Konstia nie potrafi bądź nie chce wywiązywać się z podstawowego obowiązku, który spoczywa na mężatce.

Krynica

Aurelia wciąż się zamartwiała, czy Stanisław należycie wywiązuje się z małżeńskich zobowiązań oraz czy aby na pewno jest dobrym mężem dla Konstancji. Bardzo nie chciałyby, żeby wychowanek skrzywdził córkę jej najlepszej przyjaciółki. Mimo że mężczyzna po powrocie z wojny zdawał się znacznie dojrzalszym, niż był przed wyjazdem, i wojna z całą pewnością mocno go zmieniła, to jednak w głębi duszy Aurelia wciąż nosiła jakieś niesprecyzowane lęki. I to właśnie ona czujnie obserwowała młodą mężatkę, dlatego nie umknęło jej, że po ślubie oczy Konstancji utraciły blask.

Nie podejrzewała Stanisława o rękoczyn, nic na to nie wskazywało. Do żony, przynajmniej w towarzystwie, odnosił się z szacunkiem oraz czułością, więc teoretycznie nie było podstaw do nieufności.

Drzewicka-Rapacz kilkakrotnie zastanawiała się, czy nie powinna porozmawiać na osobności z Konstancją, by delikatnie wybadać ją w wiadomej kwestii. Wciąż jednak żywiła obawę, czy aby nie przesadza. Być może była przewrażliwiona na tym punkcie. Może powinna mieć więcej zaufania do swego podopiecznego. *A co, jeśli dramatyzuję?* – karciała samą siebie w duchu. – *Przecież nie można ingerować w cudze sprawy małżeńskie. Konstancja ma matkę, która w razie czego ją utuli, a gdyby Staś okazał się łajdakiem albo sprawił Kotusi jakąś przykrość, prędzej czy później na pewno bym się o tym dowiedziała* – stwierdziła, bowiem Matyllda nigdy ani słowem nie wspomniała, aby córka była nieszczęśliwa u boku Litwory.

Mimo wszystko Aurelia wciąż snuła rozważania, bijąc się z myślami. Ostatecznie jednak uznała, że to, co dzieje się w małżeńskiej alkowie, powinno pozostać w małżeńskiej alkowie. Zakładała, że jeśli Konstancja poczuje się nieszczęśliwa, to omówi ten problem z matką. A Matyllda, jeśli uzna to za konieczne, powie Aurelii o swoich obawach i troskach.

Jestem chyba mało odpowiednią osobą, by ingerować w sprawy pomiędzy Konstancją a Stanisławem. Nie jestem przecież jego matką, nie występuję w charakterze teściowej, lecz jedynie ciotki – pomyślała, a potem naszła ją refleksja, że jednak odpowiada za Stanisława, wszak wychowywała go niemalże od najmłodszych lat.

Choć Konstancja nigdy nie powiedziała tego wprost, Stanisław odnosił wrażenie, że figle małżeńskie nie sprawiają żonie nawet

najmniejszej przyjemności. Co więcej, dałby głowę, że ślubna powinność swą wykonuje z opieszałością i robi to wyłącznie dlatego, że tak być musi. Nie wkłada jednak w pożycie ani odrobiny uczucia, być może odczuwa niechęć w tych momentach, gdy on przeżywa ekscytację.

Było to o tyle zaskakujące, że wcześniej, gdy miał do czynienia z kobietami lekkich obyczajów, te sprawiały wrażenie zadowolonych. Czasami wręcz prosiły o jeszcze i zachowywały się tak, jakby był najlepszym kochankiem świata. Tymczasem żona nocami w jego ramionach sztywniała i niekiedy wyczuwał delikatny dreszcz, ale nie rozkoszy, tylko wstrętu. Dodatkowo zawsze była wstydliva. Nigdy nie zgodziła się przed nim rozebrać, nawet pod osłoną nocy nie pozwalała zdjąć z siebie koszuli. A gdy dotykał jej piersi czy pośladków, wierciła się, jakby miała łaskotki. To znowu leżała nieruchomo, zaciskając zęby tak, że nie był w stanie jej pocałować. Kobieta, której miłosne igraszki sprawiałyby choćby odrobinę przyjemności, nie zachowywałaby się w taki sposób.

Postępowanie żony bardzo martwiło Stanisława, chociaż Filip uświadomił go swego czasu, że przyjemności alkowiane z żoną mogą znacząco różnić się od tych, których można oczekiwać w zamtuzach, ponieważ damy bywają znacznie bardziej wstydlive i powściągliwe i że musi minąć niekiedy trochę czasu, nim przełamią wewnętrzny opór przed igraszkami. Wychowywane w czystości i kulcie dziewictwa, nie potrafią ot tak otworzyć się na fizyczny wymiar miłości. Gdyby więc coś takiego przytrafiło się Stachowi, nie powinien być natarczywy. Musi za to uzbroić się w cierpliwość i dać żonie czas na oswojenie się z nową sytuacją.

Teraz Stanisław próbował sobie przypomnieć szczegóły tamtej rozmowy i żałował, że nie słuchał wuja uważniej. Wówczas

jednak wydawało mu się, że skoro Konstancja wychodzi za niego z miłości, co więcej, sama wyciągnęła dłoń z gałązką oliwną, gdy byli poróżnieni o jego korzenie, to oznacza, że naprawdę chce być jego żoną. Tymczasem w sypialnianym zaciszu srodze go rozczarowała.

Może powinienem jeszcze raz porozmawiać na ten temat z wujem i poprosić go o radę? – rozmyślał zażenowany. Wszak od ślubu minęło ładnych parę miesięcy!

Cóż, gdy o takich rzeczach nie rozmawiało się nawet z bliskimi osobami, przecież nie wypadało ujawniać żadnych intymnych szczegółów! Tajemnice alkowy winny pozostawać w alkowie – z takiego założenia wychodzili absolutnie wszyscy. Również dla młodego żonkosia nie powinno być wyjątków w tej kwestii.

Minęło kilka kolejnych tygodni, lecz sytuacja nie uległa zmianie. Skonfundowany Stanisław przełamał się i postanowił porozmawiać na ten temat z Filipem. To był chyba jedyny człowiek, któremu mógł zaufać w tak delikatnej materii. Wszak Rapacz wprowadzał go w świat intymnych spraw. Z perspektywy czasu Litwora sam był zaskoczony tym, jak bardzo teraz zmienił zdanie na temat znienawidzonego niegdyś wuja. Czy to była kwestia przeżyć wojennych, które wypaczają perspektywę postrzegania świata, czy może jakaś dojrzałość, która nakazywała mu spoglądać na życie zupełnie inaczej niż dawniej? Nie wiedział, co jest źródłem takiego podejścia. Niemniej tylko na Filipie mógł polegać, co więcej, uznał, że żonaty od wielu lat mężczyzna jest w stanie mu coś doradzić.

Zakładał, że gdyby zaczął rozmawiać ze swoimi rówieśnikami, to zapewne żaden nie byłby z nim szczery. Każdy stwierdziłby oględnie, że w sypialnianym zaciszu potrafi bez trudu okiełznać ślubną i nie ma z nią najmniejszych zmartwień. O ile w ogóle

którykolwiek podszedłby do tego problemu z należytą powagą. Stanisław jednak wcale nie byłby zdziwiony, gdyby jakimś cudem się okazało, że wielu jego znajomych zmagają się z podobnymi problemami, ale nikt nie ma dość odwagi, aby się do tego przyznać. Wszak to uwłacza męskiej godności! Niejeden może by stwierdził, że Stach nie powinien zważać na fomy, lecz on nie chciał, aby żona sztywniała w jego ramionach albo, co gorsza, dygotała z obrzydzenia czy niechęci, aby każde zbliżenie stanowiło dla niej przykrość. Cóż, gdy nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wciąż tak jest.

– A z czego wnioskujeś, że w waszym pożyciu jest coś nie tak, synu? – zapytał Filip, gdy Stanisław w końcu zdobył się na odwagę, by napomknąć o trapiącym go problemie.

Mężczyźni siedzieli w gabinecie Rapacza, delektując się poobiednimi cygarami i burbonem. Panie jak zwykle w niedzielne popołudnie wyszły na przechadzkę do ogrodu, zabierając ze sobą Felicję, która ostatnimi czasy chętnie korzystała z wygodnego wiklinowego fotela na kółkach. Niby wciąż była dość sprawna jak na swój isticie matuzalemowy wiek, lecz szybko opadała z sił. Kobieta została więc solidnie odziana i opatulona kocem, aby nie doskwierał jej grudniowy chłód. Chociaż dzień nie należał do ciepłych, żal było paniom zostawać w słoneczne popołudnie w domu, zwłaszcza że wszyscy zaprzyjaźnieni lekarze jak jeden mąż mówili o dobroczynnym wpływie spacerów oraz świeżego powietrza na zdrowie.

Stach postanowił wykorzystać sytuację do odbycia z Filipem rozmowy na frapujący go temat. Mocno zawstydzony, gdyż czuł się z tym niezręcznie, podzielił się swoimi przemyśleniami.

– Nie możesz równać żony z ladacnicą – stwierdził Rapacz, wypuściwszy z ust kłęb aromatycznego dymu.

– Wcale nie równam. Doskonale wiem, jak wielka przepaść dzieli Konstancję, niewinną i czystą, od zbrukanych nierządnic. Uważam jednak, że ona mimo wszystko powinna reagować trochę inaczej. Niestety coraz częściej słyszę wymówki, a żona wciąż wymyka się z moich ramion. Zapewne chętnie zamknęłaby przede mną drzwi sypialni na klucz. Od niedawna mamy nawet osobne pokoje – przyznał z zażenowaniem. – Zawsze po tym, jak Konstancja wypełni małżeńską powinność, odchodzi do siebie.

Był tak zdenerwowany, że dłoń, w której trzymał żarzące się leniwie cygaro, delikatnie mu drżała. Nie uszło to uwadze Filipa. Rapacz pierwszy raz w życiu widział, by wychowanek – mężczyzna dwudziestosiedmioletni, a więc w pełni dojrzały, był do tego stopnia przejęty. Nawet awantura rozpętana przez Teodozję wpłynęła na niego inaczej. Wtedy przepęłniała go wściekłość na siostrę i miał zranione serce. Teraz z jego oczu wyzierał strach, że może skrzywdzić ukochaną.

– Ależ to nie jest powód do zmartwienia. Wiele dam sypia w osobnych pokojach – zauważył Filip. – Nie ma w tym nic niezwykłego. Panie po prostu nie chcą wysłuchiwać naszego chrapania i nie lubią, gdy się rozpychamy w łóżku.

– Tak, ale mimo wszystko uważam, że coś jest nie tak w naszym związku. Spodziewałem się choćby odrobiny czułości. Wiem, że nie mogę wymagać od dobrze urodzonej kobiety, aby była równie ochocza do pieszczot co pierwsza lepsza ladacznica, ale ja wręcz czuję, że sprawiam Konstancji przykrość moimi poczynaniami – mówił wyraźnie podminowany tematem.

Filipowi zależało na tym, by pomóc. O ile w młodszych latach zachowanie Stanisława doprowadzało go do irytacji i pozostawiało wiele do życzenia, to teraz nie miał do niego

absolutnie żadnych zastrzeżeń. W jego oczach Litwora wręcz stał się odpowiedzialny, czego dowodziła nawet ta nadzwyczajna rozmowa. Mało który dżentelmen przejmowałby się odczuciami żony. Wszak uległość w małżeńskim łożu była po prostu kobiecym obowiązkiem. Żal było patrzeć, jak młodego męża dręczy sprawa nieudanego pożycia.

– Zakładam, że to, co mówisz, faktycznie musi stanowić problem. Sam nigdy nie miałem do czynienia z czymś takim, ponieważ Aurelia, gdy ją poślubiłem, była wdową, a przed nią miewałem tak zwane przygody. Jak chyba każdy zdrowy mężczyzna zadawałem się z kobietami, które służyły do tych celów, a one po prostu mają rozwiązłe natury. Po ślubie między mną a twoją ciotką wszystko układało się dobrze. Żona nigdy nie dała mi do zrozumienia, że coś robię wbrew jej woli lub sprawiam jej przykrość. Jeżeli Konstancja odczuwa dyskomfort, warto byłoby się zastanowić, czy jest możliwe rozwiązanie tej kwestii w delikatny sposób. Obawiam się, że sami temu nie podołamy, tutaj potrzeba damskiej subtelności. Może przed inną kobietą twoja żona się otworzy i wyzna, w czym rzecz.

– Och nie! Wuju! To takie żenujące! Nie wyobrażam sobie angażowania kogokolwiek w tak intymne sprawy. Z całą pewnością nie zwróciłbym się w tej kwestii do ciotki Matyldy. Skarżenie się teściowej na żonę byłoby czymś mocno nie w porządku, bo ona pewnie uznałaby, że to jest wina Konstancji. A tymczasem być może ja popełniam błąd, może robię coś nie tak, tylko żona nie potrafi tego powiedzieć. Boi się wyznać wprost, co ją do mnie zraża.

– A zatem sam widzisz, że nie pozostaje nam nic innego, jak wtajemniczyć Aurelię. Nie protestuj, Stachu – uprzedził mężczyznę, który już otwierał usta, by zaproponować. – Przecież

znasz doskonale swoją opiekunkę. Wiesz, że jest osobą bardzo delikatną i taktowną. Ufam, że spróbuje dyskretnie rozmówić się z Konstancją, a potem może podpowie jakieś rozwiązanie twego problemu.

Aurelia nie wyglądała na choćby odrobinę zaskoczoną, gdy jeszcze tego samego dnia mocno zażenowany Filip wspomniał jej o zmartwieniu Stanisława. Młodzi małżonkowie odeszli już do swego domu, a Rapaczowie, by spokojnie porozmawiać, zamknęli się w gabinecie Filipa.

– Och... Przeczuwałam, że coś jest nie tak. Obserwowałam ostatnio Konstancję i zauważyłam, że jest dziwnie zgaszona, jakby nie była szczęśliwa w małżeństwie. Kilka dni temu zastanawiałam się nawet, czy wypada, abym ją o to zagadnęła, lecz wtedy uznałam, że gdyby działo się coś niedobrego, zwierzyłaby się swej matuli. A Matylda zapewne powtórzyłaby to mnie, gdyby tylko problem wiązał się ze Stanisławem – stwierdziła. – Wydaje mi się, że moja ukochana przyjaciółka w głębi duszy wciąż jest sceptycznie nastawiona do zięcia. A skoro Stach, ten niepoprawny psotnik, który wszystko potrafi obrócić w żart, przyszedł do ciebie, by odbyć poważną rozmowę, musi być coś na rzeczy.

– Kochana, wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć. – Mężczyzna obarczony niewdzięczną misją odetchnął z ulgą, że ślubna zdejmuje mu z ramion tak ciężkie brzemie. Wszak ingerowanie w intymne sprawy małżonków jest czymś niespotykanym!

– Muszę rozmówić się z Konstancją jak najszybciej. Czas nagli – oznajmiła Aurelia, choć przyszło jej na myśl, że być może młoda mężatka jest brzemienna i doskwiera jej marne samopoczucie. Stąd smutek w oczach i trzymanie męża na dystans.

Drzewicka-Rapacz wyteżyła pamięć, by przypomnieć sobie, jak sama się czuła w pierwszych tygodniach stanu odmiennego, i dość szybko doszła do wniosku, że faktycznie to może być powodem utrapień Stanisława. Od razu podzieliła się tą myślą z mężem.

– Daj Boże, by chodziło właśnie o to – powiedział mężczyzna. – Stach miałby wówczas powody do dumy, a jego pozycje wróciłoby wkrótce do normy.

Zerknął wymownie na Aurelię, gdyż doskonale pamiętał figle, którym się oddawali nawet wówczas, gdy żona miała mocno zaokrąglony brzusek.

Aurelię tak bardzo frapował problem młodych małżonków, że długo w noc nie mogła zasnąć. Kilkakrotnie wstawała, krążyła po sypialni, podchodziła do okna i spoglądała na gwiazdziste niebo. Wciąż nie była przekonana, czy wypada, aby to właśnie ona poruszyła tę delikatną kwestię z Konstancją. Być może odpowiedniejszą osobą byłaby Matylda. Matce zawsze łatwiej się zwierzyć niż ciotce, a raczej niż znacznie starszej kuzynce, ponieważ gdyby szło o ścisłość, to właśnie takie więzy łączyły ze sobą kobiety.

Nie, Matysia od jakiegoś czasu jest bardzo zasadnicza i wymagająca – oceniła Aurelia, bowiem o ile dawniej przyjaciółka miała dość liberalne podejście do życia i mocno popierała ruchy emancypacyjne, to w ostatnich latach zaczęła zmieniać światopogląd. A zagadnięta o to przez Aurelię przyznała, że gdy jest się matką pięciorga dzieci, w tym trzech panna na wydaniu, to przychodzi moment, gdy się odkrywa, że mądrość życiowa rodziców, na którą niegdyś kręciło się nosem, jest prawdą objawioną. I że Aurelia sama się przekona, jak to jest, gdy jej rodzona dziatwa wydorósłaje.

Rano Drzewicka-Rapacz wstała zmęczona, lecz gotowa do działania. Pomyślała, że najlepiej zrobi, jeśli odwiedzi Konstancję pod nieobecność Stacha i spokojnie się z nią rozmówi.

Konstancja zamarła, słysząc z ust ciotki Aurelii pytanie na wyjątkowo intymny temat.

O mój Boże! Przecież to się skończy rozwodem! – jęknęła w duchu. Nie mogła dopuścić do skandalu. Matka nigdy by jej tego nie wybaczyła. A ponadto jak żyć z piętnem rozwódki? Musiałaby chyba wstąpić do klasztoru, czego w ogóle nie potrafiła sobie wyobrazić. Bo co innego niechęć do zbliżeń z mężczyzną, a co innego ciągle modlitwy, umartwienia i posty. Nie była stworzona do życia pełnego wyrzeczeń – mimo wszystko. Zdecydowanie wolała znosić dotyk męża, choćby już zawsze miała kłamać, zaciskać zęby i udawać, że nic się nie dzieje.

– Ależ nie, ciociu – odparła po chwili. – Nie mam powodu, by skarżyć się na Stacha. Jest dobrym mężem, bardzo łagodnym. Nie mam mu absolutnie nic do zarzucenia. Przyznaję, że wciąż przyzwyczajam się do roli żony, która trochę mnie onieśmiela – dodała na koniec, ufając, że ciotka odpowiednio zinterpretuje jej słowa.

Drzewicka-Rapacz nieznacznie odetchnęła w ulgą.

Krępuje się, ot co. Może potrzebuje trochę więcej czasu na oswojenie się z tym, co zachodzi pomiędzy mężem i żoną w alkowie? Czyżby Matysia nie dość jasno jej to wytłumaczyła? Zapewne wspomniała wyłącznie o obowiązku, a nie powiedziała, że to także przyjemność, której nie ma się co wstydzić?

Pomyślała, że napomknie Staszкови, by dał żonie czas i nie wywierał presji. Może wychowanek zbyt wiele oczekiwał i Konstancję po prostu to przerosło?

HISZPAŃSKI POCAŁUNEK

Sambor

Zuzanna nie mogła przywyknąć do życia w Samborze. Nie знаła tutaj nikogo, nie miała żadnych przyjaciół ani krewnych. Przygnębiające było to, że prócz żałoby po synu, synowych i wnuczętach musiała jeszcze nosić żałobę po mężu samobójcy. Dręczyły ją obawy, że wieści o tym mogą prędzej czy później dotrzeć za nią na wygnanie, jak zwała swe nowe miejsce zamieszkania. W głębi duszy nie odczuwała ani odrobiny tęsknoty za Tytusem. Desperackim gestem mąż przekreślił długie lata w miarę szczęśliwego pożycia, popsuł reputację rodziny, wywołując falę plotek. Zuzanna żywiła do niego głęboką urazę za oszukanie Matyldy, mimo że swego czasu sama namawiała go na ten szaleńczy krok.

Szczęściem w nieszczęściu było to, że dzięki wspaniałomyślności Juraszkowej Strzelecka zachowała całą kwotę, którą mąż otrzymał za sprzedaż kamienicy przy ulicy Kochanowskiego. Przez kilka tygodni pieniądze zdeponowane były w banku, lecz gdy pierwsze emocje opadły, kobieta rozmówiła się z Nikodemem i wspólnie podjęli decyzję, by ponownie zainwestować je w nieruchomości – tym razem jednak w owym nieszczęsnym Samborze, gdzie początkowo gnieździł się w niewielkim mieszkanku. Zuzanna marzyła wprawdzie o powrocie do Lwowa, lecz syn skutecznie wybił jej to z głowy, tłumacząc, że na miejscu nabędą kamienicę tej samej wielkości co ta, którą utracili, lecz za znacznie niższą

cenę, dzięki czemu matce zostanie przyzwoita sumka na czarną godzinę. Nie trzeba będzie obniżać poziomu życia, do którego kobieta przywykła, ponieważ będzie mogła przeprowadzić się do przestronniejszego lokum we własnym budynku.

Pół roku po samobójstwie Tytusa Zuzanna uznała, że wdowieństwo jest czymś najlepszym, co mogło ją spotkać w tej parszywej sytuacji: miała własną kamienicę dającą przyzwoity dochód, ładne mieszkanie, służbę i co najważniejsze, nie musiała znosić widoku człowieka, który w minionych miesiącach mocno zalazł jej za skórę – nawet pośmiertnie. Mimo to nie czuła żadnej satysfakcji. Sambor nie mógł się równać ze Lwowem, a ona była osamotniona, gdyż syn znikał na całe dni. Czasami nawet nie wracał na noc, z czego w gruncie rzeczy nie miała prawa go rozliczać, gdyż to dorosły mężczyzna. Ba! Młodszy od niego Piotr był już żonaty i dochował się córki Helenki. Doceniała jednak to, że ma oparcie przynajmniej w Nikodemie, wszak on, podobnie jak Piotr, mógł stwierdzić, że rodzice sami są sobie winni i w związku z tym sami powinni zatroszczyć się o swój byt.

Syn zamieszkał więc wraz z nią i zadbał, by urządzili się jak najwygodniej najpierw w tych nędznych czterech pokoikach, które przypadły im w udziale, a następnie we własnej kamienicy. Osobiście pilnował, by najemcy regularnie płacili czynsze, i prowadził matczyne rachunki. Sam podjął pracę jako radca prawny w tej samej kancelarii, w której Tytus miał być zaledwie sekretarzem. Cóż, on był niemalże świeżo po studiach, miał za sobą kilka lat niezłej praktyki we Lwowie, a co za tym idzie – niezłe doświadczenie. Łatwiej więc mu było o dobrą posadę. Na razie wciąż łączyły go jakieś sprawy ze Lwowem, do którego często wyjeżdżał.

Zuzanna ciągle drżała o niego, ponieważ zaraza nie odpuszczała, kładąc pokotem tysiące ludzi. Martwiła się, by pewnego dnia syn nie przyniósł do domu choroby. Wciąż przypominała mu o nieszczęsnym Karolu i jego rodzinie.

Lwów

Nikodem nie zwierzał się matce ani nie opowiadał, co porabia w czasie wolnym od pracy, gdy wyjeżdża do Lwowa. Tymczasem kursował tam nie z powodu jakichś nierozliczonych spraw, ale głównie dlatego, że trudno mu było wciąż przebywać z wiecznie rozgoryczoną i utyskującą na wszystko matką. Zuzanna, mimo jego starań, nieustannie lamentowała i narzekała na nowe warunki życia. Nie lubiła Sambora, ot co!

Wyładowywała frustrację na synu, jakby to on był winien tej sytuacji.

A przecież Nikodem nie miał nic wspólnego z oszustwem popełnionym wiele lat temu. Był wtedy młodym chłopakiem i nie mógł wpływać na decyzje podejmowane przez rodziców. Co więcej, we własnym odczuciu sam padł ich ofiarą, gdyż pokrzyżowały mu matrymonialne szyki. Mógłby przecież ożenić się z Litworzanką!

Teodozja nadal była piękną kobietą, czasami przelotnie ją widywał. Przykuła jego uwagę jeszcze na długo przed wojną, gdy spotkał ją podczas balu w Krakowie. Do Lwowa jeździł właśnie z myślą o tym, że może znowu zobaczy ją przypadkowo na ulicy. Nie, nie zamierzał podchodzić, by ją zagadnąć, ale pragnął popatrzeć na nią choćby z daleka. Jego oczy głodne były jej widoku. Wiedział, że to absurd. Przecież uciekł do Sambora właśnie po to, by uniknąć sytuacji, gdy mógłby się na nią

natknąć. Rozum i serce jednak prawie nigdy nie idą ze sobą w parze i każde ciągnie w swoją stronę.

Nikodem chadzał więc do teatru, kinematografu, przesiadywał w klubach i kawiarniach, chociaż czuł, że tam nie ujrzy kobiety, która z jakichś zadziwiających powodów żyła niemalże niczym mniszka, poświęcając się wyłącznie pracy w szpitalu. Często odwiedzał Piotra. Niekiedy zaglądał też do Emila, bardziej po to, aby rozmówić się z lekarzami i zasięgnąć informacji o rokowaniach. Przede wszystkim jednak spacerował lwowskimi ulicami i zachodził do parku, w którym niegdyś widywał Litworzankę. Teraz jednak szczęście mu nie dopisywało.

Wyrzucał sobie, że postępuje jak głupiec, ponieważ dawno temu powinien był przestać myśleć o Teodozji. A jednak im więcej czasu upływało od ich ostatniej rozmowy, tym większa tęsknota go ogarniała.

Może jednak powinienem spróbować się z nią spotkać? Może gdybyśmy porozmawiali, to cały afekt wyparowałby z mojego odurzonego umysłu? Ona pewnie spojrzałaby na mnie z pogardą. Rzuciłaby kilka cierpkich słów i kazała pójść precz – rozmyślał.

Tego dnia było wyjątkowo zimno – jak to u schyłku jesieni, gdy światem zaczyna rządzić sroga zima. Nikodem, choć było to wbrew logice, znowu wybrał się do Lwowa, aby przejść się tymi samymi ulicami miasta, na których stawiała kroki Litworzanka. Powinien zostać w domu, ponieważ od rana drapało go w gardle i nawet czuł co rusz nieprzyjemne dreszcze, a skroń zaczynała pulsować tęnym bólem. Mimo to jednak pojechał.

Jestem głupcem – urągał w duchu sam sobie, krążąc w okolicach cmentarza Łyczakowskiego. Zdążył solidnie przemarznąć, więc pomyślał, że nie wróci od razu do Sambora,

lecz najpierw pójdzie w odwiedzinę do brata, tam się trochę zagrzeje, a potem pojedzie do domu.

Zaledwie przestąpił progi mieszkania, poczuł się jeszcze gorzej. Myślał, że to skutek przewiania przez zimny wiatr, lecz nie był w stanie się rozgrzać. Mimo że Adela posadziła go przy kominku, siedział i dygotał niczym w febrze.

– Może ty jesteś chory? Na pewno złapałeś bolszewicką zarazę! – przestraszył się Piotr.

– Nie. Nie wydaje mi się. Nikt z moich znajomych nie choruje. Skoro nie zaraziłem się od Karola czy Emila, to czemu teraz miałaby mnie złożyć? Zresztą zaraza jest już chyba w odwrocie. Coraz mniej słyszy się o tym, by ludzie na nią zapadali.

– Co ty pleciesz? Właśnie teraz najwięcej osób zмага się z gorączką i krwawym kaszlem. Wielu cierpiących trafia do szpitali, ponieważ w domu nie są w stanie zaradzić niedyspozycji. Musi cię zbadać lekarz – orzekł mężczyzna.

– Szkoda zachodu – stwierdził Nikodem. – Trochę tylko przemokłem i zmarzłem. Nic mi nie jest.

Brat pokręcił głową z dezaprobatą. Odprawił Helenkę do pokoju dzieciennego, by nie narażać jej na ewentualne zakażenie.

– Ładne mi trochę! – zauważył, gdy nagle Nikodem zaniósł się nieprzyjemnym kaszlem. Z miejsca ogarnęła go groza, że znowu on i jego bliscy wystawieni są na ryzyko. Przez chwilę namyślał się, co powinien zrobić. Odsyłanie brata do Sambora było niedorzeczne, gołym okiem widać było, że Nikodem opadł z sił i nie dowlóklby się nawet z postoju dorożek do peronu, nie mówiąc o dalszej podróży. Jechać z nim? Niepodobna! Zresztą chory mógłby zarazić matkę, a tego Piotr, mimo ogromu żalu, jaki żywił do rodziców, nie chciał. – Powinieneś natychmiast położyć się do łóżka. Nie puszczę cię w tym stanie do Sambora.

Wyślę do matki umyślnego z wiadomością, że zatrzymasz się u nas kilka dni. Niech od ciebie dadzą znać do kancelarii, że cię nie będzie.

– Ale po co tyle ceregieli? – protestował Nikodem, jednak pan domu był nieustępliwy.

– Chodź do gościnnej sypialni, szkoda, abyś się tu męczył. Przecież widzę, jak cię telepie febra, a czoło masz zroszone, jakbyś się wodą pochlapał.

– Nie chcę ci robić kłopotu. Odetchnę chwilę, zagrzeję się i pojedę.

Wieczorem okazało się, że Piotr miał słusność, bowiem stan zdrowia Nikodema raptownie się pogorszył.

Mężczyzna zaczął się sumitować, że nie powinien zostawać w domu brata, by nie pozarażać domowników, a szczególnie Helenki. Było jednak za późno na skrupuły. Nikodema opanowała gorączka tak silna, że zaczął bredzić, przyzywając to anioła, to jakąś pannę. Wyciągał ręce ku majakom, jakby chciał je pochwycić, potem bezwładnie opadał na poduszki.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł, aby tutaj pozostał – westchnęła Adela, układając na czole chorego zimny kompres. – Nie jestem w stanie mu pomóc. Boję się o Helcię. To musi być czerwona influenza.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa szwagier ponownie zaniósł się kaszlem, a na jego wargach pojawił się krwisty ślad. Choroba postępowała nader szybko.

Strzeleccy spojrzeli po sobie.

– Boję się, Piotrusiu. Nie chcę przez niego zachorować! Nie chcę umrzeć jak Maria i Berenika! – wspomniała szwagierka. – Błagam, zrób coś! Nie możesz nas narażać! – W jej głosie słychać było panikę.

– To mój brat. Nie mogę odmówić mu pomocy.

– Ależ ja cię o to nie proszę. Uważam jednak, że miejsce Nikodema jest w szpitalu. Tam będzie miał większe szanse na to, że go wyleczą. Może zrobią mu jakiś zastrzyk, podadzą odpowiednią dawkę aspiryny... Na pewno mają różne sposoby...

Patrzyła błagalnie na ślubnego. W jej oczach widać było strach przed epidemią.

Piotr skinął powoli głową, a następnie opuścił sypialnię, w której tymczasowo ulokowali Nikodema.

Krynica

– Czym się tak frasujesz, dziecino? – zagadnęła Felicyna, głaszcząc suchą, pomarszczoną dłonią policzek przybranej córki.

Panie siedziały samotnie w mniejszej bawialni domu Pod Lipami, wygrzewając się przy kominku. Za oknem szalała jesienna szaruga, a wicher wył niczym stado wilków. W tym czasie Filip analizował plany budowy nowego hotelu i skrupulatnie wyliczał, jakie będzie zapotrzebowanie na poszczególne materiały. Lucjan powtarzał lekcje pod czujnym okiem guwernera, gdyż następnego roku miał rozpocząć naukę w Krakowie, Beata natomiast odbywała lekcję tańca – z sąsiedniego pokoju dobiegały dźwięki pianina oraz polecenia rzucane przez metra.

– Żal mi Teodozji, mateczko. Nie mogę przestać o niej myśleć – wyznała Aurelia, wyrwana z głębokiej zadumy. Po rozmowie z Konstancją poczuła się odrobinę uspokojona w kwestii jednego z wychowanków, teraz uporczywie wracał drugi problem. Teodozja i Stanisław, choć samodzielni, wciąż byli powodem jej zmartwień.

– Cała ty, stale musisz się o kogoś troszczyć. Wiem, że boisz się o Teosię, ciągle ma biedactwo styczność z hiszpańską influencją.

Ja też się niepokoję. Ale musimy ufać, że skoro tak długo opierała się chorobie, to znaczy, że jest na nią odporna.

– Tak, tak... – odparła córka. – Ale mnie martwi nie tylko epidemia. To właściwie nawet mniej spędza mi sen z powiek, ponieważ prasa donosi, że faktycznie z każdą falą zachorowań jest coraz mniej. Ja troszczę się o to, co dzieje się w głowie Teodozji. Mam wrażenie, że ta dziewczyna jest okropnie osamotniona. Z listów, które od niej otrzymuję, wynika, że praktycznie poza szpitalem nie ma żadnego punktu zaczepienia. Nie spotyka się z nikim, nie ma przyjaciół, koleżanek. Ba! Nie ma tak na dobrą sprawę nawet znajomych. I o ile wiem, nie koresponduje już z nikim więcej, tylko ze mną. Wiesz, mateczko, jakie to musi być przygnębiające uczucie, gdy jest się tak bardzo samotną wśród ludzi? Gdy nie masz przy sobie nikogo życzliwego, ani jednej poczciwej duszyczki, która powie choć dobre słowo, z którą można spędzić wolny czas, dobrze się bawiąc lub po prostu milcząc? Ta nieszczęśnica nie ma przy sobie absolutnie nikogo. Żadnej powiernicy trosk, żadnej istoty, z którą dzieliłaby się radościami.

– Tak... – Felicjta westchnęła przeciągle. – Teodozja zawsze była typem samotnicy. Z nikim się nie zaprzyjaźniała. Kiedyś dość blisko była z Klarą, ale wiem od mej siostrzenicy, że całkowicie straciła z nią kontakt. Boguszowa wciąż ma do mnie żal... – urwała, czując, że padło o kilka słów za dużo.

– O co? – zdziwiła się Aurelia. Nigdy wcześniej matka nie wspominała o żadnych utarczkach z Klarą. A Drzewicka--Rapacz wychodziła z założenia, że z racji wieku matce należy się wyłącznie szacunek i nikt nie powinien zakłócać staruszce spokoju żadnymi pretensjami.

– Ech... Nie ma o czym mówić – stwierdziła matrona.

– Powiedz mi, proszę, bo nie zaznam spokoju. Co tym razem Klara ma mi do zarzucenia, bo zakładam, że cokolwiek się dzieje, jest to moja wina – powiedziała z przygnębieniem. – Chodzi o Teosię, czy tak? Jest zła, że siostrzenica została starą panną czy raczej że ponownie puściłam ją do Lwowa, gdzie naraża zdrowie i życie?

– Dziecko moje kochane! Znasz dobrze Boguszo, więc nie będę ci opowiadała bzdur. Wiesz, że potrafi trajkotać niczym katarynka, zasypując pretensjami wszystkich i o wszystko. Już by mogła sobie darować wiele rzeczy, nie jest wszak młodką. Idzie jej na szósty krzyżyk. Przychodzi taki czas w życiu każdego człowieka, gdy powinno do niego dotrzeć, że nie wszyscy nagną się do jego widzimisię. I że niekiedy trzeba pozwolić innym, by żyli po swojemu, a uwagę skupić na własnych sprawach. Bo od wtykania nosa w cudze sprawy może on się niebezpiecznie wydłużyć i wyruszyć na spotkanie z podbródkiem – skomentowała ironicznie, gdyż dobiegająca sześćdziesiątki Klara wybitnie zaczęła brzydnać, a wzmiankowane części twarzy faktycznie wyglądały, jakby zamierzały zawrzeć ze sobą bliższą znajomość.

– Ha! A więc jednak! Śmiała cię niepokoić? A to mała! – stwierdziła nader niedyplomatycznie Aurelia. Było to do niej tak bardzo niepodobne, że Felicyta parsknęła śmiechem.

– Nie unoś się, moja ty pocieszko. Mnie Klary gadanina nie wzrusza. Staropanieństwo natomiast było wyborem Teodozji. Podobnie jak osamotnienie i brak przyjaciół. Nawet jako młoda dziewczyna nie miała żadnej bliskiej towarzyszki, traktowała inne dziewczęta jak konkurencję w drodze na ślubny kobierzec. A później tak bardzo ją pochłonęła nauka, że po trosze z przyzwyczajenia, a po trosze z braku czasu nie próbowała się z nikim zżyć.

Aurelia westchnęła nieznacznie.

– To prawda. Ale ja odnoszę wrażenie, że ta samotność, będąca wyborem, nie ma źródła w charakterze Teodozji.

– Owszem. Bierze się stąd, że Teosia nikogo nie lubi. Tak zwyczajnie – skwitowała matka. – I właśnie z tego powodu nikt nie próbuje jej polubić. Ona jest jak jeź z wiecznie nastroszonymi kolcami, do którego strach podejść. My ją kochamy, bo dorastała pod naszą opieką. Ale nikt więcej nie jest jej przychylny. Niestety.

– Poniekąd muszę się z tobą zgodzić. Ale myślę, że osamotnienie Teosi bierze się chyba stąd, że Teodozja samej siebie nie lubi i że karze się za jakieś przewiny, może za grzechy ojców, może za coś jeszcze innego. Biedna dziewczyna. To straszne nieszczęście, gdy nie ma się przy sobie ani jednej życzliwej istoty. Nawet Konstancja i Staś, choć zaprosili ją na swoje wesele i ostatecznie stwierdzili, że puszczają w niepamięć to, że chciała ich ze sobą poróżnić, trzymają się od niej na dystans. Tak jakby wybaczenie było zaledwie połowiczne.

– Nic na to nie zaradzimy. Czas jest najlepszym lekarzem. Jedynie on może uleczyć poranione dusze.

Kobiety zamilkły. Aurelia pomyślała, że nawet jeśli miałyby tym irytować Teodozję, nie może ustawać w próbach przywrócenia jej na łono rodziny. W jej odczuciu Lwów stanowił formę wygnania. I jeszcze że musi stać za wychowanicą murem, by Litworzanka wiedziała, że ma w niej oparcie i jest na świecie ktoś, komu bardzo na niej zależy.

Lwów

Teodozja przetarła czoło wierzchem dłoni. Mimo że w szpitalnych salach panował lekki chłód, sukienka lepiła się do jej ciała. Od wielu dni pielęgniarka znowu uwijała się

niczym w ukropie, gdyż wciąż przybywało pacjentów zarażonych grypą hiszpańską – tak przynajmniej zwano ją w szpitalu, ponieważ wśród mieszkańców Lwowa upowszechniły się również inne nazwy. Lekarze jednak powoływali się na to, że najprawdopodobniej pierwsze ogniska zarazy wyszły z Hiszpanii, choć pewni tej informacji nie byli. To w tamtejszej prasie jeszcze w trakcie wielkiej wojny skwapliwie pisano o ogromnej liczbie zachorowań. I podczas gdy w ubiegłym roku w Europie wciąż trwały boje, mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego zmagali się z tajemniczą plagą, która pojawiała się co jakiś czas, by przez kilka tygodni zbierać gigantyczne śmiertelne żniwo, a potem samoistnie znikać, aby wrócić niebawem. Niektórzy medycy skłaniali się ku stwierdzeniu, że w krajach zamieszanych w konflikt zbrojny unikano rozpisywania się o dodatkowej pladze nękającej ludzkość, natomiast Hiszpania, która pozostawała krajem neutralnym, nie ukrywała przed światem problemów z epidemią. Teosia też skłonna była twierdzić, iż zaraza ma charakter ogólnonarodowy, gdyż w ostatnim roku wojny, pracując w lazaretach, częściej opiekowała się ofiarami zarazy niż rannymi wskutek działań militarnych. Grypa kładła do łóżek silnych i zahartowanych mężczyzn w kwiecie wieku, którzy teoretycznie powinni być odporni na przeziębienia. W lwowskim szpitalu Teosia skonstatowała, że zaraza najczęściej sieje spustoszenie wśród młodych ludzi, rzadziej widywało się chorujących starców czy dzieci.

– Cóż to za okropna choroba, że łamie najsilniejszych? – zastanawiała się niekiedy pielęgniarka.

Tym razem wszystko przebiegało jak zazwyczaj: po kilku tygodniach względnego spokoju, gdy już mogło się wydawać, że choroba jest w odwrocie albo wręcz wygasła, do szpitala

zaczęły nagminnie zgłaszać się osoby z niepokojącymi objawami. Lekarze pozostawali praktycznie bezradni i starali się leczyć pacjentów intuicyjnie. Podawano więc chorym ogromne dawki aspiryny, choć pokątnie mawiano, że zbyt duża ilość leku może zabić pacjenta, stosowano substancje na bazie jodu i formaliny, kofeinę, kamforę, a nawet strychninę. Części osób to pomagało, inni kończyli w kostnicy.

Siostry miłosierdzia oraz świeckie opiekunki uwijały się niczym w ukropie, nie nadążając ze zmianami bielizny pościelowej, podawaniem leków i opieką nad ludźmi osłabionymi przez wycieńczające przypadłości. Dla własnego bezpieczeństwa zasłaniały nosy i usta bawełnianymi przepaskami, wierząc, że to uchroni je przed zakażeniem.

Rano Teodozja otrzymała list, w którym ciotka błagała ją o powrót do Krynicy. Trochę ją rozczułało przywiązanie Aurelii. Nie pojmowała, jakim cudem Drzewicka-Rapacz odnajduje w sobie pokłady życzliwości wobec niej: rogatej duszy, która potrafi tylko jątrzyć i krzywdzić innych. Myśl o tym była niczym ciepły opatrunek na zbolące serce Litworzanki. Teosia nie chciała jednak przysparzać ciotce jeszcze większych trosk, a tym niewątpliwie byłby powrót do uzdrowiska.

Pielęgniarka wędrowała od łóżka do łóżka, podając termometry chorym na hiszpańską influencę. Zauważyła, że od wczoraj przybyło kilku nowych pacjentów. Chwilę dłużej zatrzymała się przy jednym z łóżek, gdyż uświadomiła sobie, że zna leżącego na nim mężczyznę.

Powinien skończyć – pomyślała z niechęcią, rozpoznając Nikodema. Znała już powód, dla którego Strzeleccy przez wiele lat nie utrzymywali stosunków z ciotkami. Z uwagi na Aurelię, która była Bogu ducha winna w tym sensacyjnym zamieszaniu,

Teosi było przykro. Uważała, że afront ze strony Strzeleckich jest wyjątkowo krzywdzący właśnie dla jej opiekunki.

Tęskniła za Aurelią. Sama była zaskoczona tym, jak bardzo brakowało jej przyjaznych ciotczyńskich dłoni. Delikatnego dotyku, ciepłego głosu, codziennej troski. *To jedyna istota na świecie, która kocha mnie prawdziwie* – przeszło jej przez myśl.

Wyjęła ze słoja kolejny termometr. Ostrożnie nim potrząsnęła, spojrzawszy na skalę, a następnie wsunęła go w usta pacjenta nieprzytomnego od maligny. Mężczyzna poruszył się niespokojnie. Z obawy, by nie uszkodził delikatnego urządzenia, musiała przy nim pozostać. Takie były zalecenia lekarzy. Chorych, którzy byli przytomni, mogła zostawiać bez nadzoru na czas mierzenia temperatury.

Nieco później zerknęła na podziałkę. Wskazywała ponad czterdzieści stopni. Od razu więc zaaplikowała rozpuszczoną w wodzie aspirynę – tak jak zalecał sprawujący pieczę nad oddziałem doktor. Poila Nikodema ostrożnie, by się nie zakrztusił. Potem jeszcze położyła na jego czole zimny kataplazm.

– Aniele... Aniele... – wyjęczał nieprzytomny.

Zrobiło jej się go żal. Nic jej nie zawinił. Pewnie niełatwo mu było zmagać się z ciężarem win swych rodziców. Ojciec: złodziej i samobójca. Matka: zdradziecka żmija, która zostawiła powinowatą na łasce losu. Teraz, gdy Teodozja знаła tę ponurą historię, spoglądała na niego nieco innymi oczami. Bez trudu mogła sobie wyliczyć, że gdy doszło do przestępstwa, był młokosem niemającym na nic wpływu. Pomyślała wręcz, że ich dola jest nieco podobna – stali się wyrzutkami, których jedyną skazą byli nieuczciwi przodkowie.

– Anioł Stróż na pewno nad tobą czuwa – wyszeptała – skoro trafiłeś pod opiekę lekarzy.

W domu miałyby znacznie mniejsze szanse na przeżycie, choć i w szpitalach umierało mnóstwo chorych.

Wieczorem usiadła przy stoliku w swoim pokoju, by skreślić list do Aurelii. Zastanawiała się, czy powinna wspominać o Nikodemie, ponieważ w gruncie rzeczy nie miała pojęcia, jaki jest stosunek ciotki do kuzynów. Może nie darzyła ich niechęcią?

Przygryzła obsadkę pióra, potem zanurzyła je w kałamarzu.

Nikodem odnosił wrażenie, jakby całe jego ciało zostało odlane z ołowiu. Każda część zdawała się nad wyraz ciężka. Znacznie gorszy był jednak ból, który kąsał dotkliwymi skurczami. Strzelecki nie miał sił nawet na to, by jęczeć. Trawiła go gorączka. To dygotał z zimna, to oblewały go fale potu. Majaczył. Widział jakieś dziwne obrazy – czasami bezkształtne, jakby surrealistyczne, pozbawione logiki. Innym razem tak bardzo wyostrzone, że aż nie mógł ich znieść. Przed oczami przesuwiał mu się korowód twarzy: groteskowo wykrzywionych, starczych, wysuszonych na wiór. A czasami pomiędzy nimi pojawiał się anioł w bieli z maseczką zakrywającą usta i nos. Mimo to rozpoznawał w aniele Teodozję – jej oczu nie był w stanie wyrwać z pamięci. Były tyleż piękne, co dojmująco smutne. Gdy przed laty spotkał ją we Lwowie po raz pierwszy, właśnie ten smutek najmocniej go ujął. Czuł, że intrygująca panna przeżyła jakąś wielką tragedię. Może stąd ucieczka w pracę nielicującą z dobrym urodzeniem dziewczyny?

Ta myśl pojawiła się w jego głowie dawno temu, nim zachorował. Teraz gdy w krótkich przeblyskach wracała mu świadomość i niewypowiedzianie cierpiał, smukłe palce

Teodozji przynosiły ukojenie. Kładły na jego czole kompres, podawały leki, poiły go bulionem. Niby to samo czyniły szarytki, lecz ich obecność nie miała tak zbawiennego wpływu na Nikodema. Przyzywał więc spieczonymi gorączką wargami swego anioła.

Teodozja pochyliła się nad Strzeleckim. Kompres wymagał zmiany, zagrzewał się bardzo szybko, a wówczas stawał się bezużyteczny. Mężczyzna właśnie się przebudził. Wpatrywał się w nią dość przytomnie. Czy ją rozpoznał w czepku i masce? Zasadniczo było jej to obojętne, zresztą jak wszystko, co działo się wokół niej, odkąd ujrzała grób Augusta. Tamtego dnia jej serce częściowo obumarło. Uczucia wyparowały z niego niemalże do cna – może poza przywiązaniem do Aurelii, i służyło jedynie do tego, by pompować krew. Niezawodna maszyna, która nie chciała się zatrzymać.

Gdy ułożyła na czole Nikodema świeżo schłodzony okład, mężczyzna delikatnie złapał ją za nadgarstek.

– Aniele... Aniele mój... – wyszeptał z wysiłkiem.

Chociaż nie mógł tego zobaczyć, uśmiechnęła się. Nikt nigdy nie określił jej mianem anioła. Miała czarną niczym noc duszę z wypalonym na niej piętnem córki morderców. Była kobietą upadłą, ładacznicą, która samym istnieniem wiodła ku pokusie żonatego mężczyznę. To przez nią zginął August – został ukarany za grzech niewierności, tak sądziła. Daleko jej było do niewinności dobrego ducha.

– Nie jestem aniołem. To ja, Teodozja. Nie poznaje mnie pan, Nikodemie? – zagadnęła.

Przez chwilę się zawahała, ponieważ było to złamaniem zasady obowiązującej w szpitalu, lecz sięgnęła dłonią do maski, by na moment ją uchylić. Nie bała się zarazy dziesiątkującej

populację. Skoro nie zachorowała do tej pory, znaczyło, że jest na nią odporna.

– Wiedziałem, że to ty. Jesteś aniołem – odparł. – Trzymasz mnie przy życiu, choć mogłabyś się ode mnie odwrócić.

Był wycieńczony chorobą, więc jego dłoń opadła bezwładnie na pościel.

Litworzanka nie wiedziała, co powiedzieć. Poczowała jednak przyjemne ciepło w okolicy serca. Dobrze było mieć świadomość, że ktoś docenia jej wysiłki i nie uważa jej za złą istotę.

Sambor

Kiedy do Zuzanny dotarły wieści o chorobie Nikodema, kobieta wpadła w popłoch, że oto wyładowała na tym okropnym wygnaniu, z dala od rodziny, znajomych i bez jakiegokolwiek oparcia w kimkolwiek.

– Boże... Błagam! Nie zabieraj mi również jego! Wiem, że nie zasługuję na Twoją łaskę, mam na sumieniu ciężką przewinę, ale mimo to błagam, nie zabieraj mojego ukochanego syna – jęczała na głos w swoim wielkim, lecz boleśnie pustym mieszkaniu.

Co z tego, że ocaliła część majątku i miała środki do życia na godnym poziomie, skoro los kolejny raz okrutnie ją doświadczał? Wszak poniosła już ogromne straty. Co się stało z jej liczną rodziną, z której jeszcze do niedawna była taka dumna?

Gdy wielka wojna dobiegła końca, Strzelecka odetchnęła z ulgą – przetrwali piekielne czasy bez żadnego uszczerbku. Nawet nie zubożeli jakoś szczególnie, gdyż kamienice stanowiły stabilne źródło dochodów.

Wszystkie nieszczęścia świata przyplątały się znacznie później, gdy najpierw zaraza zaczęła zabierać jej bliskich, potem pojawił się prawnik z roszczeniami w imieniu Matyldy, następnie mąż odebrał sobie życie. Tylko w Nikodemie miała oparcie, na nikogo więcej nie mogła liczyć. Co będzie, gdy i on umrze? Czy przyjdzie jej na stare lata tułać się po wybrzeżu lub wręcz emigrować za ocean? Na pomoc ze strony Piotra nie oczekiwała, on miał największe pretensje o niecny czyn z przeszłości. Teraz gdy Nikodem był w szpitalu, Piotr nie wyraził zgody na to, by matka do niego przyjechała. Tłumaczył się koniecznością zachowania kwarantanny, gdyż on, jego żona i córka mieli bezpośrednią styczność z czerwoną influencją. Nie chciał narażać matki na ryzyko – tak to wytłumaczył w liście, który przesłał nie pocztą, lecz poprzez posłańca. Lepiej więc niech mateczka pozostanie w Samborze. Nikodem jest w szpitalu pod najlepszą opieką. Piotr nie poskąpił na ten cel funduszy i opłacił dla brata osobny pokój oraz dbające o jego komfort szarytki. Nic więcej nie można było zrobić. A o wizycie w szpitalu w ogóle nie ma mowy. Gdyby coś zaszło, da matce znać.

Gdyby coś zaszło... Gdyby zaszło... – powtarzała te słowa w umyśle niczym mantrę, zaklinając rzeczywistość, by tym „zajściem” nie była śmierć Nikodema.

Lwów

Śmierć wciąż upominała się o ofiary zarazy, lecz o Strzeleckim najwyraźniej zapomniała. Choć na początku wydawał się beznadziejnym przypadkiem, powoli wracał do zdrowia. Dzięki życzliwej pomocy Litworzanki wymienił nawet korespondencję z zatroskaną matką. Musiał ją uspokoić, ponieważ zdawał sobie sprawę, że pewnie szaleje ze strachu.

Z każdym dniem samopoczucie mężczyzny ulegało poprawie, więc gdy tylko do jego pokoju zaglądała Teodozja, mobilizował wątpliwe siły, by choć chwilę porozmawiać z pielęgniarką. Ona jednak spełniała swe powinności i czym prędzej odchodziła – spieszyła się do innych pacjentów. Mimo wszystko cenił każdy moment, gdy była obok: jednakowo pracowita i zarazem smutna. Tylko raz jej oczy zajaśniały uśmiechem: tego dnia, gdy pierwszy raz świadomie nazwał ją swym aniołem.

Po dwóch tygodniach wypisano go ze szpitala. Wciąż był osłabiony i właściwie ledwo trzymał się na nogach, lecz jego stan oceniono na wystarczająco dobry, by jako ozdrowieniec ustąpił miejsca komuś bardziej potrzebującemu.

Żałował, że tego dnia Teodozja miała wolne, nie śmiał jej prosić, by przyszła się z nim pożegnać, chociaż pragnął podziękować za solidną opiekę. Pomyślał jednak, że uczyni to niebawem. Na razie chciał wrócić do miejsca, które umownie nazywał domem, choć jeszcze nie zdołał w Samborze poczuć się jak u siebie.

Sambor

Podróż pociągiem mocno dała się we znaki Strzeleckiemu, więc po krótkim przywitaniu z matką odszedł do swego pokoju. Przespał niemalże cały dzień i pół nocy. Obudził się, gdy na zewnątrz panowały ciemności. Sen go pokrzepił, więc po przebudzeniu Nikodem od razu wstał. Chciał się ubierać, lecz rzut oka na zegarek powstrzymał go przed tym krokiem.

Mężczyzna wyjrzał na ulicę oświetloną mdłym światłem gazowej latarni.

Żyję, chociaż powinienem być martwy, jak część mojej rodziny. To cud – pomyślał. – Czyli jednak cuda czasami się zdarzają. Może więc stanie się jeszcze jeden?

NADZIEJE

Powroźnik

Latem i jesienią niewiele było czasu na zajmowanie się sprawami innymi niż gospodarskie. Ale zimą Łemkowie znowu zaczęli się aktywizować. Dymitr, najbardziej zaangażowany spośród wszystkich Juraszków, chodził na zebrania zwoływane przez działaczy ludowych, głównie Jarosława Kaczmarczyka¹⁵, Wiktora Hładyka oraz Zacharego Kopystiańskiego¹⁶, którzy wciąż agitowali na rzecz utworzenia łemkowskiego rządu. Sprawy nabierały rozpędu, a Dymitr wpadł w optymizm na tyle duży, by poprosić brata o wsparcie finansowe dla tych działań.

Witalis wciąż nie był w pełni przekonany, czy warto liczyć na zaangażowanie ze strony Czechosłowaków, jednak wysupłał nieco oszczędności na ten cel. Wyjątkowo nie wdawał się z bratem w dyskusje na ten temat, aby nie doszło pomiędzy nimi do kolejnego konfliktu.

Rok 1920

Krynica

Temat ożenku wracał w domu Trelewiczów coraz częściej. Idalia wciąż suszyła głowę Józefowi, że najwyższa pora założyć rodzinę. Wszak nie samą karierą człowiek żyje.

– Kiedy ja nie mam chęci ku żadnej pannie – przyznał pewnego dnia dość niefrasobliwie.

– Och! – prychnęła Idalia. – A kto mówi o chęciach? Potraktuj to jak powinność względem własnej przyszłości. Nie chcesz

chyba zostać sam na stare lata? Masz już ładną praktykę, dobrze ci się wiedzie. Na co czekasz? Aż najatrakcyjniejsze dziewczęta powychodzą za mąż? Zważ, że coraz więcej małżeństw zawierają ze sobą rówieśnicy. Mężczyźni wcześniej się żenią niż przed wojną. Za moment może się okazać, że w oczach panien jesteś zbyt stary – stwierdziła z goryczą, gdyż syn dobiegał czterdziestki.

W rzeczy samej Józef nieco rozminął się z prawdą, bowiem w jego sercu, niczym zadra, tkwiła Teodozja Litwora – panna, której niepodobna kochać i której Idalia zapewne nie zaakceptowałyby nigdy w życiu.

A może jednak?

Wszak Litworzanka już dawno przestała być obiektem plotek. Ludzie przeszli do porządku dziennego nad specyficzną drogą życiową, którą dla siebie obrała. Prowadziła się chyba dobrze, ponieważ do Krynicy, która bądź co bądź mocno była powiązana ze Lwowem, choćby poprzez stale przyjeżdżających kuracjuszy, nie docierały żadne plotki na jej temat. Ktoś kiedyś wspomniał, że zajęta jest pracą. Nie bywa w teatrze, kawiarniach, nie uświadczysz jej na balu.

Może pokutuje za Orzechowskiego? – przyszło mu na myśl. Uczepił się tej koncepcji i wkrótce uznał ją za jedyną słuszną. Doszedł do wniosku, że Teodozja, świadoma, jak bardzo zbłądziła, spoufalając się z żonatym mężczyzną, sama nałożyła na siebie karę. Być może nawet sprawy pomiędzy nią a Orzechowskim wcale nie zaszły aż tak daleko, jak to sobie wyobraził? Może poprzestali jedynie na pocałunkach?

Żałował, że przegapił najlepszy moment na rozmowę z Litworzanką, gdy ta przyjechała do Krynicy z króciutką wizytą z okazji świąt Bożego Narodzenia. Miał okazję ją wówczas zobaczyć na ślizgawce urządzonej na deptaku.

Podobno wyjechała następnego dnia. Gdyby poszedł z wizytą do domu Pod Lipami, na pewno mile by go tam przyjęto, zresztą jak zwykle. Mógłby wówczas zaprosić Teodozję na spacer.

Lwów

Nikodem długo wracał do pełni sił. Chciał tego czy nie, musiał na razie poniechać wyjazdów do Lwowa. Już sam powrót do kancelarii wiązał się dla niego z nie lada wysiłkiem, lecz nie chciał utracić dobrej posady, a nie wyobrażał sobie, by miał być na utrzymaniu leciwej matki. Ostatecznie jednak, tuż po Nowym Roku, postanowił udać się do szpitala w nadziei, że spotka Teodozję. Nabył u cukiernika pudełko wybornych pralin, we Lwowie zaopatrzył się także w kwiaty, choć żywił obawę, że może je zwarzyć mróz. Nie bał się już zarazy, był ozdowieńcem, lecz o wejściu do szpitala nie było mowy z uwagi na obostrzenia związane z panującą epidemią. Nie pozostawało mu więc nic innego, jak zaczekać w pobliżu i zdać się na los. Na ile zdążył poznać przyzwyczajenia Teodozji, mógł zakładać, że wyjdzie na przechadzkę. Postanowił, że nawet jeśli tego dnia mu się nie powiedzie, to będzie wracał aż do skutku. Ewentualnie może o nią rozpytywać wychodzących z gmachu ludzi.

Szcście dopisało mu nadzwyczaj szybko.

– Kwiaty dla mnie? – zdziwiła się na widok wiązanki.

– Tak. To w podzięce za opiekę w czasie choroby – oznajmił, wręczając jej lekko przywiedłe róże.

– Dziękuję, lecz nie trzeba było. Robiłam to, co należy do moich obowiązków.

– A jednak nalegam na przyjęcie podziękowań – odparł mężczyzna. – I zapraszam pannę na kawę.

– Czy wszystkim opiekunkom dziękuje pan w taki sposób? – zapytała filuternie, mając w pamięci posępne oblicza szarytek.

– Nie. No dobrze: przyłapała mnie panna. Nie chodzi tylko o wdzięczność. Miałem nadzieję, że zechce panna ze mną zamienić parę słów. Czuję się nader niezręcznie – przyznał. – Ale może chodźmy do kawiarni. Zimno dzisiaj, a ja wciąż odczuwam skutki grypy – dodał szczerze.

– W porządku. – Skinęła głową. – Lepiej, by pan nie przemarzył. Grypa to jedno, zapalenie płuc to drugie. Następnym razem mógłby pan nie mieć tyle szczęścia.

Udali się do pobliskiej kawiarni.

– Zdziwiająca – stwierdziła Teosia. – Jestem tutaj od roku, wcześniej też dość długo przebywałam we Lwowie. A jednak po raz pierwszy goszczę w miejscu innym niż moje skromne mieszkanko, szpital, park bądź kościół.

– Nigdzie panna nie bywa?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Samotnej kobiecie wiele rzeczy po prostu nie wypada. Zresztą nie przyjechałam tutaj dla rozrywek, lecz po to, aby pracować.

Zdało mu się, że w tonie jej głosu zadźwięczało jakieś niedopowiedzenie. Spojrzał wyczekująco na Litworzanę.

– Naprawdę tylko praca? Proszę wybaczyć śmiałość, lecz czy przypadkiem nie ucieka panna przed niczym?

Popatrzyła na niego z zaskoczeniem.

– Skąd takie przypuszczenia?

– Widzę w pani oczach ogrom bólu i smutek. Proszę darować mi szczerość. Otarłem się o śmierć, a to zmienia perspektywę i daje śmiałość mówienia wprost o tym, co dawniej sugerowałbym w sposób pokrętny. Czasy się zmieniają. Nasze

sztywne zwyczaje ulegają rozluźnieniu. Przepraszam, jeśli pannę uraziłem.

– Nie ma za co przepraszać – odparła.

Przez moment zastanawiała się nad motywami postępowania Nikodema. Czego od niej chciał? Nie wierzyła w bezinteresowność. Wszak jego rodzice byli szczywanymi lisami.

Nie! Nie tędy droga, Teodozjo! – skarciła się w duchu. – *Ty wiesz najlepiej, że nigdy nie wolno mierzyć dzieci tą samą miarą, którą stosuje się do ich rodziców. A może jednak wolno?*

Sama już nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Od lat targały nią sprzeczne uczucia.

– Założmy, że nie omylił się pan w mojej ocenie. Lecz nim szczerze panu odpowiem, co mną powoduje, chciałabym wiedzieć, co naprawdę pana do mnie sprowadziło.

– Zauroczenie i chęć sprostowania pewnego faktu.

– Zauroczenie? – jęknęła, gdyż potwierdził jej najgorsze obawy.

Nie chciała kolejnego kłopotliwego absztyfikanta. Miłość pokaleczyła ją już wystarczająco mocno. Cóż... Jeśli ją do tego zmusi sytuacja, wyzna temu człowiekowi prawdę. Było jej obojętne, co o niej pomyśli oraz czy wykorzysta wiedzę na własny użytek, choćby po to, by jej zaszkodzić. Miała wprawę w odtrącaniu niepożądanych zalotników. Józefowi Trelewiczowi wystarczyło posłać odpowiednio chłodne spojrzenie, by opuszczał go rezon. A przecież gdyby tylko zechciała, z łatwością owinęłaby sobie daktorka wokół palca. Podczas uroczystości weselnej brata zaświtała jej w głowie myśl, że może jednak dobrze byłoby wyjść za mąż i mieć obok siebie drugiego człowieka. Kogoś, kto otuli ciepłem w chłodne noce i opromieni świat za dnia. I że czemu niby tym

człowiekiem nie miałyby być Józef? Że być może wystarczy już tego miotania się i przyszedł czas na spokojną stabilizację.

– Tak. Zauroczenie – powtórzył Strzelecki, a następnie z jego ust popłynęła opowieść o tym, jak to jeszcze przed wojną podczas balu w Krakowie poprosił do tańca pannę, która wywarła na nim piorunujące wrażenie. I jak w tańcu rozpoznał w niej powinowatą osoby, z którą rodzice nie chcieli mieć nic wspólnego. I że będąc dorosłym mężczyzną, poznał powody owego rozbratu i nie napawały go one bynajmniej dumą. Kiedy więc połapał się podczas kadryla, z kim ma do czynienia, wiedział, że musi czym prędzej zniknąć. Bo choćby nawet zdobył się na odwagę, by zabiegać o względy panny Teodozji, to jednak powstrzymałaby go myśl o niegodnym sekrecie ojca. Mówił o tym, jak mimo upływu czasu ów afekt nie przemijał, a gdy ponownie Nikodem ujrzał obiekt swych westchnień we Lwowie, pojął, że tylko raz w życiu spotyka się kogoś, kto tak mocno zapada w myśli. A teraz gdy już sekret rodziców ujrzał światło dzienne, stwierdził, że musi zrzucić z ramion ten ciężar. I że bardzo nie chciałby być ocenianym przez pryzmat czynów ojca. Bo Nikodem nie miał wpływu na to, co wydarzyło się w przeszłości. Dla niego właściwie byłoby to bez znaczenia, gdyby nie wstyd, który stał się jego udziałem. I właśnie dlatego przyjechał, by wyznać to wszystko pannie Teodozji, aby ona wiedziała, że ciężko mu się żyje z myślą, że może być przez nią postrzegany jako oszust, hochsztapler, złodziej. Zdaje sobie sprawę, że afekt jest jednostronny, i jedyne, czego naprawdę pragnie, to zapewnienie, że w oczach Teodozji nie jest żadnym łotrzykiem. A gdyby panna Teodozja zechciała z nim od czasu do czasu pójść na spacer, do kawiarni czy teatru, to czułby się dozgonnie wdzięczny i uszczęśliwiony.

– Dobrze, panie Nikodemie. Jeśli taka jest pana potrzeba, powiem, że nie potępiam pana za przewiny, których pan nie popełnił. Niegodziwością byłoby przenosić ich ciężar na pana. Ale nie myli się pan co do jednostronności afektu. Nie wiem, czy potrafiłabym kogokolwiek pokochać. Jestem starą panną ze złamanym sercem – powiedziała z całą szczerością, na jaką było ją stać.

On jednak w jej słowach dostrzegł nadzieję, bowiem uznał, że cokolwiek ją poraniło, zaszło w odległej przeszłości. Stąd smutek, który tak dobrze zapamiętał z ich pierwszego lwowskiego spotkania. Może więc gdyby trochę się postarał i zaczął o nią nienachalnie zabiegać, zyskałby z biegiem czasu wzajemność? Chociaż Teodozja nie dała mu jednoznacznej odpowiedzi na pytanie o to, czy mogą się jeszcze spotkać, pomyślał, że wróci niebawem. I będzie wracał do skutku.

Powroźnik

Konstancji zrobiło się nieco przykro, gdy usłyszała, że matka zabiera jej młodsze siostry na karnawał do Krakowa, by tam panny mogły debiutować towarzysko. Szybko jednak przeszła nad sprawą do porządku dziennego. W czasach, kiedy ona była wprowadzona na salony, rodzinie nie powodziło się aż tak dobrze jak teraz. W okresie wojny i tuż po niej Juraszkowie wręcz ledwo wiązali koniec z końcem, stąd też Matylda odwlekała moment, w którym mogłaby wprowadzić dziewczęta w wielki świat. Właściwie gdyby nie kwestia lwowskiej kamienicy, Juraszkowie zapewne do dzisiaj żyliby znacznie skromniej. Litworowa i tak miała powody do zadowolenia, że sprawa oszustwa wyszła na jaw jeszcze przed jej zamążpójściem. Dostała dzięki temu znacznie wyższy posag.

Właściwie Konstancja nie powinna się dziwić, że Matylda postanowiła zabrać pannice do dużego miasta. Tam na pewno istniały większe szanse na to, by każda z nich zrobiła dobrą partię. Zwłaszcza że w czasach powojennych mniej było atrakcyjnych kawalerów do wzięcia. Wielu wartościowych młodych mężczyzn poległo na wojnie. Epidemia też zebrała srogie żniwo. Trzeba więc było jakoś zwiększyć szanse Wisławy oraz Izabeli.

Ponieważ wyjazd do Krakowa został zaplanowany ze znacznym wyprzedzeniem, dziewczętom już wcześniej szyto nowe suknie, sprawiano buty i inne dodatki. Matylda trochę kręciła nosem na nową modę, która lansowała suknie przypominające do złudzenia koszulki. W ogóle jej ten fason się nie podobał, choć przyznawała, że niektóre panie, jak na przykład Aurelia, prezentują się w nim uroczo. Cóż, dla Juraszkowej był wielce niekorzystny. Zresztą dla młodych pań również, ponieważ gubił talię, sprawiał, że biust zdawał się mniejszy, a figura bardziej chłopięca. A przecież mężczyźni cenili u dam krągłe kształty oraz zarysowaną wyraźnie kibić. Niektóre panie wciąż jeszcze nosiły tak zwane półgorsety, które pozwalały na zaakcentowanie wcięcia w pasie. Wisława jednak uparła się, że nie będzie tego wkładać, i oczekiwała strojów o najmodniejszym fasonie, prezentowanych na kartach zagranicznych żurnali.

Matka z córką stoczyły o to niejedną batalię, bowiem panna zarzekała się, że jeśli nie dostanie ubiorów, które sobie wymarzyła, to nie pojedzie na żaden karnawał. A ponieważ była nieobliczalna w czynach, co udowodniła, dokonując zamachu na własne włosy, Matylda wolała ustąpić; nie miała pojęcia, że córka blefuje.

Wisława natomiast była bardzo podekscytowana myślą, że wystąpi na prawdziwym balu. I to nie na prowincji, ale w dużym mieście, gdzie będzie miała okazję spotkać różnych ciekawych ludzi. Artystów, których już wcześniej zdążyła poznać podczas przyjęć w salonie domu Pod Lipami, oraz takich, których żadne wiatry nie zawiąły jeszcze do coraz modniejszej Krynicy. Wprawdzie nie w głowie jej było szukanie męża, ale zamierzała dobrze się bawić i w pełni korzystać z uciech karnawału. O tym jednak Matylda nie musiała wiedzieć.

Uwagę Juraszkowej zaprzętała zupełnie inna troska.

– Och, Kotusiu, poradźże mi coś, dziecko moje kochane. Jak mam wybrnąć z fryzurą Wisławy? Co za diabeł wstąpił w tę dziewczynę, że obcięła warkocz akurat teraz? Nie mogła z tym poczekać choćby do ślubu? Jakże ona się pokaże na salonach? Przecież to nie wypada, by panienka nosiła krótkie włosy. Może powinnam zamówić dla niej perukę? W Krakowie, wśród obcych, mogłaby udawać, że to jej własna fryzura.

– Co to to nie! Mateczko! – zaprotestowała żywo Konstancja, rada, że przypadła jej w udziale rola powiernicy. Odkąd została mężatką, matka traktowała ją zgoła inaczej niż przed ślubem i często rozmawiała z nią na tematy, które były niedostępne dla panieńskich uszu. Czasami potrzebowała pocieszenia. Czasami pytała o radę. Tak jak w przypadku Wisinego uczesania. – To nie przejdzie, bo jednak zna was tam sporo osób i niektórzy wiedzą, co Wisienka uczyniła. Zresztą z peruką może być kłopot, bo co by to było, gdyby przekrzywiła jej się lub spadła w tańcu?

– O dobry Boże, wszystko, tylko nie to! – jęknęła Matylda, wyobrażając sobie skandal, jaki by w ten sposób wywołały. –

Przecież takie zdarzenie to niechybny artykuł w „Ikacu”, bynajmniej nie pochlebny.

– A więc sama widzisz, że lepiej, aby Wisia prezentowała się światu tak, jak wygląda.

– Ale to okropne. Do dzisiaj nie mogę się przyzwycząić. Co spojrzę na Wisławę, to ręce mi opadają. Żeby tak się oszpecić?

– Ależ mammo! Wcale tak źle nie wygląda. Ja bym się skłaniała ku temu, że nawet jej do twarzy, choć rzeczywiście pannie na wydaniu bardziej przystają warkocze.

– Konstancjo, tak właściwie chciałam cię prosić o coś więcej niż tylko o radę w sprawie włosów Wisławy – powiedziała w końcu Matylda.

– W czym mogę pomóc?

– Pomyślałam, że dobrze byłoby, gdybyście ty i Stach pojechali z nami do Krakowa. Gotowa jestem opłacić dla was nocleg w hotelu, bo to oczywiste, że gdzieś musimy się zatrzymać, a nasze mieszkanie niestety wciąż zasiedlają obcy ludzie, choć już niedługo, bo niebawem dobiega końca okres, na który zawarliśmy umowę, i nie zamierzam go przedłużyć. Wszak Mateuszek niebawem rozpocznie studia, przyda mu się wówczas porządne lokum – zboczyła z tematu. – Trochę je trzeba będzie odświeżyć, może sprawić jakieś nowe meble, nająć gosposię – wyliczyła. – Ach! Ale ja nie o tym chciałam mówić! Zapytaj, proszę, swego męża, co on na to. Wam też dobrze zrobiłby taki wyjazd. Trochę byście się rozerwali, bo od wesela on wciąż pochłonięty jest tartakiem, a ty prowadzeniem domu. Może nawet dopisałoby wam szczęście i Bóg pobłogosławiłoby was dzieciną? – dodała na koniec, gdyż wciąż oczekiwała z ust córki wieści o spodziewanym potomku, lecz na razie się nie zanosilo na powiększenie rodziny. – W rzeczy

samej przydałby mi się w Krakowie ktoś, kto miałby oko na Wisławę. Ta postrzelona wariatka gotowa sobie napisać jakiejś biedy. Wystarczy, że Teodozja popsowała swój debiut niefortunnie włożoną suknią. Chociaż nie podchodzi się już aż tak radykalnie do strojów, wolę uchronić moje dziewczynki przed podobną gafą. A raczej Wiškę, bo Iza to anioł nie dziewczyna. Do rany przyłóż! – rozczuliła się nad drugą z bliźniaczek. – I całe szczęście, bo jakby mnie los doświadczył dwoma takimi samymi rarogami, to nie wiem, jak bym sobie z nimi poradziła – mówiła jak najęta.

– Dobrze, mamie – odparła Konstancja, gdy Matylda na moment zamilkła. – Porozmawiam ze Stachem.

Miała nadzieję, że ślubny przystanie na propozycję teściowej. Obydwoje z mężem uwielbiali tańce i dobrą zabawę, a ostatnimi czasy niewiele mieli okazji ku temu, by się rozerwać.

Krynica

Ku zaskoczeniu Konstancji mąż nie wyraził zgody na wspólny wyjazd do Krakowa, tłumacząc się koniecznością pozostania w tartaku pod nieobecność Witalisa. Nie widział jednak przeszkód, by żona pojechała wraz z krewnymi. Konstancji było to bardzo na rękę, oznaczało bowiem, że przez jakiś czas odetchnie od umizgów męża i nie będzie musiała dzielić z nim łoża. Już cieszyła się na myśl o spokojnych nocach, gdy nie będą wyrzywały jej ze snu niespieszne pieszczoty Stanisława. Ślubny lubił przedłużać figle w nieskończoność, jakby liczył, że rozbudzi w ten sposób ciało żony. Ona, gdy już przychodziło co do czego, wołała, aby odbywało się to jak najszybciej.

Lwów

Józef wyrzął przez okno ekskluzywnego hotelu Grand zlokalizowanego przy prospekcie Swobody. Przyjechał uprzedniego dnia późnym wieczorem. Podróż go zmęczyła, więc zdążył się tylko zakwaterować i zjeść kolację. Na poszukiwanie Teodozji miał wyruszyć dzisiaj. Właściwie „poszukiwanie” było słowem zbyt szumnym i nieadekwatnym, wiedział, że Litworzanka zatrudniona jest w Szpitalu Powszechnym. Znał to miejsce, miał okazję odbywać tam praktykę. Żywił nadzieję, że pośród personelu szpitala znajdzie się ktoś, kto go jeszcze pamięta i zechce mu pomóc. Ufał, że jako lekarz będzie mógł bez większych trudności dostać się do szpitala.

Wóz albo przewóz! – pomyślał.

Kilka dni wcześniej doszedł do wniosku, że musi sobie dać ostatnią szansę na związek z Teodozją. Nie wyjedzie ze Lwowa, póki z nią nie porozmawia. Zamierzał rzucić na szalę wszystko i wyznać jej swe uczucia. A potem zda się na jej łaskę bądź niełaskę, choć w głębi ducha marzył, że zdoła zyskać wzajemność. Nawet jeśli przed laty czuła coś do Orzechowskiego, nie mogła w nieskończoność o nim pamiętać. Wszak August poległ na polu bitwy dawno temu. Wojna dobiegła końca. Przyszedł czas na to, by zacząć nowe życie.

Kraków

Matylda z duszą na ramieniu wprowadzała córki w wielki świat. Żywiła poważne obawy co do tego, jak wychowywane na prowincji dziewczęta odnajdą się wśród elit. I sama nie wiedziała, która z bliźniaczek przysparza jej więcej troski:

zwariowana Wisława, która najpierw mówiła i działała, a potem myślała, czy łagodna i cichutka Izabela, istota o sercu czystym niczym kryształ.

Ku jej przyjemnemu zaskoczeniu panny nieźle radziły sobie na salonach. Chętnie zapraszano je na przyjęcia do osób, z którymi odpowiednio wcześniej Juraszkowa odświeżyła znajomość korespondencyjnie. Teraz z tymi samymi ludźmi bywali na balach i w teatrze, składali sobie wizyty oraz rewizyty. Żałowała tylko, że nie ma przy niej Aurelii, lecz przyjaciółka nie chciała opuszczać matki, choć ta cieszyła się zadziwiająco dobrym zdrowiem.

Na szczęście Matylda miała u swego boku najstarszą córkę – stateczną mężatkę o czujnym spojrzeniu, która była niemalże gwarancją tego, że dziewczynki nie popełnią żadnego *faux pas*.

Mimo iż wojna oraz zaraza przetrzebiły znacząco liczbę kawalerów, Adamczykówny nie mogły się uskarżać na brak powodzenia. Każdorazowo podczas balu zdzierały co najmniej dwie lub trzy pary atłasowych pantofelków, co świadczyło o furorze, jaką robiły. Zarówno Wisława, jak i Izabela cieszyły się względami panów, którzy ochoczo wpisywali się w karnety dziewcząt. W mieście nawet fryzura Wiśki wydawała się mniej gorsząca. Zresztą przed każdym balem zamówiony fryzjer zręcznie układał włosy panience, aby nie było widać, jak są krótkie.

Znękani ludzie potrzebowali zabawy i rozrywek, bawiono się więc na potęgę, choć obecnym balom brakowało przedwojennego sznytu, a obyczaje panujące podczas publicznych tańców ewidentnie uległy rozluźnieniu. Pokątnie wciąż nazywano karnawał targowiskiem matrymonialnym, lecz dla wielu zatroskanych o pocięchy matek kończyło się wyłącznie na poniesionych na ten cel kosztach oraz nadziejach

spalonych na panewce. Matylda także z przykrością musiała przyznać, że żadna z jej córek nie wróci do Krynicy z trofeum w postaci absztyfikanta.

– Ech... Trzeba się będzie u nas rozglądać za narzeczonymi dla dziewcząt – westchnęła pewnego popołudnia, tuż przed tym, jak Juraszkowie mieli pójść po raz ostatni tego sezonu na tańce. Potem czekał ich powrót do Powroźnika.

Witalis zdążył w minionych latach wystarczająco poznać zwyczaje wyższych sfer, by wiedzieć, że dobre zamążpójście córek to jedna z największych bolączek trapiących panie z towarzystwa. Ile nieraz intryg i zachodu trzeba było, by doprowadzić do zaręczyn! Dość się tego nasłuchał, choć na szczęście ślubna nie była aż taką desperatką. Pod tym względem bardziej odpowiadały mu obyczaje ziomków. Łemkowie częściej pobierali się, idąc za głosem serca. A nawet gdy były to związki aranżowane przez rodziców czy swatów, to jakoś łatwiej ludzie porozumiewali się między sobą. Może dlatego, że w grę nie wchodziły wielkie majątki i posagi. A może dlatego, że wśród prostego ludu nie były tak mocno zaakcentowane podziały na lepszych i gorszych. Dobrze urodzonych i aspirujących do elit.

– Może to i lepiej, duszko, by Wisia i Iza pozostały po ślubie blisko nas, tak jak Konstia? Jesteś do nich mocno przywiązana. Pomyśl, co by było, gdyby któraś wydała się za mąż za człowieka, który zabrałby ją gdzieś daleko?

– Tak, tak, Witia. Racja – sapnęła ślubna. – Och... Dla Izy wymarzonym kandydatem byłby doktor Trelewicz – snuła wizję mariażu jednej z bliźniaczek. – On spokojny, poczciwy, pracowity i z dobrą posadą. Ona delikatna i subtelna... Pasowałiby idealnie.

Kiedyś marzyła, by Józef zwrócił uwagę na Konstancję. On jednak nie ruszył w konkury. Wciąż jednakże pozostawał kawalerem, więc sprawa była otwarta. Skoro nie udało się z najstarszą spośród sióstr, to może młodszej dopisze szczęście?

– A nie wydaje ci się, że byłaby między nimi zbyt duża różnica wieku? – zagadnął mąż, gdyż nie do końca miał zrozumienie dla upodobania, z jakim wśród elit łączono w pary młodziutkie dziewczątka ze znacznie starszymi mężczyznami. – Trelewicz, zdaje się, dobiega czterdziestki. O ile pamiętam, na jakimś etapie mówiło się o nim i o Teodozji.

– Ale nic z tego nie wyszło. Józef nigdy nie złożył deklaracji. Może więc nie był to jakiś znaczący afekt? I nie, nie uważam, by był za stary dla Izabeli. Iza jest nad wiek poważna. Jej pasowałby stateczny małżonek. Ach! Dobrze, że nie zostajemy tutaj do końca karnawału. Zdążymy jeszcze pokazać się w Krynicy, a i sami też powinniśmy zorganizować jakąś zabawę. Koniecznie musimy zaprosić Trelewiczów. Może zdołam delikatnie wybadać, co Idalia myśli o ewentualnym ożenku syna z naszą córką. Ach! Jak by to było pięknie, gdyby moje zamysły doszły do skutku – ożywiła się Matyllda, bowiem jeszcze kilka dni temu z przygnębieniem odliczała dni dzielące rodzinę od powrotu do Powroźnika. – Zostałaby mi jeszcze Wisia, ale na tę gorącą głowę nie mam pomysłu. Ech... A kiedyś zdawało mi się, że to Aurelia ma problem z Teodozją! Właściwie problem jest, bo Teosia obstaje przy staropanieństwie, ale w jej przypadku jest to łatwe do zaakceptowania, bo przynajmniej zrobiła coś sensownego ze swym życiem. Tymczasem Wiśka uparła się, by studiować z Mateuszkiem! Ja rozumiem, że mamy równouprawnienie, wszak sama o nie walczyłam, i dziewczęta chcą iść na uniwersytety. Ale żeby od razu moja córka? I to jeszcze na kierunek całkowicie nieprzydatny pannie! Gdyby

choć obrała, no nie wiem... Filozofię? Sztuki piękne? Literaturę? Ale ona uparła się, że chce być dziennikarką! Skaranie świata z tą dziewczyną. Zaraz może jeszcze włoży spodnie i zacznie ćmić cygaretki!

Witalis z trudem stłumił ziewnięcie.

Lwów

Nikodem odnosił wrażenie, że Teodozja nie jest mu niechętna. Być może czuła się bardzo samotna we Lwowie i zwyczajnie potrzebowała czyjś towarzystwa, bowiem o ile za pierwszym razem poszła z nim do kawiarni z przypadku – po prostu czekał na jej pojawienie się przed szpitalem do skutku, to później już umawiali się na kolejne spotkania. Mówiła, kiedy wypadnie jej wolny dzień, a wtedy Strzelecki wsiadał w pociąg i przyjeżdżał, by zabrać ją na spacer, ciastko w cukierni, a nawet do teatru.

Szybko więc mężczyzna uznał, że nie ma co zasypiać gruszek w popiele. Ani Teodozja nie była już młodką, ani tym bardziej on młodzieniaszkiem, chociaż w przypadku mężczyzny wiek nie odgrywał aż tak znaczącej roli. To raczej panny musiały się obawiać upływającego czasu. Tak czy owak, już pod koniec stycznia Nikodem zdobył się na odwagę, by szczerze wyznać ukochanej swe uczucia oraz zamiary.

Na jej twarzy od razu odmalowało się zaskoczenie, chociaż nie powinna się dziwić – wszak poważny mężczyzna nie traciłby czasu na spotkania z kobietą, gdyby nie widział dla dwojga przyszłości albo gdyby nie dostrzegał w tym swej korzyści. Strzelecki nigdy nie wychodził poza ramy dobrego wychowania, nie sugerował, że mogłaby zostać jego kochanką, utrzymanką czy jak tam zwać taki grzeszny układ. Zawsze

odnosił się do niej z szacunkiem należnym pannie, o której rękę się zabiega.

Teodozja zaczęła protestować, tłumacząc, że ani jej, ani jego krewni nie zaaprobowaliby takiego związku.

– Teodozjo... Proszę, nie odtrącaj mnie. Przecież nie mogę przez całe życie ponosić ciężaru niepopelnionych przeze mnie win. Nie chcę pokutować za coś, czego się nie dopuściłem i na co, jako dzieciak, nie miałem najmniejszego wpływu.

Litworzanka spoglądała na niego z ogromnym zdumieniem. Mężczyzna nieświadomie wypowiedział na głos to, co w jej podświadomości krążyło z dawien dawna, a czego sama nie odważyła się nigdy wyrazić. Zupełnie jakby Nikodem zajrzał w głąb jej duszy.

Zmiękła. Poczowała ciepło na sercu – to samo rozkoszne uczucie, które niemalże zdążyła całkowicie zapomnieć. Myślała, że na zawsze zostało pogrzebane w Wólce Tarłowskiej, lecz nagle odżyło!

Nie byłaby jednak sobą, gdyby złożyła oręż bez walki.

– Przesadziłabym, mówiąc, że będziemy mieli przeciwko sobie cały świat. Ale pomyśl o swej matce. Może o braciach, którzy niekoniecznie muszą darzyć mą rodzinę ciepłymi uczuciami. A wreszcie o ciotkach Aurelii i Matyldzie, które na pewno mają ogromne poczucie krzywdy. Dla nich nasz związek byłby bulwersujący. To niemalże jak historia Romea i Julii. A ja nie chcę tragicznego finału. Nie chcę się przywiązywać do nikogo. Straciłam już jednego lubego. Drugi raz nie przeżyłabym bólu rozstania.

– Zaufaj mi, nie będzie żadnego bólu. Przecież jesteś tu sama, co ci tam ciotki? Nawet jeśli się obrażą, zrobią to na odległość.

– Nie chcę zawieść Aurelii. Okazała mi wiele dobroci. Nie odwróciła się ode mnie nawet wówczas, gdy zrobili to inni.

– Skoro jest tak szlachetną osobą, jak mówisz, to i teraz się na niej nie zawiedziesz. Kto wie? Może w naszym przypadku szekspirowska historia znajdzie odmienny finał? Może to właśnie my pogodzimy zwaśnione rody? – zapytał patetycznie. – Odwagi, Teodozjo!

Mój Boże – pomyślała Litworzanka. – Mój Boże... Czy możliwe jest, abym zaznała w końcu szczęśliwego życia u boku mężczyzny? Czy moja przewina z Orzechowskim została odpuszczona? Nie ściągnę jakiegoś nieszczęścia na głowę tego desperata? Może nie, wszak wyrwał się z objęć śmierci!

Miała dość samotności.

Zapewne ktoś mógłby uznać jej zachowanie za dziwne czy wręcz niestosowne, lecz niecierpliwym gestem zsunęła z prawej ręki rękawiczkę. A później z nietypowym dla siebie onieśmieleniem wyciągnęła dłoń w stronę Nikodema. On pochwyił ją i zaczął z żarem obsypywać obnażoną skórę pocałunkami, nic sobie nie robiąc z tego, że nie wypadało tak czynić pannie – na dodatek w miejscu publicznym, znajdowali się bowiem w parku. Już po chwili klęczał na jedno kolano przed Teodozją, nie dbając o to, czy sztuczkowe spodnie nie ucierpią w kontakcie z niestarannie odśnieżoną alejką.

– Ukochana moja. Powiedz zatem, czy zechcesz uczynić mnie swym szczęśliwym narzeczoną, a następnie mężem? – zapytał.

– Och, Nikodemie. Czy uczynię cię szczęśliwym, tego nie mogę zaręczyć, ponieważ życie wlało w moje serce sporo goryczy. Ale skoro z takim żarem mówisz, nie mogę się temu oprzeć. Chociaż przyznam szczerze, iż nie mam pojęcia, jak zdołamy przekonać naszych bliskich jeśli nie do pojednania, to przynajmniej do tego, by nie stawali nam na drodze do realizacji planów.

– Więcej optymizmu, Teodozjo. Ty już od dawna sama za siebie odpowiadasz, więc ciotka nie może ci niczego zabronić. Ja także jestem dorosłym człowiekiem. Los tak zrzędził, że mnie przypadło w udziale zatroszczenie się o matkę. Ona będzie musiała zaakceptować nasz związek, jeśli nadal chce na mnie polegać.

Józef zdążył solidnie zmarznąć, snując się alejkami ogrodu botanicznego. W szpitalu ktoś życzliwie mu podpowiedział, gdzie najprędszej spotka pannę Teodozję, gdy ta nie pracuje i nie przebywa w służbowym mieszkanku. Chociaż mróz szczypał w policzki, mężczyzna się nie zrażał. Nie tak srogie zimy trzymały zazwyczaj w Beskidzie. Był zahartowany. Zresztą dla ukochanej kobiety warto znosić różne niedogodności. Cierpliwie więc wędrował, mijając nielicznych spacerowiczów. Pomyślał, że zrobi jeszcze jedną rundkę, a następnie zawróci pod szpital i sprawdzi, czy tymczasem Litworzanka nie wróciła do siebie. Wszak mogli się rozminąć. On jednak nie chciał czekać na nią pod drzwiami, wolał pójść na tę przechadzkę. Szukał pomiędzy ludźmi samotnej kobiety, dlatego niewiele brakowało, by przeoczył ukochaną. Mijał ją właściwie, gdy kątem oka dostrzegł znajomą twarz.

Kobieta stała, przed nią klęczał mężczyzna. Mówił coś z żarem, a gdy skinęła głową, zerwał się na równe nogi i porwał ją w ramiona.

Józef nie miał wątpliwości, że widzi Teodozję.

Była blisko, niemalże na wyciągnięcie dłoni, lecz tak pochłonięta towarzyszącym jej mężczyzną, że nie zważała na nic i na nikogo. Może to i lepiej? Przynajmniej nie dostrzegła Józefa, który przez chwilę niczym wmurowany stał z rozkrwawionym sercem, spoglądając na parę.

Znowu się spóźnił. Najpierw ubiegł go Orzechowski, a teraz ktoś inny.

Co ona takiego w sobie miała, że choć nie była już pierwszej młodości, potrafiła rozkochać do bólu, nie robiąc absolutnie nic, nie ośmielając, nie kokietując?

GIEŁDA MATRYMONIALNA

Powroźnik

Wisława, uszczęśliwiona, że wreszcie oficjalnie wprowadzono ją na salony, rzuciła się w wir rozrywek. Po powrocie do Powroźnika nie odczuwała większego żalu, że krakowskie uciechy dobiegły końca. Dobrze wykorzystała czas spędzony w mieście, by przypatrzyć się wszystkiemu z bliska, nim stoczy z matką ostateczną batalię o uniwersytet. Do tej pory rodzicielka wciąż była niechętna, i nawet wstawiennictwo ciotki Aurelii na niewiele się zdało. Obcinając włosy, Wisława żywiła nadzieję, że pokaże matce, iż jest niezwykle konsekwentna w swoich wyborach i przed niczym się nie cofnie: dokładnie tak jak Teodozja, która ogromnie jej imponowała, choć niekoniecznie z racji wykonywanej profesji.

Jak zamieszkałam z Matim w Krakowie, sprawię sobie kostium z pumpami. I nie będę musiała wciąż się kryć z paleniem cygaretek – stwierdziła.

Wisława dobrze wiedziała, że nieładnie jest wyciągać dłoń po cudzą własność, wszak matka często jej to kładła w głowę, podobnie jak inne mądrości. Panna nie uważała jednak, by podbieranie papierosów Witalisowi było kradzieżą. Ot po prostu częstowała się nimi bez jego wiedzy. Równie dobrze mogłaby iść do kuchni i sięgnąć w spiżarni po konfitury albo jakieś inne słodczy. W jej mniemaniu efekt byłby dokładnie ten sam. Ojczym przechowywał cygaretki w gabinecie w stojącym na biurku drewnianym pudełku. Nigdy ich jakoś

szczególnie nie chował. Co więcej, przymykał oko na to, że czasami korzystał z nich Mateusz, chociaż chłopak był młodszy od Wisławy. Skoro więc bratu było wolno, to czemu ona miałaby nie sięgnąć od czasu do czasu po cygaretkę?

Jak na ojczyma Witalis był wyjątkowo przyjaźnie nastawionym człowiekiem. Nie karciał młodych Adamczyków, o ile nie zaszła ku temu wyraźna potrzeba, nie narzucał ograniczeń i co najważniejsze: nie wyróżniał z gromady rodzeństwa Michała, który jako jedyny był jego rodzonym dzieckiem. Nic więc dziwnego, że młodzi zwali go nie ojczymem, ale ojcem, ojczulkiem, tatą, tatką, tatulem lub papą. Kochali tego nad wyraz opanowanego człowieka, chociaż wszyscy wiedzieli, że w domowym zaciszu zachowuje się zupełnie inaczej niż w tartaku – jakby miał dwie zupełnie różne skóry i jedną przyoblekał w Powroźniku, a drugą w Słotwinach. Na ludzi tartacznych potrafił nieraz huknąć, zwyzywać ich od psubratów i wałkoni. Wyklócał się zażarcie z drwałami przywożącymi ścięte drzewa oraz odbiorcami gotowych materiałów. W domu był uosobieniem cierpliwości, nie podnosił głosu, zawsze pozostawał życzliwy. Ba! Potrafił skutecznie wybronić dziatwę przed Matyldą, bowiem to ona trzymała dom twardą ręką, trzęsła wszystkim, rozstawiała po kątach i rodzinę, i służbę. Matka była surowa, ojczulek łagodny.

Wiśka śmiała się czasami, że po przekroczeniu progu willi ojczym zrzuca lwią grzywę. Matka natomiast po opuszczeniu progów domostwa przywdziewa najśłodszy uśmiech, jej głos oraz rysy twarzy łagodnieją i staje się ucieleśnieniem delikatności. Prawdziwe odwrócenie ról.

Być może właśnie takie postawy rodziny sprawiały, że Wisława ochoczo wyciągała dłoń po cygaretki ojczyma,

a potem szła do ulubionego zakątka w ogrodzie, gdzie mogła zniknąć z zasięgu matczynych oczu i latem w cieniu bujnego kapryfolium lub zimą za pniem rozrosłego dębu delectowała się przyjemnością zastrzeżoną dla mężczyzn.

Zakazane owoce smakowały najlepiej.

Zdaje się, że mam więcej współników od cygaretek – pomyślał Witalis, sięgając do skrzyneczki. O tym, że częstuje się nimi Mateusz, dobrze wiedział. Niejeden raz siedzieli we dwóch, ćmiąc papierosy i rozmawiając o różnych męskich sprawach. Sęk w tym, że młody robił to wyłącznie wówczas, gdy przyjeżdżał ze szkoły. Teraz natomiast przebywał w Tarnowie. W domu obecny był Michał. Gdyby to on był sprawcą owych ubytków, Witalis byłby zły, że smarkacz tak szybko zaczyna palić, chociaż akurat syna o to nie podejrzewał. Michałek wciąż trzymał się matczynej spódnicy i nie próbował udawać starszego, niż wskazywała metryka. *Ani chybi podbiera je ktoś ze służby* – uznał, chociaż trudno byłoby kogokolwiek wytypować, gdyż w domu był Onufer, człowiek od wszystkiego, zajmujący się różnymi naprawami, końmi i co tam wypadło w razie potrzeby, kucharka oraz jej pomocnica, mająca pieczę również nad praniem, i dwie dziewczki pokojowe. Onufer znał dobrze willę, gdyż to on w razie czego naprawiał niedomykające się okna, oliwił zawiasy, czyścił piece, a nawet malował ściany. Ale czy miałby poczciwina dość tupetu, by sięgać po cudze? Był to Łemko około czterdziestoletni. Żonaty i dzieciaty. Jego ślubna, Jewka, zajmowała się gotowaniem. Obydwoje wraz z trójką drobiazgu zamieszkiwali izbę przylegającą do kuchni. Pozostałe sługi dochodziły ze wsi. Czasami, gdy wymagała tego sytuacja, najmowano dodatkowych ludzi, lecz oni raczej nie plątali się samopas po domu, ale robili, co do nich należało.

Nie, nie, nie. Onufer by sobie nie pozwolił. Złoty z niego człowiek, gdybym mu powierzył pugilares, nie ruszyłby ani grosza – stwierdził Witia. – Zresztą Onufer gustuje w machorce i podobnie jak Dimka twierdzi, że moje cygarety są nadto uperfumowane.

Na wspomnienie brata Witalis zmarszczył czoło, bowiem od matczynej śmierci z bratem stało mu się nie po drodze. Póki żyła Paraska, trzymała rodzinę blisko siebie i dbała o to, by nie było rozbratu, łagodziła swary, pilnowała, aby bliscy widywali się regularnie. A odkąd spoczęła w mogiłce, zaczęli się od siebie oddalać. Coraz rzadziej Witia, Ułjanka czy Eufrozyna zaglądali pod dach rodzinnej chyży. Żyli tylko własnymi sprawami. Zresztą większość już hodowała wnuki i każdy myślał o swych potomkach. Rodzeństwo, siłą rzeczy, zeszło na boczny tor. Witia pomyślał, że dobrze byłoby jednak zajść choć na chwilę do Dymitrów. Pokazać, że są dla niego ważni, zagadnąć o to, jak żyją i czy im czegoś nie trzeba. Choćby drew na opał, bo zima wciąż się srożyła.

Potem wrócił myślami do pudełka z cygaretkami. Nie dawało mu mocno spokoju, czemu coraz częściej musi zatrzymywać się w Krynicy, w sklepie pana Julesa, by uzupełniać zapasy. *Już ja cię przypilnuję, gagatku* – pomyślał, przekładając część papierosów w inne miejsce, by mieć do nich dogodny dostęp. Potem sięgnął po kałamarz i bibułkę. Ostrożnie, aby niczego więcej nie poplamzić i nie ubrudzić sobie rąk, nasmarował atramentem skobelek pudełka.

Wisława obserwująca zza grubej kotary poczynania Witalisa zdusiła parsknięcie. Odczekała, aż ojczym opuści gabinet, w którym nieomal przyłapał ją na gorącym uczynku. Potem podkradła się do biurka, przez chusteczkę złapała skobelek i otworzyła wieczko. Ze szkatułki zaczerpnęła garść cygaretek,

pozostałe rozgrzebała tak, by ukryć ubytki. Potem podeszła do drzwi i wyjrzała ostrożnie na korytarz. A ponieważ nikogo nie dostrzegła, prędko opuściła pomieszczenie. Gdy przechodziła obok salonu, przydybała ją matka.

– Wisienko, a ty co, dziewczyno? Czemu się nie szykujesz? Zapomniałaś, że dzisiaj mamy wieczorek taneczny? Przyjadą goście – paplała w najlepsze, jakby było czymś niezwykłym, że ktoś pojawi się w domu. – Będzie doktor Trelewicz, Ludwiś Wojnar i jeszcze kilku innych panów. Liczę, że obie z Izią pięknie wypadniecie.

– A na to targowisko małżeńskie zaprosiłaś jakieś panny czy tylko my będziemy robiły za klacze wystawione na pokaz? – zakpiła córka.

– No wiesz? – obruszyła się matka. – Oczywiście, że przyjdą również panie. Będzie Halszka Nitribitt, Marcysia Lipska, Wiktoria Orzechowska i parę innych osób.

Wisława wydeła usta. Dwie z wymienionych kobiet były dość młodymi wdówkami. Halszka i Wiktoria bywały na przyjęciach, ponieważ krążyły słuchy, iż zamierzają ponownie wydać się za mąż. Matki mające w domach dziewczęta na wydaniu chętnie je zapraszały, bowiem wśród mężczyzn mimo wszystko większym powodzeniem cieszyły się panienki, a ktoś musiał zapełniać salony i stanowić tło dla niewinnych niczym lilie córek. Marcysia natomiast była tak mało urodziwa, a na domiar złego miała tak wyjątkowo mało gracji, że nawet dość wysoki posag nie był w stanie skusić żadnego kawalera.

– Ach tak, mateczko. Rozumiem, że chcesz zwiększyć nasze szanse na targu małżeńskim. Dobrze, dobrze... Już biegnę, by się odpowiednio wyfiokować – zakończyła z potulną minką, widząc, jak twarz matki tężeje gniewem. Czym prędzej umknęła, by nie narażać się na utyskiwania.

– Co za wstrętne dziewczuszyko! – jęknęła Matylda. – Za jakie grzechy, o dobry Boże, pokarałeś mnie tak krnąbrną córką?

Przy Wisławie czuła się momentami bezsilna. I choć nie przyznałaby tego nigdy w życiu na głos, musiała oddać sprawiedliwość Teodozji, którą przed laty uważała za wyjątkowo oporny do uładzenia materiał na damę. Teosia w porównaniu z jej córką była prawie grzeczna. Prawie.

Godzinę później Witalis zajrzał do gabinetu. Z pudełka znowu ubyło cygaretek.

Oho! Teraz mam szansę przyłapać gagatka – pomyślał. Jedyne, co musiał zrobić, to odszukać każdego domownika i zerknąć na jego dłonie. Plamy z atramentu były niełatwe do usunięcia, więc istniała szansa, że delikwent wciąż ma utyłane palce.

Juraszko obszedł całą willę, zaglądając do wszystkich pomieszczeń. Jako że szykowano przyjęcie, w kuchni trwały gorączkowe przygotowania. Urobionym po łokcie Jewce i Maryni nie w głowie byłoby kręcenie się po domu. Onufer odgarniał śnieg na podjeździe, sapiąc przy tym niczym miech kowalski. Sądząc po wielkości usypanych przez niego zasp, na nic innego nie miał czasu. Anka pod czujnym okiem Matyldy uwijała się w bawialni, przygotowując ją na tańce. Tak więc służba zdecydowanie odpadała. Iza i Wisława szykowały się na przyjęcie, układając sobie nawzajem fryzury. Pannice nie chciały wpuścić ojczyma do pokoju, ale Juraszko zdołał zauważyć, że obydwie są odziane w białe suknie i mają czyste dłonie. Michał natomiast pod okiem guwernantki zajmował się kaligrafią. On jeden miał skórę poplamioną inkaustem, lecz panna Hilaria zapewniła Juraszkę, że chłopiec od dwóch godzin nie ruszył się nawet na krok z pokoju.

– Czary jakież czy co? – jęknął Witalis.

Wszak niemożliwe było, by amator cygaretek nie pobrudził sobie palców. Gdy Juraszko sprawdzał szkatułkę, na bibułce, którą wykorzystał do jej otwarcia, pozostał wyraźny ślad. Atrament zatem nie wysechł. To podsycało tylko ciekawość mężczyzny i chęć zdemaskowania spryciarza. Karać jakoś szczególnie surowo nie zamierzał tej osoby, gdy już ją przyłapie, choć czuł, że winien tego kogoś pouczyć, że nie sięga się po cudzą własność.

Sambor

Nikodem przez kilka dni wstrzymywał się z wyznaniem matce, że jest zaręczony. Próbował najpierw wybadać sytuację i nieco urobić grunt. Napomykał więc o tym, że chyba czas najwyższy na założenie rodziny, co oczywiście spotkało się z aprobatą Zuzanny, która jednym tchem wyliczyła mu całą listę pańienek z dobrego domu, zapamiętanych ze szczęśliwych lwowskich czasów sprzed żałoby. Zafrasowała się nawet, czy nie powychodziły za mąż, czy nie straciły posagów lub, o zgrozo, czy nie wzgardzą względami Nikodema z uwagi na skandal wywołany przez Tytusa.

Gorzej było, gdy usiłował wspomnieć coś o krewnych, z którymi na własne życzenie utracili kontakt. Matka zaperzała się wówczas i nawet nie chciała słuchać tego, co syn miał do powiedzenia.

– Nie mów ani słowa na temat tych ludzi. Dość nieszczęść spotkało mnie z ich powodu!

– Ależ matko! Nie ma w tym winy ciotki. Przecież to ojciec...

– Tak, wiem! – przerwała mu obcesowo Zuzanna. – To jego całkowita wina, lecz można to zamroczenie usprawiedliwić okazją, która się nadarzyła. Pokusą, która wzięła górę nad rozsądkiem.

– A nie lepiej się pojednać? Nasza rodzina drastycznie się kurczy. Strach pomyśleć, że pewnego dnia możemy zostać sami. Czy nie przyjemnie byłoby żyć w zgodzie? Wszak Matylda wykazała dość dobrej woli po śmierci ojca. Podziękowałaś jej chociaż za wspaniałomyślność?

Zuzanna zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Tak właśnie myślałem – westchnął mężczyzna. – Dlaczego?

– Bo to przeokropna poruta. Wolałabym o tym wszystkim zapomnieć – jęknęła kobieta.

– Byłoby łatwiej, gdybyście się pogodziły. Matko! Nie jesteś pierwszej młodości. Nie lepiej uporządkować pewne sprawy, nim będzie za późno?

– Ty mi nie zaglądamy w metrykę, smarku jeden – obruszyła się Strzelecka.

– Mamo... Proszę... Mogłabyś przynajmniej spróbować. Przecież we Lwowie jest wychowanica Aurelii, Teodozja Litworzanka. Opiekowała się mną, gdy leżałem w szpitalu. Nie czyniła mi żadnych wstrętów, choć przecież mogłaby odmówić pomocy. Właściwie winien jej jestem wdzięczność za troskę.

– Pff! Piotr ją pewnie sowicie opłacił. A ona, jeśli faktycznie jest pielęgniarką, wykonywała swoją pracę. Nie widzę powodów, by jej dziękować.

– A ja owszem, widzę. To przemiała osoba i bardzo życzliwa. Powiem wręcz, że obdarzona jest niezwykle dobrym sercem. Uważam, że powinniśmy nawiązać z nią bliskie relacje. A potem spróbować odbudować zerwane więzi z resztą rodziny.

– Nie ma mowy. Nie życzę sobie, abyś zaprzętał swe myśli tą panną. A jeśli jesteś nią zainteresowany w taki sposób, to czym prędzej zmień przedmiot zainteresowania. Mało masz w najbliższym otoczeniu pańienek na wydaniu? Młodych,

ślicznych, takich, przed którymi nie musiałabym świecić oczami za uczynki Tytusa!

– Naprawdę to jedyna przeszkoda?

– Wystarczająca.

– Zatem wiedz, matko, że to mnie nie powstrzyma.

– Co? Nie chcesz chyba powiedzieć, że zaangażowałaś się już w tę znajomość?! – wykrzyknęła zdumiona matka, wymownie przykładając dłonie do piersi.

– Owszem. Póki nasza familia skrzętnie skrywała wstrętny sekret, trzymałem się od Litworzanki na dystans. Ale nie będę się krył z tym, że bardzo mnie to bolało. Kiedy spotkałem ją ponownie w szpitalu, ona okazała mi ogrom życzliwości. Nie zamierzam więc dalej się katować z powodu waszego szachrajstwa. Chcę się z nią żenić – powiedział wprost, czując, że mataczenie nie ma najmniejszego sensu. Matka pozłości się, pozłości, a potem będzie musiała zmienić stanowisko w tej sprawie.

– Po moim trupie! – ryknęła tak, że na pobliskiej etażerze zadzwoniły stojące obok siebie kryształki.

– Wrócimy do tej rozmowy niebawem – stwierdził mężczyzna, wstając z fotela. – A teraz wybacz, matko. Wychodzę.

– Dokąd to?

– A jak myślisz? Oczywiście, że jadę do Lwowa.

Powroźnik

– Wybierasz się dokądś? – zagadnął Witia, widząc, że brat gotów jest do wyjścia z domu.

– Tak. Dzisiaj we Florynce zbiera się karpatoruska konferencja. Zamierzamy wyłonić radę zwierzchnią. Jeśli wystarczy czasu i dojdziemy do porozumienia, być może powołamy do życia podstawowe ministerstwa. Trzeba w końcu

stworzyć jakieś struktury – oznajmił Dymitr. – Bo struktury dadzą nam poczucie, że samiśmy sobie panami.

– W takim razie nie będę ci niepotrzebnie zawracał głowy. Powodzenia podczas obradowania!

– Nie podziękuję, aby nie zapeszyć. Ale szczęście faktycznie się przyda. Zajrzę do was jutro wieczorem i dam znać, cośmy uradzili – powiedział Dymitr nadzwyczaj ugodowo. Zwykle bowiem na niego burczał.

– Jasne, zapraszam – ucieszył się Witalis. Kiedy brat miał głowę zajęłą kwestiami narodowościowymi, stawał się zdecydowanie przyjemniejszy w obejściu.

Następnego dnia Dymitr faktycznie zajrzał do domu Witalisa. Wieści miał jak najlepsze, przynajmniej w jego odczuciu. Z podekscytowaniem opowiadał o tym, że podczas spotkania, na które przybyło około pięćdziesięciu osób, zdołano wyłonić Radę Zwierzchnią Łemkowskiej Rusi. W jej skład weszła ponad połowa zebranych, w tym również Dymitr. Na czele nowego łemkowskiego rządu, czyli Komitetu Wykonawczego, postawiono Jarosława Kaczmarczyka. Prócz tego udało się powołać ministerstwa: spraw wewnętrznych, z księdzem Dmytro Chylakiem¹⁷ na czele, spraw zagranicznych pod przewodnictwem księdza Wasyla Kuryły¹⁸, proboszcza z Męciny Wielkiej, oraz rolnictwa, którym miał władać Mykoła Gromasiak, zacny gospodarz krynicki¹⁹. Inne departamenty na razie uznano za zbędne, ponieważ dla Rusnaków zdecydowanie najważniejsze były kwestie narodowościowe, polityka wobec innych nacji, a przede wszystkim sprawy związane z uprawą ziemi. Na resztę być może przyjdzie czas w przyszłości.

– Trzeba wysunąć żądania, by wojska polskie oraz czechosłowackie opuściły Łemkowszczyznę po obu stronach gór. Nie potrzebujemy tutaj ich obecności – oznajmił Dymitr.

– Radykalne posunięcie – zauważył Witia. – Nie obawiacie się, że może to rozsierdzić jednych i drugich? Zwłaszcza teraz, gdy Polacy toczą wojnę z bolszewikami?

– Jesteśmy dobrej myśli. Chyba każdy dobrze o tym wie, że my, Łemkowie, jesteśmy narodem pragnącym pokoju. Nas nie obchodzą żadne waśnie, wszak najważniejsza jest żywicielka ziemia. Chcemy ją uprawiać bez mieszania się w cudze konflikty. Ostatecznie, jeśli zajdzie potrzeba, możemy dostarczać kontyngenty żywnościowe dla Wojska Polskiego. Rozumiemy, że istnieje taka konieczność, choć nie jest łatwo odejmować sobie od ust. Nam tu, pod Krynica, żyje się w miarę dobrze. Kto nie ma gospodarstwa, pracuje w uzdrowisku. Ale co mają powiedzieć ci, którzy muszą się utrzymać z lichych plonów wyrastających na kamienistych górskich glebach? Są wioski, w których bieda aż piszczy. I właśnie z tego powodu musimy bronić swoich interesów!

– Nie pozostaje mi nic innego, jak żywić nadzieję, abyście nie przeszarżowali ze swoimi postulatami do polskich i czechosłowackich władz.

– A dałyś spokój, Witia! Ty i to twoje czarnowidztwo! – obruszył się Dymitr.

Mężczyźni pogadali jeszcze chwilę, ale rozeszli się w nie najlepszych nastrojach. Dima był zły, że Witalis podcina mu skrzydła. Znowu zarzucił bratu, że się spańszczył i spolszczył oraz że odcina się od korzeni. Byliby się może posprzeczali na dobre, lecz w porę zainterweniowała Matylda, kilkoma ostrymi słowami przywołując ich do porządku. To oczywiście spotkało się z wielkim oburzeniem Dymitra.

– Kto to widział, by baba wtrącała się w męskie rozmowy. Wam do darcia pierza i do kądzieli, a nie do polityki! – burknął na odchodnym.

Juraszkowa w porę ugryzła się w język. Nie chciała zaognić sytuacji. Jej mina mówiła jednak wiele.

– Daruj mu, Matysiu. – Witalis przeprosił ją w imieniu brata. – Dimka potrafi się zacietrzewić jak mało kto.

– Lepiej by było, gdyby tę energię spożytkował na coś innego – skwitowała kobieta. – Obawiam się, że ich poczynania tylko rozszerzą Warszawę. Nasz rząd ma teraz na głowie bolszewików. To, co robią twoi rodacy, jest wsadzaniem kija w mrowisko.

Krynica

Józef myślał o tym, że teraz pozostały mu zasadniczo do wyboru dwie rzeczy: mógł palnąć sobie w łeb, by skrócić udręki związane ze złamanym sercem, albo desperacko spróbować wybić klin klinem.

Życia, mimo wszystko, trochę było mu żal. Miał pracę, w której mógł się spełniać, niosąc pomoc cierpiącym. Miał też rodzinę, która pograżyłaby się w bólu, gdyby porwał się na tak radykalny krok. Na dodatek ludzie nie dawali mu spokoju i ciągle go dokądś zapraszano. Regularnie gościł w domach, gdzie były atrakcyjne panny na wydaniu. Tę i ową próbowano mu nawet swatać. No i jak tu w takich okolicznościach pozwolić sobie na tęsknotę za szczęściem, które nie było mu pisane?

Ostatnio dosyć często podczas przyjęć spotykał Wiktorię Orzechowską. Początkowo go to irytowało, gdyż kobieta, chciała tego czy nie, przypominała mu o tym, że kiedyś przegrał w rywalizacji z jej mężem. Potem jednak jej obecność spowszedniała mu do tego stopnia, że gdy po okresie Wielkiego

Postu okoliczne życie towarzyskie znowu odżyło, z ochotą zaczął zapraszać ją do tańca. Przy Orzechowskiej nie kręcił się cerber w postaci matki gotowej, by wyswatać córkę. Majętna wdowa wzbudzała spore zainteresowanie. Wiadomo było, że po mężu odziedziczyła piękny pensjonat i trochę dóbr w Żegiestowie, bowiem świętej pamięci August był jedynakiem. Wprawdzie jego matka wciąż uprzykrzała życie wszystkim wokół, lecz i na to znalazł się sposób, gdyż Wiktoria po śmierci męża wróciła do Krynicy, a opiekę nad zgorzkniałą i stetryczną teściową powierzyła rezydentom na stałe zamieszkującym piękną posiadłość. Tak więc na giełdzie matrymonialnej stanowiła atrakcyjny kąsek, choć najpiękniejsze lata życia miała już za sobą. Ale ludzie wciąż pamiętali historię innej urodziwej i majątnej wdówki, która świetnie wydała się za męża, mimo iż była obarczona dwójką nie swoich dzieci. Skoro więc Aurelia Drzewicka, kobieta o szemranym pochodzeniu, znalazła męża, to czemu Wiktoria miałaby dozgonnie pozostać samotna?

ECHO PRZESZŁOŚCI

Krynica

Najdroższa Cioteczko!

(...) Z serca dziękuję za Twój ostatni list, mnóstwo krzepiących słów oraz dobre wieści z domu. Tak miło mi na sercu, gdy wiem, ile masz dla mnie życzliwości. A teraz Twa życzliwość będzie mi jeszcze potrzebniejsza...

Aurelia zdrętwiała, czytając słowa Teodozji. *Mój Boże!* – jęknęła w duchu. – *W co ta dziewczyna się wpakowała?* Wciąż myślała o podopiecznej jak o młodej dziewczynie, chociaż Litworzanka liczyła już trzydzieści lat. Dalsza treść listu wprowadziła ją w konsternację.

Droga Ciociu, wiem, że zawsze leżało Ci na sercu moje szczęście. Wielokrotnie pisałaś o tym, jak martwisz się moją samotnością. Pragnę Cię więc uspokoić: nie potrzebujesz się dalej turbować o moją przyszłość. Nie wiem, jakim cudem do tego doszło, lecz niedawno ugodziła mnie strzała Amora.

Nigdy wcześniej Ci o tym nie mówiłam, ale kiedyś byłam bardzo zakochana. Pierwsza miłość nie miała szansy się spełnić. Ale nie, nie martw się o przeszłość ani tym bardziej o mnie. Mój wyjazd do Lwowa i nauka zawodu wcale nie były ucieczką przed tamtym mężczyzną. To dwie zupełnie różne sprawy. Pierwszego ukochanego pochowałam podczas wojny. Wybacz, że do tej pory Ci o tym nie wspomniałam. Nosłam w sobie ból niczym największy ciężar.

Teraz jednak przyszedł czas, gdy moje serce odżyło i poczułam potrzebę zwierzenia Ci się z mych uczuć. Nie chcę już wracać do przeszłości, ponieważ spoglądam wyłącznie w przyszłość, a tę wiązę z pewnym dżentelmenem. I tutaj pojawia się problem, ponieważ zakochałam się w człowieku, z którym właściwie nie powinnam mieć w ogóle do czynienia, może nawet należałoby, abym nim gardziła przez wzgląd na krzywdy, których zaznałyście wraz z ciotką Matyldą. Pewnie już zgadujesz, kogo mam na myśli. Jeśli nie, to spieszę z wyjaśnieniem: tak niefortunnie zakochałam się w Nikodemie Strzeleckim.

Wspominałam Ci w którymś liście, że pielęgnowałam go w szpitalu, gdy cierpiał z powodu hiszpańskiej grypy. Nawet przez myśl mi wtedy nie przeszło, że pomiędzy nami może do czegoś dojść. Starłam się traktować go z taką samą obojętnością, a zarazem starannością jak innych pacjentów, chociaż nie było to łatwe, gdyż przez pewien czas niesłusznie nim pogardzałam. Gdy Nikodem odzyskał pełnię zdrowia, powrócił do szpitala, by podziękować mi za pomoc w trudnych chwilach, i właśnie od tego zaczęła się nasza zażyłość.

Wczoraj poprosił mnie o rękę. Dobrze zgadujesz: powiedziałam „tak”, chociaż mam nieprzyjemne poczucie, że nie powinnam tego robić. Być może właśnie te słowa łamią również Twoje serce, więc od razu błagam: wybacz mi, Ciociu. To uczucie silniejsze jest ode mnie, nie sposób z nim walczyć. Ponadto nie chcę dłużej być sama.

Patrzę na tego mężczyznę przez zupełnie inny pryzmat niż Ty czy ciotka Matylda. Wiem, że Wy żywiecie żal do Strzeleckich. I doskonale się orientuję, z jakiego powodu. Ale spoglądam na Nikodema tak, jak bym chciała, aby inni ludzie widzieli mnie. Zrozumiałam w końcu, że dzieci nie mogą ponosić odpowiedzialności za czyny swoich rodziców. I tak jak ja nie

jestem winna temu, co zrobili przed laty moi rodzice, tak Nikodem też nie może cierpieć z powodu tego, czego dopuścił się jego ojciec.

Wiem, że jesteś jedyną istotą na świecie, która jest w stanie mnie zrozumieć. Nikt poza Tobą nie ma tak wielkiej szlachetności. Jeśli jednak mną wzgardzisz, zrozumiem i nie będę chowała do Ciebie urazy. Zrobiłaś dla mnie więcej niż ktokolwiek inny na tym świecie. Chyba nigdy nie miałam okazji wyrazić wdzięczności za całą dobroć, której od Ciebie zaznałam. Jeśli więc teraz Cię ranię – po stokroć proszę, wybacz!

Pomyślałam, że może mój związek z Nikodemem sprawi, iż nasza rodzina się pojedna. Że Ty oraz ciocia Matylda wybaczyście pani Strzeleckiej krzywdę sprzed lat. O niczym innym nie marzę w tej chwili.

W to, że zaznam spokoju i szczęścia u boku Nikodema, nie wątpię. Ufam mu bezgranicznie. Jest w nim ogrom dobra, ciepła i serdeczności. Nikodem, choć także odczuwa żal do swej matki za to, czego dopuścili się z ojcem, jest człowiekiem bardzo odpowiedzialnym i to on roztacza nad nią opiekę po samobójczej śmierci Tytusa Strzeleckiego. Dla matki poniósł wiele wyrzeczeń. Nie chce jednak wyrzekać się miłości. Zresztą ja także. W głębi duszy mam nadzieję, że nasza historia ułoży się zupełnie inaczej niż dramat Romea i Julii. Że my, w przeciwieństwie do Montecchiego i Capuleti, pogodzimy zwaśnione rody.

Początkowo myślałam, by od razu przyjechać z narzeczonym do Krynicy i postawić Ciebie oraz Matyldę przed faktem dokonanym. Doszłam jednak do wniosku, że wolę Cię uprzedzić listownie i zapytać, czy możemy liczyć na Twoje błogosławieństwo. Bardzo mi na nim zależy. Przez wiele lat byłaś mi niczym matka. Nie! Nie matka! To niewłaściwe słowo. Stałaś się dla mnie kimś znacznie więcej. Wiem, że nigdy nie byłam

aniołem. Wielokrotnie sprawiałam Ci przykrości. Uwierz mi jednak, Cioteczko, że jesteś dla mnie autorytetem. I kocham Cię tak żarliwie, jakbyś była moją rodzoną matulą. Dlatego błagam, abyś po raz kolejny wzniosła się ponad uprzedzenia i znalazła w sercu wybaczenie dla rodziny Strzeleckich, a jeśli nie, to przynajmniej akceptację dla mojego związku z Nikodemem.

On nie był świadom czynów swego ojca, a kiedy się o nich dowiedział, srodze je potępił. Ufam mu, wierzę, że nie okłamuje mnie w tej sprawie i nie powiedział tego tylko po to, by się mi przypodobać. Jestem pewna jego uczuć. Wszak mimo wszystko jest to człowiek dobrze sytuowany. Jako adwokat zatrudniony w renomowanej kancelarii ma wysokie przychody. Mógłby się więc ożenić z jakąś miłą panną, młodziutką pogodną trzpiotką, która nie nosi w sercu tak wiele goryczy jak ja. A jednak wybrał mnie – niezamożną pielęgniarzkę, na dodatek sierotę. Nie kierują nim więc względy materialne. Pomyśl zatem, Cioteczko, czy można oprzeć się żarowi takiej miłości?

Wiem, że nie jest to kaprys jednej chwili.

Nikodem wyznał mi, że zakochał się we mnie, gdy byłam debiutantką w Krakowie. I rzeczywiście pamiętam, że spotkałam go podczas jednego z balów. Potem nie widziałam go przez wiele lat, aż jeszcze przed wybuchem wojny natknęłam się na niego we Lwowie. Nawet wtedy nie próbował się do mnie zbliżyć, gdyż ciążył mu sekret z przeszłości, skutecznie uniemożliwiający podejmowanie jakichkolwiek starań. Dopiero teraz uznał, że powinien spróbować zdobyć moją miłość, ponieważ zniknęła przeszkoda, która skutecznie nas dzieliła. Wyznał mi szczerze, że sam jest zaskoczony, iż tak bardzo zakochał się w kimś, kogo niemalże nie zna, ponieważ ani czas, ani rozłąka nie osłabiły jego uczuć.

Znasz mnie, Ciociu, bardzo dobrze, więc zgadujesz pewnie, że próbowałam mu samą siebie zohydzić. Do niedawna bowiem żywiłam przekonanie, że ja i Stanisław nie powinniśmy stawać na ślubnym kobiercu i powoływać na świat kolejnego pokolenia. A jednak zmieniłam zdanie w tej kwestii.

Czy nie uważasz, Ciociu, że nawet mnie należy się odrobina szczęścia?

Błagam, napisz, co o tym myślisz, a jeśli tylko wyrazisz zgodę, gotowi jesteśmy przyjechać z Nikodemem do Krynicy w pierwszym dogodnym terminie.

W najbliższym czasie przyjdzie mi stanąć twarzą w twarz z jego matką. Boję się tego spotkania. Nie wiem, czego mogę oczekiwać po Strzeleckiej, a jednak gotowa jestem stawić czoła każdej przeszkodzie. Na pewno byłoby mi lżej na sercu, gdybym wiedziała, że mnie nie potępiasz.

Aurelia jeszcze raz przeczytała całą treść listu. Słowa napisane przez Teodozję były zaskakujące.

– No, no, no! Kto by pomyślał? Teodozja i Nikodem Strzelecki... – powiedziała sama do siebie. – Ciekawe, co na to Matylda? Bądź co bądź Strzeleccy wyrządzili jej wielką krzywdę. Zresztą mnie też sprawili przykrość, radykalnie się od nas odcinając. Ale ja nie zaznałam ani połowy tej niesprawiedliwości co Matylda. Może odczuć gniew na wieść, że moja wychowanka chce się związać z synem jej... Hm... wrogów? Och, czy to oznacza, że nasza przyjaźń znowu zostaje wystawiona na próbę?

Kobieta zasepiła się, ponieważ nie wiedziała, w jaki sposób przekazać przyjaciółce wieści od Teodozji. Było dla niej czymś oczywistym, że nie utrzyma takiej sprawy w sekrecie. Tym bardziej że Teosia zamierzała przyjechać z narzeczonym do Krynicy.

A może rzeczywiście jest to szansa na pogodzenie się zwaśnionych rodzin?

Właściwie sama nie wiedziała, jak traktować list Teodozji. Z jednej strony bardzo się cieszyła szczęściem podopiecznej. Wszak marzyła o tym, aby panna ułożyła sobie życie i wyzbyła się goryczy, która rządziła jej sercem od wielu lat. Z drugiej natomiast trochę martwił ją wybór Litworzanki. Sama skłonna była wybaczyć Zuzannie, ale łatwo jej było wykazywać wspaniałomyślność, skoro nie ucierpiała z powodu czyjejś nieuczciwości.

Aurelia czuła ogromną potrzebę, by zrzucić ten ciężar z serca przed kimś bliskim. Poszła do pokoju matki. Spodziewała się zastać Felicytę na lekturze. Nie była jednak zdziwiona, widząc staruszkę pogrążoną we śnie. Drzewicka coraz więcej czasu spędzała, drzemiąc. Dla Aurelii i tak stanowiła żywy cud, ponieważ w swym iście matuzalemowym wieku zachowała sprawny umysł i mimo wielu trudnych doświadczeń od losu nie stała się stetryczalą, zgorzkniałą osobą.

Drzewicka-Rapacz nie chciała zakłócać wypoczynku nestorce, zawróciła więc w stronę hallu i skierowała kroki do gabinetu męża. Filip był sam, nie przyjmował żadnych petentów. Siedział, paląc papierosa i przeglądając prasę.

– Aurelio, czy coś się stało? – zdziwił się na widok żony, która rzadko zakłócała jego samotność, gdy przebywał w swym pokoju. Od razu zrobił gest, jakby chciał zdławić cygaretkę, lecz żona go powstrzymała.

– Pal, nie przeszkadzaj sobie. Dym dość znośnie pachnie. Bardzo jesteś zajęty? Chcę z tobą porozmawiać.

– Jak widzisz, nie. Właściwie odpoczywam. Skończyłem już przygotowywanie specyfikacji surowców. A może wolisz pójść do bawialni?

– Nie – odparła. – Chcę pomówić w cztery oczy, choć przypuszczam, że niebawem i tak wszyscy się dowiedzą o tym, z czym teraz do ciebie przychodzę.

– Zaczynam się niepokoić – oznajmił mężczyzna.

– Och nie! Nie martw się, kochany. Nie wydaje mi się, by były wielkie powody do niepokoju. Zresztą sam zobacz, to jest od Teodozji – odparła, podając mu korespondencję. Zaaferowana przysiadła na krawędzi biurka, nic sobie nie robiąc z tego, że tak nie wypada.

Rapacz pochylił się nad listem. Poprawił okulary i zaczął czytać. Bardzo szybko uniósł ze zdumienia brwi. Przerwał na moment lekturę, zerknął na żonę. Ta jednak nic nie powiedziała, tylko ruchem głowy wskazała mu, by kontynuował. Dopiero gdy skończył, zagadnęła:

– I co ty o tym wszystkim myślisz?

– Jestem zaskoczony. Ale w gruncie rzeczy czy można winić Nikodema za to, co zrobili jego rodzice? Od dawna dręczyłaś się, że Teodozja nie ułożyła sobie życia tak jak inne dziewczęta. Teoretycznie więc powinnaś być rada, że w końcu znalazła narzeczonego.

– W rzeczy samej cieszę się jej szczęściem. Martwi mnie tylko, co na to powie Matylda.

– Może frasujesz się niepotrzebnie? Twoja przyjaciółka to bystra i zacna osoba. Odzyskała znaczną część majątku i wspaniałomyślnie darowała Zuzannie resztę długu, gdy dowiedziała się o śmierci Tytusa. Współczuła Strzeleckiej na wieść, że czerwona zaraza przetrzebiła jej rodzinę. Osobiście uważam, że Zuzanna dostała już karę od losu za to, czego dopuściła się wraz z mężem. I myślę, że Matysia zdołała wybaczyć jej przewiny. Nie powinno więc mieć dla niej znaczenia, z kim zwiąże się nasza wychowanka. Zresztą skoro

Nikodem opiekuje się swą matką w jesieni życia, można przyjąć, że młodzi po ślubie pozostaną w Samborze. Mogą ewentualnie na mieszkanie obrać Lwów. A to oznacza, że Matylda nie będzie miewała z nimi do czynienia zbyt często. Będą tutaj zaglądać jedynie od czasu do czasu.

– Och, obyś się nie mylił w przypadku Matyldy.

Filip wyciągnął rękę i uścisnął dłoń żony.

– Nie martw się, najdroższa, będzie dobrze. Najlepiej zrobisz, jeśli jak najszybciej porozmawiasz z przyjaciółką. A tak czy owak, niezależnie od tego, co ona sądzi na ten temat, napisz do Teodozji list od serca. Taki jak tylko ty potrafisz. Możesz jej pogratulować również w moim imieniu. Jeśli o mnie chodzi, ja nie żywię uprzedzeń. O Tytusie miałem złe zdanie, mimo że nie zdążyłem tego człowieka poznać tak dobrze jak ty, ale nie mogę przenosić opinii o ojcu na syna. Teodozja bardzo dojrzała w minionym dziesięcioleciu. To już nie jest to samo rozwydrzone dziewczę, które włożyło czerwoną suknię do teatru i za wszelką cenę chciało zrobić jak najlepszą partię. Jestem przekonany, że gdyby nadal celem samym w sobie było zawarcie małżeństwa, Teosia już dawno ośmieliłaby choćby doktora Trelewicza, by oświadczył się o jej rękę. Odnoszę wrażenie, że Józef tylko czeka na taki gest z jej strony. Wszak już dawno mógł się ożenić. Atrakcyjnych panien na wydaniu nie brakuje, a on, jak to mawiają stateczne damy, jest nader łakomym kąskiem. Widziałem, jak patrzył na Teodozję podczas ślubu Konstancji i Stanisława.

Aurelia poczuła się pokrzepiona słowami męża, właśnie na coś takiego liczyła. Filip podszedł do tej kwestii nader racjonalnie, ona patrzyła na świat przez pryzmat serca.

Powroźnik

Jeszcze tego samego popołudnia Rapaczowie wybrali się do Powroźnika. Ku zaskoczeniu Aurelii Matylda z zadziwiającym spokojem przyjęła wieść o zaręczynach Teodozji. Owszem, była zaskoczona jak każdy, ale powiedziała dokładnie to samo, o czym wspomniał Filip: że nie można żywić żalu do Nikodema za to, co uczynili jego rodzice, i trzeba być konsekwentnym w postępowaniu, bo skoro zastosowała tę zasadę w stosunku do Stanisława, to tym bardziej musi ona zadziałać w przypadku Nikodema.

– Cieszymy się szczęściem Teodozji. Aż się wierzyć nie chce, że nawet ona stanie na ślubnym kobiercu. To wspaniała wiadomość! – podsumowała. – Co więcej, gdy tu przyjadą, chętnie się z nimi spotkam. Możesz śmiało napisać do swej wychowanki, że jej plany matrymonialne nikomu nie są solą w oku.

– Ale zdajesz sobie sprawę, że jeśli przyjdzie co do czego, to prawdopodobnie spotkamy się na ich weselu z Zuzanną? – zagadnęła Aurelia.

– Cóż, ja jestem na to gotowa. To raczej Zuzanna powinna się obawiać tej chwili. Ale nie, nie zamierzam jej czynić żadnych wymówek. Los ją pokarał wystarczająco mocno. Właściwie mogłyśmy przypuszczać, że twoja wychowanka utrzymuje relacje towarzyskie z Nikodemem. Bo niby skąd miałyby najświeższe wieści o naszych krewnych?

– Właściwie tak, wspomniała o tym w którymś z listów – przyznała Aurelia. – Ale myślałam, że to nic nieznaczące spotkanie, podczas którego Nikodem poczuł się zobowiązany, by nakreślić jej sytuację, podziękować za opiekę w szpitalu i może trochę się usprawiedliwić w jej oczach.

– Jak widać, owo usprawiedliwianie się było nader owocne – stwierdził Witalis.

– Jestem tylko ciekawa, czy Teodozja i Zuzanna miały już okazję się spotkać. Sprawa wygląda mi na świeżą, więc być może Zuzanna nadal o niczym nie wie – rzuciła nagle Matylda, uśmiechając się z przekąsem. – Moja szwagierka zdecydowanie nie należy do łagodnych owieczek, ale w tym przypadku trafiła kosa na kamień. I już sama nie wiem, czy bardziej współczuć Teodozji wrednej teściowej, czy raczej Zuzannie synowej, która nie da sobie w kaszę dmuchać. I wiecie co? – Zachichotała. – Całym sercem jestem po stronie Teodozji. Czuję, że we wszelkich utarczkach to ona będzie górą.

Rapaczowie i Juraszkowie wybuchli śmiechem. Aurelia odetchnęła.

Jak mogło mi przyjść na myśl, że decyzja Teodozji znowu wystawi na próbę naszą przyjaźń? Och! Powinnam mieć więcej wiary w ludzi!

Krynica

Słońce wisiało coraz niżej nad porośniętymi zielonym lasem wzgórzami. Z deptaku krynickiego zaczęły już znikać pary małżeńskie z dziećmi. Coraz częściej spotykało się za to osoby, które wybierały się na bal, bądź zakochane pary. Ponieważ wciąż jeszcze trwał festyn, zorganizowany ku uciechu kuracjuszy, zewsząd słychać było piski dziewcząt, którym kawalerowie sypali na głowy konfetti. Papierowe ścinki często zmieszane były z piaskiem, gdyż chłopcy zwykle po prostu zgarniali je z ziemi, by „zaznaczyć” głowy panien cieszących się największym powodzeniem. Młódki bynajmniej nie protestowały przeciwko temu, ponieważ im większą ilość

piasku trzeba było wytrzepać z włosów, tym większą robiło się furorę.

Mało kto zwracał uwagę na niepozornego człowieczka siedzącego od wielu godzin na murku okalającym jeden ze skwerów. Obok siebie trzymał porozkładane obrazki, które usiłował sprzedać jako pamiątki z Krynicy. Właściwie stwierdzenie, że usiłował, byłoby mocno na wyrost, ponieważ one po prostu leżały, a przy nich kartka z prośbą o wsparcie ubogiego artysty. Sam malarz zdawał się nie zwracać uwagi na przechodzących ludzi. Zresztą prawie nikt się przy nim nie zatrzymywał.

Nikifora pochłaniała praca. Rysował dosyć szybko, ale z rozmysłem. Każdy skrawek papieru czy kartonika starał się jak najpełniej zagospodarować. Nie zostawiał zbędnej pustej przestrzeni. Miał mnóstwo widoków do uwiecznienia. Chciał wyrazić swoimi dziełami to, czego nie były w stanie wypowiedzieć usta.

Nie miał odwagi zaczepiać ludzi. Zdawał się na ich litość. Wciąż ufał, że pewnego dnia ktoś wyzna się na jego sztuce. Dostrzeże dar od Boga i uzna, że Nikifor ma prawdziwy talent. Ten dzień musi w końcu nastąpić. Może nie nadejdzie już dziś, jutro czy nawet nie za rok. Zapewne trzeba będzie poczekać wiele lat, ale niepozorny Łemko ufał, że pewnego dnia jego obrazy ozdobią najwyborniejsze salony. Albo lepiej – że zostaną powieszony w specjalnie do tego wygospodarowanych miejscach zwanych galeriami. Będą tam przychodzili ludzie, którzy zechcą zapłacić za podziwianie jego sztuki. A on, choć doceniany, dalej będzie sobie siedział skulony gdzieś w kątku i pracowicie malował.

– Głupek! Głupek! – wykrzyknął nagle tuż nad jego uchem obcy chłystek. Wrzeszczał dotąd, aż zniecierpliwiony Nikifor

podniósł wzrok.

Rusnak westchnął ciężko, ale nie zareagował. Póki nikt nie zabierał i nie niszczył jego prac, nie próbował wyrwać mu kartki albo zepchnąć z murka przyborów malarskich, udawał, że nic się nie dzieje. Przyzwyczajony był do tego, że się go prześladowuje. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze był ofiarą jakichś uliczników. Ba, dokuczali mu nawet chłopcy z dobrych domów. Jedni dorastali, w ich miejsce pojawiali się inni. Kolej rzeczy, ot co! Kiedyś miał przynajmniej matulę, której mógł się pożalić. Ona go utuliła albo poczochrała spracowaną dłonią po głowie. Cóż, gdy zmarła jakiś czas temu. Zabrały ją choroby, głód i bieda.

Nikifor nie martwił się o to, że może skończyć jak ona. Wszak matula zapewniała go, że będzie nad nim czuwać z niebieskich wyżyn. I że ktoś taki jak on, naznaczony dotykiem Boga, utalentowany na miarę swego ojca ma-lar-sa, nie może zmarnować talentu. Wszak nie po to został tak hojnie obdarowany, by kryć się przed ludźmi.

Ach! Dostać się do A-ka-de-mji – marzył, kontynuując pracę.

Wyrostek, znudzony brakiem reakcji z jego strony, poniechał dalszych zaczepki. Gdy Nikifor upewnił się, że nie ma przy nim dręczyciela, odłożył na bok ukończone dzieło, a następnie zaczął pakować swój skromny dobytek. Zamknął pudełko z akwarelkami, sprawdziwszy, czy w środku jest pędzelek, pozbiarał kredki, ołówek i kozik służący do ich ostrzenia – to były jego największe skarby. Zbyt cenne i kosztowne, by mógł cokolwiek przeoczyć. Potem zaczął chować obrazki. Tego dnia sprzedał zaledwie jeden, więc w kieszeni pobrzękiwały mu drobne monety. Właściwie nawet jeden sprzedany obrazek był dobrym wynikiem, gdyż często nie udawało mu się znaleźć żadnego nabywcy. Wiedział, że za mało się stara. Może

powinien zaczepiać ludzi, nagabywać ich, podtykając malunki pod oczy. Nie miał jednak na to dość odwagi. Bał się, że w końcu kogoś mocno rozgniewa, ten ktoś złoży skargę u policjanta i nieszczęście gotowe. Paweł Hryniak nie będzie Nikifora w nieskończoność wyciągał z tarapatów. Już i tak okazywał wielką życzliwość, pozwalając mu u siebie mieszkać i przechowywać obrazki.

– Aż się wierzyć nie chce, że to już dziewięćdziesiąta czwarta wiosna mojego życia.

– A ja chcę wierzyć, mateczko, że masz ich jeszcze przed sobą wiele – odparła Aurelia, niespiesznie popychając ogrodową alejką wiklinowy fotel na kółkach.

Od jakiegoś czasu Felicycya częściej korzystała z tego udogodnienia, bowiem po przejściu kilku kroków opadała z sił. Niezmiennie jednak uwielbiała spędzać czas na świeżym powietrzu, więc gdy tylko pogoda sprzyjała, prosiła, by zabierano ją na zewnątrz. Tyle że nie opuszczała już terenu posiadłości, ponieważ czułaby się skrępowana, gdyby ludzie spoglądali na jej niedołęstwo. Oczywiście córka protestowała, słysząc takie słowa. Przecież matka, w swym pięknym wieku, wciąż była w nader dobrej formie. Nawet przytępiony słuch oraz wzrok nie były aż tak dużymi uciążliwościami, gdy wzięło się pod uwagę zadowalający stan zdrowia staruszki. Wszak już wiele lat temu Aurelia drżała o jej życie, gdy nie mogły doleczyć wyjątkowo uporczywego przeziębienia.

– Ech... Dziecko. I tak bardzo długo wywijałam się śmierci spod kosy. Wszyscy ludzie, których znałam w młodości, już dawno poszli na tamten świat. Oplakałam dość bliskich. Przyjdzie i na mnie pora.

Głos Felicycy był zadziwiająco wesoły, wyglądała na pogodzoną z losem i przemijaniem. Aurelii jednak zakręciły

się łyzy w oczach i była zadowolona, że matka nie może jej teraz widzieć, gdyż jest odwrócona plecami.

– Nie mów o odchodzeniu, tak cię proszę – powiedziała po chwili, gdy już była w stanie zapanować nad drżeniem głosu.

– Kolej rzeczy, kochana. Szczerze ci wyznam, że przychodzi taki moment, gdy uświadamiasz sobie, że dalsza egzystencja traci sens. Nawet jeśli masz przy sobie ukochanych bliskich, odczuwasz znużenie. Cóż jest jeszcze przede mną? Nigdy więcej nie pójdę na bal ani do teatru. Nie zobaczę, jak zmienia się moja Krynica. Nie słyszę już nawet muzyki dobiegającej z muszli koncertowej na deptaku. Ale cieszę się, że miałam szczęście żyć właśnie w takich czasach, gdy zobaczyłam rozkwit uzdrowiska, mogłam gościć w salonie wybitnych artystów, rozmawiać z pisarzami, poetami, malarzami. Doczekałam chwili, gdy Polska wróciła na mapy, a kobietom przyznano prawa wyborcze. To była piękna epoka. Świat, który zostanie dla młodych pokoleń, będzie jeszcze piękniejszy. Taką mam nadzieję. Ludzie nauczyli się, że wojna to zło, więc teraz zaczną cenić dobrodziejstwo pokoju.

– Daj Boże – odparła Aurelia. – A może jednak wyjedziemy poza ogród? Zobaczysz, jak rozbudowuje się miasto. Posłuchamy na deptaku muzyki, wypijemy kawę w kawiarni... – zaproponowała spontanicznie.

Przez chwilę Felicjta milczała. A potem, ku zaskoczeniu córki, wyraziła aprobatę.

– Tylko weź, moje dziecko, portmonetkę. Może oddamy się jakiemuś małemu szaleństwu i zrobimy zakupy? Albo wstąpimy do cukierni? – odparła z entuzjazmem.

Gdy kilka minut później Aurelia pchała wózek Felicjty, staruszka nie posiadała się z radości, widząc ulubione miejsca.

Dwukrotnie obeszły dookoła cały deptak, zatrzymując się tu i ówdzie.

– Wejdz, Aurelio, bo mnie starej ciężko chodzić po schodach, do sklepu pana Julesa – poprosiła Felicę, gdy mijały dom Pod Zamkiem, bodajże jeden z najstarszych krynickich budynków. Do lokalu należało zejść po kilku szerokich stopniach, gdyż mieścił się w suterenie. – Kup te pyszne czekoladki, które można dostać wyłącznie u niego.

– Oczywiście – odparła Drzewicka-Rapacz, sprawdzając, czy kółka są ustawione w taki sposób, by wehikuł seniorki nie odjechał. Później weszła do sklepu korzenno-mieszanego, pachnącego orientalnymi towarami, wanilią, kawą, czekoladą i mnóstwem innych przyjemnych rzeczy, mieszających się w jedną woń. Pospiesznie dokonała transakcji, gdyż bała się zostawiać Felicę samą. Kiedy jednak opuściła lokal, zauważyła, że matka w najlepsze pochłonięta jest pogawędką z Wandą Pakubrotto²⁰, właścicielką willi Adela.

Panie wymieniły uprzejme powitanie, a później Wanda powiedziała z uśmiechem:

– Jak dobrze widzieć *madame* Drzewicką w tak doskonałej formie. Powinna pani częściej opuszczać progi domu i pokazywać się wśród ludzi.

– Ach, trochę mnie ten wózek deprymował. Człowiek niedołężnieje na starość, coraz trudniej poruszać się o własnych siłach.

– Ależ nie ma co się przejmować tym powozem. Dzięki niemu może pani bez wysiłku odwiedzać ulubione miejsca. Jestem pewna, że każdy by się ze mną zgodził. Wszak zawsze cieszyła się pani ogromnym szacunkiem i popularnością.

– Ha, ha, ha! Popularność to raczej znajdowanie się w centrum zainteresowania plotkarzy, którzy lubią wiedzieć, co w trawie

piszczy, a u nas zawsze sporo piszczało – roześmiała się Feliccyta. – Ale masz rację, dziecko, powinnam częściej urządzać sobie spacer z moją ukochaną córką. No nic, Aurelio, chodźmy dalej – poprosiła, a gdy nieco się oddaliły, zagadnęła o starszą panią, która stała w progu niewielkiego kiosku za rzeczką.

– Czyż to nie Julia Litworowa²¹?

– Tak, mateczko. To pani Julia.

– To ona jeszcze żyje? – zapytała zdumiona, widząc siwiuteńką kobietę o ujmującym uśmiechu. A potem się zreflektowała. – A jakże! Wszak młodsza jest ode mnie. To raczej ja wychynęłam dzisiaj z domu niczym jakaś zjawa, która opuściła sarkofag. Pamiętam dobrze ten kiosk, bodajże od samego początku sprzedawano w nim kwiaty. Ksawery niejedną raz przynosił mi od Litworowej wonne tuberozy. Stawiałam je w bawialni, a ich zapach unosił się w całym pomieszczeniu. A pamiętasz, dziecko, te cudne róże, którymi regularnie obdarowywał cię Janek? Zawsze kupował je tutaj.

Feliccyta na dobre pogrążyła się w snuciu wspomnień o pięknej przeszłości, przywołując w nich osoby, które już dawno spoczęły w mogiłach. Nie roniła jednak łez nad zmarłymi, lecz opowiadała ze swadą i radością. Choć nie mówiła tego na głos, by nie robić przykrości córce, wiedziała, że już niebawem wyruszy w ostatnią ziemską podróż, u której kresu wpadnie w ramiona Ksawerego oraz Janka i spotka mnóstwo innych bliskich.

Zmęczona ogromem wrażeń Feliccyta poprosiła, by córka pomogła jej dostać się do sypialni. Chciała się trochę zdrzemnąć przed kolacją. Aurelia pomogła jej ułożyć się na łóżku.

– Jesteś najlepszym, co mogło mnie spotkać, gdy straciliśmy Janka. Kiedy zgasł mój biedny syn, byłeś mą największą

pociechą. Nie mogłam marzyć o lepszej córce – oznajmiła Drzewicka sennym głosem.

Aurelia przysiadła na chwilę na posłaniu obok matki. Ujęła i ucałowała z czułością jej dłoń.

– A ty sprawiłaś, że moje życie stało się piękniejsze. Przecież mogłaś zabronić mnie i Jankowi brania ślubu. Mogłaś powiedzieć, by poszukał sobie dobrze urodzonej i posażnej panny. Mogłaś się bać, że przyniosę wstyd waszej rodzinie chłopskimi manierami. Niejedna kobieta właśnie tak by postąpiła. Ty potrafiłaś wznieść się ponad uprzedzenia.

– Nie mogłabym unieszczęśliwić Jana. Miał krótkie, lecz piękne życie. Piękne dzięki tobie. Doskonale pamiętam dzień, gdy powiedział, że chce się żenić z córką łemkowskich gospodarzy.

– Pewnie w pierwszej chwili byłaś skonfundowana.

– Tak. W rzeczy samej. Ale wiedziałam, że Jan jest odporny na miłostki i skoro się zakochał, to jego wybranka musi być wyjątkową osobą. Przyjrzałam ci się, gdy pracowałaś w pijalni, i nie miałam wątpliwości, że dokonał idealnego wyboru. Jestem mu wdzięczna za ciebie. Czasami bowiem myślę, że kierowało nim przeczucie. Jakby wiedział, że odejdzie młodo i musi zadbać o to, by w najczarniejszych chwilach życia była przy mnie osoba o anielskim usposobieniu. Kocham cię niewyobrażalnie, Aurelio.

– Ja także cię kocham, matuchno. Wciąż mnie wspierasz, dodajesz otuchy, gdy tego potrzebuję. To ty jesteś moim aniołem. – Uśmiechnęła się. Potem pożegnała znużoną matkę, by ta mogła odpocząć.

Dziwny dzień – pomyślała, zamykając za sobą drzwi jej pokoju. – *Tyle wspomnień, tyle wzruszeń...*

Miała nadzieję, że ogrom emocji nie zaszkodzi Felicycie.

Sambor

Czas mijał, a Zuzanna nie chciała słyszeć o spotkaniu z Teodozją. Najpierw Nikodem próbował łagodnej perswazji. Kiedy jednak zauważył, że nie przynosi ona efektów, stracił cierpliwość.

– Matko, przyjmij do wiadomości, że jestem dorosłym mężczyzną i sam sobie będę układał życie. Nie masz prawa decydować o tym, co jest mi potrzebne do szczęścia. Uszczęśliwia mnie Teodozja Litwora.

– Nie możesz się z nią ożenić!

– Klamka zapadła. Oświadczyłem się i zostałem przyjęty. Teodozja napisała o naszych zaręczynach do swej ciotki. Otrzymała od niej odpowiedź. Państwo Rapaczowie zapraszają nas do Krynicy. List ma bardzo przychylny wydźwięk. Ciotka wręcz pogratulowała Teodozji planów matrymonialnych. Co więcej, dołączyła pozdrowienia od Matyldy.

– Nigdy więcej nie mów przy mnie o tej kobiecie! – Zuzanna zmarszczyła gniewnie brwi. Rysy jej twarzy uległy nieprzyjemnemu wyostreniu.

– Matko, przyjmij do wiadomości – powtórzył Nikodem – że ożenię się z Teodozją bez względu na twoje protesty. Zrobię to, nawet jeżeli będę musiał wyprowadzić się po ślubie do Lwowa. Lepiej więc, abyś zaakceptowała Teodozję i okazywała jej sympatię.

– Śmiesz stawiać mi ultimatum?

– Tak. Nie pozwolę, by wasz wybryk z przeszłości zrujnował mi życie. Nie pójdę w tej kwestii na żadne kompromisy. Rezygnowałem z własnego szczęścia przez wiele lat. Teraz się nie cofnę. Podoba ci się to czy nie, żenię się z Litworzanką. A decyzja o tym, czy zostaniesz tu sama jak palec, zależy tylko i wyłącznie od ciebie. Zaznaczam jednak, że będę oczekiwał,

abyś do mojej żony odnosiła się jak należy. Nie zamierzam wchodzić w rolę ofiary losu, która znajduje się pomiędzy młotem a kowadłem. Jeśli nie będziesz umiała osiągnąć porozumienia z moją ukochaną, bądź pewna, że stanę zawsze po jej stronie. Jesteś moją matką, kocham cię i szanuję. Ale nie wyobrażam sobie dalszego życia bez Teodozji. Ona jest moją przyszłością.

Zuzanna prychnęła niecierpliwie. Czuła nieprzyjemną gorycz w gardle i pieczenie pod powiekami. Zacisnęła je z całych sił, by nie uronić łez. Nie mogła sobie pozwalać na słabość. Czuła się jednak całkowicie bezsilna. Wiedziała, że nie wygra z kaprysem syna. Z kaprysem – bowiem tak traktowała tę miłośćkę.

Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. Jeszcze nigdy nie widziała takiej zaciekłości w oczach Nikodema. Nagle zrozumiała, że jeżeli nie ustąpi, może faktycznie zostać zupełnie osamotniona w tym znieawidzonym przez siebie mieście, z dala od znajomych i od rodziny. Skazana wyłącznie na własne towarzystwo. Żyjąca samymi wspomnieniami.

– Matko, wiem, że to niełatwe, ale musisz przełamać dumę, pokonać uprzedzenia i lęk przed spotkaniem z Teodozją. W przeciwnym razie do końca życia będziesz zmagająca się z ciężarem wyrzutów sumienia. To pierwszy krok, który winnaś postawić na czekającej cię długiej i wyboistej drodze.

Strzelecka spoglądała na syna spode łba. Wiedziała, że Nikodem ma rację.

– Przemyśl to, proszę cię. Nie stawiaj mnie przed ostatecznym wyborem. Tak jak już wcześniej powiedziałem, jeśli znajdę się pomiędzy młotem a kowadłem, nie dopuszczę, by to Teodozja pełniła rolę kowadła przyjmującego wszystkie ciosy. Daj nam szansę na szczęście.

– Dobrze. Możesz przywieźć tutaj swoją narzeczoną – odparła wreszcie po nieznośnie długiej chwili milczenia.
Pokonał ją strach przed samotnością.

NARZECZENI

Powroźnik

Papierosy wciąż znikwały Witalisowi. Chociaż mężczyzna kilkakrotnie próbował zasadzić się na rabusia, nie zdołał go przyłapać na gorącym uczynku. *Ech... teraz albo nigdy* – pomyślał, kolejny raz stosując trik z atramentem. Za dwa dni miał wrócić z Tarnowa Mateusz, a wówczas będzie musiał darować sobie zastawianie pułapki. Wszak pasierb także korzystał z zawartości puzderka.

Właściwie sam nie wiedział, czy spryciarz podbierający papierosy bardziej go bawi czy irytuje.

Witalis zatkał kałamarz, a następnie opuścił gabinet. Postanowił, że zajrzy do brata, by pogwarzyć. Wcześniej jednak przezornie zdjął marynarkę, poluzował kołnierzyk koszuli, a rękawy rozpiął i podwinął, by wyglądać bardziej swojsko. Zamiast ulubionego słomkowego kapelusza wziął kaszkiet. Spodziewał się, że Dymitra i jego bliskich zastanie na łące. Zaczynały się właśnie sianokosy.

Odkąd zabrakło matki, to na Witii, jako najstarszym z rodzeństwa, spoczął obowiązek dbania o podtrzymywanie relacji rodzinnych, które znacząco się rozluźniały. Witalis już niejedną raz z przygnębieniem odczuł, że brat nie akceptuje jego stylu życia. Czy był zazdrosny o majątek, którego Witia się dorobił? Trudno to jednoznacznie stwierdzić, ponieważ Dymitrowi i jego bliskim na nic nie brakowało, żyli dostatnio i godnie, nie mieli też wydumanych marzeń. Może bardziej

irytujące dla Dimki były białe kołnierzyki, eleganckie ubiory i dłonie niezniszczone ciężką pracą? A może nie odpowiadała mu Matyllda, choć nigdy nie dała odczuć nikomu z rodziny męża, że uważa się za kogoś lepszego?

Niełatwo było żyć na pograniczu dwóch różnych światów. Niełatwo było godzić je ze sobą.

Godzinę później Witia wrócił do domu mocno zirytowany, ponieważ brat znowu się zachowywał tak, jakby go giez ukąsił w czułe miejsce. Przyciśnięty przez Witalisa przyznał, że powodem jego frustracji są ostatnie represje ze strony Polaków. Niedawno Łemkowie odmówili Polsce dobrowolnego udziału w pożyczce społecznej ogłoszonej na rzecz wojny polsko-bolszewickiej. Wszak sami ledwo wiąźali koniec z końcem, więc jakże mieli dawać pieniądze na teki cel? Bieda na Łemkowszczyźnie aż piszczala. Juź wcześniej Rusnacy zgodzili się na to, by dostarczać kontyngenty żywnościowe. Ale tutaj pojawił się kolejny problem, ponieważ nie byli w stanie realizować całości dostaw, gdyż nie mieli czym wyżywić nawet własnych rodzin. Oczywiście władze polskie uznały, że jest to sabotaź, i w odpowiedzi zarządziły dodatkową, przymusową brankę do wojska. Przeprowadzono ją w dośc brutalny sposób, zabierając z domów wielu młodych mężczyźn. Czas ku temu był fatalny, ponieważ właśnie zaczynał się kolejny sezon prac polowych.

Witalis próbował pocieszać Dymitra, że nie powinni się aż tak bardzo z tego powodu unosić, wśak Polacy mogli wyciągnąć znacznie poważniejsze konsekwencje i ukarać osoby biorące czynny udział w organizowaniu struktur państwa łemkowskiego. Na szczęście na razie do niczego takiego nie dochodziło i nikt nie został aresztowany, ale prawdopodobnie była to tylko kwestia czasu, gdyż w rzeczy samej Rusnakom

chodziło o to, by oderwać spory kawał ziemi od państwa polskiego. Nawet jeśli Łemkowie mieli pokojowe zamiary, dla Polaków byłyby to znaczący ubytek, zwłaszcza gdyby prócz ubogich wiosek zagarnęli taką Krynicę, Żegiestów czy Muszynę.

Dymitr tylko parsknął gniewnie na jego próby tłumaczenia, że konsekwencje, jakie ponieśli Łemkowie z powodu niewywiązywania się z kontyngentów, wcale takie duże nie były. Zdaniem Dimki Łemkowie nie powinni dawać Polakom absolutnie nic. Wojna z bolszewikami nie była ich zmartwieniem. Tym bardziej więc twierdził, że powinni się zbratać z Czechosłowacją.

Nie chcąc obnosić pomiędzy domownikami ponurej miny, Witalis od razu poszedł do gabinetu, gdzie zamierzał w spokoju zapalić papierosa i wypić dla odprężenia kieliszek czegoś mocniejszego. Odruchowo sięgnął do pudełka z cygaretkami.

– Diabli nadali! – syknął, gdy zobaczył palce zabrudzone atramentem.

Dałby głowę, że zawartości znowu ubyło.

– A niech to dunder świśnie! – Tym razem wpadł w gniew.

Zerwał się zza biurka i wybiegł z pomieszczenia. Kolejny raz obszedł cały dom, szukając służby i domowników. Inspekcja nie przyniosła efektu, a to oznaczało, że albo rabuś zdążył się pozbyć uporczywych plam, co jemu wydawało się mało prawdopodobne, albo jakimś cudem potrafił otworzyć skrzyneczkę bez dotykania skobelka.

– A co to, tatulku? Uwaląłeś się inkaustem? – zagadnęła Wisława, robiąc niewinną minkę. Sama miała ręce nieskazitelnie czyste. – Czyżbyś pomagał Michaśkowi w kaligrafii? A może planujesz powrót do szkolnej ławy? Powinieneś od razu solidnie przyłożyć się do mycia, bo plam z atramentu bardzo trudno się pozbyć.

Spojrzał bykiem na pannicę. Ta jak zwykle jednak nie ulękła się srogiego wzroku. Na jej ustach błąkał się ironiczny uśmieszek. W przeciwieństwie do ślubnej Witalis nie denerwował się, gdy Wiśka próbowała sprowokować go do utarczek. Lubił tę bezczelną dziewczynę, traktował ją jak rodzoną córkę. Ze wszystkich pasierbów tę wręcz najbardziej sobie upodobał, ponieważ nie dawała sobie w kaszę dmuchać. Była nieokiełznana, co doprowadzało Matyldę do rozpacz. A on uważał, że osóbką obdarzona tupetem łatwiej sobie poradzi w życiu niż mdła istotka z płaczem na końcu nosa. Izabela i Konstancja były w jego odczuciu zdecydowanie zbyt delikatne.

Krynica

Józef coraz chętniej tańczył i rozmawiał z Wiktoria. Odkrył, że jest wyjątkowo subtelną i delikatną osóbką o czystym sercu. Odnosił wrażenie, że ma do czynienia z nieskazitelnym aniołem, którego nie pokalał nawet związek z takim utracjuszem jak August. Kiedyś zdobył się na to, by zaproponować jej przechadzkę w przerwie pomiędzy tańcami. Spacerowali wówczas deptakiem. Od słowa do słowa dowiedział się, że już dawno przeboleła śmierć męża, i choć nie powiedziała tego wprost, wyczuł, że jej małżeństwo nie było usłane różami.

– A gdyby tak jakiś mężczyzna zainteresował się roztoczeniem opieki nad panią oraz panienką Edwiną, czy miałyby szansę na względy łaskawej pani? – zagadnął.

– Zależy od tego, co by to był za człowiek. Musiałabym go wystarczająco mocno i wzajemnie polubić, bo małżeństwo bez tego nie ma najmniejszego sensu – odparła, zezując na idącego obok Trelewicza.

– A czy, dajmy na to, człowiek z dobrą posadą i perspektywami na przyszłość byłby w stanie wzbudzić pani sympatię? Bo wiadomo, że dobre serce to jedno, a stabilizacja życiowa to drugie. Tak piękna kobieta zasługuje na to, co najlepsze – skwitował, zdumiony własną śmiałością, bowiem nigdy wcześniej nie występował w roli pretendenta do niczyjej ręki i nie do końca wiedział, co mówi się przy takich okazjach. Kiedy jednak przemyślał dobrze wszystkie za i przeciw, ocenił, że Wiktoria byłaby dla niego idealną kandydatką na żonę. A poślubiając ją, odniósłby we własnym odczuciu małe zwycięstwo nad Orzechowskim. Kiedyś tamten zabrał pannę, na której zależało Józefowi. Teraz on mógłby wyciągnąć rękę po kobietę, która należała do tamtego. Pokrętna logika, dobrze o tym wiedział.

– Pan Józef wciąż mówi zagadkami. – Wiktoria roześmiała się perliście.

Zgadywała, dokąd prowadzi rozmowa z doktorem, i gotowa była sama ze sobą robić zakłady, że ów mężczyzna to nikt inny jak Trelewicz. A ona właściwie rada byłaby takiemu mężowi, gdyż Józio w przeciwieństwie do Augusta wyglądał na poczciwca o dobrym sercu i czystym umyśle. On na pewno nie rzuciłby słów na wiatr, nie mamiłby słodkimi, acz kłamliwymi obietnicami, a wreszcie nie unieszczęśliwiłby kobiety, z którą stanąłby na ślubnym kobiercu. Jeśli wieść gminna nie kłamała, do tej pory nie zainteresował się żadną panną, chociaż bywał w wielu domach. Żadnej nie bałamucił, o niczyją rękę nie prosił. Mawiano wręcz, że gdy już ktoś taki jak on złoży deklarację, będzie to rzecz dogłębnie przemyślana. Trelewicz dał się poznać jako człowiek uczciwy i sumienny. Dodatkowym atutem był zawód, który wykonywał z wielkim zaangażowaniem, czerpiąc z niego bardzo przyzwoite dochody.

Udział w wojnie przysporzył mu chwały. Mimo iż doktor nie walczył, ale leczył, został okrzyknięty bohaterem, ponieważ nawet lazarety podczas minionej zawieruchy nie były miejscami bezpiecznymi. Domniemywano wręcz, bo sam niewiele na ten temat mówił, że nieraz gdy przeprowadzał operacje, nad głową świstały mu kule. Nic więc dziwnego, że tak wiele pań usiłowało zwrócić jego uwagę na swe córki.

A Wiktorcia marzyła o kimś, kto pokocha ją szczerze i zatrze niemiłe wspomnienia o pierwszym mężu. Mimo nieprzyjemnych doświadczeń wciąż wierzyła w miłość, łaknęła bliskości oraz ciepła, pragnęła stworzyć z drugim człowiekiem domowe ognisko, w którym królowałyby pozytywne uczucia.

Nie chciała być trofeum ani substytutem niespełnionej miłości, jak to było w przypadku Augusta.

– A gdybym przemówił wprost? Czy wówczas pani Wiktorcia odpowiedziałaby mi szczerze? – odparł bezzwłocznie Trelewicz, mocniej ściskając jej palce spoczywające na jego przedramieniu. Pozwolił sobie na to, by na jej drobnej dłoni położyć własną, choć ten gest zdał mu się bardzo intymny.

– Och, panie Józefie! – westchnęła nieco teatralnie. – Oczekiwać deklaracji z kobiecych ust, gdy samemu się nie składa żadnych obietnic? A fe, nieładnie pan sobie poczyna. – W tonie jej głosu było tyle serdeczności i kokieterii, że Józef nie zawahał się przed kolejnym krokiem.

– Pani wybaczy, Wiktorio, lecz sama świadomość, że u mego boku stąpa bogini, sprawia, iż tracę głowę. To oczywiste, że marzę o sobie w roli pani absztyfikanta, a w rezultacie małżonka, gdybym zyskał pani przychyłność. Wywołuje pani pospieszne bicie mego serca. Musiała pani wszak zauważyć, że od jakiegoś czasu nasze drogi wciąż się przecinają, a moje

oczy szukają wśród ludzi pani powabnej twarzy. Marzeniem moim jest upaść do pani stóp.

– Zatem niech pan upadnie. A ja wyciągnę dłoń, by pomóc panu powstać – odparła rezolutnie.

– Jedyna! Dołożę starań, by cię uszczęśliwić! – Niespodziewanie pozwolił sobie przejść z nią na ty. Potem się jednak zreflektował. – Pani wybaczy mą popędliwość, Wiktorio.

– Sama Wiktorio wystarczy. Wszak zamierzasz, Józefie, zostać moim towarzyszem życia.

Sambor

Zuzanna do ostatniej chwili żywiła nadzieję, że syn zmieni zdanie w sprawie wesela z Teodozją i zamiast godzić się na zorganizowanie go w Krynicy, narzeczeni po prostu wezmą cichy ślub we Lwowie. Wszak wcale już tacy młodzi nie byli, mogliby więc załatwić sprawę dyskretnie. Oni jednak twardo stali na stanowisku, że skoro Aurelia naciska listownie na wyprawienie przyjęcia, to na pewno się ono odbędzie. Oznaczało to, że Strzeleckiej nie ominie konfrontacja z Matyldą oraz Aurelią.

Do tej pory nie zdobyła się na to, by napisać choćby krótki list do którejkolwiek z nich. Wiedziała, że obydwu jest winna przeprosiny. Panicznie się bała tego momentu. Nieważne, że Teodozja odnosiła się do niej z szacunkiem i nigdy podczas żadnej rozmowy nawet nie zająknęła się na temat wydarzeń z przeszłości. Ten temat pomijany był milczeniem, jakby nigdy nic się nie wydarzyło. Obydwie zachowywały się tak, jak gdyby poznały się przed kilkoma tygodniami. Zresztą Zuzanna, kiedy usiłowała sięgnąć pamięcią wstecz, nie przypominała sobie Litworzanki z czasów, gdy jeszcze jeździła do Krynicy. W rzeczy samej Teosia musiała być wtedy małą dziewczynką. Zapewne

jak przystało na kobietę z zasadami, matka trzymała ją z dala od dorosłych. A kiedy dziecko trafiło pod opiekę Aurelii, Strzelecka nie miała okazji, by ją spotkać, bowiem krótko potem zmarł Seweryn.

Przypatrywała się kandydatce na synową i musiała oddać Nikodemowi sprawiedliwość: Teodozja faktycznie była uroczą istotą. Miała miłą dla oka powierzchowność oraz śliczną figurę. I tylko jej spojrzenie czasem bywało bardzo smutne. Zuzanna jednak przyjmowała do wiadomości, że panna, która widziała okrucieństwa wojny z bliska, nosi w sobie ogromny ciężar. A ponieważ narzeczona syna podeszła do niej z sercem na dłoni, sama również starała się okazywać jej jak największą życzliwość. Wiedziała, że z dużym prawdopodobieństwem po ślubie zamieszkają razem.

Po blisko roku spędzonym w Samborze, który traktowała jako wygnanie, Zuzanna łaknęła towarzystwa życzliwej osoby. Synowa, jakakolwiek by była, mogła więc okazać się prawdziwym darem niebios.

Niezasłużonym, *de facto*.

Krynica

W maju Teodozja i Nikodem udali się w podróż do Krynicy. Wcześniej nie byli w stanie tego zrobić, ponieważ Litworzanek trzymała praca w szpitalu, z której, mimo planów matrymonialnych, nie zamierzała rezygnować.

– Denerwujesz się? – zapytała Teodozja, gdy wysiedli z pociągu na dworcu w jej rodzinnym miasteczku.

– Trochę – przyznał.

Delikatnie uściśnęła mu dłoń dla dodania otuchy.

– Bez obaw, Nikodemie. Ciocia Aurelia jest, czego być może nie pamiętasz, wspaniałą, ciepłą osobą. Nie znam nikogo, kto

potrafiłby tak jak ona wznieść się ponad wszelkie uprzedzenia. Jestem tego żywym dowodem – powiedziała.

Była szczerą ze swym narzeczonym, nie kryła przed nim skomplikowanej historii z przeszłości. Przede wszystkim uważała, że mężczyźnie, z którym zamierza związać przyszłość, należy się prawda. Ponadto chciała mu w ten sposób uprzytomnić, jak wielkie serce ma Aurelia.

Z domu Pod Lipami przysłano po nich samochód. Wprawdzie z dworca do willi nie było daleko, lecz chodziło głównie o to, by nie musieli nieść bagaży. Ford T pochodzący z powojennego demobilu był najnowszym nabytkiem i dumą Filipa, który właściwie od dawna marzył o nowoczesnym środku lokomocji. Na razie pojazd prowadził wyłącznie zatrudniony przez Rapaczów szofer, ale zarówno Filip, jak i Aurelia już szkolili się w sztuce jazdy.

Nikodem, który właściwie nie rozeznawał się w statusie finansowym narzeczonej, na widok pojazdu zrobił wielkie oczy. Jak przez mgłę pamiętał przyjazdy do Krynicy z czasów swego dzieciństwa, a późniejsze lata rozbratu zatarły wiele wspomnień, gdyż rodzice nigdy nie poruszali przy nim i jego braciach tematu Aurelii oraz Matyldy. Właściwie bez konkretnego powodu założył, iż narzeczona pochodzi z mało zamożnego domu, by nie powiedzieć, że z ubogiego, skoro wyedukowała się na pielęgniarkę. Fakt, że spotkali się podczas balu karnawałowego w Krakowie, nie świadczył o zamożności Rapaczów, gdyż wiele rodzin, w których były panny na wydaniu, potrafiło się zadłużyć na okoliczność debiutu córki czy też podopiecznej, byle wprowadzić ją na salony z należytą oprawą, mającą za zadanie przyciągnięcie jak najatrakcyjniejszego kawalera. Owo targowisko matrymonialne było wielką grą pozorów.

Mimo wszystko nadal nie interesowały go względy finansowe. Kochał Teodozję taką, jaką ją poznał: skromną, pracowitą, trochę zamkniętą w sobie, lecz z wolną otwierającą się na świat i miłość. Nie zastanawiał się nad tym, czy wybranka posiada posag, ponieważ dla niego, w rzeczy samej, nie miało to znaczenia. Zresztą Teodozja była tylko wychowanką Rapaczów, więc uznał za mało prawdopodobne, by opiekunowie zapewnili jej cokolwiek więcej poza edukacją.

Nikodem rozglądał się z zaciekawieniem. Niemalże nie pamiętał kurortu, więc teraz zachwyciły go wille w szwajcarskim stylu, piękny gmach Domu Zdrojowego, muszla koncertowa oraz inne budowle.

– Już zapomniałem, jak tutaj pięknie. Albo może raczej jako dzieciak nie zwracałem uwagi na uroki Krynicy.

– Różni się trochę od Lwowa, prawda? – zapytała z dumą kobieta.

– Zdecydowanie. Urocze są te lesiste wzgórza. Tyle tu zieleni i kwiatów! Raj na ziemi. Nie żał ci było stąd wyjeżdżać?

– Owszem – przyznała, ciesząc się, że chwilowo uwaga narzeczonego skupiona jest na uzdrowisku, a nie na zbliżającym się spotkaniu z Aurelią. Sama nie denerwowała się przed wizytą w domu, wszak ciotka w swych listach kilkakrotnie zapewniła o życzliwości względem planów matrymonialnych wychowanki. – Tutaj urodziłam się i wychowałam. Kocham Krynice i wciąż za nią tęsknię, gdy przebywam w obcych stronach. O! Spójrz. – Wskazała niewielki drewniany budynek stojący pośród zieleni. – To mój dom rodzinny. Teraz mieszka tam Stanisław.

– Zachwycające miejsce – przyznał narzeczoney. Widok skromnej, choć starannie utrzymanej posiadłości utwierdził go tylko w przekonaniu, że ukochana przyjechała do Lwowa

za chlebem, chociaż dla niego nie miało to najmniejszego znaczenia.

Nareszcie samochód wjechał na podjazd przed imponującą willą. Ze schodów już zbiegała kobieta w średnim wieku, ubrana zgodnie z najnowszą modą w batystową suknię o fasonie koszulki. Dzień był gorący jak na maj, stąd lekka toaleta.

– Teosiu! Dziecko moje kochane! Jakże dobrze cię znowu widzieć! – wykrzyknęła radośnie, gdy tylko Litworzanka opuściła pojazd, i porwała ją w objęcia ramion.

Strzelecki rozpoznał Aurelię. Nie zmieniła się szczególnie od dnia, gdy widział ją po raz ostatni, podczas balu w Krakowie. W jej włosach połyskiwały wprawdzie siwe nitki, lecz zachowała młodzieńczą figurę. Twarzy nie zdążył się przyjrzeć.

Być może uściskom nie byłoby końca, gdyby nie Nikodem, który wysiadł z drugiej strony samochodu.

Kobiety podeszły do Strzeleckiego.

W oczach Aurelii migotały figlarne ogniki. W przeciwieństwie do przybysza nie wyglądała na spiętą, nie sprawiała także wrażenia kogoś, kto chowa urazę. Od razu wyciągnęła dłoń.

– Ach! Jest i kuzyn Nikodem, który dokonał niemożliwego i skradł serduszko mojej dziewczynki – rzuciła na jego widok, rozciągając usta w serdecznym uśmiechu.

Wciąż była piękną kobietą.

– Kuzynko. – Ukłonił się szarmancko, całując jej rękę. – Dziękuję za zaproszenie.

Mężczyzna odetchnął z ulgą. Lody zostały przełamane. Ale na razie tylko z panią domu. Skąd mógł wiedzieć, jak przyjmie go mąż Aurelii oraz pozostali członkowie rodziny?

Filip wiedział, jak bardzo Aurelii zależy na pojednaniu się rodziny. Chociaż sam nastawiony był do Strzeleckich bardzo

sceptycznie, przez wzgląd na małżonkę starał się zachowywać bardziej niż poprawnie i nawet najdrobniejszym gestem czy słowem nie dać odczuć gościowi choćby odrobiny niechęci. A korciło go mocno, jakby za plecami stanęło mu jakieś przewrotne lichy albo diablisko i dźgało go widłami, podpuszczając do złego.

A niech to dunder świśnie! Czy wypada, abym zapytał go o to, z czego zamierza utrzymywać naszą wychowanicę? – ironizował w duchu, bacznie przyglądając się Nikodemowi. Musiał jednak przyznać, że nie może mu zarzucić absolutnie nic. Kuzyn żony był elokwentny, jak przystało na prawnika, ważył każde słowo, miał nienaganne maniery i dość odwagi cywilnej, by przy pierwszej sposobności przeprosić za parszywy postępek swych rodziców. A później zachowywał się dość swobodnie, ale bez popadania w przesadę. Ostatecznie Rapacz uznał, że Teodozja dokonała mądrego wyboru – znalazła atrakcyjną partię, o której tak bardzo marzyła, będąc debiutantką. Dla Filipa jednak najważniejszy był wyraz rozanielenia na twarzy małżonki. Aurelia wręcz nie posiadała się ze szczęścia, że Teodozja zaczyna układać sobie życie. Zresztą sam musiał przyznać, iż narzeczeństwo służy starej pannie. Nie wyglądała na taką spiętą jak przed rokiem, podczas ślubu brata. Jej twarz ściągnięta była wówczas grymasem cierpienia, a kąciki ust wyraźnie ciągnęły w dół. Teraz Litworzanka tryskała energią i była radosna jak chyba nigdy wcześniej. A przynajmniej Filip nie przypominał sobie, by kiedykolwiek widział ją równie beztroską i pogodną. Od dziecka wciąż robiła marsowe miny, marszczyła wiecznie chmurne czoło, a uśmiech pojawiał się nader rzadko.

To jednak prawda, że człowiek nie jest stworzony do życia w samotności.

Następnego dnia Rapaczowie usiedli wraz z narzeczonymi w mniejszej bawialni, by omówić szczegóły związane z przyjęciem. Aurelia twardo stała na stanowisku, że nie wyobraża sobie, by nie wyprawić Teodozji wesela. Poruszyła także kwestię posagu, wprawiając Nikodema w konsternację. Mężczyzna zaraz zaczął się sumitować, że to zbędne, wszak on na nic nie czeka i nie liczy, a ponadto jego rodzice wyrządzili dość szkody i Matyldzie, i Aurelii, więc jemu sumienie po prostu nie pozwala, by przyjmować jakiegokolwiek pieniądze. Aurelia jednak pozostawała nieprzejednana zarówno w kwestii przyjęcia, jak i wyposażenia wychowanicy na nową drogę życia.

– Przestań się obwiniać, Nikodemie, o coś, na co nie miałeś wpływu. Nie chcę już słyszeć ani słowa na ten temat. Zarówno ja, jak i Matylda pragniemy pojednania, dlatego w czerwcu, podczas zaślubin, pragnę ugościć tutaj całą twoją rodzinę. Oczywiście zrozumiem, jeśli Kazimierz nie dotrze, wszak podróż zza oceanu musi być uciążliwa, ale zależy mi na spotkaniu z Zuzanną. Możesz więc przekazać matce, że nie powinna żywić obaw. Nie spotka jej żaden afront z naszej strony – oznajmiła Drzewicka-Rapacz.

– Teraz rozumiem, za co tak bardzo kochasz swą ciotkę – wyznał Nikodem nieco później, gdy wraz z narzeczoną wybrali się na spacer. – Jest osobą o wyjątkowej szlachetności.

– Tak, to prawda. Sama przez wiele lat nie doceniałam mej opiekunki. Jako dziewczynka i dorastająca panna niejedną raz mocno dałam jej w kość. A jednak ona nigdy się ode mnie nie odwróciła. Zawsze czułam wsparcie z jej strony, nawet wówczas, gdy wydawało mi się, że już nikt, nawet mój rodzony brat, nie chce mieć ze mną do czynienia.

Mijali właśnie skwer stanowiący ulubione miejsce ubogiego Łemka, któremu dawno temu ubrdało się, że zostanie wielkim artystą malarzem. Teodozja nie musiała mu się zbytnio przypatrywać, aby go rozpoznać. Niewiele się zmienił w ciągu minionych kilkunastu lat. Nie wyrósł, nie zmężniał. Nadal był cherlawy. Zbyt luźne ubrania wisały na nim mało estetycznie. Drobnego chłopina w bliżej nieokreślonym wieku wyglądał żałośnie. Skupiony był na rysowaniu, lecz gdyby podniósł głowę, pewnie spojrzalby na nich i wybełkotał coś nieskładnie. A może nie? Prawie nigdy się nie odzywał.

– A to co za persona? – zagadnął Nikodem, przystając obok samozwańczego artysty.

Rzucił okiem na rozłożone obok rysunki wykonane kredkami oraz akwarelkami. Spodobała mu się ich kolorystyka i mnogość detali. Odszyfrował list prośbny umieszczony obok kapelusza, na którego dnie połyskiwało w popołudniowym słońcu kilka drobnych datków.

– Nie wiem, jak się nazywa – odparła Teosia. – Odkąd pamiętam, ludzie go wyśmiewają. Nie potrafi się wysłowić. Całymi dniami coś bazgrze. Niektórzy zwą go malarzem, inni głupkiem. Biedak. Chyba sierota – wyjaśniła powściągliwie.

W gruncie rzeczy żal jej było chłystka. Na oko mógł liczyć jakieś piętnaście lat, lecz przypuszczała, że musi być znacznie starszy. Wszak Stach w dzieciństwie niejedną raz srodze mu się nadokuczał. Kiedyś nawet dostał za to ostrą reprimendę od ciotki. Teodozja stała pod drzwiami pokoju i słyszała słowo w słowo całą awanturę. Od tamtego dnia Stach przestał zajmować się nędzarzem. A ona teraz odczuwała coś na kształt wyrzutów sumienia, ponieważ wiedziała, że brat pastwi się nad smarkaczem, i nie próbowała temu w żaden sposób zapobiec.

Przecież mogła Staszka powstrzymać, wszak była od niego starsza.

– Chodźmy już. – Pociągnęła narzeczonego za rękaw. Bardzo nie chciała, by zobaczono ich przy tym żebraku. Jeszcze bardziej nie chciałyby, aby Rusnak na nią spojrział, rozpoznał ją i zaczął coś bełkotać po swojemu.

– Poczekaj. Rzucę mu choć parę groszy. Może i żaden z niego Matejko, lecz żyć za coś musi. Żal mi takich jak on.

Na dźwięk ukochanego nazwiska Nikifor podniósł wzrok.

– Ma-tej-ko. Ma-lar-sa – wydukał.

Widząc, że mężczyzna sięga do kieszeni, ujął w dłonie jeden z obrazków. A gdy do kapelusza trafiła drobna moneta, podał dzieło swoich rąk dobroczyńcy.

– Pa-mię-ta – mruknął.

Żywił nadzieję, że elegant zrozumiał, iż to pamiątka z Krynicy. Na pewno był tutaj obcy, Nikifor nigdy wcześniej go nie widział, choć towarzysząca mu kobieta miała znajome rysy twarzy. Nie rozpoznał jej jednak. Ale w rzeczy samej rzadko przyglądał się ludziom. Wolał budynki. Kolej. Pola. Lasy. Krynice. Muszynę. Nawet Powroźnik.

– Dziękuję – odparł grzecznie obdarowany człowiek, przyglądając się obrazkowi, jakby się zastanawiał, co z nim uczynić. Potem ujął swą przyjaciółkę pod łokieć i odeszli w stronę parku zdrojowego.

– Możesz wyrzucić ten bohomas – powiedziała Teodozja, gdy już kawałek odeszli. – On nas stąd nie widzi, więc nie będzie mu przykro.

O ile w ogóle ktoś taki odczuwa przykrość – dokończyła w duchu.

– Zachowam rysunek – oznajmił Nikodem.

– Po co ci to? – wyraziła zdziwienie. – To żadne dzieło sztuki. Kilkuletnie dziecko potrafiłoby ładniej coś namalować.

– A jednak się go nie pozbędę. Wszak to pamiątka z Krynicy. Może oprawię go w ramkę i postawię na biurku w gabinecie? – zażartował. – Moi współpracownicy stawiają zdjęcia żon, dzieci, czasami kochanek. A ja, przynajmniej na razie, nie mam co postawić.

– Nie mówiłeś, że chcesz moją fotkę – odparła.

– Fakt. Dawno powinienem był o nią poprosić. Kiedy jednak jesteś blisko, tracę głowę i nie myślę o takich drobiazgach – wyznał. – A zatem, by nie zapomnieć, chodźmy od razu do atelier, by uwiecznić twą nadobną twarzyczkę – zaproponował, zawracając. – Prowadź mnie do fotografa, najdroższa. Jak cię znam, pewnie nie masz żadnych aktualnych zdjęć.

– Faktycznie nie mam. Jakoś się nie składało – przyznała. – Nie były mi do niczego potrzebne. Ostatni raz miałam do czynienia z fotografem bodajże na ślubie Stacha. A ten żonaty już niemalże od roku – uprzytomniła sobie. – Straszny ten upływ czasu!

– Prawda! A zatem więcej go nie traćmy!

Ku swemu zaskoczeniu w witrynie atelier pomiędzy innymi zdjęciami wypatrzyli portret ubogiego artysty.

– Wszędzie go pełno – skomentowała Teosia.

Gdy weszli do środka, Nikodem zagadnął o podobiznę Łemka.

– Ach! Chodzi o Nikifora! Widuję go niemalże każdego dnia, więc kiedyś dla zabawy zrobiłem mu zdjęcie. Cieszył się jak dzieciak. W sumie trochę mi żal tego przybłądy.

RABUŚ

– Ale jak to, żenisz się z Orzechowską?

Idalia uniosła brwi na wieść o planach matrymonialnych syna. Czy były wynikiem zazdrości? Wszak doszły ją słuchy, że kilka dni temu w Krynicy bawiła Teodozja Litwora z narzeczonym. Swego czasu Trelewiczowa podejrzewała, że syn kocha się w tej dość osobliwej pannie.

– Myślałem, że się ucieszysz. Od dawna próbowałam mnie swatać.

– Tak, ale liczyłam na to, że weźmiesz ślub z jakąś panienką, a nie z wdową.

– Przypominam ci, matko, że ta wdowa jest bardzo pożądaną partią. Po mężu wzięła całkiem ładny majątek – odparł nonszalancko Józef, chociaż akurat ten argument nie miał dla niego większego znaczenia, gdy zaczynał zalecać się do Wiktorii. Wiedział jednak, że na matce powinien zrobić należyte wrażenie. Niejednokrotnie, nakłaniając go do zaręczyn z taką czy inną panną, jako jednej z zachęt używała informacji o wysokości posagu. Miłość w jej odczuciu była kwestią drugorzędną, chociaż w przeciwieństwie do wielu kobiet uważała, że dobrze jest, gdy małżonkowie się kochają.

– No tak. Majątek – odparła krótko. – Może to i lepiej? Adamczykówny nie są szczególnie posażne, a ja od dłuższego czasu odnosiłam wrażenie, że Matylda Juraszko chętnie zobaczyłaby cię w roli zięcia. Najpierw chciała ci wcisnąć Konstancję, teraz zaczęła kolejne podchody. Wszak ma w domu

dwie panny na wydaniu. Tak, tak. Wiktoria nie jest najgorszym wyborem. – Pokiwała głową, by wzmocnić wagę swych słów.

W gruncie rzeczy była zadowolona, że syn w końcu zamierza się ożenić. Jego rówieśnicy dawno temu się ustatkowali. Już od ładnych paru lat przypominała mu o konieczności założenia rodziny. Zaczęło się jeszcze przed wojną. Wtedy jednak nie napierała zbyt mocno na ożenek, gdyż odnosiła wrażenie, że syn durzy się w Litworzance. Wiele osób w towarzystwie sugerowało, że powinien ruszyć do niej w konkury. Idalii ta panna wybitnie nie przypadła do gustu. Uważała ją za wyrachowaną i krnąbrną, a na domiar złego zdecydowanie zbyt mocno wyemancypowaną. Czas pokazał, że nie omyliła się w ocenie, bo kto to widział, by dziewczyna z dobrego domu obierała taką drogę życiową? Na szczęście tamten afekt wywietrzył Józiovi z głowy.

Ale wdowa? W czasach, gdy w pannach można przebierać niczym w ulęgalkach?

– Ech, synu. Nie wiem, czy to jest dobry pomysł. Dla niej nie będziesz tym jedynym, ona pewnie nadal pamięta pierwszego męża. Może nawet wciąż o nim myśli – postanowiła uderzyć w czułą strunę.

– A może ja też tęsknię za inną kobietą? Za kimś, z kim nie było mi dane się związać? – zgasił ją do bólu szczerze.

Idalia zwiesiła ramiona. Cóż, lepsza wdówka niż panna, o której swego czasu aż huczało od plotek.

– Ale ona ma pensjonat, który pochłania jej uwagę. Może jeszcze będzie oczekiwała od ciebie zaangażowania w jego działalność? Odciągnie cię od praktyki. Przecież nie po to studiowałaś...

– Droga matko – przerwał jej obcesowo. – Studiowałem, by nieść ludziom ulgę w cierpieniu. A od zarządzania

pensjonatem Wiktorii ma kierownika, na którym może w pełni polegać. Uprzedzając twoje kolejne argumenty – mówił z narastającą irytacją – opiekę nad teściową powierzyła rezydującej w żegiestowskim domu krewnej *madame* Orzechowskiej. Co zaś się tyczy Edwiny, nie będę pierwszym mężczyzną, który stanie się ojcem dla cudzego dziecka. I zapewniam, że dla mnie nie jest to żaden problem. Jeśli natomiast uważasz, że dla żony będę kimś drugorzędnym, to wspomnij plotki o tym, że małżeństwo Orzechowskich nie należało do udanych. Skoro lubujesz się w analizowaniu życia innych osób, powinnaś pamiętać, jak szemrano w towarzystwie, że August zaniedbuje żonę. A ja doleję jeszcze oliwy do ognia, licząc na to, że tę wiedzę zachowasz wyłącznie dla siebie, wszak w grę wchodzi moja narzeczona: otóż mąż ją zdradzał. Przyłapałem go swego czasu na schadzce. I nie, nie powiem ci, z kim się prowadzał – uprzedził ewentualne pytanie, gdy zobaczył błysk w oczach matki.

Idalia nie obraziła się na syna za przytyk o plotkowaniu. Swego czasu była w wielkiej przyjaźni z nieodżałowaną Barbarą Wojnarową, a ta zawsze wiedziała, co w trawie piszczy. Gdy o przyjaciółkę upomniała się kostucha, Idalia dotkliwie odczuła brak towarzystwa do pogaduszek. Przez chwilę walczyła z ciekawością, potem jednak przeciągnęła pieśczośliwym gestem dłonią po twarzy syna.

– Jak już zacząłeś mówić, to dokończ. Bo inaczej skreśli mnie z ciekawości. Nie chcesz chyba poskręcanej pacjentki? – zażartowała.

Mężczyzna zdusił parsknięcie.

– Och, matko! Jesteś jedyna w swoim rodzaju. Uwielbiam cię, ale tym razem muszę sprawę przemilczeć. Znam cię aż nadto dobrze. Wiem, że zaraz poczułabyś pilną potrzebę, by pójść

do sąsiadki i zagadnąć o wykrój nowego kostiumu, a przy tej okazji jakoś tak bezwiednie i oczywiście w najgłębszej tajemnicy podzieliłabyś się bardzo niedyskretną informacją, zaklinając sąsiadkę o dyskrecję – mówił lekkim tonem.

Jego humor uległ znacznej poprawie. Lekarz wiedział, że matka musi trochę pozzrzedzić na temat planów matrymonialnych, które jej wyjawiał. Nie byłaby sobą, gdyby tego nie zrobiła, wszak wszystkie matki świata łączy ta sama przypadłość: pragną jak najlepszego mariażu dla swych pociech i żaden kandydat czy kandydatka nie zaspokajają wygórowanych oczekiwań. No chyba że syn czy córka pobierają się z osobą wskazaną przez rodzicielkę. Idalia nie odbiegała pod tym względem od innych kobiet, ale w gruncie rzeczy była bardzo poczciwa. Józef ufał, że gdy już wprowadzi żonę do domu, ponieważ po ślubie zamierzał pozostać przy matce, to panie znajdą nic porozumienia i nie będzie dochodziło pomiędzy nimi do konfliktów.

Tuż po śniadaniu Matylda postanowiła wyprawić się do Krynicy. Musiała jakoś poprawić sobie humor, a na to nie istniał chyba lepszy sposób nad zakupy w sklepie galanteryjnym pana Wrześniowskiego oraz spotkanie z przyjaciółką.

Dobrze było znowu mieć do dyspozycji dość środków na własne wydatki i nie martwić się domowym budżetem. Wprawdzie Matylda nauczyła się oszczędności i właściwie do tej pory nie szastała pieniędzmi, lecz tym razem postanowiła trochę poszaleć. W przeciwieństwie do Aurelii żałowała minionej mody na przepych. Podobały jej się niegdysiejsze kapelusze zdobne w kwiatki i piórka. Współczesne określała z pogardą mianem nocników – uznawała je za zbyt proste, zbyt prymitywne, pozbawione jakiegokolwiek uroku i finezji.

Na dodatek te fasony kostiumów i sukien! Wszak taka linia demaskowała wszystkie niedoskonałości figury, a tych, niestety, Matyldzie nie chciało ubywać. Zdecydowanie wolała gorsety, suknie z trenami, które wysmukłały sylwetkę, koronki i inne fraszki przyciągające wzrok i odwracające jednocześnie uwagę od nazbyt krągłych kształtów.

Wyciągnę Aurelię z domu. Ale nie na spacer, bo zaraz by mnie zamęczyła – planowała – ale do kawiarni. Może ona zdoła mnie jakoś podnieść na duchu? Witalis ma zdecydowanie zbyt swobodny stosunek do moich problemów. Mądrała! Uważa, że nic złego się nie dzieje i nie mam powodów do obawy. Ech! Mężczyźni! – westchnęła ciężko, mierzając beżowy kapelusik, który idealnie nadawałby się do letniego kostiumu, gdyby był choć trochę ładniejszy.

Przejrzała się krytycznie w lustrze, odwracając głowę na boki.

– Szanowna pani pięknie wygląda w tym modelu – bąknął subiekt, licząc na to, iż komplement przekona niezdecydowaną klientkę. – Przywieziony został wprost z Paryża. Francuzki rozkochały się w tym fasonie.

Matylda jeszcze raz zerknęła na swe odbicie. Opuściła woalkę, by sprawdzić, czy choć trochę osłoni twarz, gdyż niewielkie rondo w ogóle nie spełniało swej funkcji. Moda na opaloną skórę nie trafiała jej do przekonania.

Ech... Wystarczyły cztery lata wojny, by cały świat wywrócił się do góry nogami – westchnęła z nostalgią. Chociaż niegdyś zaliczała się do osób postępowych i wychodziła z założenia, że zmiany są konieczne, teraz uważała, że następują zdecydowanie zbyt szybko. Rewolucja zaszła nie tylko w modzie, która pozwalała na nieskromne odsłanianie nóg, zminimalizowała stroje oraz nakrycia głowy, ale przede wszystkim w życiu społecznym. Matylda nie pierwszy raz

poczuła obawy o przyszłość dwóch niezamężnych córek, zwłaszcza martwiła się o Wisławę.

Skupiona na swych bolączkach oraz wyborze kapelusza, nie zwróciła uwagi na brzdęknięcie dzwoneczka przy drzwiach, sygnalizującego, że do sklepu wszedł kolejny klient. Dopiero gdy usłyszała znajomy głos, zareagowała.

– Kochaniutka! Ślicznie ci w tym kapelutku! Koniecznie musisz go kupić!

Drzewicka-Rapacz z uznaniem spoglądała na przyjaciółkę. Komplement zabrzmiał szczerze, zresztą z jej ust nigdy nie padały fałszywe pochlebstwa.

– Aurelio, cieszę się, że cię widzę. Ściągnęłam cię chyba myślami do sklepu, wybierałam się do ciebie. Zamierzałam uprowadzić cię na mały spacer albo do kawiarni. Masz szósty zmysł?

– Nie mam. Ale byłam w aptece i zauważyłam z daleka, że tu wchodzisz.

– W aptece? Coś się stało? Ktoś z twoich bliskich zachorował? Felicyta? – Matylda z miejsca zapomniała o własnych bolączkach.

– Nie, skądże! Dzięki Bogu wszyscy są zdrowi. W aptece byłam po kołaczyki, ponieważ w domu wyczerpuje się już zapas, a mateczka lubi je przyjmować. Twierdzi, że nie tylko ją orzeźwiają, ale mają również wiele innych dobroczynnych właściwości. Mogłam wprawdzie posłać po nie kogoś ze służby, ale lubię takie drobiazgi załatwiać samodzielnie. A wracając do kapelusika, uważam, że powinnaś go zakupić. Naprawdę ładnie w nim wyglądasz. Zwłaszcza że twoje włosy układają się w cudne fale, nie musisz, jak ja, uciekać się do nakręcania ich na papiloty.

– Och... Skoro tak mówisz... – Matylda wciąż nie była przekonana.

Żywiła nadzieję, że moda na fasony przywodzące na myśl nocniki przeminie równie szybko, jak nastąpiła. W jej odczuciu nie było to ani ładne, ani praktyczne. Nie służyło ozdobie, tym bardziej nie chroniło delikatnej karnacji przed słońcem. A ona przecież przez całe życie dbała o to, by się nie opalać i nie narażać delikatnej skóry na podrażnienia oraz piegi.

– Ten kapelusz to istny symbol naszych czasów – zauważyła po chwili.

– Właściwie tak. Ale porozmawiamy o tym szerzej w kawiarni – stwierdziła przyjaciółka, widząc na twarzy subiekta oznaki starannie zamaskowanego zniecierpliwienia. – Namyśliłaś się, czy go kupić?

– Tak. Wezmę go – odparła z westchnieniem Juraszkowa.

Podobał jej się czy nie, potrzebowała nakrycia głowy. Mimo wszystko nie wyobrażała sobie wychodzenia na ulicę bez niego. Nawet służba nosiła jakieś czepce, chustki czy kaszkiety. A ona, jako osoba należąca bądź co bądź do wyższych sfer, nie mogła prezentować się jak niemodny relikw minionej epoki, nawet jeśli czasy przedwojenne uważała za znacznie piękniejsze od współczesności. Tęskniła za belle époque i czasami odnosiła wrażenie, że jej dusza wciąż tkwi w tamtym okresie, podczas gdy ciało zmuszone jest do życia w nowych realiach.

Uiściła należność za kapelusz i poprosiła subiekta o przesłanie go do domu. Zawadzałyby jej podczas przechadzki z przyjaciółką, a w swym roztrzepaniu mogłaby go wręcz zgubić. Kiedy jeszcze mieszkała w Krakowie, zwykle zabierała ze sobą służącą, gdy wychodziła po sprawunki. Nie musiała nosić żadnych paczek. Po przeprowadzce do Krynicy niejedną raz jej się zdarzyło zapomnieć o jakichś zakupach i pozostawić

je czy to w innym sklepie, czy w kawiarni, czy na ławce w parku. Tylko uczciwośći okolicznych mieszkańców zawdzięczała to, że znaczna część tych rzeczy w czarodziejski sposób się odnajdywała. W Krakowie każda zguba oznaczałaby bezpowrotną stratę.

Kawiarnia w Domu Zdrojowym pękała w szwach. Nic dziwnego, skoro na sezon letni zjechało do Krynicy mnóstwo gości spragnionych rozrywek. Ludzie pragnęli wynagrodzić sobie czas wojny oraz epidemii. Nie zabrakło znajomych twarzy, ale pojawiło się również sporo osób, które zawitały tutaj pierwszy raz. Rozglądały się one z zaciekawieniem. Stali bywalcy zaś byli bardziej zblazowani. Na nich prześliczne widoki porośniętych lasami wzgórz czy wille w stylu szwajcarskim pozornie nie robiły większego wrażenia, choć niejeden wyrażał radość, że perła polskich uzdrowisk ocalała od zniszczeń wojennych.

Przyjaciółki bezradnie wodziły wzrokiem po zatłoczonym lokalu.

– Och! Ani jednego wolnego stolika – jęknęła Matylda.

– Zawsze możemy pójść do willi Pod Kosynierem, choć nie ukrywam, że wolę jednak posiedzieć tutaj – stwierdziła Aurelia, rozglądając się czujnie, czy nie zobaczy kogoś znajomego, do kogo można by się dosiąść.

Na szczęście Matyldę oraz Aurelię wypatrzyła Helena Cerchowa. Siedziała przy stoliku z córką Eleonorą oraz kilkoma innymi osobami. Pomachała ręką do przyjaciółek i zaprosiła je, by się do nich przysiadły. Panie nie omieszkały skorzystać z propozycji, chociaż Matylda wiedziała, że w tak licznym towarzystwie nie będzie w stanie poruszyć kwestii, która nie dawała jej spokoju. Cóż, wypłacie się w rękaw przyjaciółki nieco później.

– Jak dobrze cię widzieć, Helenko! – cieszyła się Aurelia. – Wiem, że jesteś w Krynicy już od kilku dni, a mnie wciąż jakoś tak schodziło, że nie miałam czasu, by złożyć ci wizytę w Szwajcarze.

– Och, moja droga! Mogłabym powiedzieć to samo. Jestem tu już od kilku dni i wciąż coś stawało mi na przeszkodzie, by zajrzeć do domu Pod Lipami. To raczej ja jestem ci winna przeprosiny.

– Zamiast przeprosin wystarczą jakieś ploteczki. Strasznie jestem ciekawa, co słyhać u naszych wspólnych znajomych. Widujesz się może z nimi? Z Kossakiem oraz jego córkami, Tetmajerem? – zagaiła Aurelia, która jak zawsze spragniona była wieści o wybitnych postaciach.

– Kossakówna szczęśliwie rozstała się z Bzowskim. W marcu definitywnie orzeczono nieważność ich związku. Dobrze się stało, bo parą byli wyjątkowo niedobraną. Wyszła już za mąż ponownie. Ach! Cóż to za wielka miłość! Z Pawlikowskim²² zamieszkali w Zakopanem. Właściwie dobrze zrobili, że czmychnęli ludziom sprzed oczu. Jeszcze do niedawna cały Kraków huczał od plotek na jej temat. Niektóre kumoszki nieźle sobie na niej używały.

– O tak! Słyszałyśmy o jej rozwodzie. Wieści dotarły nawet tu, do Krynicy – oznajmiła Matylda. – Sporo na nią niektórzy wygadywali.

– Ja tam jestem zdania, że postąpiła słusznie – stwierdziła Drzewicka-Rapacz. – Zdaję sobie sprawę z tego, że rozwód to mimo wszystko skandal, ale czyż nie jest większym skandalem, gdy ludzie tkwią obok siebie, a nie ze sobą? W związku, który nie sprawia im nawet namiastki przyjemności? Jaki to ma sens? Po co męczyć się u boku

drugiego człowieka, zwłaszcza gdy serce wyrywa się do kogoś innego?

– Och, o Maryni mawiają, że jest wyjątkowo kochliwa. I że to nie jest naturalne, by kobieta do tego stopnia była niestała w uczuciach. Damie jednak pewne rzeczy nie przystoją – stwierdziła Wanda Pakubrotto. – Wystawianie się na obmowę to brak szacunku dla samej siebie.

– A ja jestem innego zdania! – zaprotestowała żywo siedząca obok niej szatynka o włosach obciętych na pazia. – Zawsze popierałam ruchy emancypacyjne. Uważam, że mamy pełne prawo decydować o naszym szczęściu i jeśli po ślubie okazuje się, że mąż nie spełnia naszych oczekiwań, możemy się z nim rozstać bez aury skandalu.

Matylda pokiwała głową ze zrozumieniem. Pamiętała Judytę Korczyńską jeszcze z czasów, gdy mieszkała w Krakowie, a w Krynicy bywała jedynie latem. Judyta rzeczywiście aktywnie działała na rzecz praw kobiet. Jej oponentka szybko zareagowała.

– Rozstanie to smutna ostateczność pociągająca za sobą wiele przykrości. Na Marysi jeszcze długo ludzie będą sobie używali. Bo jakże tak? Z jednym mężczyzną dopiero co się rozstała, a już związana jest z innym? Według mnie Pawlikowski musiał się koło niej kręcić wcześniej. I to on jest powodem owego „niedopasowania małżonków”. W gruncie rzeczy dziwię się, że tak od razu wzięli ślub. Powinni byli się wstrzymać choćby z rok, żeby plotki o rozwodzie przycichły.

– A może lepiej, że od razu wyszła za mąż? – zasugerowała Helenka. – Skoro ludzie sobie na niej używali, to za jednym zamachem załatwiła dwie sprawy. Za rok o tej porze będzie miała spokój. Gdyby odłożyła ślub, wszelkie nieprzyjemności, które teraz ją spotykają, rozłożyłyby się na dłuższy czas.

– Och! Lilka ma tak silną osobowość, że nie przejmują się żadnymi plotkami. Pamiętam ją i Madzię²³ jako małe dziewczynki – oznajmiła Matylda. – Wojciech był z nich niebywale dumny, stroił je wręcz nieprzyzwoicie, przysyłał i przywoził dla nich kosztowne fatałaszkę ze swych licznych podróży. Madzia jest zaledwie rok starsza od mojej Konstancji, a Lilka urodziła się kilka lat przed nią. Już jako małe dziewczynki były wyjątkowo zadziorne. Świętej pamięci Seweryn mawiał, że obydwie rozpuszczone są jak dziadowskie bicze. I zawsze mnie przestrzegał, abym podobnie nie rozpieściła naszej pierworodnej, a później również Wisławy i Izabeli. Nie żałował na szczęście pieniędzy na córki i podobnie jak pan Kossak lubił, gdy ślicznie wyglądały. A ja uwielbiałam przypatrywać się strojom Kossakówien i przyznaję, że chętnie wzorowałam się na nich, gdy szło o ubieranie Konstancji.

– Och właśnie! – podłapała sceptyczka. – Dzieci nie wolno żadną miarą rozpieszczać, w przeciwnym razie jako osoby dorosłe stają się nad wyraz kapryśne i niestałe czy to w przysięgach, czy to w działaniach. Stąd kochliwość Marii.

– Maria nie jest kochliwa. Po prostu postanowiła walczyć o własne szczęście – broniła jej zaciekle Korczyńska. – No, powiedzcie, drogie panie, czy nie miała prawa tego robić, skoro pierwszego męża wybrała niefortunnie?

– Oczywiście, że powinna walczyć o własne szczęście – przytaknęła Aurelia. – Nie mogę pojąć, dlaczego mężczyzna znudzony żoną ma społeczne przyzwolenie na zdradzanie ślubnej, jemu wolno mieć przygody, a kobieta niezadowolona z małżeństwa nazywana jest histeryczką. Ale dość o tym, miłe panie! Nie rozprawiajmy już o małżeńskich perturbacjach. Uważam, że wszyscy skorzystaliby na tym, gdyby ludzie nie interesowali się nadmiernie cudzymi sprawami. Powiedz nam

lepiej, Matysiu, co miałaś na myśli, kupując kapelusz i mówiąc, że jest symbolem nowych czasów – radykalnie zmieniła temat. Sumitowała się z powodu plotek na temat Lilki, chociaż sama wywołała wilka z lasu, dopytując Helenkę o wspólnych krakowskich znajomych.

– A tak, kapelusz! – podłapała od razu przyjaciółka. – Wyobraźcie sobie, że postanowiłam dzisiaj poprawić sobie humor. A jak powszechnie wiadomo, nam kobietom najłatwiej to osiągnąć przez zakupy lub jakieś inne miłe fraszki. W moim przypadku padło na nakrycie głowy.

– Rozumiem, że coś wybrałaś. Pochwal się zakupem! – poprosiła Helenka, której także spodobał się ten wątek w pogawędce.

– Nowy kapelusz poleciłam odesłać do Powroźnika – odparła Matylda, poprawiając niedbałym gestem rondo starego, by nieco je unieść nad czołem. Jeszcze do niedawna nie do pomyslenia było, aby w miejscu publicznym dokonywać jakichkolwiek korekt wizerunku. Teraz ludzie zachowywali się ze znacznie większą swobodą.

– Jaki model? – zagadnęła Judyta, którą moda interesowała nie mniej niż emancypacja.

Matylda bez większego entuzjazmu opisała najnowszy nabytek.

– Ach! To najnowszy fason wprost z Paryża! – *Madame* Pakubrotto klasnęła w dłonie. – Też zamierzam sobie taki sprawić. Muszę tylko przekonać ślubnego, że moje pozostałe kapelusze są już rozpaczliwie niemodne. Ostatnio odnoszę wrażenie, iż moda zmienia się coraz szybciej i coraz trudniej nadąża się za nowinkami. Można byłoby cały dzień studiować najświeższy żurnal tylko po to, by następnego dnia odkryć, że jest już nieaktualny. Właściwie dziwię się, że kazałaś

go odesłać do domu, zamiast od razu włożyć i paradować w nim, zanim wyjdzie z mody. Czy o to ci chodziło, gdy stwierdziłaś, że twój nowy kapelusz jest symbolem naszych czasów?

– Niezupełnie. Raczej chodziło mi o to, że wiele lat żyłyśmy w okresie, gdy modą rządziła niezwykle urokliwa secesja. Jeszcze do niedawna nasze stroje były bogato zdobione, kipiące kwiatami, piórkami, wstążkami i innymi detalami. Kapelusze wyglądały niczym dzieła sztuki, przywodząc na myśl tajemnicze ogrody. Cieszyłyśmy się bogactwem dodatków. I nagle zaczęto nas z tego całego przepychu i piękna odzierać, a teraz okazuje się, że wkładamy na głowy coś, co do złudzenia przypomina nocnik. Współczesne kapelusze są całkowicie pozbawione uroku i polotu. Tak prymitywne i proste jak tylko jest to możliwe. Ale to nie wszystko! Przecież gdy porównać nasze obecne zwyczaje z tymi choćby sprzed wojny, to okazuje się, że chamiejemy. Stajemy się prości. Na więcej sobie pozwalamy, gubiąc jednocześnie finezję. Sztuka robi się jakaś... prymitywna. Jak te obrazki pacykowane przez naszego wiejskiego gamonia, którego widujecie pewnie niedaleko stąd, zajmującego miejsce na murku otaczającym skwer. Widoczki, które on próbuje sprzedawać kuracjuszom, wyglądają jak malowane ręką kilkuletniego dzieciaka. Trudno nazwać je dziełami. Ale jeśli zaczniemy pochwalać każdy rodzaj sztuki, to za pewien czas na ścianach naszych salonów zawisną bohomazy złożone z bezładnych kształtów, napaćkane pędzlem w sposób całkowicie pozbawiony sensu. I wówczas każdy będzie mógł okrzyknąć się wielkim artystą. Nawet ktoś, komu przyjdzie na myśl, by na białym płótnie namalować czworokąt lub kółko. Och! – westchnęła. – Kiedyś byłam zdania, że sztuka powinna ukazywać prawdę i każda jej forma jest społecznie

ważna. Teraz zaczynam ze sceptycyzmem traktować własne spostrzeżenia sprzed lat. Jeśli przesuwamy granice tego co akceptowalne, to nagle okazuje się, że tracimy umiar absolutnie w każdej dziedzinie życia. Nowe czasy, które nastąpiły, są równie proste i toporne jak ten nieszczęsny kapelusz. Nie mają w sobie już nic z piękna poprzedniej epoki. Wojna pokazała, jak prymitywnymi żądzami kierujemy się w życiu i ile potrafimy czynić zła. My w rozumieniu ludzi. Odarła nas z tego, co wcześniej stanowiło wartość – wyrzuciła niemalże jednym tchem, nawet nie licząc na zrozumienie ze strony pozostałych kobiet. – Czuję się reliktem minionych czasów. Tęsknię za przeszłością.

– Zmiany są czymś naturalnym. Musimy je akceptować, nawet jeśli burzą porządek naszego świata – stwierdziła Helenka.

Reszta czasu spędzonego w lokalu upłynęła na przyjemnej pogawędce. Mimo to Aurelia przy pierwszej sposobności wyciągnęła przyjaciółkę z kawiarni.

– Odnoszę wrażenie, że coś cię trapi, Matysiu – zagaiła, gdy już znalazły się na deptaku. – Nie na darmo wybrałaś się na te nieszczególnie udane zakupy, prawda? Wszak sama wspomniałaś, że chciałaś sobie poprawić humor.

– Tak, masz rację. Martwię się o moje dziewczynki. Bardzo bym nie chciała, aby zostały starymi pannami. Człowiek nie jest stworzony do samotności, ponieważ ogarnia go wówczas gorycz.

– Mają jeszcze dość czasu na zamążpójście. Lilka Kossakówna stanęła po raz pierwszy na ślubnym kobiercu w wieku dwudziestu czterech lat.

– Może źle się stało, że tak późno? A co, jeśli to było przyczyną rozpadu małżeństwa?

– Kochanie, to, że my wychodziłyśmy za mąż po raz pierwszy w bardzo młodym wieku, nic nie znaczy. I też nie daje gwarancji szczęścia. Obydwie po prostu dobrze trafiłyśmy, ot co. Twoje córki też sobie poradzą.

– Sęk w tym, że Wisienka to prawdziwa wariatka. Okropnie uparła się na to, by wyjechać jesienią wraz z Mateuszem do Krakowa i studiować dziennikarstwo. Wiem, wiem... Już nieraz o tym rozmawiałyśmy – uprzedziła reakcję Aurelii.

– Puść ją, Matysiu. Nie podcinaj dziewczynie skrzydeł. Jak już zauważyłyśmy we wcześniejszej rozmowie, zmiany zachodzą coraz prędeziej. Trzeba być na nie gotowym. Być może Wisława obiera właśnie teraz najlepszą drogę swego życia? Wyjść za mąż jeszcze zdąży – trafiła w sedno zmartwień Juraszkowej. – Zaakceptuj jej odmienność, moja droga. Spójrz na Konstancję oraz Izabelę. Czyż one nie podążają utartymi szlakami? Jedna wyszła za mąż, druga zapewne też znajdzie poczciwego męża, który należycie o nią zadba. Może więc warto pozwolić, by przynajmniej jedna z twoich córek korzystała z dobrodziejstw, jakie niesie równouprawnienie?

– Och... – westchnęła Matylda, lecz nim przeszła do sedna sprawy, zagadnęła: – A ty pozwoliłabyś Beacie wyjechać na studia do Krakowa? No tak... Głupie pytanie. Skoro puściłaś Teodozję na nauki...

– Beatkę tym bardziej bym puściła. Zwłaszcza wiedząc, że będzie miała przy sobie opiekuna w postaci brata. I że będzie miała własny dach nad głową, a nie wynajętą stancję. Sama nie dostałam takiej szansy, więc cieszę się, że moja córka wejdzie w dorosłość w czasach, gdy kobiety na uniwersytetach stają się coraz częstszym widokiem. Ufam, że jeśli nie ja, to przynajmniej ona dożyje chwili, gdy panie będą stanowiły połowę studenckiej braci.

– Masz rację, Aurelio. Nie mogę ograniczać Wisławy. Wszak kiedyś marzyłam o tym, o czym mówisz: by kobieta w życiu społecznym stała się równa mężczyźnie. I chociaż martwi mnie wizja jej ewentualnego staropanieństwa, pozwolę jej się uczyć – oznajmiła. W głębi duszy żywiła nadzieję, że najbardziej niesforna spośród jej latorośli pozna na uniwersytecie jakiegoś czarującego mężczyznę, który zechce ją skłonić do wstąpienia w związek małżeński. Od razu przypomniała sobie o głównym powodzie swego obniżonego nastroju. – Właściwie chwilowo bardziej jestem zatroskana o Izę.

– O Izę? – zdziwiła się przyjaciółka. – Przecież to takie dobre dziecko, nigdy nie przysparzała ci zmartwień.

– Ach! Bo mnie chodzi o jej zamążpójście – wyjaśniła Juraszkowa. – Wczoraj doszły mnie słuchy, że doktor Trelewicz zaręczył się z Orzechowską.

– Józef i Wiktorja? No, no, no... Kto by pomyślał? Chociaż właściwie mnie to nie dziwi. Ona wciąż młoda, posażna wdowa, on z dobrze prosperującą praktyką. Tak przynajmniej oceniłaby ich znaczna część naszych znajomych, choćby Boguszowa. A przecież serce się liczy! Ale, ale! Czemu mówisz to z tak grobową miną? I jaki to ma związek z Izabelą? Ach! – Z miejsca pacnęła się w czoło. – Liczyłaś, że Józio zostanie twoim zięciem! – odgadła.

– W rzeczy samej. Stanowił idealnego kandydata na męża dla mojej Izy. Byłabym spokojna o jej przyszłość, gdyby się ze sobą związali.

Aurelia delikatnie uścisnęła jej rękę.

– Nie martw się, Matysiu. Tak dobra dziewczyna na pewno zrobi odpowiednią partię – powiedziała kojąco głosem z ogromną wiarą we własne słowa.

Juraszkowa nawet nie próbowała negować tej wypowiedzi, biorąc ją za dobrą wróżbę, choć kamień z serca jej nie spadł.

Pokładałam w Trelewiczu zbyt wielkie nadzieje – pomyślała z ogromnym smutkiem.

Powroźnik

Odkąd Matyllda usłyszała, że Józef Trelewicz żeni się z Wiktoria, jej humor uległ wyraźnemu pogorszeniu. Mimo to ku zaskoczeniu reszty rodziny zgodziła się, aby Wisława wyjechała na studia do Krakowa wraz z Mateuszem.

Aspirująca studentka nie posiadała się ze szczęścia, chociaż starała się nie okazywać nadmiernego entuzjazmu. Dręczyła ją obawa, aby matka nie zmieniła w ostatniej chwili zdania. Decyzja Matylldy była dość zaskakująca. Wcześniej Juraszkowa obstawała przy tym, by córki wyszły za mąż. Zanim odzyskała mienie zagrabione przez Strzeleckich, w ogóle nie było mowy o takich fanaberiach jak uniwersytet dla którejkolwiek z dziewcząt, gdyż w tamtych czasach Matyllda martwiła się, czy będzie ją stać na to, by wyedukować chłopców. Teraz jednak pieniądze przestały stanowić problem. Wisława postanowiła, że w razie czego resztę lata spędzi jak najspokojniej. Postara się zapanować nad swym temperamentem, by nie przysparzać matce trosk i nie dawać powodu do cofnięcia aprobaty. Chciała w ten sposób udowodnić, że jest godną zaufania osobą. W okresie studiów nie zamieszka na stacji pod okiem żadnej matrony, która stałaby na straży jej moralności. Za całe towarzystwo musi jej wystarczyć brat.

Wisława w pełni doceniała hojny gest matki, bowiem już było wiadomo, że Adamczykowie będą mieli w mieście do dyspozycji służącą, która zadba o ich posiłki, o odzież oraz czystość

mieszkania. Dostaną także kieszonkowe na drobne wydatki. Nie za wielkie, ale zawsze to coś.

Dziewczyna już planowała, że pierwsze pieniądze wyda na sprawienie sobie eleganckiego kostiumu z bryczesami. Marzyła o tym, by móc nosić spodnie, wzorem niejednej wyemancypowanej modnisi. Od jakiegoś czasu ten element garderoby coraz częściej widywało się na ulicach, choć noszące go panie wzbudzały zgorszenie wśród bardziej leciwych matron. W Krynicy do takich nowinek podchodzono tak, jakby były czymś naturalnym. Wszak goszczące w uzdrowisku kuracjuszki zawsze musiały być na bieżąco z modą. W Powroźniku jednak taki ubiór u kobiety nie byłby dobrze widziany. Bo kto to widział, by dzierlatka goniła w porciętach jak jakiś parobek? Wisława za nic miała opinię innych ludzi. Najpierw jednak musiała dopiąć swego i wyjechać do miasta.

O tym wszystkim rozmyślała, stojąc w cieniu kapryfolium i paląc papierosa, którego rzecz jasna pozyskała ze szkatułki ojczyrna. Bawiła ją gra w kotka i myszkę z Witalisem. Dobrze wiedziała, że mężczyzna zastawia pułapki na potencjalnego złodziejaszka. Zastanawiała się nawet, jaką karę zaplanował dla osoby, którą przyłapałby na podbieraniu cygaretek. Nie należała jednak do strachliwych. Dla niej niekwestionowanym wzorem do naśladowania była Teodozja Litwora. Kuzyneczka musiała być doprawdy nieustraszoną osobką, skoro najpierw potrafiła stawić czoła różnym trudnościom stającym jej na drodze do zdobycia upragnionego zawodu, a później rzuciła się wprost w piekło zawieruchy wojennej. To z całą pewnością wymagało ogromnej odwagi. Wisława myślała, że raczej nie byłoby jej stać na aż takie wyrzeczenia. Wprawdzie Teosia przed wyjazdem do Lwowa nie zdążyła nic opowiedzieć o tym, co przeżyła podczas wojny, ale wyobraźnia Wisławy pracowała

na najwyższych obrotach. Wszak nieraz czytywała dzienniki, a w nich aż trzeszczało od doniesień z frontu. Robiła to, chociaż matka odradzała jej przeglądanie gazet, by nie emocjonowała się nadmiernie przebiegiem działań militarnych.

– Ach, więc to ty jesteś rabusiem moich cygaretek! – Zaskoczył ją nagle głos ojczyma.

Wystraszona Wisława drgnęła nerwowo, choć starała się nie dać po sobie poznać, że Witalis ją przestraszył.

– A co tatko się tak skrada? Niczym jaki kocur! – Momentalnie wrócił jej tupet. – O palpitację serca mógł mnie tatulo przyprawić.

– No, no! Ty mi tu nie wyjeżdżaj z kotami, młoda damo.

Mężczyzna pogroził jej palcem. Kiedy jednak przyjrzała mu się uważnie, nie dostrzegła w jego oczach większego gniewu, lecz raczej rozbawienie. Od razu postanowiła to wykorzystać. Dobrze wiedziała, że jest jego ulubienicą.

– Ależ tatulu, gdzieżbym się odważyła? Był to jedynie wyraz uznania, że tatko potrafił mnie tak cichutko podejść.

– A zatem na przyszłość, moja droga, bądź ostrożniejsza – przestrzegł ją Witalis. – Bo o ile ja nie zamierzam robić z tego draki, to twoja matula pewnie padłaby na serce, gdyby zobaczyła cię z papierosem. W najlepszym razie skończyłoby się to awanturą oraz globusem.

– Zatem mnie tatko nie wyda – upewniła się pannica.

– A cóż by mi to dało? W domu rozpętałaby się burza. Tobie matka mogłaby jeszcze zakazać wyprawy do miasta. A ja musiałbym znosić te wszystkie fochy, bo dobrze wiem, jak marzysz o wyjeździe na studia. Lepiej więc uważaj na nią i się nie narażaj – napomniał pasierbicę.

Dziewczyna parsknęła śmiechem. Ujęła ojczyma pod ramię i położyła głowę na jego barku.

– O lepszym tatuniu nie mogłam nawet marzyć – wyznała z niepodobną do niej czułością. – Każdy inny pewnie wpadłby w szal zarówno za podbierane cygaretki, jak i za ręce uwalane atramentem. – Zachichotała.

– Że też mi do głowy nie przyszło, że to ty za tym stoisz. – Juraszko się roześmiał. – Powinienem był odgadnąć, wszak nikt inny nie ma równie wielkiego tupetu. Ech, Wisiu... Wisiu... Niech to będzie naszą wspólną tajemnicą. Nie przysparzajmy Matyldzie więcej trosk. Biedaczka i tak znalazła sobie powód do zmartwienia na wieść o zaręczynach Trelewicza.

– Ach tak, bo mateczka upatrzyła go sobie na męża dla Izabeli. Już ja dobrze widziałam jej podchody i wiedziałam o tych zakusach. Biedny Józio opędzić się nie mógł. Panie Józefie, może ciasteczko? Albo filiżankę kawy? A może pączusia? – dość udanie przedrzeźniła rodzicielkę. – Prawdopodobnie biedak dla świętego spokoju postanowił zaręczyć się z Wiktorią – zasugerowała. – Starsza pani Brodzka nie zastawiała na niego sideł na każdym kroku.

Witia uszczypnął lekko policzek pasierbicy.

– Dobrze, że matka cię nie słyszy – stwierdził, sięgając po cygaretkę, by zapalić dla towarzystwa. – Ot, rabuś! Kto by pomyślał, że w własnym gnieździe wyhodował taką srokę!

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Właściwie miał uznanie dla sprytu pasierbicy, która nigdy nie zostawiała po sobie śladów, nie zbrukała się atramentem ani nie wpadła w żadną inną zasadzkę.

Zmyślna bestia! Ta na pewno nie da sobie w kaszę dmuchać!

Wiedział, że kryjąc pannicę przed matką, postępuje nader niepedagogicznie, bo nie dość, że podważa w ten sposób autorytet Matyldy, to jeszcze bagatelizuje problem sięgania

po cudzą własność. Powinien był przynajmniej zbesztać pasierbicę. Sęk w tym, że na Wisławie jego słowa nie zrobiłyby większego wrażenia, nigdy nie należała do pokornych dziewczątek. Aby odczuła należycie skutki swego niegodnego postępowania, musiałby powiadomić ślubną, a to zapewne pociągnęłoby za sobą przykre konsekwencje. Czy potrzebował w domu fermentu? Zdecydowanie nie! Dom miał być oazą spokoju, w której wypoczywał po dniach wytężonej pracy w tartaku, a nie polem bitwy.

CZAS POWITAŃ I CZAS POŻEGNAŃ

Krynica

Wesele Teodozji i Nikodema zbliżało się szybkimi krokami. Siłą rzeczy przygotowania spadły na bark Aurelii, ponieważ panna młoda musiała wrócić do Lwowa. Zanim jednak wyjechała, kobiety uzgodniły wiele szczegółów, w tym listę gości. Ku zaskoczeniu ciotki Teosia prócz mieszkańców domu Pod Lipami, Matyldy i jej bliskich wpisała na nią nie tylko swych krewnych, czyli Litworów, Nitribittów, Boguszków i zamężne kuzynki wraz z rodzinami, ale również lemkowski bliskich Aurelii, chociaż nawet opiekunki nie łączyły z tymi ludźmi więzy krwi. Zrobiła to jednak przez wzgląd na ciotkę. Chciała też w ten sposób pokazać, że ludzie, pośród których spędziła wiele czasu, nie są jej obojętni. Drzewicka-Rapacz uznała, że będzie to wspaniała okazja, by ożywić relacje rodzinne, ponieważ zauważyła, że od jakiegoś czasu kontakty z Juraszkami mocno się rozluźniły. A ponieważ narzeczeni spędzili w Krynicy zaledwie trzy dni, to na niej spoczął obowiązek zaproszenia gości na wesele. Młodzi obiecali, że po ślubie pozostaną w domu Pod Lipami przynajmniej tydzień, nim wyjadą na miesiąc miodowy.

Aurelia bardzo się cieszyła, że do willi znowu przybędą liczni goście. Dwoiła się i troiła, chodząc po pokojach, zarządzając niezbędne porządki, zmianę bielizny pościelowej, wietrzenie, trzepanie, polerowanie sreber i inne zajęcia. Układano menu i gromadzono produkty spożywcze. Zamówiona została

orkiestra. Pracy było huk, ale Aurelia lubiła taki rozkoszny rozgardiasz. Była w swoim żywiole. Zresztą Matylda dzielnie jej we wszystkim pomagała.

Obydwie kobiety podekscytowane były myślą o tym, że być może dojdzie do pogodzenia się zwaśnionych stron. Matylda nie żywiła już urazy do Strzeleckiej. Sama czuła potrzebę wyciągnięcia ręki na zgodę.

– Zadziwiające, jak z wiekiem człowiekowi zmieniają się priorytety – powiedziała pewnego dnia do przyjaciółki. – Kiedyś przepełniała mnie wściekłość na Zuzannę i Tytusa. Nie przypuszczałam, że będę w stanie im w ogóle wybaczyć odwrócenie się ode mnie w trudnej chwili. Gdy dowiedziałam się, że na dodatek zostałam przez nich okradziona, moja złość osiągnęła apogeum. Wszak przez nich znalazłam się po śmierci Seweryna w paskudnej sytuacji! Ale gdy już odzyskałam część zagrabionego mienia, niechęć stopniała. Później wręcz miałam skrupuły, że jestem współwinną śmierci tego szaleńca. A teraz... Teraz marzę już wyłącznie o zawarciu zgody. Nie jestem coraz młodsza, zaczynam odczuwać uciążliwości związane z wiekiem. Człowiek nigdy nie jest pewny dnia ani godziny, a ja nie chciałabym za nic w świecie stąd odchodzić, będąc z kimkolwiek powaśnioną.

– Och, ty staruszko! – Aurelia parsknęła śmiechem. – Myślałby kto, że stoisz jedną nogą nad grobem. Ale ja też pragnę pojednania. Bardzo krótko miałam do czynienia z moją prawdziwą rodziną. Seweryn odszedł przedwcześnie, dziadków w ogóle nie poznałam, nie mówiąc już o rodzonej matce. Krewnych ojca pewnie nigdy nie ujrzę. Nawet nie próbuję ich szukać, ponieważ nie mam pewności, czy nazwisko Leitner jest prawdziwe. – Westchnęła ciężko. – Dobrze byłoby zatem mieć kontakt z ciotką i kuzynami. Tylko nie pomyśl czasami, że ty mi

nie wystarczasz! O nie! Jesteś wspaniałą przyjaciółką. Odczuwam jednak głód utrzymywania przyjaznych relacji z ludźmi, w których żyłach płynie ta sama krew co w moich. Uwierz mi, że mimo upływu lat tęsknota za korzeniami nie maleje.

– Ale bierzesz pod uwagę możliwość, że Zuzanna nie zechce się z nami spotkać?

– Właściwie nie – odparła Aurelia, pieczołowicie haftując monogramy na wyprawie ufundowanej dawno temu dla Teodozji. Cieszyła się, że przezornie zadbała o pościel, obrusy i inne drobiazgi, które przez ponad dekadę przechowywała, licząc, że kiedyś się przydadzą. Teraz wystarczyło jej tylko pięknie oznaczyć, w czym pomagała jej przyjaciółka. Drzewicka-Rapacz żałowała, że nie ma w domu Beatki, lecz córka wciąż przebywała na pensji w Tarnowie. Do domu miała powrócić na wesele Teodozji. – Nie wyobrażam sobie, by matka miała zrezygnować z obecności na ślubie syna. Zwłaszcza w sytuacji, gdy jednego straciła, drugi zachorował, a dwaj inni wyjechali w świat.

– Masz rację. Trzeba byłoby być okropnie zaciętrzewioną osobką. Ale Zuzanna może wymówić się wiekiem.

Jeszcze dobrze nie skończyła mówić, gdy od strony przepastnego fotela, na którym najczęściej przesiadywała Felicyta, dobiegł nieco zachrypnięty śmiech.

– Ha, ha, ha! Dobrze sobie! W porównaniu ze mną wasza Zuzia to wciąż smarkula.

– Co racja, to racja. Tytus był od niej znacznie starszy. Mnie i Zuzannę dzieli zaledwie kilka lat różnicy. Ponieważ jednak nie jesteśmy rówieśnikami, a na dodatek ona szybko powiła dwie pary bliźniąt, a na ostatek Nikodema oraz Piotra, uważała się za tak bardzo doświadczoną życiowo, że odczuwała, iż ma

pełne prawo dyrygować mną na każdym kroku, wchodząc w rolę teściowej. Na dodatek zawsze była niemożliwie zasadnicza i nudna, stąd też postrzegałam ją jako znacznie starszą, niż była w rzeczywistości.

– Po prostu miała starą duszę, ot co – stwierdziła enigmatycznie Felicyna. – Ach, dziewczynki, dziewczynki – zwróciła się do przyjaciółek, jakby były podlotkami – chętnie pomogłabym wam w tym wyszywaniu, ale oczy już nie te, a i dłonie mi drżą i odmawiają posłuszeństwa. Nie potrafię już tak ładnie haftować jak przed laty.

– Grunt, ciociu, że humor ci dopisuje – zauważyła Matylda.

Zuzanna denerwowała się przez cały czas trwania podróży. Lęk nie opuszczał jej nawet na moment. Myśl o tym, że niebawem stanie twarzą w twarz z kobietą, którą niecierpliwie okradła i potraktowała w okrutny sposób, ścinała jej krew w żyłach. Drżała również przed spotkaniem z Aurelią, Felicyną, Witalisem i Filipem. Na nic zdawały się pełne otuchy słowa przyszłej synowej, która po wielokroć zapewniała ją, że co było, to było i nikt nie czeka na nią w Krynicy tylko po to, by czynić jej wymówki i sprawiać przykrości. Na Zuzię działało to opacznie: nie dowierzała aż takiej wspaniałomyślności, to po pierwsze. A po drugie, ona chyba wolałaby solidną awanturę, krzyki, pretensje, może nawet siarczysty policzek wymierzony przez bratową. Albo dozgonny rozbrat.

Bała się konfrontacji.

Cholerny Tytus! – zżymała się w duchu na nieboszczyka. – *To on powinien świecić oczami przed tymi dwiema.*

Zastanawiała się nawet, czy doszłoby do zaręczyn Nikodema z Teodozją, gdyby mąż nadal żył. Kiedy jednak spoglądała na parę narzeczonych, odpowiedź nasuwała się tylko jedna: oni byli sobie po prostu przeznaczeni.

Pociąg zatrzymał się na dworcu w Krynicy. Pasażerowie zaczęli opuszczać wagony. Zuzanna przez dłuższą chwilę siedziała nieruchomo, jak gdyby zamierzała podróżować dalej.

– Matko, wysiadamy – zwrócił się do niej Nikodem.

Kobieta spojrzała na syna, jakby nie rozumiała, co powiedział.

– Krynica. Wysiadamy – powtórzył.

Westchnęła ciężko. Z każdą chwilą strach narastał.

Gdy wyszli z wagonu, usiadła na ławce. Syn zajął się bagażami, Teodozja przycupnęła obok niej.

– *Madame*, może wody? – zapytała troskliwie, widząc, że Strzelecka pobladła.

Zuzanna w milczeniu pokręciła głową.

– W takim razie proponuję, abyśmy udały się przed budynek. Tam na pewno czeka już na nas kierowca.

– Posiedzę chwilę – odparła w końcu Strzelecka.

Najchętniej wsiadłaby w pierwszy lepszy pociąg i odjechała dokądkolwiek. Nie było jednak na to szansy, właśnie nadszedł Nikodem i oznajmił, że bagaże już są w samochodzie Rapaczów, a kierowca czeka na podróżnych.

Serce Zuzanny łomotało szybko i niespokojnie. Wyjątkowo kobieta nie przejmowała się tym, że może grozić jej apopleksja. Pomyślała nawet, że nie miałyby nic przeciwko temu, aby tak jak stoi paść trupem. Chyba wszystko byłoby lepsze niż spotkanie z kobietami, wobec których dopuściła się niesprawiedliwości. Na ucieczkę wydawało się za późno, ponieważ zmierzali w stronę samochodu. Szofer otworzył drzwi, a już po chwili ulokował się za kierownicą.

Po krótkiej przejażdżce pojazd zatrzymał się przed willą Pod Lipami. Zdenerwowanie Zuzanny sięgnęło zenitu.

Aurelia i Matylda długo zastanawiały się nad tym, w jaki sposób przywitać Zuzannę. Ostatecznie uznały, że najlepiej będzie,

jeżeli obydwie zaczekają na nią w domu Aurelii. Wolały nie rozkładać chwili pierwszego spotkania na raty, uznając, że to byłoby dręczenie Strzeleckiej. Zgodnie stwierdziły, że kobieta dostała już za swoje i los ukarał ją z nawiązką za krzywdy, których się dopuściła. Żadna z nich nie była żadna tego, by sprawiać jej dodatkowe przykrości. I żadna z nich nie chciałyby znaleźć się teraz w skórze Zuzanny, bowiem domyślały się, ile musi ją kosztować wizyta w tym miejscu.

Panie z niecierpliwością zerkają zza firanki na podjazd. Postanowiły, że nie wyjdą na schody. Poprosiły jedynie resztę domowników, aby na razie pozostawiono je same w bawialni. Na powitanie z pozostałymi członkami rodzin przyjdzie czas kilka minut później, gdy wszystkie trzy chociaż trochę się rozluźnią.

– Przyjechali! – powiedziała Aurelia zduszonym głosem, mimo że Matylda stała za jej plecami i także widziała nadjeżdżający samochód.

Kobiety spojrzały po sobie, a potem zgodnie ruszyły w stronę kanapy. Usiadły i zajęły ręce robótkami. Pozostał im do wyhaftowania ostatni tuzin serwetek. Z niepokojem wsłuchiwały się w odgłosy dobiegające z hallu. Po chwili służąca zaanonsowała gości. Najpierw w progu stanęła Teodozja. Z okrzykiem radości, zupełnie do niej niepodobnym, rzuciła się na szyję Aurelii. Tuż za nią wszedł Nikodem, prowadząc pod rękę matkę. Jego bracia nie przyjechali. Emil wciąż żył we własnym świecie, zamknięty w szpitalu, Kazimierz i Julian poprzestali na przysłaniu depeš z gratulacjami dla narzeczonych, natomiast Piotr z rodziną miał dojechać do Krynicy w przeddzień ślubu.

Aurelia znieruchomiała z Teosią obejmującą ją za szyję. Matylda odłożyła tamborek i wstała. Przygryzła wargę,

zastanawiając się, czy powinna wyjść naprzeciwko szwagierce. Przez chwilę stały w odległości kilku kroków od siebie, spoglądają sobie w oczy.

Czas nie oszczędził się łaskawie z Zuzanną – skonstatowała Aurelia.

Strzelecka była siwa niczym gołębek. Jej twarz naznaczona została głębokimi bruzdami. Jedna z nich pionowo przecinała czoło, dwie ujęły w ramę wąskie, zaciśnięte mocno usta. Jędrne niegdyś policzki obwisły niczym u mopsa, nadając kobiecie srogiego wyglądu. Oczy, które dawniej hardo spoglądały na świat, teraz przepełnione były lękiem. Uwadze Drzewickiej-Rapacz nie umknęło delikatne drżenie dłoni opiętych rękawiczkami.

Chwila milczenia przeciągała się w przykrą nieskończoność. Powietrze wręcz wibrowało z napięcia. W końcu Matylda postąpiła parę kroków naprzód.

– Zuzanno. Minęło mnóstwo lat, gdy widziałyśmy się po raz ostatni. Cieszymy się, że przyjechałaś – oznajmiła.

Strzelecka uderzyła w płacz.

– Matyldo! Aurelio! – wykrzyknęła. – To, co zaszło, było niepotrzebnym błędem. Nie! Źle się wyraziłam! To nie był błąd. To było karygodne nadużycie. Nie mam nic na usprawiedliwienie.

– A zatem nie szukaj na siłę usprawiedliwień. Radujmy się szczęściem naszych dzieci – wtrąciła się Aurelia. – Być może jeszcze przyjdzie czas na rozmowy, wtedy kiedy wszystkie będziemy na to gotowe. Wiedz, że póki jesteś gościem w tym domu, nikt nie będzie czynił ci żadnych wyrzutów. Chciałabym, ażebyś czuła się tu swobodnie – oznajmiła, wyciągając ręce w stronę ciotki. – Jeśli o mnie chodzi, ja pragnę zgody. A to, co było między tobą i Matyldą, powinnyście omówić spokojnie

bez świadków. Ale jeszcze nie teraz, dopiero gdy wypoczniesz. Ufam, że mieliście udaną podróż – zwróciła się do Teosi i Nikodema.

Czas na szczerą rozmowę Matyldy i Zuzanny przyszedł następnego dnia. Panie zamknęły się w małej bawialni domu Pod Lipami i tam ze sobą porozmawiały. Wyszły po dwóch godzinach – obydwie zapłakane, ale przepełnione spokojem.

Było rzeczą oczywistą, że ich relacje już nigdy nie będą takie jak przed niefortunnymi wydarzeniami sprzed lat, ale przynajmniej kobiety mogły już normalnie ze sobą rozmawiać i siedzieć przy wspólnym stole, by cieszyć się szczęściem Teodozji oraz Nikodema.

Po blisko dwudziestu latach rozłąki rodzina znowu była razem.

Aurelia kilkakrotnie upewniła się, czy odgłosy wesela nie będą przeszkadzały leciwej matce w spoczynku. Felicycja jednak zapewniła, że wszystko jest w najlepszym porządku. Jej sypialnia położona była na tyłach domostwa, z dala od bawialni. Zresztą starowinka zarzekała się, że póki wystarczy jej sił, zamierza uczestniczyć w przyjęciu.

– Wszak nie mogę przepuścić takiej okazji! Zatwardziała stara panna stanie na ślubnym kobiercu – skwitowała. – Gdybym nie wiedziała, jakie relacje łączą cię z Teodozją, to powiedziałabym, że niedaleko pada jabłko od jabłoni i że to twoja nieodrodna córka. Tyle samo zachodu miałam z tobą, gdy chciałam cię ponownie wydać za męża.

– Ależ mateczko! Ja byłam wdową. Nie można nas ze sobą równać – odparła Aurelia.

W głębi duszy cieszyło ją to porównanie. Pragnęła, aby Teodozja była do niej chociaż trochę podobna. Aby potrafiła

równie łatwo wybaczać i godzić się z losem. Aby nie bała się podążać pod wiatr, aby wznosiła się ponad uprzedzenia i nie przejmowała się ludzkim gadaniem. Kiedy przyjmowała dzieciaki pod swój dach, nie przypuszczała, że może tak mocno je pokochać. I że młodzi Litworowie, którzy przysporzyli jej tyle trosk, staną się dla niej równie drodzy jak rodzone potomstwo.

Świeżo poślubieni małżonkowie wyjechali w podróż poślubną tydzień później. Goście powoli rozjeżdżali się do swoich domów. Zuzanna, za namową Aurelii i Matyldy, została jeszcze w Krynicy. Kobiety chciały jej udowodnić, że nie chowają urazy. Zależało im ponadto na tym, aby na nowo zawiązać więzy rodzinne, które uległy zerwaniu. Spędzały więc wiele czasu na rozmowach oraz spacerach. Aurelia nie zawsze towarzyszyła Matyldzie i Zuzi. Wychodziła z założenia, że te dwie znają się znacznie dłużej i potrzebują więcej czasu dla siebie. A ona chciała teraz pobyc trochę z Felicytą, którą zaniedbała w chwilach przedweselnego rozgardiaszu.

– No widzisz, moje dziecko? Tak się frasowałeś o Teosię, a tymczasem udało się zaprowadzić ją na ślubny kobierzec. Nie przypuszczałam, że dożyję tej chwili – powiedziała Felicyta.

Kobiety siedziały w ogrodzie w cieniu rozłożystych drzew. Dzień był bardzo przyjemny, nie upalny, a od przepływającej w pobliżu Kryniczanki powiewał nawet lekki wiaterek.

– Nie jest ci zimno, mateczko? – zatroszczyła się Aurelia.

– Ale skądże! Jestem ciepło opatulona. Trzęsiesz się nade mną niczym kura nad jajkiem.

– A nad kim innym mogę się trząść? Dzieci wyfruwają z rodzinnego gniazda jedno po drugim. Tylko patrzeć, jak dorosną Lucjan i Beata. Już teraz obydwójce deklarują, że pragną studiować, co mnie bardzo cieszy. Jak widać, wszystko w życiu musi mieć swoje miejsce, skoro nawet

na Teosię przyszedł czas. W rzeczy samej jeszcze nie tak dawno myślałam o tym, że nigdy nie wyjdzie za mąż. I bardzo mi jej było żal, że taka samotna.

– Pamiętam, jak się o nią martwiłaś. Mówiłaś, że to biedactwo nie kocha absolutnie nikogo, nawet samej siebie. I że jeżeli ty będziesz otaczała ją miłością, nawet na odległość, to ona poczuje troskę. Podziałało – stwierdziła usatysfakcjonowana nestorka. – Jesteś czarodziejką. Moja kochana pocieszka. Niesiesz szczęście ludziom, z którymi masz styczność.

– Co też mówisz? Po prostu staram się być przyzwoita.

– Jesteś zbyt skromna. Uszczęśliwiałaś Juraszków przez wiele lat. Oni bardzo cię kochali, choć nie byłaś ich rodzoną córą. Witia do dziś jest ci oddany i w ogień by za tobą skoczył, tyle w nim braterskiej miłości. Zresztą wiele ci zawdzięcza, bo dużo mu pomogłaś. I tak sobie myślę, że również szczęście małżeńskie Witalisa to twoja zasługa. Przede wszystkim jednak uszczęśliwiałaś mojego syna. A kiedy go zabrakło, stałaś się dla mnie największą pociechą. Dałaś szczęśliwy i dobry dom młodemu Litworom. I właściwie to ty doprowadziłaś do pojednania Zuzanny z Matyldą. Widziałam, moja sprytna dziewczuszko, jak zręcznie rozdawałaś karty w tej rozgrywce. Jak potrafiłaś podejść Matyldę, by nie żywiła urazy. I jeszcze żeby odnosiła wrażenie, że ta cała chęć zawarcia zgody wychodzi od niej.

– Naprawdę przeceniasz mnie, mateczko.

– Już ja tam swoje wiem. Gdybyś miała moje lata i przeżyła tyle co ja, to też potrafiłabyś spoglądać na świat innymi oczami. Dostrzegałabyś więcej. Mniejsza z tym. Ja już swoje przeżyłam. Teraz gdy odpadła ci tak wielka troska, mogę zasnąć w spokoju – skwitowała.

– Nawet o tym nie myśl! – zaprotestowała gwałtownie Aurelia.

– Ależ to kolej losu, dziecino. Dziewięćdziesiąt sześć lat to wiek, jaki mało komu jest dany. A ja już naprawdę jestem zmęczona. Tęsknię za Ksawerym oraz Jankiem – wyznała.

Aurelia przygryzła wargi. Chciała protestować, ale zdawała sobie sprawę z tego, że los i tak podarował jej wiele. Choć niemalże od chwili urodzenia była sierotą, to jednak wciąż czuwały nad nią dwie poczciwe dusze: pierwsza tej, która wydała ją na świat, druga tej, która ją wychowywała. I wciąż jeszcze mogła liczyć na oddanie przybranej matki.

Nieczęsto przy Nikiforze zatrzymywał się ktoś, kto rzucał okiem na obrazki rozłożone na murku okalającym skwer. Rzadziej zdarzało się, by oglądający ową sztukę zechciał wyjąć z portfela choćby parę groszy na wsparcie ubogiego artysty. Niemniej jednak od czasu do czasu zdarzały się takie cuda.

Tego dnia Nikiforowi dopisało wyjątkowe szczęście, bowiem przystanęło przy nim dwóch dobrze ubranych panów. Widywał ich już wcześniej, niekiedy zachodzili tutaj i przypatrywali się jego pracom, wymieniając po cichu spostrzeżenia. Tego dnia jednak polecili mu, by zebrał swój skromny dobytek i poszedł z nimi.

– Zabieramy cię ze sobą. Będiesz się uczył malarstwa w akademii – powiedział krótko jeden z nich, nazywany przez swego towarzysza imieniem Tadeusz.

Nikifor nie dał sobie tego dwa razy powtarzać.

Oto został dostrzeżony!

Teraz świat na pewno stanie przed nim otworem.

Felicyta przygotowała się do nocnego spoczynku. Choć w całym domu już dawno założono elektryczność i w każdym pomieszczeniu były lampy dające światło tak jasne, że przywodziło na myśl słoneczny dzień, ona wciąż prosiła

służbę o to, by jej sypialnię oświetlać lampą naftową. Nie mogła przywyknąć do sztucznego światła. Bolały ją od niego oczy, zwłaszcza wieczorem. Poświata rzucana przez drgający płomień sprawiała wrażenie cieplejszej. Pomieszczenie zyskiwało na przytulności, gdy tonęło w delikatnym półmroku.

– Możesz odejść, Rozalko – zwróciła się do ochmistrzyni. – Sama zgaszę lampę. Chyba że wcześniej skończy się nafta.

Służąca opuściła sypialnię Drzewickiej.

Felicyta z błogą miną spoczywała na miękkich poduszkach. Nie była jeszcze senna, więc ułożyła się w półsiedzącej pozycji.

– Mój Boże, jak mi dobrze. Ileż ja mam szczęścia w życiu! Daleś mi więcej, niż mogłabym pragnąć. Gdy zabrałeś Janka, myślałam, że skończył się cały mój świat. Przeraziła mnie myśl o tym, że w samotności zasnę snem wiekuistym. Tymczasem jestem otoczona kochającą rodziną. Bo nie zawsze najważniejsze są więzy krwi, liczy się przede wszystkim człowiek.

Sięgnęła po stojącą na szafce nocnej fotografię. Zdjęcie przedstawiało Jana, Aurelię, Ksawerego oraz ją i zostało wykonane w dniu ślubu syna. Ze wzruszeniem przesunęła opuszkami po osłaniającym je szkiełku.

– Już niedługo, kochani... – wyszeptała.

Zamknęła powieki. Sen utulił ją niemalże od razu i wziął we władanie już na zawsze. Śmierć przyszła niespostrzeżenie, wycisnęła pocałunek na czole leciwej kobiety i ułożyła jej usta w delikatny uśmiech.

Aurelia zamierzała udać się na nocny spoczynek, lecz postanowiła, jak co wieczór, zajrzeć do pokoju matki. Czasami, jeśli staruszka jeszcze nie była pogrążona we śnie, zamieniały parę słów. Widząc światło w szczelinie pod drzwiami,

Drzewicka-Rapacz zastukała do drzwi, a potem, nie czekając na wezwanie, nacisnęła klamkę. Matka niedosłyszała, więc pukanie pozbawione było sensu, lecz górę brała siła nawyku.

Pokój oświetlała jedynie lampa naftowa, której mocno przykręcony knot dawał zaledwie odrobinę światła.

– Nie śpisz jeszcze? – zapytała półgłosem, widząc, że matka wciąż siedzi.

Kiedy podeszła bliżej, zauważyła, że nestorka ma zamknięte oczy.

Pomyślała, że matka musiała po prostu zasnąć, zanim ułożyła się w wygodniejszej pozycji. Przez chwilę wahała się, czy powinna ją ruszać. Ostatecznie uznała, że nie ma potrzeby budzić Felicyty. Ostrożnie wyjęła z jej rąk fotografię i odłożyła ją na stolik. Zrobiła to jednak jakoś tak nieostrożnie, że ramka spadła. Na szczęście nie narobiła hałasu, gdyż dywan skutecznie go wygłuszył. Aurelia schyliła się, aby ją podnieść, i dostrzegła pęknięcie, które podzieliło szkło na kilka części.

Jak to możliwe? – zdziwiła się. – Przecież nie upadła na twardą podłogę.

Z obawy, by matka się nie pokaleczyła, od razu odniosła zdjęcie na pobliską komodę, z myślą o tym, że trzeba będzie zmienić ramkę. Nim je odstawiła, ze wzruszeniem spojrzała na uwiecznioną jedną z najpiękniejszych chwil swego życia. Spoglądała na twarze trzech osób, które pokochała w niepojęty sposób.

Każda miłość jest inna i smakuje inaczej.

Niemalże bezszelestnie wróciła do łóża, na którym spoczywała Felicyta. Chciała ucałować matkę w czoło i starannie otulić ją piernatami, lecz nagle się zaniepokoiła.. Skóra matki wciąż była ciepła w dotyku, ale kobieta czuła, że

coś zmieniło się bezpowrotnie. Ostrożnie przyłożyła ucho do klatki piersiowej Felicyty.

Nestorka nie spała. A przynajmniej nie takim snem, z którego człowiek budzi się rano, by przeżyć kolejny dzień.

Aurelia wyprostowała się i obrzuciła spojrzeniem nieruchomą postać.

– Mateczko? Matuchno? – wyszłochała, bezskutecznie nasłuchując szmeru serca. Ujęła zwiotczałą dłoń za nadgarstek, szukając pulsu, jak kiedyś uczył ją doktor Trelewicz, lecz niczego nie wyczuła. – Dlaczego odeszłaś w samotności? Mamo! Matuchno!

Jej rozpaczliwy krzyk zaalarmował cały dom.

Następnego dnia po pogrzebie Felicyty, jeszcze przed śniadaniem, Lucjan poprosił rodziców o chwilę rozmowy na osobności.

– Matko, ojcze, jestem już dorosłym mężczyzną. Ojczyzna mnie potrzebuje – oświadczył z nader poważną miną.

– Co chcesz przez to powiedzieć, synu? – zapytał zaniepokojony Filip.

Aurelia tylko pobladła. Z tonu głosu jedynego syna wywnioskowała, że chodzi o rzecz, która z całą pewnością jej się nie spodoba. Ten wstęp aż za bardzo przypominał rozmowę, którą przed laty odbyła ze Stanisławem. Nie była w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

– Bolszewicy prą na stolicę. Piłsudski zwołuje pod broń każdego, kto jest w stanie ją dźwigać. Nasz naród jeszcze się nie podniósł ze zniszczeń po wielkiej wojnie, więc nie ma komu walczyć. Ale jeśli teraz dopuścimy, by czerwona zaraza zajęła Polskę, nigdy więcej nie zyskamy suwerenności. Nie chcemy tutaj rządów komunistów – oznajmił z zaciekleścią, jakiej nigdy wcześniej u niego nie słyszeli.

Aurelia wręcz była zaskoczona, że syn tak dobrze orientuje się w kwestiach politycznych.

– Nie! Błagam, nie rób mi tego. Dopiero co pochowałam matkę! Nie zadawaj mi bólu!

– Matko, proszę, nie rozpaczaj. Idę na wojnę, walczyć o wolną ojczyznę.

– Wojna pozbawia życia! Ostatnia pochłonęła miliony ofiar!

– Nie możesz od razu zakładać, że i ja zginę. Jeśli każdy będzie wychodził z takiego założenia, bolszewicy opanują Polskę i zaszczepią nam swoje chore idee!

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? – Załamała ręce. – Nie możesz rzucić szkoły! A uniwersytet? Nie wiadomo, ile potrwa ta okropna zawierucha. A ty chcesz się zgłosić na ochotnika? Chcesz przekreślić swoją przyszłość?

– Ależ matko! Jeśli teraz nie pójdę, nasza przyszłość zostanie przekreślona raz na zawsze. Jeżeli każdy będzie chował się za matczyną spódnicą, Sowieci zaleją nasz kraj i stłamszą demokrację w zarodku. Nie możemy do tego dopuścić!

– Synu, doskonale o tym wiem. Ale ty jesteś za młody, by iść na poniewierkę – jęknęła Aurelia.

– Skądże znowu! Młodszy ode mnie wybierają się, by walczyć z Armią Czerwoną. Mamo, zrozum, ja muszę. Nie nakłaniaj mnie do tchórzostwa. Trzeba bronić Warszawy.

– Aurelio, nie możemy zatrzymać Lucjana w domu.

Stojący za plecami siedzącej na fotelu Aurelii Filip położył rękę na jej ramieniu i delikatnie je uścisnął. Kobieta skierowała ku niemu twarz.

– Oszaleję ze strachu – oznajmiła. – Dopiero co zakończyła się jedna wojna. Z lękiem oczekiwałam na powrót Teodozji i Stanisława. Drżałam o ich życie. Tamta zawierucha trwała potwornie długo.

– Z kacapami rozprawimy się raz dwa – powiedział Lucjan.

– Czyś ty zwariował? Każda wojna ciągnie się w nieskończoność. Mój Boże! Gdyby młodzi mężczyźni nie łapali tak ochoczo za karabiny, być może nie dochodziłoby do konfliktów zbrojnych, a politycy zaczęliby szukać pokojowych rozwiązań.

– Aurelio, dobrze wiesz, że tak nie jest. Mówisz o jakiejś utopii. Mnie też serce boli na myśl o tym, że Lucjan chce iść na poniewierkę. Przecież to mój jedyny syn! Ale nie chowałem go na tchórza.

– Ja przez was zwariuję! – Kobieta zerwała się z fotela. Wykonała gest, jakby chciała chwycić chłopaka za szyję i udusić. Ostatecznie jednak przycisnęła go do siebie z całych sił. – Lucjanie, Lucjanie! – wyszłochała. – Przysięgnij mi, że nie będziesz ryzykował niepotrzebnie. Musisz mieć oczy dookoła głowy! Wiedz, że jeśli nie wrócisz do domu w jednym kawałku, cały i zdrów, to serce mi pęknie z rozpaczy.

Lucjan odjechał zaraz po śniadaniu. Przez następne tygodnie Aurelia każdy dzień zaczynała od kupna dziennika. Z namaszczeniem śledziła wszystkie doniesienia wojenne.

Wiadomo było, że bolszewicy zmierzają na Warszawę i że tam musi dojść do walnej bitwy. Ich siły w porównaniu z wojskami polskimi były miażdżące.

A później przyszedł piętnasty dzień sierpnia i wydarzył się cud nad Wisłą. Bolszewicka zaraza została odparta.

Wkrótce podpisano traktat pokojowy. Młodzi mężczyźni, ci, którzy nie polegli, wrócili w glorii chwały do domów.

Wrócił również Lucjan, a wtedy Aurelia odetchnęła z ulgą.

Polacy, udręczeni latami zaborów oraz wojnami, mogli w końcu rozpocząć nowe życie w prawdziwie wolnej ojczyźnie.

Rok 1921

Łemkowszczyzna

Kolejny rok przyniósł wielkie rozczarowanie Łemkom. W styczniu aresztowano księdza Kaczmarczyka. W czerwcu natomiast rozpoczął się proces. Prócz niego przed sądem postawiono Gromasiaka oraz Chylaka. Wystosowano przeciwko nim dość poważne zarzuty, wszak chcieli dokonać zaboru części polskiej ziemi, by oddać ją pod zwierzchnictwo Czechosłowacji. Ostatecznie jednak sąd uznał, że ich dążenia nie zagrażały interesem polskim, gdyż były niemożliwe do zrealizowania. Ława przysięgłych uniewinniła oskarżonych jako osoby, które nie wykazywały złej woli.

Również ze strony Czechosłowaków nie spotkało Łemków nic pozytywnego. Stwierdzili oni, że Rusnacy są Słowakami prawosławnego obrządku, i zaczęli ich radykalnie wynaradawiać. Te poczynania sprawiły, że Łemkowie na nowo zwrócili się ku Polakom, uznając ich za mniejsze zło. Nie pozostawało im nim nic innego jak lojalność wobec Rzeczypospolitej Polskiej.

ZAZDROŚĆ

Żegiestów

Porządkując rzeczy zmarłej teściowej, Wiktoria odkryła plik listów, które August wysyłał do matki z frontu. Zawsze pisywał osobne do żony, a osobne do rodzicielki. Tych drugich, niestety, było znacznie więcej. Ślubna dostała zaledwie kilka lakonicznych informacji, natomiast kopert adresowanych do Bronisławy Orzechowskiej znalazła nieporównywalnie więcej i niektóre były dość pękate.

Nie wiem, czy powinnam do nich zaglądać – stwierdziła, ważąc pakiet w dłoni.

Dawno temu zdołała opłakać pierwszą, bardzo nieszczęśliwą miłość. Teraz kochała Józefa. Czy warto więc było rozdzierać rany?

Pomyślała, że najlepiej byłoby rzucić korespondencję w ogień i nie katować się lekturą czegoś, co nie było do niej kierowane. Intrygujące jednak wydawało się samo to, że o ile w domu August często bywał arogancki nawet wobec swej rodzicielki i zdarzały się dni, gdy niemalże z nikim nie zamieniał choćby słowa, to grubość kopert sugerowała listy obfite w treść.

Ostatecznie Wiktoria, wiedziona ciekawością, zaczęła czytać ułożone chronologicznie epistoły.

August najwyraźniej tęsknił za Żegiestowem. Ale nie za żoną i córką, lecz za domem i matką. Obszernie opisywał swe wojenne losy, przygody, w których brał udział, a nawet towarzyszy broni. W którymś z listów natknęła się na znajome

imię i nazwisko. A zatem spotkał na froncie Litworzanę! Czytając o tym, Wiktoria wręcz uniosła brwi ze zdziwienia. Pragnęła dociec, czy mąż i ta pielęgniarka mieli ze sobą romans. Czy wojenna tułaczka zbliżyła ich do siebie? Potem jednak uznała, że nie wspominałby o tym, gdyby z Teodozją łączyło go cokolwiek zdrożnego. Jakież było jej zdumienie, gdy w swym ostatnim liście, bodajże najbardziej wylewnym, zwierzył się matce z planów na przyszłość! Zamierzał rozstać się z Wiktorią i poślubić jedyną kobietę, którą kochał w całym swoim życiu. Wyjawił nawet tożsamość swej wybranki, nadmieniając, że uczucie jest wzajemne.

Wiktoria niemalże zdrętwiała, widząc nazwisko kobiety, której istnienie przeczuwała przez cały czas trwania swego małżeństwa. Wtedy wydawało jej się, że ma do czynienia z bezimiennym i bezcielesnym duchem. Teraz wiedziała, że osoba ta rzeczywiście tkwiła pomiędzy nią a Augustem niczym drzazga. Była cierniem wbitym w samo serce związku.

Nigdy jej nie lubiłam. Póki mieszkała w Krynicy, była przepelniona pychą, traktowała wszystkich z pogardą i nawet nie miała przyjaciół – pomyślała. Wspomniała także, że nigdy nie próbowała zbliżyć się z Teodozją, jakby instynktownie unikając jej towarzystwa. Teraz wiedziała, że serce zazwyczaj się nie myli: zawsze odkryje zdradę i oceni, czy ktoś nadaje się na przyjaciółkę.

To odkrycie bardzo ją zabolalo, chociaż może nie powinno. Wszak była szczęśliwą matką i żoną. Litworzanka także wyszła za mąż, co więcej, znajdowała się daleko od Krynicy.

Sęk w tym, że przed laty plotkowano o tym, jakoby Józef kochał się w Teodozji.

Czy to była prawda?

Boże mój! – jęknęła w duchu. Nie wyobrażała sobie bowiem, że ponownie miałyby rywalizować z jakąkolwiek kobietą o uczucia własnego męża. Tym bardziej nie mogła sobie wyobrazić, by znowu chodziło o tę samą osobę! Jej serce nie wytrzymałoby takiego ciosu.

Na szczęście Litworzanka z mężem rzadko zaglądała do Krynicy. Na wszelki wypadek jednak Wiktoria powzięła postanowienie, że nigdy więcej nie przyjmie zaproszenia do domu Pod Lipami wówczas, gdy będzie tam gościła Strzelecka. A jeśli spotka przypadkowo ją podczas balu, dansingu lub w teatrze, to nie spuści nawet na moment wzroku ze swego ślubnego. Musi wszak ocenić, czy mąż wciąż się w niej kocha. Bardzo chciała wierzyć, że plotki o nim i o niej były mocno przesadzone. Paradoksalnie nie bała się, że Teodozja zechce bałamucić Józefa. Wszak piorun nigdy nie uderza dwukrotnie w to samo miejsce. Wierzyła, że rywalce chodziło wyłącznie o Augusta. Zresztą jej uczucia w ogóle nie obchodziły Wiktorii. Liczyło się wyłącznie to, co nosi w sercu mąż.

Czy jest jej wierny?

A może zdradza ją poprzez tęsknotę za tamtą?

Straszna jest żmija zazdrości, która potrafi niepostrzeżenie wśliznąć się do umysłu.

Rok 1926

Powroźnik

Matylda z radością i niepokojem oczekiwała na przyjazd Wisławy oraz Mateusza. Młodzi ludzie ukończyli właśnie studia i zapowiedzieli, że część lata spędzą w Powroźniku. Można więc było się spodziewać w związku z tym sporego zamieszania i ruchu, ponieważ Wisława nie potrafiła nawet przez moment usiedzieć spokojnie na miejscu. Wciąż chciało jej się przyjąć,

wyjsć do teatru, na festyny, wizytowania znajomych, a w ogóle najchętniej spędzałyby całe dni w Krynicy u ciotki Aurelii, demoralizując Beatę, która zachwycała się absolutnie wszystkimi pomysłami „kuzyneczki”. Matylda martwiła się tym zdecydowanie bardziej niż Aurelia, nie chciała, by kiedyś przyjaciółka zarzuciła jej, że córka zeszła na złą drogę przez tego wyrodka i raroga. Kto to widział, by panna nosiła krótkie włosy oraz spodnie, paliła cygaretki i spędzała wieczory w kawiarniach?

– Miasto ją zepsuło – żaliła się mężowi, gdy bez większego pośpiechu wędrowali na stację kolejową. – Nie należało jej puszczać z Mateuszem. Zawsze była rozwiedziona, lecz teraz to już w ogóle nie można nad nią zapanować. A tak chciałam, by podobnie jak Kotusia i Iza wyszła za mąż!

Wbrew żywionym niegdyś obawom Izabela wyszła za mąż tuż po tym, jak na ślubnym kobiercu stanął doktor Trelewicz. Właściwie nawet stało się to poniekąd za sprawą doktora, ponieważ podczas przyjęcia weselnego Józefa oraz Wiktorii Izę zainteresował się Leopold Kowalski, człowiek równie pospolity jak jego nazwisko, lecz o dobrym sercu i szlachetnym charakterze. Małżonkowie zamieszkali w Krynicy, gdzie otwarli kawiarnię i szybko dorobili się dwójki dzieci: Adasia oraz Zbyszka. Litworom natomiast los pobłogosławił córką Ewą. I gdyby tylko Wiśka zechciała żyć jak Pan Bóg przykazał, to Matylda uznałaby, że do szczęścia niczego jej nie brak, bo chłopcy mieli jeszcze czas z ożenkiem. Zresztą Mateusz sam wspominał, że przed trzydziestką nie zamierza się ustatkować, zwłaszcza że przed rokiem, wciąż jeszcze będąc studentem, dostał bardzo atrakcyjną pracę w „Ilustrowanym Kurjerze Codziennym”. Była to nagroda za świetne wyniki na studiach. Młody mężczyzna wręcz zachłysnął się szczęściem z tego

powodu, ponieważ zatrudnienie w „Ikacu”, jak zwano dziennik, było nie lada prestiżem i dawało niebagatelne zarobki. Matyldzie niemalże odpadł więc koszt związany z utrzymaniem młodzieży w mieście, gdyż syn był samowystarczalny, a i córka od czasu do czasu pisywała jakieś drobne artykuły, za które otrzymywała honoraria pokrywające jej drobne wydatki, stanowiące niezłe uzupełnienie kieszonkowego przekazywanego jej przez matkę. Witalis, w sekrecie przed żoną, która uważała, że panny nie można nadto rozpieszczać, zwykł przy każdej sposobności dokładać co nieco od siebie. A jak rozrzutnej dziewczynie brakowało grosza – wszak bywanie w Krakowie nie należało do tanich przyjemności, potrafiła się przymilić do brata tak, że i on dorzucił coś na jej fanaberie, lecz to pozostawało sekretem Wisławy.

Matylda żywiła nadzieję, że teraz, gdy obydwójce ukończyli studia, Wisia na stałe wróci do Powroźnika. Może nawet zacznie zachowywać się, jak przystało na pannę z dobrego domu, porzuci te okropne kostiumy ze spodniami i zacznie rozglądać się za mężem. Wyszumiała się w Krakowie niczym jakieś chłopaczysko, teraz przyszedł czas na rozsądek. Niechby tam już sobie paliła te swoje cygarety, przecież nawet Stanisława Nitribitt, powszechnie szanowana dama, wielka propagatorka amatorskiego teatru w Krynicy, kurzy na potęgę.

– Nie martw się o Wiškę – uspokajał żonę Witalis. – To mądra dziewczyna, chociaż lubi chadzać pod wiatr. Ona ma wybitnie męski pierwiastek w umyśle.

– Ech... Wolałabym, aby myślała jak kobieta.

– Nie rozumiem cię, Matysiu – stwierdził mąż. – Przecież chciałaś równouprawnienia, praw wyborczych, uniwersytetów dla kobiet, emancypacji... A teraz, gdy twoja córka może

korzystać z tego wszystkiego, marzysz o powrocie do przeszłości?

– Ależ nie! Ciesz się, że kobiety tak wiele osiągnęły. Ale jednocześnie martwię się, czy pokolenie Wisławy jest na to gotowe mentalnie. Jaka przyszłość czeka panny takie jak moja córka?

– Najlepsza. One mogą żyć tak, jak chcą, a nie tak, jak nakazywała tradycja. Nie każda tradycja jest dobra. Może nie każdy stworzony jest do życia rodzinnego? Może nie dla każdej kobiety powołaniem są dzieci? Może niektóre panie wręcz nie chcą ich mieć, lecz rodzą, bo tego się od nich oczekuje? Jeszcze do niedawna kobieta miała trzy ścieżki życia: mogła wyjść za męża. Mogła zostać starą panną pogardzaną przez innych, traktowaną jak nieudacznica czy odmieniec, praktycznie żyjącą na łasce innych krewnych. Ewentualnie mogła wstąpić do klasztoru, niekoniecznie czując aż tak wielką chęć oddawania się w bożą służbę, jak wymagałyby tego okoliczności. Teraz dziewczęta mogą się kształcić, poszerzać horyzonty, pracować. Ich dokonania nie będą umniejszane lub przypisywane w dużej mierze mężom.

– Ale gdzie w tym wszystkim miejsce na rodzinę? Czy to nie oznacza samotnej starości?

– Każdy ma jakichś bliskich czy przyjaciół. Posiadanie dzieci nie jest gwarancją tego, że człowiek będzie miał w nich oparcie w jesieni życia. Głowa do góry, Matysiu. Powinnaś być dumna z Wisławy. Ja jestem – oznajmił z pełnym przekonaniem, jakby była mowa o jego rodzonej latorośli, a nie pasierbicy.

Matylda przystanęła na moment, Witalis, którego trzymała pod rękę, zatrzymał się wraz z nią.

– Coś się stało? – zapytał.

– Nie, nic – odparła z uśmiechem. – Chcę ci po prostu powiedzieć, że nie mogłam trafić na lepszego męża. Rozumiesz mnie jak chyba nikt inny, no może poza Aurelią. I równie skutecznie potrafisz ukoić moje obawy i wlać otuchę w serce. Od razu widać, że wychowywaliście się razem i byliście sobie bliscy. Bo choć nie łączą was więzy krwi, mentalnie jesteście tacy sami. Bardzo cię kocham, wiesz o tym? – zapytała, spoglądając mu w oczy.

Mężczyzna wyciągnął dłoń i powiódł kciukiem po jej policzku. Pomyślał, że niekiedy trudno mu nadażyć za ślubną i jej zmiennymi nastrojami. Bywała niczym chorągiewka powiewająca na wietrze. Na pewno bardziej skomplikowana niż kobiety wywodzące się z tego samego stanu co on. Ale to właśnie ona zawładnęła jego uczuciami na dobre i na złe. I dziękować Bogu oraz Świętej Przepczystej, więcej było w ich wspólnym życiu dobrego niż złego.

– Jesteście moim największym szczęściem, Matysiu. Ty i nasze dzieciaki.

Juraszkowa oparła czoło o jego bark. Przez chwilę stali przytuleni do siebie.

– Słyszysz gwizd pociągu?

– Tak, chodźmy już. Nie mogę się doczekać, gdy zobaczę Mateuszka i Wiśkę – powiedziała kobieta, odsuwając się od Witalisa.

Zgodnie z przewidywaniami Matyldy Wisława narobiła w domu mnóstwo radosnego zamętu. Wpadła niczym burza i ze wszystkimi serdecznie się przywitała. Wyściskała każdego z osobna, nawet służbę. Dla każdego miała drobny upominek. Usta niemalże jej się nie zamykały, ponieważ miała do przekazania mnóstwo miejskich plotek. Szczególnie żywo opowiadała o swojej epizodycznej pracy w „Ilustrowanym

Kuryerze Codziennym”. Na ostatek zaserwowała rodzinie prawdziwą bombę.

– Od pierwszego sierpnia zaczynam stałą pracę. Będę zastępcą redaktora rubryki towarzyskiej w czasopiśmie „Światowid” – pochwaliła się w końcu. – To jedno z pism wydawanych przez koncern pana Dąbrowskiego.

– Ale jak to? – zdziwiła się Matylda. – Chcesz powiedzieć, że zostajesz w Krakowie na stałe?

– Tak, mameczko. Przyjechaliśmy z Mateuszem tylko po to, by spędzić tutaj parę przyjemnych dni i złapać oddech. Później może nieprędko się nadarzyć sposobność, by znowu zagościć w domu. Och... Mamo! Nawet nie wiesz, jak mnie cieszy ta perspektywa! Jestem tak podekscytowana, że nie możesz sobie tego wyobrazić. Proszę, nie rób takiej miny. Przecież dobrze wiesz, że nie pociąga mnie małżeństwo. Ja chcę żyć! Muszę realizować moją pasję. Tutaj nie byłabym w stanie tego robić – wyjaśniła.

Matylda siedziała niczym wmurowana, niezdolna powiedzieć ani słowa. Czuła, że powinna zaprotestować, tak podpowiadało jej serce. Rozum jednak mówił, że skoro córka się wykształciła, to nie po to, by skończyć jako potulna żona i matka skupiona wyłącznie na rodzinie. Pomna słów, które wypowiedział Witalis, gdy wędrowali na stację, postanowiła na razie nie odnosić się w żaden sposób do planów córki. Musiała to sobie poukładać w głowie, choć w minionych pięciu latach zasadniczo przyzwyczaiła się do tego, że Wisława zawsze stawia na swoim. Córki nic nie było w stanie powstrzymać.

– Ależ to świetna nowina, Wisiu! – wykrzyknął Witalis i zaczął gratulować pasierbicy odniesienia wielkiego sukcesu.

Matylda tylko westchnęła. Doszła do wniosku, że mąż znowu miał rację: Wisława zdecydowanie nie była powołana do życia

rodzinnego. Stawanie jej na drodze nie miało żadnego sensu. Tak jak nie dałoby się zawrócić kijem Wisły, tak nic nie mogło powstrzymać Wisławy przed realizacją marzeń. Juraszkowa gwałtownie przełknęła ślinę, aż zabolą ją gardło.

– Praca w tym koncernie to wielka sprawa. Na pewno jest marzeniem niejednej osoby. Nawet do nas docierają wieści o tym, że Dąbrowski to jeden z najlepszych pracodawców w Krakowie i młodzi ludzie wręcz marzą o posadzie u niego. Gratuluję, córciu.

Krynica

Wisława miała upominek również dla ciotki Aurelii.

– Jan Kiepora?! – wykrzyknęła Drzewicka-Rapacz po odpakowaniu prezentu. – Skąd wiedziałaś, że o tym marzę? – zapytała, spoglądając z radością na płytę do gramofonu.

– Nie wiedziałam – odparła pannica z niewinną minką. – Ale ostatnio jest dość głośno o tym śpiewaku. Wiem, że nasz naczelny zachwyca się jego talentem. A ty, cioteczko, skąd znasz Kiepurę?

– W ubiegłym roku, wiosną, byliśmy z Filipem w Warszawie. Mąż załatwiał jakieś interesy, a ja, przyznaję, że jak to kobieta, zajmowałam się głównie domem mody Hersego. Oczywiście w mieście nie obyło się bez spektaklu w Teatrze Wielkim. Akurat wystawiano *Fausta*. Tytułową partię miał śpiewać Adam Dobosz²⁴, bardzo go lubię, więc nie mogłam sobie odmówić przyjemności posłuchania jego popisów. Cóż, gdy tuż przed rozpoczęciem spektaklu na scenę wyszedł inspicjent, zaczął się giąć w pokłonach i przeproszać, że wielki artysta doznał nagłej niedyspozycji, w związku z czym nie może wystąpić. Zapowiedziano zastępstwo w osobie Jana Kiepury, młodziutkiego, nikomu nieznanego śpiewaka. Ach! Trzeba

ci było słyszeć ten szmer rozczarowania i niezadowolenia, który wtedy przebiegł po widowni! Sama byłam niezadowolona, wszakże zapłaciliśmy za oglądanie Dobosza! Ale jak już ten młodzian wyszedł na scenę, jak zaczął śpiewać! Och! Porwał publiczność. Z miejsca okrzyknięto go polskim Caruso²⁵ – opowiadała z zachwytem. – Od razu doszliśmy z Filipem do wniosku, że warto zapamiętać jego nazwisko, bo wkrótce będzie o nim głośno. No i widzisz, kochany? – zwróciła się do ślubnego, pokazując okładkę z płytą. – Długo nie musieliśmy czekać! Skoro nagrywa płyty, to znaczy, że jego kariera postępuje. Cóż bym dała, by przyjechał na gościnne występy do Krynicy! Z wielką przyjemnością bym go posłuchała, a z jeszcze większą zaprosiła w skromne progi naszego domu. Dziękuję ci, Wisiu! – Ucałowała dziewczynę w policzek. – Sprawiaś mi wielką przyjemność.

– Drobiazg. Mam przecucie, że faktycznie będzie głośno o tym muzyku. Skoro bierze go pod swe skrzydła sam Dąbrowski i robi mu dobrą prasę, to chłopak wręcz skazany jest na sukces. A ponieważ Krynica jest modna wśród elit, to tylko kwestia czasu, by tutaj dotarł. W razie czego ja lub Mati podsunie mu ten pomysł.

– Widujecie Kiepureę? – zdziwiła się Aurelia.

– Mieliśmy już tę przyjemność. Zakładam, że nie był to jedyny raz – wtrącił Mateusz.

– Ależ wam zazdroszczę! Praca w koncernie prasowym to musi być coś! Poznacie mnóstwo ciekawych ludzi, a wszystkie wieści będziecie mieli z pierwszej ręki!

– Dziękujemy! – wykrzyknęli zgodnie młodzi, potem spojrzeli po sobie i parsknęli śmiechem. Pięć lat spędzonych w Krakowie mocno zbliżyło do siebie rodzeństwo.

– Nie ukrywam, że to prestiżowy etat. „Ikac” jest teraz chyba najpopularniejszym dziennikiem, a przedsiębiorstwo stale się rozwija. Dąbrowski wypuszcza kolejne tytuły, które sprzedają się w ogromnych nakładach – oznajmił Mateusz.

Lwów był piękny, Warszawa także. Ale gdzie było tym kamiennym, surowym miastem do Łemkowszczyzny? Do ziemi zamieszkaney z dziada pradziada przez cichy, pracowity i pobożny lud, który nie pragnął dla siebie władzy ani przywilejów, który nawet nieszczególnie potrafił zadbać o własne interesy...

Nikifor kochał swe rodzinne strony. Po czasie spędzonym wśród artystów, którzy zabrali go z ukochanego miejsca, docenił je jeszcze bardziej. W miastach dalekich, do których wieziono go turkoczącymi wagonami po lśniących metalicznie szynach, liznął nieco sztuki. Nie, nie skończył A-ka-de-mji. Nie poznał osobiście mistrza Matejki, który ponoć dawno temu umarł. Ale widział na własne oczy jego prześwietne obrazy. Tak piękne, że godzinami można było z zachwytem się na nie patrzeć. Że nie dorówna mistrzowi, dobrze wiedział. Nawet nie próbował naśladownictwa. Miał własny styl, który mądre, uczone głowy nazwały prymitywnym, lecz akuratnym. Mógł się więc pieczętować jako ma-lar-sa. I nawet sporządził sobie pieczęć do opatrywania nią swych obrazów. Wszak każdy wie, że stempel przydaje ważności wszystkiemu, zatem i on się o takowy postarał.

Panowie artyści sprawili mu schludne ubranie, podarowali zapas akwarelek i udzielili mnóstwo życzliwych rad. A potem pozwolili, by wrócił pomiędzy ukochane zielone wzgórza Beskidu. Do Muszyny, Tylicza, Powroźnika, Rytra. I znowu jechał turkoczącym pociągiem po srebrnych wstęgach szyn. Chłonał obrazy, barwy, zapamiętywał każdy kształt, chociaż nie

wiedział jeszcze, czy zechce je uwiecznić. Ważniejsze było to, co tak ukochał: jego mała ojczyzna.

Od jakiegoś czasu znowu zajmował ulubione miejsce na skwerze. Rozkładał gotowe obrazki, kartoniki, pędzelki, farbki, nożyczki i inne akcesoria. Każdy skończony obrazek starał się oprawiać w ramkę z tekturki, bo to podnosiło wartość dzieła. A potem z wielkim namaszczeniem stawiał okrągły stempel, na którym widniała jego podobizna oraz podpis „Netyfor. Pamiątka z Krynicy”. Dopisywał jeszcze cenę, choć mało kiedy za jego prace płacono adekwatnie do oczekiwań. Później sięgał po następną kartkę, by tworzyć dalej.

Czasami obok przystawali jacyś kuracjusze. Ten i ów odczytywał treść listu prośbalnego. Ostatnio ktoś życzliwy pomógł mu zapisać nowy, który brzmiał następująco: *Nazywam się Nikifor z Krynicy, albo i MATEJKO. Jestem malarzem ludowym, prymitywnym, nie uczyłem się nigdy sztuki malowania, dlatego moje obrazki wyglądają inaczej niż dzieła znakomitych moich kolegów z Akademji...*²⁶ Ludzie zwykle się z niego wyśmiewali, bo niby jaki z niego Matejko? I jaki niby malarz?

Nie lubił kpiarzy. Czasami więc, by odreagować złość za czynione mu krzywdy, malował samego siebie z koroną na głowie. Niekiedy na owych autoportretach towarzyszyły mu inne postacie, które podpisywał „Lwowa Jan Malarz” oraz „Jan Malarsa Warszawa”. Tylko tak mógł pokazać złym ludziom, że nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, widział kawałek wielkiego świata i poznał wielkich artystów, którzy nie wyśmiewali jego prac, lecz wyrażali swe uznanie, poklepywali go po ramieniu i wróżyli mu osiągnięcie sukcesu.

Mój syn nie mógł dokonać lepszego wyboru – stwierdziła z satysfakcją Idalia, kołysząc w ramionach drugiego wnuczka,

który był owocem związku Józefa oraz Wiktorii. – *Dobrze, że w końcu zapomniał o Litworzance.*

Gdy Józef stawał na ślubnym kobiercu, *madame* Trelewicz nie była przekonana, czy małżeństwo syna będzie szczęśliwe. Odnosiła wrażenie, że mężczyzna zdecydował się na ten krok nieco pochopnie, po to, by zapomnieć o Teodozji. Wszak bardzo dobrze wiedziała o jego wyprawie do Lwowa sprzed sześciu lat. Decyzję o wyjeździe podjął spontanicznie i nawet nie próbował jej tłumaczyć żadnym sympozjum czy innymi okolicznościami wynikającymi z racji wykonywanego przez niego zawodu. Stwierdził tylko, że potrzebuje zaczerpnięcia oddechu, krótkiej przerwy od pracy i zmiany klimatu. Wrócił w podłym nastroju, lecz o dziwo, od razu rzucił się w wir życia towarzyskiego. Zagadywany o pobyt we Lwowie, nabierał wody w usta, ale cierpienie miał wypisane na twarzy. Nikt nie znał go lepiej niż matka, nikt nie potrafił tak dobrze odczytywać jego emocji. Potem zaskoczył ją informacją o zaręczynach. Ślub odbył się bardzo szybko, a dziewięć miesięcy później, ku wielkiej radości Idalii, Wiktoria powiła Tadeusza. Na drugiego wnuka trzeba było trochę poczekać. Mieczysław przyszedł na świat po kolejnych czterech latach, gdy *madame* zaczynała się mocno niepokoić o to, czy między małżonkami wszystko układa się jak należy. Józef często chodził zadumany, lecz swoje chwile zamyślenia tłumaczył skupieniem uwagi na pacjentach. Wiktoria natomiast, odkąd jej pierwsza teściowa wyzionęła ducha, spędzała sporo czasu w Żegiestowie. Idalii jednak to nie dziwiło. Wszak wiadomo, że pańskie oko konia tuczy, synowa musiała więc osobiście doglądać majątku, który w przyszłości stanie się dziedzictwem jej dzieci. Idalia ufała, że uszczkną z niego również synowie Józefa, i nawet jeśli był czas, gdy sceptycznie podchodziła do planów matrymonialnych

jedynaka, dawno temu zmieniła zdanie na ten temat. Zamożna wdowa okazała się nader smakowitym kąskiem.

W chwili gdy Idalia snuła swe przemyślenia, Wiktoria wracała do Krynicy. Odkąd objęła pełną władzę nad majątkiem Orzechowskich, posiadała własny samochód i szofera. Gdyby nie złe wspomnienia wiążące się z domem w Żegiestowie, zapewne namówiłaby męża na przeprowadzkę. Czułaby się pewniej, wiedząc, że nie jest narażony na przypadkowe spotkania z Teodozją, gdy ta z rzadka zagląda wraz ze swoim mężem do domu Pod Lipami. Nie żeby obawiała się zdrady! Ale po co ta mała żmija ma klucz Józefa w oczy samym swoim widokiem?

Odkąd Wiktoria dowiedziała się, z kim August ją zdradzał, straciła zaufanie nawet do obecnego ślubnego i wciąż zmagала się z zazdrością, która niczym klin wbiła się w ich związek. Czasami kobieta zastanawiała się, czy Józef jest aż tak mocno pochłonięty pracą, że nie dostrzega, jak bardzo się od siebie oddalili, czy może raczej wie, lecz udaje, że tego nie zauważa?

– Dzień dobry, matko – przywitała się z teściową, gdy weszła w progi niezbyt obszernego domu wybudowanego jak większość krynickich willi w stylu szwajcarskim. – Jak się miewają moje skarby? – zagadnęła od razu o dzieci.

– Edwinka wciąż zajęta jest z guwernantką. A chłopców zabrała bona na popołudniową drzemkę – odparła teściowa.

– Doskonale. Pójdę się przebrać – oznajmiła Wiktoria, bowiem miała na sobie kostium podróży.

W Żegiestowie spędziła cały tydzień, snując się po obszernym domostwie, zamieszkanym teraz wyłącznie przez rezydentów oraz służbę. Do pensjonatu zaledwie zajrzała, rzuciła okiem na księgi rachunkowe, wysłuchała uwag kierownika. Ten temat ją nużył, więc czym prędzej zakończyła spotkanie. Owszem,

wiedziała, że nie powinna zostawiać wolnej ręki temu człowiekowi, lecz nie miała serca do prowadzenia interesu. Rozważała nawet możliwość sprzedaży. Sęk w tym, że obiekt przynosił dość wysokie profity, o jakich Józef nie mógł nawet śnić. Pozbywając się go, zyskałaby kapitał, z którym nie bardzo wiedziałyby co zrobić, gdyż kompletnie nie znała się na inwestycjach, a jednocześnie straciłaby stałe źródło dochodów. Bała się, że w krótkim czasie mogłaby wydać wszystkie pieniądze, a wówczas musiałaby zdawać się na życzliwość męża, który zapewne nie byłby w stanie zaspokajać znacznej części jej potrzeb. Raczej nie mogłaby wówczas pozwolić sobie na to, by podobnie jak *madame* Drzewicka-Rapacz wyprawiać się dwa razy w roku do Warszawy, żeby tam w najelegantszym domu mody sprawiać sobie nową garderobę na każdy sezon. W przeciwieństwie do Aurelii nigdy nie wracała od razu do domu, lecz zostawała w stolicy, by spędzać wieczory w teatrach i modnych klubach, tańcząc do upadłego charlestona, popijając drogiego szampana i nurzając się w dekadentckich klimatach stolicy.

Wyjazdy Wiktorii trwały zwykle po dwa tygodnie. Wyruszała w podróż sama, wszak mąż nie mógł pozostawić pacjentów bez należytej opieki. Dzieci powierzała bonie, guwernantce oraz teściowej, a potem próbowała zapomnieć o zazdrości, oddając się wielkomiejskim szaleństwom. Czerpała z życia pełnymi garściami, tak jak powinna była robić w czasach małżeństwa z Augustem. Wtedy jednak więdła niczym cieplarniany kwiat pozbawiony troskliwego doglądu. Teraz też usychałaby, lecz zamiast tego wolała trwonić pieniądze, które zawdzięczała nieboszczykowi. Małą przewrotną satysfakcję sprawiała jej myśl, że zakpiła sobie z przeznaczenia. Wszak ten łotr chciał się

z nią rozwieść! Zostawić ją na pastwę losu, a panią Żegiestowskiego majątku uczynić Litworzaną. Jakże niewiele zabrakło, by ten plan mu się powiódł! Wystarczyłoby, aby kula, która pozbawiła męża życia, świsnęła o kilka centymetrów dalej, omijając jego głowę.

Z wypraw do Warszawy wracała zmęczona, z poszarzałą twarzą i głębokimi cieniami zalegającymi pod oczami. Wiozła ze sobą mnóstwo sprawunków oraz prezenty dla całej rodziny. Spędzała w Krynicy kilka dni, dusząc się w atmosferze drobnomieszczańskiego domu. Potem wybierała się do Żegiestowa pod pretekstem doglądania swych dóbr.

Uciekała z domu z pełną premedytacją. Na odległość zazdrość doskwierała jej jakby mniej. Nie uwierało ją tak mocno, że dwukrotnie poślubiła mężczyzn, dla których miłością życia była Teodozja Litwora. Nie potrafiła sobie wybaczyć tego zaślepienia. I nie pojmowała, co oni dwaj widzieli w tamtej. Wszak Teodozja nie była ani w połowie tak piękna jak Wiktoria, brakowało jej szyku i klasy, wciąż wyglądała na nadąsaną i na wszystkich patrzyła z góry.

Rok 1927

Marzenie Aurelii o spotkaniu z Janem Kiepurą spełniło się szybciej, niż mogła sobie zamarzyć, bowiem w stosunkowo niedługim czasie muzyk kilkakrotnie zdążył odwiedzić uzdrowisko zarówno w celach wypoczynkowych, jak i koncertując. Drzewicka-Rapacz nie byłaby sobą, gdyby nie zaprosiła znakomitego tenora do swego salonu. Zresztą również Kiepurze ktoś musiał szepnąć na ucho, że jeśli będzie w Krynicy i zostanie zaproszony do domu Pod Lipami, to koniecznie musi skorzystać z uprzejmości gospodarzy, gdyż w urokliwej willi po prostu wypada się pokazać. Wszak Rapaczowie, a wcześniej

Drzewiccy, gościli pod swym dachem wszystkie sławy i znakomitości, które pojawiały się w kurorcie. Wymieniano przy tym nazwiska znanych pisarzy, malarzy, aktorów czy poetów. Ostatnio szczególnie modną postacią, chętnie goszczoną na salonach, był młodziutki poeta Julian Tuwim z charakterystyczną myszką na twarzy, zakochany po uszy w swej Stefci²⁷. Ku zmartwieniu pani domu Julian i Jan nieszczerze za sobą przepadali. Poeta pozwalał sobie nawet na drobne drwiny z tenora, twierdząc, że ma rozbuchane ego. Na szczęście do spotkania twarzą w twarz obydwu dżentelmenów nie doszło w jej domu, a co czynili poza nim i czy w ogóle mieli okazję się spotykać, czy też znali się wyłącznie ze słyszenia, tego wołała nie wiedzieć.

Niemniej każdy z osobna był mile widzianym gościem, choć Jan Kiepura należał do osób będących w ciągłej podróży i w ruchu. Zaglądał jednak do nowo poznanych znajomych, gdy tylko nadarzała się sposobność. Podczas któregoś z pobytów nie omieszkał wspomnieć, że nabył działkę inwestycyjną w okolicy. Chciałby ulokować kapitał w jakimś sensownym przedsięwzięciu.

– Marzenie o kupnie pięknego samochodu już sobie spełniłem, mam upragnionego mercedesa. Teraz przyszedł czas na coś trwalszego – stwierdził pewnego dnia, tuż po tym, jak w Krynicy gruchnęła wieść, że najszynniejszy polski tenor, robiący międzynarodową karierę, nabył w uzdrowisku kawał ziemi. – Chcę wybudować nowoczesny hotel w stylu modernistycznym. Taki, w jakim sam nocowałem za granicą.

– Dużo pan podróżuje – westchnęła Aurelia.

– Szanowna pani, każdy dostaje od losu swoje pięć minut i powinien zadbać o to, by wykorzystać je jak najlepiej. Zaśpiewam w każdym miejscu świata, do którego zostanę

zaproszony. Byłe płacili. – Puścił oko do pani domu. – Ale przyznaję, że śpiewam też tam, gdzie nie płacą. Albo gdzie wręcz pojawiają się jakieś wielkie potrzeby i trzeba zanurzyć ludziom rękę w pugilaresie bądź kieszeni.

Aurelia uśmiechnęła się wyrozumiale. Dobrze wiedziała, że jej utalentowany gość ochoczo udziela się charytatywnie.

– To zrozumiałe, że trzeba się cenić – przyznał Filip.

– Wie pan, Filipie? Ja chyba najbardziej na świecie boję się ubóstwa – przyznał tenor. – Teraz jestem sławny i fortuna mi sprzyja, lecz skąd mogę wiedzieć, co będzie w przyszłości? Czy przykładowo nie stracę głosu? Mam chroniczny nieżyt gardła i nosa, dla śpiewaka to wyjątkowy dyskomfort. Z tegoż względu, mając na uwadze możliwość, że przyjdzie kiedyś zakończyć karierę, nie trwonię wszystkiego, co zarabiam. Hotel byłby idealną lokatą kapitału. Nie tylko nie straci na wartości, ale go pomnoży, wszak liczę na stały przychód.

– A my, panie Janie, cieszymy się, że pański wybór padł właśnie na Krynice, chociaż doszły mnie słuchy, że wcześniej myślał pan o Żegiestowie – zagaiła Aurelia.

– Owszem, brałem pod uwagę Żegiestów, stanąłem nawet do przetargu. Niedawno można było licytować urokliwe tereny na Łopacie Polskiej. Znają państwo to miejsce?

– A tak, tak. To półwysep w zakolu Popradu – powiedział Filip. – Piękna parcela. Gdyby tam wybudować pensjonat, to z jego okien roztaczałby się bajeczny widok. Nie dziwię się, że ta lokalizacja miała pierwszeństwo przed Krynica. Gdzie Palenica, a gdzie Poprad?

– Ach, trzeba było przeboleć porażkę – stwierdził artysta. – Ubiegła mnie spółdzielnia nafciarzy²⁸. – Prychnął pogardliwie. – Nad Palenicą też będzie pięknie. Mój ojciec obiecał nadzorować budowę. Już jest w Krynicy wraz z mą matką. Docelowo tutaj

będzie nasz dom, choć mój to chyba bardziej umownie, bo mnie ciągnie wielki świat. Ktoś jednak musi doglądać i budowy, i hotelu, gdy już go otworzymy. A komuż innemu miałbym zaufać? Nikt nie sprawdzi się w tej roli lepiej niż moi bliscy. Ojczulek ma głowę nie od parady, zawsze prowadził różne interesy.

– Ach! I nie przyprowadził pan do nas swych rodziców? Z chęcią byśmy ich poznali i ugościli – odparła Aurelia.

– Przyjdzie czas i na to. Dzisiaj wyprawili się na wycieczkę po okolicy – oznajmił Kiepura, błyskając w uśmiechu rzędem pięknych śnieżnobiałych zębów.

Siedząca wraz z nimi Beata aż westchnęła z zachwytu, lecz podczas rozmowy w ogóle nie zabierała głosu, tak bardzo była skrępowana obecnością mistrza. Do domu przyjechała na kilka dni w przerwie międzysemestralnej. Od trzech lat mieszkała w Krakowie wraz z Mateuszem oraz Wisławą. Chociaż Wisienka pokazała jej świat najciekawszych w mieście klubów oraz kawiarni i przedstawiła jej mnóstwo znanych osób, teraz chłonęła każde słowo tenora i marzyła, by Kiepura, nim opuści ich salon, zaśpiewał choć jedną pieśń. Jej serce trzepotało z podekscytowania, chociaż w domu rodzinnym często bywali znani goście.

W lutym ubiegłego roku rodzice podejmowali kolacją samego marszałka Piłsudskiego, który Jaworzynę upodobał sobie zimową porą, choć podobno wolał Zakopane, ponieważ tylko tam są prawdziwe góry. Bywał w domu Pod Lipami również czarujący, choć trochę nieśmiały i nerwowy poeta z dużą ciemną plamą na policzku. Siadając, zawsze tak starał się ustawiać, by jak najmniej było widać tę osobliwość na jego twarzy, a do zdjęć podobno pozował wyłącznie z prawego profilu. Beata uwielbiała jego twórczość, lecz na jego widok nie

miękły jej kolana. A o Kiepurze mawiano, że okropny z niego uwodziciel i bawidamek. Nawet matka ją napominała, by zachowywała się powściągliwie w obecności artysty i nie próbowała go prowokować do niczego, co znowu do Aurelii – otwartej na świat i wyemancypowanej – było całkowicie niepodobne. Beata natomiast, z natury dość żywiołowa i nie mniej lubiąca doborowe towarzystwo niż jej matka, jak chyba nigdy w życiu czuła się onieśmielona. Z obawy, by nie wyjść na prowincjonalną gąskę, poza kilkoma zdawkowymi uwagami, zachowywała milczenie.

Tymczasem gość opowiadał o swych perypetiach związanych z planowaną inwestycją.

– Na razie walczę z formalnościami i architektem. Imaginujcie sobie państwo, że chciałem powierzyć nakreślenie projektu Bohdanowi Pniewskiemu²⁹. Młody jest, lecz uzdolniony, wybornie zna się na nowoczesnych budowlach. Bo mnie, drodzy państwo, marzy się budynek murowany, odbiegający mocno od tutejszych pensjonatów. Ponieważ będzie odrobinę na uboczu, nie powinien rażąco odbijać się od otoczenia. Wille w stylu szwajcarskim są niezaprzeczalnie piękne, ale współczesne standardy prezentują się zgoła inaczej. Teraz króluje modernizm. U mnie musi być na wskroś nowocześnie i luksusowo. Z windami, łazienkami w każdym pokoju i innymi wygodami.

Filipowi odrobinę zrzędła mina. W skrytości ducha liczył, iż dostanie kontrakt, jeśli nie na budowę całego obiektu, to przynajmniej na część robót. Cóż, jednak on i Makary specjalizowali się w drewnianych budowlach!

– A czemuż to pan walczy z architektem? – zdziwiła się Aurelia. – Nie chce się podjąć zadania?

– Owszem, chce. Ale zamierza przy tym zedrzyć ze mnie skórę. Taką stawkę podał za rysunki hotelu, że mi włosy dęba stanęły. Powiedziałem zdziercy, że za połowę tej ceny sam wykonałbym sobie projekt. A Pniewski na to, że za połowę ceny to on mi może zaśpiewać!

– A to dopiero! I co teraz pan planuje? Będzie pan szukał nowego architekta?

– Nic podobnego! Potargować się muszę, choćby dla zasady. Lecz ani nie zamierzam słuchać, jak Pniewski śpiewa, ani tym bardziej robić osobiście projektu, wszak nie uczyłem się w tym kierunku. Nawiasem mówiąc, pobożnym życzeniem mego ojczulka było, abym skończył prawo! Brr! – Wzdrygnął się na samo wspomnienie o tym.

– Ach! Jak dobrze, że jednak wybrał pan śpiew – ośmieliła się wtrącić Beata. – Gdyby pan został prawnikiem, świat wiele by na tym stracił.

Jan Kiepura zerknął na pannę Rapacz. *Niebrzydka bestyjka* – pomyślał. – *Uroda ewidentnie po matce. Dzewicka-Rapacz natomiast do dzisiaj piękna, choć najlepsze lata ma zdecydowanie za sobą.* Bałamucić młodą nie zamierzał. W rzeczy samej orientował się, czym zajmuje się Filip i jakie interesy prowadzi Aurelia. Jeśli jego marzenie o pięknym nowoczesnym hotelu miało nabrać kształtu, nie należało nikomu się narażać. Może nie będzie potrzebował cieśli i dekarzy, ale drewno niezbędne jest na każdej budowie! Zamiast więc uwodzić powabną pannę, jak zrobiłby to w każdej innej sytuacji, postanowił umilić wieczór gospodarzom swoim śpiewem.

– Ależ ci zazdroszczę, ciociu! – wykrzyknęła Teodozja na wieść, że Jan Kiepura ponownie gościł w domu Pod Lipami. I że dosłownie się z nim rozminęła, bowiem przyjechała wraz

z mężem do Krynicy dzień po odjeździe słynnego tenora. – Jakże mi się marzy posłuchanie go na żywo! Cóż, wciąż coś staje mi na przeszkodzie – westchnęła.

– Daję słowo, aniele, że zabiorę cię na jego koncert przy najbliższej sposobności – zapewnił ją z miejsca Nikodem.

Małżonkowie przyjechali do uzdrowiska, by spędzić wśród bliskich kilka letnich tygodni. Przed pięcioma laty Teodozja powiła syna Jonasza, który towarzyszył im podczas wyjazdu. Od tamtej pory kobieta zarzuciła pracę zawodową, by zająć się domem, dzieckiem oraz podupadającą na zdrowiu Zuzanną.

Chociaż Strzelecka nie była leciwa, sprawiała wrażenie znacznie starszej niż w rzeczywistości. Przytłoczył ją ciężar trosk. Przedwczesna utrata kilku członków rodziny, choroba psychiczna jednego z synów, samobójstwo męża oraz niesnaski z trzema pozostałymi potomkami odcisnęły na niej brutalne piętno. Gdyby temu wszystkiemu miało jeszcze towarzyszyć poczucie winy, zapewne nie byłaby w stanie tego udźwignąć. Pojednanie z Matyldą i Aurelią pozytywnie wpłynęło na jej nastrój. I chociaż od wesela Teodozji i Nikodema nie przyjechała więcej do Krynicy, pozostawała w stałym listownym kontakcie zarówno z siostrzenicą, jak i z bratową. Aurelia za każdym razem, gdy spodziewała się odwiedzin Teodozji, zapraszała również Zuzannę, lecz ta zwykle wymawiała się złym samopoczuciem. A gdy Teosia sugerowała, że zostanie w Samborze z teściową, Strzelecka wręcz błagała, by nie zmieniali dla niej z Nikodemem swych planów wyjazdowych. Zapewniała, że poradzi sobie bez nich, wszak ma w domu służbę, a w pobliskim Lwowie mieszka przecież Piotr, który w ostatnich latach przestał się na nią bocyć i częściej zaczął ją odwiedzać. Tak więc małżonkowie

z dzieckiem mogli bez większych wyrzutów sumienia wybrać się do Krynicy.

– Och, Teosiu! – westchnęła Beata. – Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki to czarujący mężczyzna. Można się w nim zakochać.

Teodozja spojrzała bacznie na „kuzyneczkę” i nagle sobie uprzytomniła, że już nie ma do czynienia z małą dziewczynką ani nawet z irytującym podlotkiem, ale z dwudziestodwuletnią panną na wydaniu, która studiuje w Krakowie sztuki piękne i obdarzona jest artystyczną duszą. *Czyżby zakochała się w tym bożyszczu kobiet?* – pomyślała z zaskoczeniem. Od Teodozji Kiepura był młodszy, więc mimo iż nie mogła odmówić mu powabu – jego zdjęcia często drukowano w prasie, więc wiedziała, jak wygląda – nie stanowił dla niej absolutnie żadnej atrakcji jako mężczyzna. Lubiła go słuchać, miała w domu gramofon oraz płyty, które z przyjemnością odtwarzała. Dla Beaty natomiast faktycznie mógł być pokusą. Teosia zdawała sobie sprawę z tego, że na widok Kiepury mogą omdlewać kobiety w bardzo różnym wieku, nawet nobliwe matrony. Może więc tylko ona pozostawała nieczuła na cudze wdzięki? Może jej serce, dotkliwie zranione za sprawą pierwszej miłości, potrafiło już kochać tylko jednego mężczyznę? Może dla tego delikatnego organu największym wysiłkiem było obdarowanie uczuciem Nikodema? *Jak dobrze, gdy nie jest się kochliwą* – stwierdziła, przypatrując się spłonionej Beacie. Wygodnie jej było z własnym pragmatyzmem.

Gdy już małżonkowie wysłuchali mnóstwa ochów i achów pod adresem Kiepury, Tuwima, Kossaków oraz innych osobistości, które gościły w domu Pod Lipami w minionych kilku miesiącach, Teodozja wyciągnęła męża na spacer. Jonasz został

w willi, pod opieką Aurelii, która z rozkoszą wchodziła w rolę babci.

– Ach! Jak dobrze znowu być tutaj! – westchnęła Strzelecka. Jej twarz przybrała wyraz głębokiej błogości. – Nawet sobie nie zdajesz sprawy, Nikosiu, jak tęskniłam za Krynica. Jak mi trzeba było odetchnąć tym balsamicznym powietrzem. Chodź! – Pociągnęła męża za rękę. – Pójdźmy do pijalni na wodę Zuber. A może w muszli koncertowej grają coś ładnego? Może przed Domem Zdrojowym rozłożyła się tombola? Może jest festyn na deptaku? – ekscytowała się niczym mała dziewczynka. Jakby pierwszy raz od wielu lat była w uzdrowisku i chciała zobaczyć je całe w jednej chwili, pokosztować każdego smaku, wszystkiego dotknąć, powąchać i poczuć! – Krynica zmienia się w oczach! Spójrz, ile nowych budynków! Coraz mniej buduje się z drewna – zauważyła. – Wuj Filip i Makary pewnie nie są zachwyceni, wszak ich przedsiębiorstwo składa się głównie z cieśli oraz dekarzy.

Zmartwiła się myślą o tym. Ale potem uznała, że wuj, którego nie da się nazwać młodzikiem, wycofuje się pewnie pomalu z interesu, ustępując miejsca synowi Makarego.

– Nie wydaje mi się, aby to było problemem. Nawet jeśli w Krynicy zaczyna pojawiać się modernizm, to i tak wciąż jest duże zapotrzebowanie na usługi ciesielskie. Drewno zawsze będzie tutaj ważnym budulcem. Możesz być spokojna o wujostwo. Im zdecydowanie nie grożą tarapaty finansowe. To gdzie chcesz iść na początek? Do pijalni? – upewnił się mężczyzna.

– Tak, do pijalni – odparła.

Mijali skwer, na którym miał rozłożony kramik jakiś artysta.

– Czy to nie jest ten sam człowiek, którego spotkaliśmy przed laty? – zagadnął Nikodem. – Długo nie widywaliśmy go tutaj,

a teraz wrócił.

– Tak, to ten miejscowy samozwańczy artysta – potwierdziła Teodozja. – Ale mylisz się, Nikosiu. Był tutaj podczas naszych poprzednich pobytów, chociaż na kilka lat rzeczywiście zniknął chyba z Krynicy – przyznała. Akurat tego człowieka pamiętała doskonale. I wciąż budził w niej mieszane uczucia: trochę wstydu za podle zachowanie Stacha, trochę litości i trochę pogardy dla głupca, który zamiast wziąć się do uczciwej pracy, traci energię na coś, co ewidentnie go przerasta.

Nie zaprotestowała jednak, gdy Nikodem skierował kroki w jego stronę, mówiąc:

– Ciekaw jestem, czy przez te wszystkie lata, gdym go nie widział, poprawił chociaż trochę swe umiejętności.

Podeszli bliżej, by przyrzeć się jego pracom. Strzelecki wysupłał z kieszeni trochę drobniaków, by wesprzeć malarzynę. Ten odwdzińczył się obrazkiem. Gdy odeszli na wystarczającą odległość, by ubogi artysta nie mógł ich usłyszeć, Nikodem stwierdził:

– Jego prace nadal są prymitywne, jakby wykonało je dziecko. Widzę jednak pewien postęp. Zresztą musisz przyznać, aniele, że człowiek ten osobliwie potrafi posługiwać się kolorami. Nie jestem wprawdzie znawcą tematu, żaden ze mnie koneser sztuki, ale spójrz i powiedz, czy w tym zestawieniu barw nie ma nadzwyczajnej harmonii?

Teosia ujęła w ręce widoczek przedstawiający Muszynę – tak przynajmniej został podpisany. Obejrzała go uważnie, odwróciła nawet na drugą stronę. Uśmiechnęła się na widok pieczęci oraz trochę nieporadnie wykonanej ramki.

– Biedaczysko... Widać pacykowanie to największa radość jego nędznego żywota. Jest przynajmniej konsekwentny w działaniu. Ale tego piękna – zatoczyła dłonią półokrąg – nie jest w stanie

oddać w żaden sposób. To nie na jego mikre możliwości. Popatrz na tę zielen, Nikosiu! Czy ta odwzorowana na obrazku ma chociaż część soczystości otaczających nas lesistych wzgórz? Czy słońce kładące złote plamy na budynkach nie świeci jaskrawiej? Czy fasady nie są w żywszych barwach? Ach! Takich kolorów nie uświadczysz nie tylko na tworach tego człowieka, ale chyba w żadnym innym miejscu na świecie – skwitowała.

– Kochasz to miejsce jak żadne inne.

– To prawda. Czasami marzę o tym, by kiedyś jeszcze raz zamieszkać tutaj na stałe. Na razie jednak moim domem jest Sambor. – Wróciła z obłoków.

Ujęła męża pod ramię i ruszyli przed siebie. W pobliżu „Szwajcara” natknęli się na Wiktorię Trelewicz. Teodozja chętnie uniknęłaby tego spotkania, ponieważ zawsze w obecności Wiktorii czuła się niezręcznie. Wciąż miała w pamięci zdradę, której dopuścili się wraz z Augustem. Zastanawiała się nawet, i to niejednemu raz, czy August zdążył przed śmiercią na polu bitwy wysłać do żony list informujący o tym, że zamierza się z nią rozstać? Wiktoria była zbyt dobrze wychowana, by ujawnić posiadaną wiedzę. O tym, że Trelewiczowa nie darzy jej sympatią, Teodozja wiedziała doskonale, chociaż nigdy nie zaznała z jej strony żadnego afrontu. Na dodatek Wiktoria teraz była w związku małżeńskim z niegdysiejszym adoratorem Teodozji. Zakrawało to na prawdziwą ironię losu. Czy ta kobieta była aż tak nieświadoma realiów? A może z premedytacją poślubiła byłego absztyfikanta rywalki? Być może chciała w ten sposób utrzyć nosa Teodozji i pokazać, że ona także potrafi sięgnąć po to, co należy do innej?

Nie! Nie należy. I nigdy nie należało.

Józefa i Teodozję łączono w parę wyłącznie w plotkach.

Niestety było zbyt późno, by skrócić w bok i uniknąć bezpośredniego spotkania. Wyglądałoby to niezręcznie. Nie pozostało więc nic innego jak przystanąć na chwilę, aby się przywitać. Teodozja z pewną przykrością zauważyła, że czas obchodzi się z Wiktoria znacznie delikatniej niż z nią.

– Długo będziecie gościli w Krynicy? – zagadnęła Trelewiczowa.

– Planujemy powrót do domu z końcem miesiąca, ponieważ Nikodem musi wracać do kancelarii. Chociaż kto wie? Może zostaną nieco dłużej? Naszemu synkowi dobrze by zrobiło, gdyby pooddychał tutejszym powietrzem i pokosztował wód. Biedactwo ma kiepski apetyt.

– Dzieci często grymaszą podczas posiłków. Wiem coś na ten temat. Wszak sama mam trójkę. Edwinkę z pierwszego małżeństwa i dwóch synków z Józefem – oznajmiła Wiktoria, mimo iż Teosia była doskonale zorientowana w sytuacji, ponieważ kiedyś miała okazję widzieć Trelewiczową na spacerze z potomstwem.

Kobiety wymieniły jeszcze parę grzecznych uwag, a później towarzystwo się rozeszło. Nikodem zauważył, że żona nie umówiła się na żadną herbatkę czy kawę z Wiktoria. Uznał więc, że ich znajomość jest raczej powierzchowna, aczkolwiek czujnemu z natury prawnikowi nie umknęło pełne niechęci spojrzenie Wiktorii, gdy zauważyła Teodozję. Później starała się pokryć to uprzejmością, lecz ta sprawiała wrażenie sztucznej. Nie podzielił się tymi uwagami ze ślubną, gdyż uznał, że nie mają znaczenia.

Zapewne należy do konserwatywnych pań, które uważają, że emancypacja była zbędna i że miejsce kobiety jest wyłącznie w domu. Może potępia Teodozję za to, że przez szereg lat trudniła się pracą zawodową w dość dziwnym, jak na dobrze

urodzoną damę, charakterze. Co więcej, że wyprawiała się na wojnę, by nieść pomoc rannym żołnierzom. Być może uważała ją za markietankę. Nikodem nigdy nie podejrzewał żony o coś równie absurdalnego. Teodozja może nie należała do świętych, ale w pełni jej ufał. Dla niego i tak była aniołem.

Wieczorem Strzeleccy wybrali się z wizytą do Stacha i Konstancji. Z uwagi na dość późną porę nie zabrali ze sobą Jonasza, który zapewne chętnie pobawiłby się z Ewą, jedyną córką Litworów.

Chociaż w ciągu ostatnich lat podejście do wychowywania potomków radykalnie się zmieniło i dzieci brały udział w coraz większej liczbie wydarzeń rodzinnych, to jednak wszyscy rodzice konsekwentnie wychodzili z założenia, że wieczorem nie zabiera się ich, idąc w gości, ponieważ powinny wcześniej układać się do snu. Mimo to w porównaniu do własnego dzieciństwa Litworowie i Strzeleccy jednogłośnie musieli przyznać, że dzieciom daje się nie tylko znacznie większą swobodę, ale również częściej i uważniej słucha się tego, co mają do powiedzenia. Kiedyś było nie do pomyślenia, aby dziecko zabierało głos w gronie dorosłych. Z reguły za coś takiego bywało karane, chociaż akurat Aurelia nie należała do srogich opiekunek. Ciotka była jednak ewenementem pod wieloma względami. Być może właśnie dlatego Klara Bogusz tak bardzo jej nie lubiła, że sama miała radykalne podejście do dyscypliny.

Przyjeżdżając do Krynicy, Teodozja brała pod uwagę to, że będzie musiała pójść do ciotki z wizytą, gdyż tak nakazywała grzeczność. Bynajmniej nie wynikało to z potrzeby serca.

Na razie jednak Strzelecka spędzała dość przyjemny wieczór w towarzystwie brata oraz jego żony, chociaż musiała przyznać, że jej relacje ze Stanisławem uległy rozluźnieniu. Upływ czasu

i rozłąka zrobiły swoje, do tego doszło jeszcze skandaliczne zachowanie Teodozji na wieść o jego zaręczynach. Kiedyś brat był dla niej najbliższą osobą na świecie, niemalże przyjacielem. Teraz mówiła mu tylko o rzeczach mało istotnych.

O tych najważniejszych, zalegających na dnie serca, rozmawiała wyłącznie z Nikodemem. Nigdy w życiu nie myślała, że może być aż tak blisko z jakimś mężczyzną. Że będzie chciała dzielić się z nim absolutnie wszystkim. Że obnaży przed nim swą duszę, łącznie z jej najciemniejszymi i najbardziej mrocznymi zakamarkami. Jedyny sekret, który miała przed mężem, to nazwisko mężczyzny, w którym kochała się przed laty. Uważała, że nie trzeba go ujawniać. A już z całą pewnością nie należało wspominać mężowi, że chodziło o żonatego mężczyznę, który chciał rozstać się ze ślubną. Nie czułaby się komfortowo, gdyby o tym wiedział.

A Konstancja? Konstancja była tylko bratową. Trochę mdłą osobką, z którą właściwie nie wiadomo o czym rozmawiać. Ileż można paplać o strojach albo o wychowywaniu dzieci? Patrząc na nią, Teodozja wciąż odnosiła wrażenie, że żona brata jest zgaszona. Właściwie nigdy nie były sobie bliskie, ale wydawało jej się, że w młodzięcym czasie było w niej więcej ikry, a po ślubie zniknął z jej oczu cały blask.

Czyżby nie była szczęśliwa u boku Stanisława? Teodozja obserwowała uważnie małżonków i w pewnym momencie doszła do wniosku, że intuicja dobrze jej podpowiadała, gdy nie chciała dopuścić do ich ślubu, chociaż raczej problem nie tkwił w korzeniach brata, lecz w innym miejscu. Niby małżonkowie zachowywali się poprawnie, ale nie było pomiędzy nimi widać ani odrobiny bliskości. Spojrzeniem brakowało tkliwości, jaką mimo upływu lat Aurelia dostrzegała w oczach Matyldy czy Aurelii oraz ich mężów. Zresztą sama po sobie widziała,

że można odnaleźć prawdziwe szczęście w związku z drugim człowiekiem. Lubiła przebywać w towarzystwie ślubnego, chociaż nie mieli dla siebie zbyt wiele czasu, ponieważ Nikodem wciąż pracował, a ona zajęta była opieką nad synem oraz teściową.

Kiedy dwie godziny później Strzeleccy opuścili dom Litworów, Teodozja bez skrępowania wsunęła rękę pod ramię i przytuliła się do boku męża.

– Czy i ty, Nikosiu, odnosisz niezbyt przyjemne wrażenie, że małżeństwo Stanisława i Konstancji jest dziwnym, jakby martwym tworem?

– Właściwie nie chciałem tego mówić, by nie robić ci przykrości, wszak chodzi o twego brata, ale faktycznie w ich związku nie zauważam przywiązania. Czy oni pobierali się z rozsądku? – zagadnął.

– Nie, o ile wiem, była to wielka miłość. Musieli nawet pokonać przeszkodę, którą rzuciłam im pod nogi. Mówiłam ci o tym, pamiętasz? Chciałam stanąć na drodze do ich szczęścia. Chyba wtedy ze sobą zerwali. Ale później się pogodzili. Z moich obserwacji wynika, że niepotrzebnie. Zdaje się, że lepiej by im było osobno. Może u boku kogoś innego, a może po prostu samotnie? Nie każdy jest stworzony do tego, aby być z kimś w związku małżeńskim – stwierdziła chłodnym tonem. – Przez wiele lat uważałam, że lepiej nie zawracać sobie głowy wychodzeniem za mąż, niż wiązać się z nieodpowiednią osobą. Właściwie nadal tak uważam.

– A zatem, aniele mój, chcesz przez to powiedzieć, że jestem odpowiednim człowiekiem? – roześmiał się Nikodem.

– Zdecydowanie nie ma odpowiedniejszego – przyznała z całą szczerością.

Józef zauważył, że żona od kilku dni jest osobliwie zamyślona i przygnębiona, jakby coś ją dręczyło. Próbował nawet o to zagadywać Wiktorię, lecz go zbywała. Pomyślał więc, że być może to on ponosi winę za jej melancholię. Trwała właśnie pełnia letniego sezonu uzdrowskiego, więc miał mnóstwo pracy. Prócz stałych miejscowych pacjentów przyjmował także przyjezdnych, którzy wymagali porady, a w wolnych chwilach pomagał doktorowi Maksymilianowi Cersze. Odkąd w uzdrowsku zabrakło Ebersa, pracy przybyło. Stąd brak czasu dla rodziny.

Muszę jej to jakoś wynagrodzić – pomyślał Trelewicz, spoglądając na pogrążoną w zadumie żonę. – W przeciwnym razie znowu gotowa wyjechać do Warszawy lub Żegiestowa.

Nie lubił, kiedy opuszczała dom. Czuł się wtedy osamotniony. Ponadto dzieci za nią tęskniły, a matka utyskiwała, że synowa znowu wyfruwa samotnie w szeroki świat. I że to może się kiedyś źle skończyć. Takie rzeczy oczywiście mówiła tylko synowi. Wiktorii nigdy nie czyniła żadnych wyrzutów. Wychodziła z założenia, że jeżeli pomiędzy małżonkami coś układa się nie tak, jak powinno, to sami muszą wyjaśnić między sobą takie kwestie, ponieważ wtrącanie się pomiędzy męża i żonę jest najgorszą rzeczą, jaką można zrobić.

Zabiorę dziś wieczorem Wiktorię na bal lub do teatru. Możemy ewentualnie pójść na dansing. To nawet lepsze niż bal, bo nie wymaga aż tak sztywnego zachowania i oficjalnego stroju.

Wiktorii niemalże zdrętwiała, gdy usłyszała propozycję męża. Przez chwilę zastanawiała się, co odpowiedzieć, by go nie urazić. Ostatnią rzeczą, na którą teraz miała ochotę, było wyjście pomiędzy ludzi – wszędzie tam, gdzie mogłaby natknąć się na Teodozję. A raczej gdzie Józef miałby okazję do spotkania z dawną miłością.

Skąd mam wiedzieć, czy resztki uczuć wyleciały mu z głowy? A co, jeśli on nadal się w niej kocha i tylko szuka sposobności, by się z nią zobaczyć? – rozważała w duchu. Być może dowiedział się, że teraz Strzelecka przebywa w Krynicy. Jeśli nawet nie miał o tym pojęcia, a jego propozycja była czystym przypadkiem, Wiktoria nie mogła dopuścić, aby doszło do spotkania męża i Teodozji.

– Wybacz, kochany, lecz nie czuję się najlepiej. Zostańmy dziś wieczorem w domu.

– Czy coś ci dolega? Powinienem cię zbadać? – zapytał zatroskany mąż.

– Ależ nie! Skądże! Nie ma takiej potrzeby – zaprotestowała szybko.

To był właśnie cały problem w małżeństwie z lekarzem: Józef wszystko traktował zbyt dosłownie, co nie pozostawiało miejsca na to, by jej złe samopoczucie mogło być tylko kaprysem.

– Nic mnie nie boli, jestem po prostu znużona. Potrzebuję wypoczynku – wyjaśniła.

– No dobrze, skoro tak mówisz, z chęcią dotrzymam ci towarzystwa w domu. Ja także nigdzie się nie wybiorę – oznajmił, chociaż często zdarzało się, że w te wieczory, gdy nie wychodzili nigdzie razem, Józef zaglądał do jednego z klubów chętnie odwiedzanych przez dżentelmenów, gdzie w gęstych kłębach cygarowego dymu i z kieliszkiem dobrego trunku w dłoni mężczyźni dyskutowali o sprawach, które co do zasady nie interesowały kobiet.

Na twarzy Wiktorii odmalowała się wyraźna ulga.

Późnym wieczorem, gdy byli już po kolacji, żona zaskoczyła Józefa jeszcze bardziej. Zwykle, gdy narzekała na nie najlepsze samopoczucie lub popadała w melancholię, odchodziła

do swego buduaru, unikając zbliżeń. Tym razem jednak sama sprowokowała go do małżeńskich figli.

SZTUKA

Krynica

Jak każdego dnia Nikifor wstał wczesnym rankiem. Nie mógł marnować czasu na wylegiwanie się w pościeli. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze mieszkał kątem u dobrych ludzi, ale to nie oznaczało, że za darmo. Za dach nad głową musiał płacić choćby niewielką monetą, ale zawsze. Potrzebował także zjeść choćby miskę lichej strawy i jakoś się odziać.

Nikifor dawno temu zauważył różnicę między sobą: ubogim łemkowskim człeczyną a zamożnymi bywalcami uzdrowiska. Odstawał od nich pod wieloma względami, ale przede wszystkim prezencją. Oni chodzili ubrani w elegancką odzież, nosili jasne koszule ze sztywno wykrochmalonymi kołnierzykami, a do tego krawaty, marynarki i buty wypastowane na połysk. Na dodatek każdy z nich pachniał wodą kolońską tak pięknie, że przywodziło to na myśl czasami ukwiecone łąki, czasami gęstwiny leśną.

Woda kolońska była bardzo ważna! Dzięki niej można było odróżnić zamożnego pana od byle łachmyty. On nie chciał być traktowany jak łachmyta, chociaż z reguły się z niego wyśmiewano.

Czasami Nikifor był wyzywany od żebraków i przeganiany z tych miejsc, w których najbardziej lubił pracować. Dokładał więc starań, by choć trochę przywodzić na myśl owych dżentelmenów przechadzających się niespiesznie deptakiem,

zasiadających w kawiarniach, flirtujących z kobietami. Potrzebował przyzwoitego odzienia oraz wody kolońskiej.

Kupno nowych rzeczy przekraczało możliwości finansowe ubogiego Rusnaka. Ale czasami życzliwi ludzie dawali mu jakieś znoszone ubrania oraz buty. Gdy był w podróży z artystami, od Jana Ma-lar-sa ze Lwowa otrzymał walizkę. Nie była duża, ale wystarczająca, by pomieścić różne tekturki, farbki i inne akcesoria niezbędne do pracy, a także gotowe obrazki, które nosił zawsze ze sobą i oferował kuracjuszom za niewielką opłatą jako pamiątki z uzdrowiska. W domu miał jeszcze dużą drewnianą skrzynię malowaną w kwiaty. Własnoręcznie ozdobił ją kilkoma napisami. To był jego cały dobytek. Przechowywał tam większość ukończonych prac.

Nikifor w pośpiechu zjadł skromny posiłek i zaczął szykować się do wyjścia. Jak zawsze, tak i tego dnia upewnił się, czy skrzynia jest dobrze zamknięta. Najpierw jednak sprawdził, czy nie zniknęły z niej jego najcenniejsze skarby. Od innego miastowego ma-lar-sa dostał w prezencie coś bardzo ważnego.

Gdy ocenił, że rzeczy są bezpieczne, piechotą wyruszył do uzdrowiska, nucąc niewyraźnie słowa starej łemkowskiej pieśni.

*Jicha ~ w kozak czerez misto,
Spid kopyta kamiń prysnu ~ w.
Da-hej, hej.
Kamiń prysnu ~ w, kozak swysnu ~ w,
Do serdeńka kris prytysnu ~ w.
Kris prytysnu ~ w do serdeńka,
Zakuwała zozułeńka.
Ne kuj, ne kuj, zozułeńko,
Chaj spiwaje sołowejko.
Sołowejko, myłyj brate,*

*Wyklycz meni di ~ wczaz chaty*³⁰.

W bełkotliwym zaśpiewie Rusnaka nawet najbardziej wytrawne ucho nie rozróżniłoby poszczególnych słów, lecz on się tym nie przejmował. Kochał muzykę, jakoś tak lżej było mu na duszy, gdy sobie nucił lub gdy słuchał skocznych melodii.

To będzie dobry dzień – rozmyślał.

Nie spieszył się z przystąpieniem do pracy. Najpierw musiał popробować zarobku. Ludzie chętniej płacili za jego obrazki, gdy podtykał je im przed oczy. Owszem, bywało tak, że go przepędzali lub udawali, że niczego nie widzą. Ale ten i ów sięgał do kieszeni po brzęczący pieniądz. Kiedy siedział pochylony nad pracą, mało kto się przy nim zatrzymywał. Najczęściej bywał to jakiś fotograf, który z nudów zrobił mu zdjęcie, traktując go jak dziwadło na stałe wpisane w pejzaż miasta.

Nikifor nie bronił się przed fotografowaniem. Właściwie nawet lubił pozować do zdjęć i cieszył się, gdy dostawał jakąś odbitkę. Wszystkie pieczołowicie przechowywał. Może kiedyś będzie potrzebował kroniki swego żywota? Wszak każdy wielki artysta miał udokumentowany życiorys, mówiono o tym nawet w A-ka-de-mji.

Sam na temat własnego życia nie potrafił wiele powiedzieć. Czas zatarł w jego pamięci wiele wspomnień oraz nigdy niewypowiedzane na głos imię matuli. Dla niego była po prostu matką. Ojca nie znał wcale. Nie wiedział nic o żadnych krewnych. Był synem Łemkowszczyzny. Dlatego zdjęcia były ważne – potwierdzały jego istnienie.

Ludzie przebywający na deptaku, w kawiarniach i parku z reguły przeganiali ubożego Rusnaka, wyzywając go od żebraków, idiotów czy jeszcze inaczej. Czasami nawet nie chciano go wpuścić do pijalni oraz innych budynków. Niekiedy

jednak Nikiforowi udawało się coś sprzedać. Wtedy mógł stwierdzić, że dzień zaczął się bardzo dobrze.

– A pójdziesz ty, żebraku jeden? – fuknął na niego przysadzisty jegomość.

– Nie zna się na sztuce – odparł Łemko.

Odszedł dalej, ku blondynce w eleganckim stroju. Kobieta popijała ze specjalnego dzbanuszka wodę. Wyglądała na życzliwą.

– Ku-pi – zwrócił się do niej, pokazując widoczek z cerkwią. – Ta-nio. Pa-miąt-ka.

Nieznajoma pokręciła głową, a potem ostentacyjnie się odwróciła.

Co było zrobić? Postąpił kilka kroków dalej, ku sąsiedniej ławce. Nim jednak zdążył przedstawić prośbę, podbiegł do niego jakiś smarkacz i kopnął go w łydkę. Nikifor drgnął, przestraszony nagłym atakiem, chociaż mógł się go spodziewać, gdyż często mu dokuczano. Kilka obrazków, które miał w dłoni, rozsypało się na alejkę, jeden nawet wpadł do kałuży. Artysta podniósł lament, że jego praca znowu się marnuje. Upadł na kolana i zaczął zbierać rysunki, wciąż bełkocząc żałośnie nad niedolą niedocenianego malarza.

– Proszę. – Usłyszał nagle nad sobą miły damski głos.

Gdy uniósł głowę, zobaczył tę samą kobietę, która przed chwilą odmówiła zakupu pamiątki. Teraz pomiędzy jej palcami połyskiwała moneta. Bezzwłocznie wymienił ją na pierwszy rysunek, jaki mu się nawinął.

– Zna się na sztuce – bąknął, widząc, jak blondynka ogląda uwiecznioną na nim willę Pod Matką Boską.

Potem znalazł kupca na jeszcze jedno dzieło.

Ruszył dalej, lecz już bez sukcesów. Ludzi na deptaku nie brakowało mimo dość wczesnej pory. Oferował im swe obrazki

jako pamiątki z Krynicy, oczekując w zamian niewielkiej opłaty. Na liście proszalnym, który napisał dla niego pewien życzliwy człowiek, była wzmianka, że właściwie w rozliczeniu za swą sztukę przyjmie kawałek płótna czy coś do jedzenia. Najważniejsze, by jego dzieła nie rozchodziły się całkowicie darmowo, więc bardzo rzadko odstępował je komuś ot tak.

Skoro oszedł deptak, mógł z czystym sumieniem zająć się rysunkiem.

Dotarł do ulubionego skweru. Z pobliskiej fontanny zaczerpnął wodę do butelki. Otworzył i rozłożył walizkę. Wyciągał farbki, ołówek, tekturki. O wieko oparł kilka gotowych obrazków przeznaczonych na sprzedaż.

Nim przystąpił do pracy, popadł w krótkotrwałą zadumę. *Co namalować dzisiaj? Romanówkę? Cerkiew? Dom Pod Kosynierem?* Nigdy nie powiełał pomysłów, szkoda byłoby marnować cenny papier na to, aby narysować dwa identyczne obrazki. Zresztą musiał oszczędzać materiały służące do pracy. Przez chwilę wracał myślami do miejsc, które miał okazję odwiedzić. Nie musiał na nie spoglądać podczas rysowania. Doskonale zapamiętywał szczegóły architektoniczne oraz otaczającą zabudowania przyrodę. Nie zawracał sobie głowy portretowaniem ludzi poza nielicznymi przypadkami. Ludzie byli niepotrzebni, a nawet źli, ponieważ wciąż robili mu na złość.

W Krynicy nie podobało mu się to, że w ostatnich czasach prześliczne kolorowe wille wybudowane z drewna i ozdobione mnóstwem starannie rzeźbionych detali musiały ustępować miejsca budynkom z kamienia. Nie znał się na stylach budowania. Nazwa „modernizm”, która często gościła na ustach znanych mu artystów, nie mówiła Łemkowi absolutnie nic. Nikifor po prostu nie lubił kamiennych budowli. Ignorował

je i czasami, gdy tworzył jakieś dzieło, najzwyczajniej w świecie pomijał takie szczegóły na swoich obrazach.

Prawdziwe piękno tkwiło w drewnie! Szczególnie ukochał kilka budynków. Lubił cerkwie z ich wieżami zwieńczonymi krzyżami o dodatkowych poprzeczkach. Cenił sobie Witoldówkę, Teatr Modrzewiowy, zabudowania dworcowe oraz stare drewniane pensjonaty i inne budynki. Podobała mu się także nieco mniejsza od nich willa Romanówka. Uwieczniał zatem wszystko to, z czego od wielu lat słynęła Krynica.

Pałace z kamienia i cegły widywał we Lwowie oraz w Warszawie. Niepotrzebne były w Krynicy. Nie powinno się ich tutaj budować!

W końcu gdy już zdecydował, co naniesie na papier, sięgnął po ołówek i nakreślił szkic Witoldówki obfitujący w mnogość urzekających detali. Przyjrzał się zarysom willi. Oceniał, iż dzieło jest kompletne, więc można je pokryć kolorem. Poślinił rozcapierzony pędzelek, by nabrać nim odrobinę farbki. Z wprawą zaczął nanosić barwy na przygotowany rysunek.

Ponieważ tego poranka zdołał sprzedać dwa obrazki, a malowanie szło mu wyjątkowo łatwo, szybko zapomniał o nieprzyjemnych incydentach. Wróciło natomiast wspomnienie piosnki, którą nucił w drodze do Krynicy-Zdroju.

Wykłyycz meni di ̃wczaz chaty,

Maju jeji szczos' spytaty.

Maju jeji to spytaty

Czy ne była doma maty.

Czy ne była, ne swaryła,

Szczoz kozakom howoryła.

A ja mamipryzajusia,

Szczoz kozakom lubujusia.

A ja mamiprawdu skażu,

*Szczo z kozakom spaty łażu*³¹.

W chwili gdy pochłaniało go malowanie, nie myślał o swej samotności, o trudnej doli łemkowskiego biedaka. Zapominał na moment o matce, która zostawiła go na świecie zupełnie samego. Nie turbował się nawet tym, czy jego ojciec – znany ma-lar-sa, odnajdzie go pewnego dnia i powie, że syn wyrósł na prawdziwego artystę.

Wieczorem, gdy wracał do domu, odruchowo spoglądał na leżące tu i ówdzie śmieci. Czasami dawało się z nich pozyskiwać papier niezbędny do malowania. Ścinki urzędowych druczków, kolorowe tasiemki czy opakowania po słodyczach świetnie nadawały się na ramki do obrazków. W pobliżu miejsca, gdzie rano spotkał miłą kobietę, znalazł zgnieciony w kulkę papier. Nie był to jeden z tych, które mu się rozsypały, gdyż wybierał wszystkie, łącznie z tym z kałuży. Rozprostował znalezisko.

Ze smutkiem spojrział na widoczek z willą Pod Matką Boską.

– Nie zna się na sztuce – burknął gniewnie, a potem ruszył dalej.

Lato dobiegło końca. Większa część letników opuściła już uzdrowisko. Nadeszły spokojne jesienne miesiące, które pozwalały stałym mieszkańcom Krynicy na przygotowanie się do sezonu zimowego. Można było znowu złapać oddech, odwiedzić dawno niewidzianych znajomych, spędzić czas na rozrywkach, a nie tylko na myśleniu o tym, jak uprzyjemnić pobyt kuracjom.

Teraz w domu Pod Lipami częściej gościli kryniczanie z dziada pradziada lub ci, którzy osiedli tutaj na stałe stosunkowo niedawno, jak choćby Maria i Franciszek Kiepurowie. Ale pewnego dnia Drzewicka-Rapacz została zaskoczona przez gościa, którego raczej się nie spodziewała.

– Helenko, ty wciąż tutaj?! – wykrzyknęła na widok doktorowej. – Nie wracacie z Maksymilianem do Krakowa?

– Ależ nie, kochana. Postanowiliśmy w tym roku zostać na zimę w Krynicy. Wcześniej nie było okazji. Teraz łatwiej nam było podjąć decyzję. Córki powychodziły za mąż. Jerzyk³² jest już dojrzałym mężczyzną. Nie musimy wyjeżdżać. Właściwie już dawno planowaliśmy pozostanie na dłużej w Krynicy, a teraz nadarzyła się ku temu sposobność. Zresztą jeśli tylko zechcemy, to w każdej chwili możemy udać się do Krakowa.

– Ależ się cieszę! – odparła pani domu, ściskając swego gościa. Zachęciła przybyłą do zajęcia miejsca w fotelu, a następnie zagaiła: – Mam nadzieję, że w przyszłości stałym mieszkańcem będzie również Jan Kiepurowa. To byłoby coś! – Westchnęła z rozmarzeniem. – Na pewno jeszcze bardziej wzrósłby prestiż naszego miasta.

– A co słyhać u artysty? Masz jakieś nowiny na jego temat? Ruszył z pracami budowlanymi?

– Właściwie na razie niewiele się dzieje, a budowa hotelu musi trochę poczekać, chociaż państwo Kiepurowie deklarują, że dopilnują spraw syna. Jan oczywiście koncertuje na całym świecie. Wiem tylko tyle, że ostatecznie powierzył opracowanie projektu budynku Pniewskiemu, choć początkowo wydawać się mogło, że nic z tego nie wyjdzie. Panowie mocno się targowali, ale Jan zawsze musi postawić na swoim, ponieważ nie zadowala się byle czym.

– Och! Ależ ty jesteś szczęściarą, że obcujesz z tak sławnymi ludźmi. – Helena westchnęła, chociaż państwo Cerchowie również mogli się szczycić mnóstwem interesujących znajomych. Wielu z nich przyprowadzili nawet do domu Rapaczów.

– Zdradzę ci w sekrecie, Helenko, że doszły mnie słuchy, jakoby na Boże Narodzenie znowu wybierał się tutaj marszałek Piłsudski z rodziną. Na razie rzecz jest objęta sekretem, ale ja mam swoje źródła informacji. Lubię wiedzieć, co w trawie piszczy i kto odwiedza nasze uzdrowisko.

– W takim razie sezon zimowy zapowiada się ciekawie. Ach! Jestem niesamowicie podekscytowana, że zdecydowaliśmy się pozostać! Prawdę mówiąc, liczę również na to, że zimą Maksymilian będzie miał nieco mniej obowiązków i znajdzie czas na odpoczynek. Zależy mi także na tym, aby odwiedziły nas tutaj córki.

– Z całą pewnością nie narzekałyby na nudę. Zimą Krynica oferuje mnóstwo atrakcji. Bo nie dość, że pod puchową pierzyną śniegu jest przepiękna, to jeszcze wciąż organizuje się różne kuligi, ślizgawki, ogniska. Nie brakuje także tych atrakcji, które oferowane są latem. Można więc pójść na dancing, bal czy spektakl do teatru. Ale nie ukrywam, że największą popularnością cieszą się od jakiegoś czasu sporty zimowe. Pod tym względem niedługo nie będziemy ustępować Zakopanemu. Amatorzy narciarstwa na pewno znajdą dość stoków, z których można zjeżdżać.

– Och, to z całą pewnością przyciąga wiele osób.

– Zdecydowanie. Zobaczysz, że już niebawem deptak ponownie zacznie się zaludniać. Na pewno nie pożałujecie z Maksymilianem swej decyzji.

– A jak się miewa Teodozja? – Doktorowa zmieniła temat. – Maks prosił, aby ją listownie serdecznie pozdrowić.

– Dziękuję, myślę, że nie może narzekać na złe samopoczucie, chociaż z listu, który wczoraj dostałam, wynika, że tęskni biedactwo za Krynica. Niestety na razie sprawy służbowe trzymają Nikodema w Samborze. No i jest jeszcze Zuzanna,

która raczej nie myśli o tym, aby się tu przeprowadzić. Ale kiedy Teosia gościła u nas latem, zdradziła mi, że próbuje przekonać swoją rodzinę do zamieszkania w okolicy.

– Byłoby cudownie, gdybyś miała ją tutaj.

– W rzeczy samej bardzo bym się cieszyła, gdyby wszyscy moi bliscy byli na wyciągnięcie ręki. Dobre relacje rodzinne to naprawdę wielka wartość – powiedziała Aurelia z głębokim przekonaniem.

– Tak, rodzina jest najważniejsza. Przyznaję, że bardzo będę tęskniła za moimi córeczkami. Ale one są już dorosłe i samodzielne, więc trzeba pogodzić się z myślą, że każda ma własne życie. Gdyby jednak Teosia zechciała tutaj powrócić, Maksymilian na pewno zaproponowałby jej etat u siebie. Wspomniał mi o tym nawet dzisiaj. Jest pod wielkim wrażeniem dokonań twojej wychowanki.

– Poniekąd on także przyczynił się do tego, że Teodozja mogła zostać pielęgniarką. Podobnie jak Henryk, pisał dla niej listy polecające. Teraz dziewczętom jest znacznie łatwiej, wojna jednak zmieniła wiele.

– Ja bym wręcz powiedziała, że wywróciła do góry nogami wiele aspektów naszego życia. Ale te zmiany są pozytywne. Świat musi się zmieniać, a my musimy iść do przodu. Nie wolno stać w miejscu. Czasami chciałabym mieć dwadzieścia lat, ale nie w sensie, że marzę o powrocie do przeszłości, lecz by właśnie teraz być młodą panną – wyznała Helena. – Z dużym prawdopodobieństwem skorzystałabym z dobrodziejstw, jakie przyniosła emancypacja, i nie poprzestałabym wyłącznie na salonowym wychowaniu zapewnionym mi przez rodziców. Może uczyłabym się na uniwersytecie?

– Och! Ja też o tym marzyłam – wyznała Aurelia. – Cieszę się, że moim dzieciom jest to dane i mogą kształtować swoją

przyszłość w dowolny sposób. Chociaż dom jest pusty, gdy wyjeżdżają, nie próbuję podcinać im skrzydeł. Pewnego dnia przecież tutaj wrócą. Taką mam nadzieję – dodała bez większego przekonania, bowiem ucząca się w Krakowie córka wspomniała w jednym z listów, że poznała niedawno bardzo sympatycznego dżentelmena.

Rok 1928

Wiktoria nie posiadała się ze szczęścia, gdy w ubiegłym roku Teodozja opuściła Krynice równie prędko, jak się w niej pojawiła. Prawdopodobnie w tamtym czasie nie doszło do spotkania Strzeleckiej z Józefem. A przynajmniej Wiktorii nic na ten temat nie było wiadomo.

Czujnie obserwowała męża przez cały czas, kiedy Teodozja przebywała w Krynicy, i nie zauważyła, aby jego zachowanie zmieniało się w jakikolwiek sposób. Chyba że mąż doskonale się krył.

Nie! Nie mogę wciąż się tym zadręczać – rozmyślała.

Tego dnia nudziła się wyjątkowo. Marzyła, by pojechać do Warszawy, Krakowa albo przynajmniej do Żegiestowa. Potrzebowała jakiegokolwiek rozrywki. Ucieczki od rutyny dnia codziennego. Chciała chociaż na chwilę zapomnieć o trawiącej ją zazdrości. Sęk w tym, że nie mogła wciąż wyjeżdżać, ponieważ ucieczki z domu nie wносиły nic pozytywnego w jej życie. Oddalały ją tylko od dzieci i utrudniały kontrolę nad poczynaniami Józefa.

Doświadczenia z pierwszego małżeństwa nauczyły jednak Wiktorię, że mężczyzny nie da się upilnować i jeżeli mąż zechce zdradzić żonę, zrobi to bez skrępułów i bez najmniejszego problemu. Nie powstrzymają go przed tym ani krzyki, ani płacze. Z Józefem było o tyle łatwiej niż z Augustem, że potrafiła

go skutecznie czarować swymi wdziękami. August natomiast szybko znudził się jej ciałem. Józef był wiecznie zajęty pracą, August zblazowany. Józef zachowywał się jak dżentelmen, August wyłącznie przybierał taką pozę.

Na razie wyjazd dokądkolwiek mógłby źle się skończyć, ponieważ istniało ryzyko, że Teodozja znowu przyjedzie do Krynicy. Wspomniał o tym nawet doktor Maksymilian, który właśnie u nich gościł wraz ze swoją przemiłą żoną.

Ponieważ na zewnątrz padał wiosenny deszcz, towarzystwo rozlokowało się w bawialni. Niebawem miał zacząć się letni sezon uzdrowiskowy.

– Przyznam ci się, drogi Józefie – wyznał w pewnym momencie doktor Cercha – że odczuwam niejakie zmęczenie. Bardzo przydałaby mi się fachowa pomoc. Odkąd nie ma nieodżałowanego Henryka, trudniej wszystko ogarnąć. Uzdrowisko dynamicznie się rozwija i teraz potrzebujemy więcej personelu medycznego, a zwłaszcza pielęgniarek.

– W rzeczy samej, przyjacielu. Pamiętam, jak doktor Ebers wciąż utyskiwał na brak wykwalifikowanej kadry. Cóż, minie jeszcze ładnych parę lat, nim wyszkoli się odpowiednia liczba dziewcząt.

– Szkoda, że nasza prekursorka utknęła gdzieś pod Lwowem. Teodozja Strzelecka byłaby bardzo przydatna w uzdrowisku. Mogłaby tutaj realizować się zawodowo. Stworzyłbym jej u siebie doskonale warunki pracy. Kiedy widzieliśmy się latem, próbowałem ją namówić do powrotu. Wszak jej mąż również znalazłby w Krynicy zatrudnienie. Zasadniczo państwo Strzeleccy nie widzieli większych problemów i nawet wyrazili zainteresowanie moją propozycją.

– Widzę, że rozmowy na ten temat dość daleko zaszły – zauważył Józef.

Wiktorcia słuchała ich z zapartym tchem. Jej serce łomotało niespokojnie.

– Czy to oznacza, panie doktorze, że Strzeleccy tutaj się osiedlą? – zapytała z delikatnym drżeniem głosu, choć dokładała starań, by nie zdradzić się z targającymi nią emocjami. Musiała jednak wiedzieć, czy ma się szykować na przyjazd rywalki.

– Bardzo bym tego chciał, ale pan Nikodem stwierdził, że będzie mu niezwykle trudno przekonać matkę, by się przeprowadziła. Dwaj bracia Nikodema przebywają gdzieś w szerokim świecie. Pozostali mieszkają we Lwowie, a to dość blisko Sambora. Pani Strzeleckiej zależy na tym, by rodzina trzymała się razem.

– No ale skoro we Lwowie mieszkają synowie *madame* Strzeleckiej, to chyba nic nie stoi na przeszkodzie, by Nikodem i Teodozja przyjechali do Krynicy – powiedział Trelewicz.

Słyszając go, ślubna zacisnęła dłoń tak mocno, że poczuła, jak paznokcie wrzynają jej się w skórę. Czyżby mąż pragnął powrotu Teodozji? Z zapartym tchem czekała na odpowiedź Cerchy.

– To Nikodem sprawuje opiekę nad matką. Jeden z jego braci choruje i nie może tego robić. A drugiego Nikodem nie chce stawiać przed faktem dokonanym.

– To pięknie z jego strony – wtrąciła Wiktorcia – że tak odpowiedzialnie podchodzi do pragnień i potrzeb swej matki. Zakładam, iż pani Strzelecka jest nie pierwszej młodości. Chyba każdy z nas zna powiedzenie, że starych drzew się nie przesadza. Nie można więc wywierać presji na pana Nikodema.

– Tak, zapewne ma pani rację, Wiktorio – skwitował doktor Maksymilian. – Dla mnie jest to jednak pewnego rodzaju strata. Skoro Krynica wydała tak nietuzinkową osobę, jaką jest

Teodozja, dobrze by było, gdyby córka naszej ziemi wróciła tu, skąd pochodzi. Cóż... Na razie musimy się obywać bez niej. Istnieje jednak pewne prawdopodobieństwo, że w przyszłości Strzeleccy tutaj osiadą.

Wszystko, tylko nie to! – jęknęła w duchu Wiktoria. – *Nie daj Boże, by ta kobieta zmarła* – pomyślała o starszej pani Strzeleckiej. Z całego serca życzyła nieznanym długiego i jak najlepszego żywota. Byle tylko Teodozja musiała tkwić przy niej w Samborze. Co innego mieć rywalkę, która oddalona jest na znaczną odległość, a co innego taką, która jest na miejscu. I nie chodzi bynajmniej o brak zaufania do niej, lecz o to, jak mąż zachowywałby się, gdyby Teodozja osiadła na stałe w Krynicy. Czy jego uczucia nie odżyłyby wówczas z nową siłą? Wszak po kilku latach małżeństwa Józef miał prawo odczuwać znudzenie ślubną.

Państwo Cerchowie nie przedłużali wizyty. Doktor stwierdził, że ostatnio czuje się wyjątkowo zmęczony, wyszli więc od Trelewiczów o dość wczesnej porze.

Kilka dni później Krynicę obiegła informacja, że Maksymilian mocno zaniemógł.

– Pewnie się przepracował, biedaczysko – stwierdziła Idalia. – Gdy gościł u nas w ubiegłym tygodniu, nie wyglądał najlepiej. Przypuszczam, że czuł się dużo gorzej, niż mogło nam się zdawać, i po prostu nadrabiał miną.

– Zajrzę do niego później – oznajmił Józef, który przyszedł właśnie ze swego gabinetu, by zjeść z rodziną obiad.

Aurelia z głębokim smutkiem przyjęła wieść o śmierci doktora Maksymiliana Cerchy.

– Nie do wiary! – wykrzyknęła do Filipa. – Przecież jeszcze nie tak dawno wizytowali nas wraz z Helenką. Byli zadowoleni,

że spędzili zimę w Krynicy. Wszak w lutym gościła u nich Eleonora. Świetnie się wtedy bawiliśmy.

– Obawiam się, moja droga, że coraz częściej będziemy żegnać bliskich nam ludzi. Pokolenie naszych rodziców niemalże wymarło. Teraz przychodzi czas na naszych znajomych i przyjaciół. Cóż... My także odejdziemy.

– Tak, wiem, to naturalna kolej rzeczy – westchnęła ciężko ślubna. – Nic nie może przecież trwać wiecznie. Ostatnio zmarło wiele osób, które były mi szczególnie drogie. Szkoda Maksymiliana. Podobnie jak doktor Ebers, był wspaniałym człowiekiem. Obydwaj wiele zrobili dla Krynicy.

– Kochali to miejsce z całego serca, bo jakże nie kochać naszej miejscowości?

Rok 1931

Nikifor dygotał z zimna. Tego dnia mróz ścisnął wyjątkowo mocno. Ubogi Łemko zastanawiał się nawet, czy nie zostać w chacie, zwyciężyło jednak poczucie obowiązku. Gospodarz potrzebował pieniędzy na węgiel. Uprzedniego dnia przypomniał Nikiforowi, że ten nie rozliczył się jeszcze za korzystanie z izby. Jeśli więc „artysta” nadal chce u niego mieszkać i trzymać swoje rzeczy, powinien cokolwiek zapłacić. Malarz nie miał więc wyboru, spakował swą walizkę i wyruszył zasypaną przez śnieg drogą na krynicki deptak.

Na szczęście kuracjuszy nie odstraszała nawet najbardziej sroga aura. Niektórzy wręcz zdawali się delektować urokami zimy, przypinając do stóp narty lub łyżwy, ciągnąc dzieci na sankach, lepiąc bałwany. Dla Nikifora była to wyjątkowo trudna pora roku. Wciąż chodził głodny i przemarznięty. Zgrabiałymi dłońmi trudno było malować. Tkwienie na murku też nie należało do przyjemności, nawet gdy artysta podłożył

sobie pod siedzenie zwinięty pled. Rzadko więc malował zimą na świeżym powietrzu, a częściej zostawał w chacie. Sęk w tym, że tylko idąc między ludzi, był w stanie cokolwiek zarobić.

Postanowił, że jak zwykle najpierw spróbuje sprzedać jakieś obrazki. A nuż mu się uda i nie przegonią go z pijalni wód? Mógłby się tam trochę ogrzać.

Później gratulował sobie w duchu decyzji wyjścia z domu, bowiem znowu spotkał mężczyznę, który od jakiegoś czasu lubił przyglądać mu się podczas pracy. Wcześniej ten człowiek niewiele mówił. Przystawał za jego plecami i uważnym wzrokiem śledził ruchy pracowitych dłoni. Czasami kupował obrazek. Zdarzało się, że dawał artyście coś do jedzenia albo przybory malarskie. Był dobrodziejem Nikifora.

– Jak masz na imię? – zapytał nieznajomy, płacąc za widoczek z dworcem kolejowym.

Łemko uniósł głowę i spojrzał na mężczyznę.

– Netyfor – powiedział niewyraźnie i zdecydowanie zbyt cicho, by dżentelmen mógł dosłyszeć, gdyż poprosił o powtórzenie imienia. Artystę trochę irytowało, że tamten go zagaduje. Wystarczyło, że kupił obrazek. Mimo wszystko powtórzył swoje imię jeszcze raz, znacznie głośniej.

– A ja nazywam się Roman Turyn³³. Tak jak ty jestem malarzem. Studiowałem w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Wiesz, gdzie jest Kraków?

Nikifor skinął głową. Od Krakowa wolał Lwów i Warszawę. Ale nazwa A-ka-de-mji robiła wrażenie. Nareszcie zatrzymał się przy nim ktoś, kto chociaż trochę znał się na sztuce. Ba! Ktoś, kto nawet kupował jego dzieła. A skoro malarz, który studiował w A-ka-de-mji, wyznał się na jego pracach, to oznaczało, że naprawdę po ojcu ma-lar-sa Nikifor odziedziczył talent.

Zresztą sam nigdy w sobie nie wątpił, potrzebował tylko kogoś, kto go doceni. Spojrzał z nadzieją na mężczyznę.

– Mieszkam niedaleko: w Słotwince – oznajmił Turyn. – Na pewno wiesz, który to pensjonat. Moi rodzice go prowadzą. Kupiłem kiedyś od ciebie obrazek z jego widokiem i jeszcze kilka innych, pamiętasz?

Nikifor w milczeniu pokiwał głową.

– Uważam, że ciekawie malujesz. Twoje prace powinny zostać wystawione w galerii, aby mogli oglądać je inni ludzie. Wiesz, czym jest galeria?

Łemko ponownie pokiwał głową. Jego serce zabiło tak intensywnie, jak nigdy wcześniej.

– Mam różnych znajomych – kontynuował mężczyzna. – Pokazywałem kiedyś twoje prace mojemu koledze ze Lwowa. Wiesz, co to jest Lwów?

– Jan Lwo-wa ma-lar-sa – wybełkotał Nikifor. Chciał powiedzieć temu człowiekowi, że Lwów nie jest mu obcy, ale nie wiedział, jak to zrobić. Mało kto rozumiał jego mowę.

– Tak, tak. Wiem, że trudno się z tobą porozumieć – mówił niezrażony Turyn. – Chcę ci pomóc i chyba wiem, w jaki sposób można to załatwić. Może nawet będziesz kiedyś sławny. Niedługo stąd wyjadę, ale wrócę – zapewnił. – Dopilnuję, abyś przez ten czas nie umarł z głodu i zimna. A ty maluj jak najwięcej i nie martw się o nic. Wszystko będzie dobrze – rzucił na odchodnym.

Dobry człowiek – pomyślał Nikifor. – *Zna się na sztuce. Zapłacił za obrazek. Może jeszcze coś kupić?*

W wystawę nie dowierzał. Niejeden kuracjusz zdążył już z niego zadrwić. W ostatnich latach Nikifor niejednokrotnie słyszał, że jego dzieła powinny trafić do galerii, ale były to jedynie drwiny.

Sambor

Śmierć Zuzanny spadła na jej bliskich zupełnie niespodziewanie. Jednego dnia kobieta tryskała energią, spacerowała po parku, planowała nawet wyjście do teatru na spektakl. Następnego dnia zjadła śniadanie, a potem usiadła w ulubionym fotelu i sięgnęła po książkę, która już po chwili z głuchym hukiem wypadła jej z rąk. Zaskoczona nieostrożnością teściowej Teosia rzuciła się, by podnieść tom z podłogi. Takie rzeczy nigdy wcześniej nie przydarzały się Zuzannie.

– Wszystko w porządku, mamó? – zapytała, lecz nie doczekała się odpowiedzi. Gdy wyprostowała się i podniosła wzrok na Strzelecką, zamarła.

Krzyknęła na służbę, by sprowadzono lekarza, ale ten przyjechał tylko po to, by orzec zgon.

– Przynajmniej się nie męczyła – stwierdziła później Teodozja. – Po prostu zatrzymało się jej serce.

Na ostatnie pożegnanie Zuzanny przyjechali Juraszkowie oraz Rapaczowie. Dotarł także mieszkający w Gdańsku Julian. Kazimierz wysłał jedynie lakoniczną depezę kondolencyjną. Przebywał w Stanach już tak długo, że całkowicie odciął się od rodziny. Coraz rzadziej docierały od niego jakieś listy i wieści. Nic więc dziwnego, że nie przyjechał nawet na grób matki, bo o obecności podczas pochówku w ogóle nie było mowy – nie zdążyłby dotrzeć w tak krótkim czasie.

– Człowiek nie zna dnia ani godziny – westchnęła ciężko Matylda po pogrzebie szwagierki. – Dobrze, że zdążyliśmy się pojednać, nim odeszła. Byłoby mi bardzo przykro, gdybyśmy sobie wszystkiego nie wyjaśniły. Kiedyś przyjdzie czas również na mnie. Przynajmniej nie będę w chwili skonania myślała o tym, że mam jakieś niezakończony ziemskie sprawy.

– Matyldo! Co ty wygadujesz? – jęknęła Aurelia. – Nawet nie myśl o śmierci. Mamy przed sobą jeszcze długie lata.

– Długie lata? Kochanie, przejrzyj na oczy. Obydwe przekroczyliśmy już sześćdziesiątkę. Zaczynają umierać nie tylko ci ludzie, którzy byli w naszym otoczeniu od zawsze. Odchodzą także nasi rówieśnicy. Przecież Zuzanna nie była od nas o wiele starsza.

– Dość tego czarnowidztwa! – zbuntowała się Aurelia. – Ja wolę wierzyć, że podobnie jak moja przybrana mateczka, dożyjemy pięknego wieku i będziemy patrzeć na zmieniający się świat.

– Optymistka.

Tuż po śmierci Zuzanny Nikodem bez większego żalu wystawił na sprzedaż kamienicę w Samborze. Braci nie musiał spłacać. Ojciec uregulował z nimi rachunki jeszcze za swego życia, jakby przeczuwał, że może wydarzyć się coś nieprzewidywalnego. Albo raczej jakby oczekiwał, że prędzej czy później zostanie zdemaskowany i może wiele stracić. Pozostawała jednak kwestia rozliczenia się z Matyldą. Strzelecki nie chciał mieć wobec niej żadnych zobowiązań ani tym bardziej długów wdzięczności.

Mężczyzna długo i dokładnie analizował wszystkie dokumenty, jakie zostały po śmierci ojca. A zwłaszcza te, które związane były z popełnionym przez niego przestępstwem. Wyliczył kwotę, którą Matylda wspaniałomyślnie darowała jego matce. Policzył odsetki za ten czas. Wiedział, że straci w ten sposób mnóstwo pieniędzy, ale uparł się, że zwróci je ciotce. Najpierw jednak omówił tę kwestię z Teodozją, ponieważ chciał poznać zdanie żony.

– Nie wychodziłam za mąż dla żadnych korzyści – oznajmiła ślubna. – Życie różnie mi się układało. W domu ciotki pławiłam

się w luksusach, które nie były mi należne. Gdy stamtąd odeszłam, przekonałam się, co to znaczy oszczędne życie. Wojenna tułaczka też mnie nie rozpieszczała. Podobnie jak czas, gdy pracowałam w szpitalu, zanim wzięliśmy ślub. Owszem, przyjemnie jest mieć pieniądze i nie liczyć się z wydatkami. Ale wiem, że one nie są najważniejsze. Jeżeli dług ojca ciąży na twym honorze, powinieneś go spłacić.

– Tego właśnie najbardziej pragnę. Po zadośćuczynieniu Matyldzie zostanie nam trochę pieniędzy. Mamy jeszcze znaczną część twojego posagu. Do tej pory nie potrzebowaliśmy korzystać z tej sumy. Zarabiałem wystarczająco, by utrzymać rodzinę. Pozostaje tylko podjąć decyzję, czy po sprzedaży kamienicy zostaniemy tutaj, w Samborze. Moglibyśmy kupić mieszkanie i żyć mniej więcej tak jak do tej pory. Wiem jednak, że bardzo tęsknisz za Krynica i swoimi bliskimi. Sama widzisz, że z Piotrem układa się różnie. Nie jesteśmy ze sobą aż tak mocno zżyci, abym odczuł większy żal, opuszczając te strony. Polubiłem twoją rodzinę. Ty przez wiele lat poświęcałaś się opiece nad moją matką, teraz mógłbym ci to wynagrodzić. Mamy możliwość spełnić twoje pragnienie.

– Naprawdę zrobiłbyś to dla mnie?! – wykrzyknęła uradowana Teodozja. Natychmiast jednak powściągnęła emocje, wszak kilka dni wcześniej pochowali teściową. Manifestowanie radości byłoby teraz nie na miejscu.

– Ależ oczywiście, aniele mój! Jeśli tylko cię to uszczęśliwi, możemy wyjechać do Krynicy w ciągu kilku tygodni. Twoja ciotka wielokrotnie deklarowała, że w razie czego udzieli nam gościny. Moglibyśmy zatrzymać się u niej, do czasu aż znajdziemy dla siebie nowy dom albo jakieś przyjemne mieszkanie. Oczywiście musiałbym w miarę szybko poszukać

dobrej pracy. Jest to dość ryzykowne posunięcie, bowiem nie mam pojęcia, czy tam będę osiągał takie przychody jak tutaj.

– Jestem głęboko przekonana, że bez trudu znajdziesz zajęcie. Na pewno dostaniesz referencje od obecnego pracodawcy. Jeśli o mnie chodzi, gotowa jestem żyć dużo skromniej, byleby wrócić do domu. Bo dom jest jednak w Krynicy – stwierdziła.

W rzeczy samej było to jej największe marzenie od bardzo dawna. Orzechowski nie żył już od wielu lat. Wiktoria była zamężna z Józefem Trelewiczem. Z wieści, które docierały do Teodozji, można było wywnioskować, że małżeństwo jest nader udane, choć Wiktoria dość często podróżowała. Ale jej wyjazdom nikt się nie dziwił, wszak miała w Żegiestowie własny pensjonat, nad którym musiała sprawować pieczę. A jako osoba majątna mogła sobie pozwolić na to, by po fatalaszki jeździć do Warszawy czy Krakowa, chociaż na miejscu nie mogła narzekać na brak wyboru, jeśli chodzi o luksusowe towary. Teodozja zdążyła wyzbyć się wyrzutów sumienia względem tej kobiety. Tak naprawdę nigdy nie chciała jej zranić. Przecież właśnie między innymi z jej powodu uciekła przed Orzechowskim do Lwowa. A teraz gdy on już nie żył, ten problem nie istniał. Józefem nie przejmowała się wcale. Nie dowierzała, jakoby Trelewicz kochał się w niej przed laty. Gdyby tak było, oświadczyłby się przecież o jej rękę. Zrobiłby to choćby wówczas, gdy zakończyła edukację w szkole dla pielęgniarek. Wszak z takim fachem byłaby wymarzoną żoną dla doktora.

Teodozja tęskniła za bliskimi. Bardzo zależało jej na tym, aby odbudować dobre relacje ze Stanisławem.

– A zatem, moja droga, wyjeżdżamy – zdecydował Nikodem.

Krynica

– Co dobrego słyhać? – zagadnął Filip po powrocie z pracy. Tego dnia nadzorował budowę pensjonatu w Mochnacze. Okoliczne miejscowości zaczęły się prześcigać w oferowaniu kwater letnikom. Rapacz twierdził, że to już ostatnie zlecenie, którego się podjął, ponieważ nadszedł czas na definitywne wycofanie się z interesu.

– Przyszedł list od Teodozji – oznajmiła ślubna. – Zaraz ci o wszystkim opowiem, ale na razie chodź, bo obiad już czeka.

We dwoje weszli do jadalni, gdzie nakryto już stół dla trzech osób, chociaż wiadomo było, że posiłek zjedzą tylko we dwoje, ponieważ Lucjan nie wrócił jeszcze ze Słotwin.

Aurelia westchnęła nieznacznie. Nie mogła się przyzwycząić do tego, że dom opustoszał w ostatnich latach. Tęskniła za córką mieszkającą na stałe w Krakowie i przyjeżdżającą do domu wyłącznie z okazji świąt lub na wakacyjny wypoczynek.

– To takie przygnębiające! Niebawem zostaniemy tutaj zupełnie sami – powiedziała, gdy zajmowali miejsca.

Syn od trzech miesięcy zaręczony był z Ireną Tracz. Wiele wskazywało na to, że po ślubie młodzi pozostaną w domu rodzinnym Ireny. Wymagały tego okoliczności, ponieważ przyszła teściowa Lucjana potrzebowała stałej opieki. Była częściowo sparaliżowana i córka nie chciała jej opuszczać, a zakochany po uszy Lucjan ustępował jej niemalże na każdym kroku. Aurelia nie próbowała wywierać presji na synu, ponieważ doskonale rozumiała sytuację. Ostatnio jednak z przygnębieniem myślała o tym, że jedyna perspektywa, by ktoś zamieszkał w domu Pod Lipami, pojawi się wtedy, gdy zaczną dorastać jej potencjalne wnuki. Sęk w tym, że ona będzie wtedy już naprawdę leciwą staruszką, ponieważ Beata dopiero teraz oczekiwała pierwszego dziecka.

Służąca przyniosła wazę z parującą zupą. Nalała porcje na talerze, a następnie dyskretnie opuściła jadalnię.

– O czym pisała Teodozja? – zapytał Filip.

– Potwierdziła to, o czym napomykał Nikodem, gdy byliśmy na pogrzebie. Planują przeprowadzkę do Krynicy. Mają już podobno kupca na kamienicę.

Wprawdzie Juraszkowa nie chciała, aby z jej powodu Nikodem wyzybywał się kamienicy, twierdząc, że zadośćuczyniono jej wystarczająco za to, co wydarzyło się przed laty, lecz on się uparł, by wyrównać stratę całkowicie. Dotąd obstawał przy swoim, aż Matylda ustąpiła.

– Szybko znaleźli chętnego – zauważył Filip. – Przypuszczam, że cena nie była wyśrubowana. Teodozja wspominała, że właściwie zależy im na tym, by jak najszybciej uporządkować sprawy w Samborze. A zatem chcą wrócić do Krynicy?

– Tak. Teraz to już realny plan.

– Świetnie. Zatem będziesz miała towarzystwo? Bo zakładam, że osiedlą się gdzieś w pobliżu.

– Taki jest ich zamiar. Wiem, że Nikodem nosi się z zamiarem kupna domu lub mieszkania, jednak to może trochę potrwać. Na razie Teodozja chciałaby potwierdzić, czy nasza propozycja jest wciąż aktualna i czy mogą tutaj zamieszkać z mężem oraz Jonaszem, dopóki czegoś nie znajdą.

– Ależ to oczywiste, że zatrzymają się u nas. Nie widzę innej możliwości. Bądź co bądź jesteś spokrewniona z Nikodemem, a Teodozja jest dla nas jak córka. Nawet jeśli w przeszłości zdarzały nam się jakieś niesnaski, to było już tak dawno temu, że wszystko poszło w zapomnienie. Nie przypuszczam, by mieszkanie z nią pod jednym dachem stanowiło jakikolwiek problem. Poza tym nie ukrywam, że przyjemnie byłoby słyszeć

w domu dziecięcy rwetes. Dzieci dorastają tak szybko, że człowiek nawet tego nie zauważa. Będiesz mogła do woli babciować Jonaszowi. Pyszna ta zupa. Nowa kucharka spisuje się wyśmienicie.

– Tak, tak. Zna się na rzeczy. Nie ustępuje Petroneli. Cieszę się, że nie widzisz przeszkód w tym, by zamieszkali z nami Strzeleccy.

– Ba! Oni wcale nie muszą się spieszyć z szukaniem nowego lokum. Ceny nieruchomości są astronomicznie wysokie, a szkoda byłoby, aby osiedlili się gdzieś na uboczu lub w ogóle poza miastem. Obawiam się, że po spłaceniu Matyldy nie zostanie im wiele pieniędzy.

– Nikodem jest zbyt honorowy na to, by przyjąć od nas jakąkolwiek inną pomoc, poza udzieleniem gościny.

– Zatem dobrze by było im oznajmić, że ta gościna może być naprawdę długoterminowa. Miejsca mamy pod dostatkiem. Oni mogą pracować, a przynajmniej Nikoś, i odkładać pieniądze na zakup nieruchomości, która naprawdę będzie godna uwagi.

– To bardzo miłe ze strony ciotki, że pozwoliła wam na dłużej zostać w domu Pod Lipami – stwierdził Stanisław kilka tygodni później, gdy siostra sprowadziła się wraz z rodziną do Krynicy i przyszła go odwiedzić.

– Aurelia zawsze miała dobre serce – odparła Teodozja. – Tylko my przez wiele lat tego nie docenialiśmy.

– Nie ma co wracać do przeszłości. Trzeba żyć dniem dzisiejszym.

– Masz rację. Zbyt długo pozwalałam, by moim życiem rządziła przeszłość i wpędziła mnie w rozgoryczenie. Niewiele brakowało, a z tego powodu popsułabym wasze szczęście małżeńskie – podsumowała, zerkając na Konstancję.

Dostrzegła cień, który przebiegł przez twarz bratowej. Zastanawiała się od jakiegoś czasu, co takiego wydarzyło się pomiędzy nią a Stanisławem. Niby żyli zgodnie, bywali razem zarówno u bliskich i znajomych, jak i na różnych publicznych zabawach czy uroczystościach. Zachowywali się jak gdyby nigdy nic. A jednak ona szóstym zmysłem wyczuwała, że coś w tym małżeństwie zgrzyta. Bardzo ją to frapowało, ale nie chciała pytać wprost, by nie wyjść na wścibską. Wszak nie wypadało ingerować w cudze intymne sprawy.

– No i co teraz zamierzasz? – zagadnęła Konstancja.

– Nikodemowi się poszczęściło, dostał pracę w sądzie. A ja pomyślałam, że także chciałabym wrócić do wykonywania zawodu. Tutaj na pewno się przydam. Nie mogę całymi dniami siedzieć beczynn timer.

– Nie będzie ci żal zostawiać dziecka?

– Jonasz ma już dziewięć lat. Wiele czasu spędza na edukacji domowej. Ciocia Aurelia sama dała mi delikatnie do zrozumienia, że jeżeli tylko mam ochotę zająć się pracą w uzdrowisku, to nie będzie z tym najmniejszego problemu. Ona dopilnuje i Jonasza, i guwernera, który go uczy.

– A może chce pozbyć się ciebie z domu na kilka godzin dziennie? – zasugerował Stanisław.

– Nie zniżyłaby się do tego. To nie jest w stylu cioci Aurelii. Dobrze o tym wiesz. Ponadto gdyby moja obecność w domu Pod Lipami komukolwiek przeszkadzała, z całą pewnością ciocia nie zaproponowałaby, abyśmy mieszkali u niej przez kilka lat, dopóki nie zdołamy zgromadzić większej sumy pieniędzy na kupno własnego domu. Tymczasem zarówno ona, jak i wuj Filip bardzo mocno namawiali nas do tego, byśmy nie podejmowali pochopnych decyzji i nie spieszyli się z zakupem. Przecież wcale nie musieli tego robić.

– Och! Żartowałem, siostrzyczko. Wciąż traktujesz życie zbyt serio. Dobrze wiem, że ciotka ma dobre serce i każdemu gotowa przychylić nieba. Myślę zresztą, że dla niej to też jest pewna korzyść. Teraz przynajmniej ma w domu ciebie, Jonasza i Nikodema.

– Ona chyba nie lubi samotności – wtrąciła się Konstancja. – Kiedy Beatka wyszła za męża, a Lucjan zdradził się z planem zamieszkania u Ireny, wciąż utyskiwała, że w domu jest przeraźliwie pusto. Wasza przeprowadzka po prostu spadła jej z nieba. Ciocia niejedną raz mówiła, że w willi Pod Lipami przez wiele lat tętniło życie i mieszkało więcej osób.

– Ale trochę dziwnie jest przebywać gdzieś w roli rezydentki.

– Jakiej rezydentki? Głupstwa opowiadasz! Nawet gdy każde z nas odeszło na własne śmieci, ciotka wciąż podkreślała, że dom Pod Lipami zawsze będzie naszym domem. I że będziemy mogli do niego wracać, tak jak wraca się do rodzinnego gniazda.

Noc ukrywała wstyd i niechęć. Była najlepszą przyjaciółką Konstancji.

Kobieta westchnęła cichutko, gdy drzwi sypialni się uchyliły i wszedł Stanisław. Mąż ostatnio zaglądał do ślubnej jakby rzadziej. Czasami nawet odliczała odstępy pomiędzy kolejnymi wizytami i z ulgą stwierdzała, że jego potrzeby maleją.

A może miał kochankę?

Czy miałyby coś przeciwko temu?

Już dawno doszła do wniosku, że byłoby jej to na rękę, pod warunkiem zachowania przez niego dyskrecji i oczywiście aby w finale nie doszło do rozwodu. Właściwie nie dziwiła się już obiegowej opinii, która wciąż pokutowała wśród wyższych sfer, że kobieta powinna znosić mężowskie zdrady z godnością. Może nawet tę opinię rozpowszechniały kobiety, które tak jak

ona nigdy nie zdołały otworzyć się na fizyczną sferę życia w związku małżeńskim?

Przecież to nie była jej wina, że dotyk męża sprawiał dyskomfort. Że ciało spragnione snu sztywniało pod wpływem pieśczoć, że niemalże odczuwała przy tym ból. Ten ból miał epicentrum w umyśle i rozprzestrzeniał się krwiobiegiem.

Stanisław ułożył się obok niej. Usłyszała cichy szelest pościeli, a potem w okolicy ucha poczuła ciepło oddechu. Nauczona doświadczeniem minionych dwunastu lat, odwróciła się do męża i objęła go dłońmi za kark. Chciała mieć „to” z głowy czym prędzej. Potulnie więc pozwalała, aby jej dotykał, starając się nie zaciskać zębów, gdy chciał ją pocałować głęboko i namiętnie. Być może jej próby wypchnięcia jego języka ze swych ust mąż traktował jak pieśczoć, ponieważ nigdy go to nie zrażało. A jej takie pocałunki nie odpowiadały. W ogóle nie lubiła, gdy zanurzał się w jej ciało, jakby było jego własnością i mógł z niego korzystać według własnego uznania. Czowała się wówczas zniewolona. To było negatywne doznanie, chociaż matka przez całe życie kładła jej do głowy, że żona powinna być mężowi powolna, bo właśnie tego panowie oczekują, stając na ślubnym kobiercu.

Męczyły ją przedłużające się w nieskończoność pieśczoć, jakby Stanisław próbował w ten sposób rozbudzić jej ciało i wzniecić w nim ogień, o którym tak pięknie potrafili kłamać poeci.

Najgorsze było to, że wszystko, co złe, działo się w jej głowie. Bo przecież fizycznie nie odczuwała prawdziwego bólu.

Tylko skąd ta niechęć, skoro serce wyrywało się do męża? Skoro kochała go naprawdę szczerze i bez wahania poświęciłaby dla niego życie?

Uwielbiała spędzać z nim czas za dnia. Grać w warcaby, rozmawiać, słuchać jego opowieści o pracy w tartaku. A im bliżej było do nocy, tym większe czuła rozdarcie, bo zazwyczaj ona chciała spać, a on pragnął figli. By go nie prowokować, unikała więc sytuacji, w których mogliby się dotykać.

Nocą, gdy już bywali razem, zaciskała bardzo mocno powieki i próbowała skupić myśli na czymkolwiek innym, byle nie na jego dotyku.

Powinnam sprawić Ewie nowe stroje, z tego, co ma, już wyrasta.

Przydałoby się zmienić obicie na ulubionym fotelu Stacha, strasznie się wytarło, musiało być kiepskiej jakości.

Wyprawię się jutro do Powroźnika, ciekawa jestem, co słyhać w domu.

Dziesiątki głupstw, które pomagały jej w spełnianiu powinności. Gdy zajmowała się nimi, nie myślała o tym, by odepchnąć męża i z krzykiem wybiec do innego pokoju.

Kiedyś zastanawiała się, czy chodzi wyłącznie o Staszka, czemu z nim jest jej tak źle nocami? Czy inny mężczyzna potrafiłby sprawić jej przyjemność, o której słyszała i czytała? Potem jednak dochodziła do wniosku, że z kimś innym byłoby jeszcze gorzej, i nawet nie chce próbować. Nie mogła się nadziwić mężatkom, które w plotkach posądzone były o romansowanie. Jak mogły chcieć robić „to” z kimkolwiek, skoro z mężem ledwo dawało się wytrzymać?

Nie mogła odmawiać ślubnemu z prostej przyczyny: gdy go odprawiała, tracił humor. Niby nie był wówczas nieuprzejmy, ale dostrzegała w jego zachowaniu niezadowolenie. Głośniejszy zamykał drzwi, mniej się odzywał, wychodził wieczorami, z niczego się nie tłumacząc.

Nie chciała sprawiać Stachowi przykrości, mimo wszystko był jej jedyną miłością.

Klara Bogusz, którą Teodozja odwiedziła kilka dni później, miała nieco inne zdanie na temat zamieszkiwania siostrzenicy w domu Rapaczów.

– Powinnaś dobrze zakręcić się wokół ciotki. Zostali sami z Filipem w ogromnej willi. Jestem pewna, że gdy budowano dom Pod Lipami, to pierwotnym zamierzeniem było urządzenie tam pensjonatu. Moja nieszczęsna siostra wciąż o tym mówiła. Na powrót Beaty w ogóle się nie zanosz. I o ile wiem, Lucjan po ślubie będzie mieszkał u żony. Jeśli dobrze rozegrasz tę partię, może uda ci się przejąć dom.

– Ależ ciociu! Ciotka Aurelia ma własne dzieci. Dlaczego miałyby zapisywać mi willę?

– No... Choćby dlatego, że tamta dwójka już ma poukładane życie i każde posiada własny dach nad głową. Aurelia się starzeje, może czuje strach przed samotnością? – odparła Boguszowa.

Życie ledwo się w niej telepie, a wciąż wtrąca się w cudze sprawy – pomyślała Teodozja z głębokim niesmakiem. Dobrze wiedziała o zakusach swej matki, żeby zagarnąć dom. Wszak z jego powodu zginął wuj Jan, a potem doszło do kilku innych nieszczęść. Jakże więc po tym wszystkim Teosia miałyby wyciągać ręce po willę? Miała ochotę rzucić ciotce w twarz prawdę, lecz w ostatniej chwili powściągnęła się przed wygłaszaniem na głos komentarzy. Nie chciała kłócić się z leciwą krewną.

Wychodziła z założenia, że pobyt w domu Pod Lipami jest sprawą tymczasową. Cieszyła się, że Aurelia była na tyle wspaniałomyślna, by zaproponować, aby zostali u niej nawet kilka lat. Nigdy jednak nie powiedziała, że mogliby tam

zamieszkać na stałe. Dla Teodozji było rzeczą oczywistą, że w przyszłości dom przejdzie w ręce Lucjana, Beaty albo ich potomków. Sama wychodziła z założenia, że tak naprawdę od Aurelii nie należy jej się już nic. Dostała od niej znacznie więcej, niż mogłaby się spodziewać. Ciotka przez całe życie otaczała ją miłością, ciepłem i troską. Wierzyła w nią nawet wówczas, gdy wszyscy inni się od niej odwrócili. A gdy Teodozja oznajmiła, że wychodzi za mąż, Aurelia przypomniała sobie o posagu. I nieważne, że wyedukowanie Teosi pochłonęło trochę pieniędzy! Aurelia nie zmniejszyła kwoty, którą miała przeznaczoną dla wychowanki.

Tymczasem Klara nie ustawała w przekonywaniu siostrzenicy do swojej słuszności.

– Nie bądź głuptasem, Teodozjo. Według mnie ten dom po prostu ci się należy. Tak naprawdę po śmierci Jana powinien być zostać zapisany w testamencie twojej matce. Świętej pamięci Emilka była chrześnicą Felicyty, a Aurelia zawsze była i będzie obca. Rozumiem, że jesteś do niej przywiązana, ponieważ opiekowała się tobą w dzieciństwie. Ale później przez wiele lat mieszkałaś osobno.

– Tak, tak, ciociu. Dobrze pamiętam o tym, że ciotka Aurelia przygarnęła nas po śmierci rodziców. W związku z tym uważam, że zrobiła dla nas wystarczająco dużo.

– Nigdy dość! Musisz wkraść się w jej łaski. Zrozum, to twoje dziedzictwo. Twoja matka marzyła o przejęciu domu Pod Lipami. W grobie by się przewróciła, gdyby usłyszała, co wygadujesz. Teraz albo nigdy, Teosiu! Jesteś na najlepszej drodze do tego, by przekabacić Aurelię. Ja na twoim miejscu dobrze wykorzystałabym fakt, że Beata jest daleko, a Lucjan ma inne plany na życie.

Ech... Pewni ludzie nigdy się nie zmieniają – stwierdziła Teodozja, gdy już opuściła dom ciotki. W głowie nie mogło jej się pomieścić, że osoba, która dźwiga na karku siódmy krzyżyk, nie potrafi tak po prostu odpuścić i wciąż miesza się w sprawy innych, decydując, co jest dla nich najlepsze. Teodozji wystarczało do szczęścia to, że w końcu wróciła do Krynicy. Przez wszystkie lata życia na obczyźnie tęskniła za rodzinnymi stronami. Wierzyła, że za jakiś czas zgromadzą z Nikodemem dość pieniędzy, by rzeczywiście kupić lub wybudować wygodny dom. *Proces zmian bywa bolesny* – pomyślała o własnym życiu, a raczej o sobie samej z przeszłości.

– Mój Boże! Mój Boże... – westchnęła ciężko Boguszowa, gdy Teodozja opuściła jej dom. – Po kim to takie głupie? Przecież Emilka tak bardzo zabiegała o to, by zdobyć dom Pod Lipami! To było jej największe marzenie! A ta gąska, mając ku temu sposobność, rezygnuje z okazji. Ech... A co ty na to, Szymonie? – zwróciła się do męża, który jak zwykle wizytę gościa przesiedział w milczeniu.

Ponieważ ślubny nie zareagował, uniosła laskę i delikatnie szturchnęła go w udo.

– Hę? Mówiłaś coś? – zapytał tubalnym głosem, bowiem od wielu lat niedosłyszał. Właściwie owa ułomność była powodem, dla którego niemalże nie udzielał się towarzysko. Miała jednak niewątpliwą zaletę: Szymon na ogół nie musiał wysłuchiwać, jak ślubna na wszystko utyskuje.

Kobieta powtórzyła mu przemyślenia pod adresem siostrzenicy.

– A dałabyś już spokój – stwierdził mężczyzna. – Przecież to nie nasza sprawa. Teodozja jest podopieczną Aurelii. Niechże więc wychodzi za mąż, za kogo chce.

– Święci Pańscy! – jęknęła ślubna. – Toć on o bożym świecie nie wie! Przecież Teodozja już od dawna jest mężatką.

– Mężatką? – zdziwił się Bogusz. – A tak, tak. Pamiętam – dodał przezornie.

– Chodząca skleroza – skwitowała Klara. – Ech, starość. Nie dość, że gamoń na wpół ślepy i głuchy, to jeszcze o niczym nie pamięta!

Roman Turyn dotrzymał danego słowa i zorganizował wystawę prac Nikifora we Lwowie. Fakt ten odnotowany został nawet w prasie docierającej do Krynicy. Ludzie czytali gazetę i kręcili głowami z niedowierzaniem. Bo jakże to, że taki gamoń, nędzary, niezguła i żebrak został przez kogoś uznany za artystę? Co więcej, okrzyknięto go prymitywnym kapistą.

– Też coś! – prychnął pogardliwie Stanisław. – Jest się nad czym rozwodzić! Nie zauważyłem, by poczynił jakiegokolwiek postępy. Pamiętam go jeszcze z dzieciństwa. Jak wtedy gryzmolił, tak teraz gryzmoli. Dla takiego szkoda farb i papieru. A już żeby wieszać jego prace w galerii, to chyba jakieś nieporozumienie!

– Może to nie o nim napisano w prasie? – zasugerowała Konstancja. – Zapewne chodzi o kogoś innego. Ja też go pamiętam z dzieciństwa. Ludzie o nim mówili, że do niczego się nie nadaje i nic nie potrafi.

– A wiesz? Możesz mieć rację! Przecież to niepodobna, by ktoś w tym gamoniu dostrzegł jakikolwiek potencjał. Jego bohomyzy przypominają do złudzenia dziecięce rysunki. Ewa nieporównywalnie lepiej malowała jako pięcioletnie dziecko. Jeszcze tylko tego brakowało, by zaczęto wystawiać Nikifora w Paryżu!

DOM

Wystawa prac Nikifora poruszyła dość mocno mieszkańców lokalnej społeczności i stała się głównym tematem rozmów podczas przyjęcia wydawanego w domu Pod Lipami. Większość zgromadzonych pokpiwała sobie z artysty i twierdziła, że musiało zajść jakieś nieporozumienie. Aurelia próbowała bronić ubogiego Łemka. Wciąż czuła się mocno związana z Rusnakami, wśród których dorastała.

Ostatecznie jednak temat umarł śmiercią naturalną, gdy pani domu zarządziła tańce. Tego wieczoru goszczono około dwudziestu osób, więc Rapaczowie nie najęli muzyków, lecz postanowili odtwarzać płyty w gramofonie. Już wcześniej podczas poczęstunku słuchano utworów Jana Kiepur, który nieodmiennie zachwycał wszystkie zgromadzone panie. Zresztą dżentelmeni też musieli oddać sprawiedliwość artyście: śpiewał jak nikt inny. I to był drugi temat do pogawędek, gdyż budowa hotelu pomалу ruszyła z miejsca. Kryniczanie już cieszyli się na to, że będą mieć tak znakomitego sąsiada, choć oczywiście zdawali sobie sprawę, że Kiepura rzadko będzie spędzał czas w uzdrowisku, ponieważ wciąż koncertuje na całym świecie.

Artysta nagrywał także kolejne płyty, a ponieważ Aurelia zaprzyjaźniła się z jego rodzicami, zawsze otrzymywała od nich w prezencie nowe nagrania. Tego wieczoru także gościła Kiepurów u siebie. Prócz nich zaproszono jeszcze Trelewiczów, Nitribittów, Pakubrottów oraz kilka innych znamienitych rodzin. Oczywiście Wanda Pakubrotto z dumą przyprowadziła guwernera swych dzieci – rotmistrza Bogumiła Czackiego³⁴.

Człowiek ów pojawił się w Krynicy ubiegłego roku. Dla Wandy był istnym darem niebios, ponieważ akurat szukała nauczyciela dla swych pociech. Bogumił Czacki mógł się pochwalić wybitnie dobrymi referencjami wystawionymi przez samego hrabiego Adama Stadnickiego³⁵ z Nawojowej. Wanda miała skrupuły, czy tak zacna postać to nie za dużo jak na jej potrzeby. Rotmistrz Czacki był oficerem 22. Pułku Ułanów Podkarpackich. Podczas bitwy z bolszewikami stracił lewą rękę, więc okrzyknięto go bohaterem wojennym. Mienił się także przyjacielem wielu arystokratów. Był bardzo dystyngowany i miał nienaganne manieri, dlatego szybko podbił wiele damskich serc i stał się wyjątkowo modną postacią w krynickich salonach. Ponieważ młodym Pakubrottom nie musiał poświęcać całego swego czasu, zaczął dostawać propozycje nauczania również innych dzieci w ramach dodatkowego zarobku. Niejedna pani domu marzyła o tym, aby go podkupić na wyłączność, lecz on z wrodzonym czarem odmawiał. Nie gardził jednak zaproszeniami do eleganckich domów. Chętnie brał udział w balach i bankietach. Zasłynął jako człowiek honoru i z ułańską fantazją opowiadał o wojennych przygodach. Nic więc dziwnego, że był człowiekiem nader pożądanym w towarzystwie.

Wiktoria Trelewicz niechętnie przyjmowała zaproszenia do domu Pod Lipami, teraz gdy mieszkała w nim Teodozja z mężem. Nie wypadało jednak odmawiać, gdyż o takie zaproszenie zabiegało wiele osób. Wszak u Rapaczów można było spotkać różne znane osoby. Wymuszało to jednakże na niej nieustanną czujność.

Nawet teraz, zajęta tańcem ze sławnym rotmistrzem, który trochę się do niej zalecał, nie spuszczała oczu z męża, chociaż powinna uważać, jak stawia kroki, ponieważ jednoręki

mężczyzna nie dawał pewnego podparcia partnerkom. Miała nadzieję, że Józef nie zaprosi Teodozji do swinga. Czasami to robił, a wtedy ona wręcz dygotała z zazdrości i zastanawiała się, o czym ze sobą rozmawiają. Nie wypadało pytać męża wprost, nie chciała wyjść na zazdrosną idiotkę. Nie zamierzała jednak kolejny raz przegrać z Teodozją. Już dawno postanowiła sobie, że tym razem będzie mocno pilnować swojego. Nie pozwoli wystrychnąć się na dudka. August wodził ją za nos, a wręcz śmiał jej się prosto w twarz. Od Józefa oczekiwała szacunku, a co najważniejsze: wierności.

W jednym z całą pewnością miała przewagę nad rywalką, była od niej o wiele piękniejsza i mogła sobie pozwolić na olśniewające toalety. Tego wieczoru wybrała suknię z niebieskiego jedwabiu haftowaną prawdziwymi perłami. Włosy obcięte do ramion ułożone miała w modne fale i ujęte błyszczącą przepaską ze strusimi piórami, które urzekająco falowały z każdym jej ruchem. Wyglądała niczym bogini w porównaniu z Teodozją, która włożyła ciemnozieloną suknię ozdobioną czarnymi dżetami. W jej włosach połyskiwało sporo siwizny. Wiktoria, jako blondynka, wciąż mogła szczycić się ładną miodową barwą.

– Musi być pani bardzo zakochana w mężu – zauważył rotmistrz.

Wiktoria przeniosła spojrzenie na swego partnera i spiorunowała go wzrokiem.

– Nie uważa pan, że ta uwaga jest niestosowna?

– Ależ skąd! Pani mąż to prawdziwy szczęściarz. Gdyby na mnie tak piękna kobieta spoglądała z ogniem w oczach, byłbym pewnie w siódmym niebie. Jestem przekonany, że pan Trelewicz w pełni docenia skarb, który posiada.

Wiktoria uśmiechnęła się nieznacznie. Dobrze wiedziała, że Czacki potrafi nieźle czarować. Komplementy były miłe, a i owszem, ale na nią nie działały. Ze wszystkich mężczyzn świata ją interesował tylko jeden. I właśnie w tym momencie mąż podszedł do stojącej samotnie rywalki. Wiktoria widziała, jak ślubny kłania się Teodozji i zaprasza ją do tańca.

Diabli nadali! Nie mogła już na zawsze zostać w tym cholernym Lwowie, czy gdzie tam sobie mieszkała? – jęknęła w duchu.

Odkąd przed rokiem Strzeleccy osiedlili się w domu Pod Lipami, nie zaznała ani chwili spokoju.

Kilka minut później piosenka odtwarzana z płyty gramofonowej dobiegła końca. Rotmistrz uklonił się partnerce, a następnie odprowadził ją na kanapę. Potem podszedł do gospodyni.

– Szanowna pani, wspaniałe przyjęcie.

– Cieszę się, że skorzystał pan z zaproszenia w nasze skromne progi. Gościć kogoś, kto przeżył tak niesamowite przygody, to prawdziwa przyjemność. A może zechce się pan podzielić z nami jakąś ciekawą historią? – Aurelia postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

– Do usług, *madame*. Proszę mi tylko przypomnieć, czy już opowiadałem o tym, jak to omal mnie nie pochowano?

– O nie! Jakże do tego doszło? – zapytała zaintrygowana. – Spocznijmy może na kanapie – zaproponowała i wskazała mebel, wokół którego szybko zgromadziła się spora grupka.

– Proszę sobie zatem imaginować, że podczas pewnej potyczki zostałem mocno ogłuszony. Na tyle skutecznie, że straciłem przytomność na dwa dni. Leżałem podobno bez życia. Pewien doktor wypisał nawet akt zgonu.

– Jak to możliwe? – zapytała z powątpiewaniem Teodozja. – Przecież lekarze zawsze dokładnie badają pacjentów. Nim się

kogoś uzna za zmarłego, trzeba uważnie go osłuchać i obejrzeć.

– Ach! Droga pani! To było w czasie wojennej zawieruchy. W lazarecie panował taki chaos, że wszystko było możliwe. Opodal toczyła się bitwa, nad głowami lekarzy świstały kule. Jęczeli ranni i konający. Ale cóż panie mogą wiedzieć na ten temat? – Potoczył wzrokiem wśród dam. – Żołnierską powinnością jest zadbanie o to, by kobiety mogły czuć się bezpiecznie.

– Zapewne nie słyszał pan o tym, że i ja byłam na wojnie, chociaż jest ona domeną mężczyzn, a kobiecie nie przystoi męstwo czy odwaga, które panom przypisuje się choćby z racji samego urodzenia.

– Biła się pani na wojnie z bolszewikami? – zapytał zdziwiony i nieznacznie zbity z tropu.

– Nie. Służyłam podczas wielkiej wojny. Jestem zawodową pielęgniarką – wyjaśniła.

– Doprawdy? – W jego głos wdarło się niedowierzanie, lecz z min osób zgromadzonych w salonie wywnioskował, że lepiej nie pokpiwać z czegoś tak niedorzecznego. Być może rezydentka domu Pod Lipami cierpiała na urojenia i nikt ze zgromadzonych nie chciał sprawiać jej przykrości. – Ach, wyrazy uznania. Zatem wie pani, czym są wojenne trudy i jak wielkie ryzyko ponosi się w okopach.

– Do okopów na szczęście nie dotarłam. Pracowałam w lazarecie. Ale owszem, zdarzyło mi się opatrywać rannych z pociskami świszczącymi niemalże nad głową i w poczuciu ogromnego ryzyka.

– Nasza Teodozja także jest bohaterką wojenną, chociaż dzięki Opatrzności Bożej nie odniosła tak dotkliwych ran jak pan rotmistrz – wtrąciła z dumą Aurelia.

– Podziwiam odwagę. Osobiście nie znam damy, która zechciałaby opuścić przytulny salon i narażać życie – stwierdził w końcu z uznaniem.

– A jak doszło do tego, że omal pana nie pochowano? – zagadnął Franciszek Kiepura.

– W czasie wojny pogrzeby wyprawiane są szybko. Skoro więc wypisano akt zgonu, przyszedł czas na pochówek. A ponieważ troszkę przysłużyłem się w bitwach, ktoś podjął decyzję, by złożyć mnie do grobu z honorami. Spocząłem zatem w trumnie, na moje szczęście otwartej. Po bokach domowiny ustawiono wartę złożoną z ułanów. Mój bezpośredni dowódca zdążył już wygłosić mowę, a ksiądz odmówił modlitwy. Padł rozkaz, by przed zamknięciem wieka oddano salwę. Ułani nie pożałowali strzelb. Jak raz gruchnęło w niebo! I wtedy nagle oprzytomniałem! Och... Gdyby państwo zobaczyli poruszenie, jakie wywołałem, kiedy uniosłem się w trumnie! Żołnierze, niby tacy dzielni, podnieśli krzyk, rzucili broń i zerwali się do ucieczki, myśląc, że mają do czynienia z upiorem. Przyznaję zresztą, że ja również byłem zaskoczony, budząc się w tak niecodziennym łożu. Cóż, nie ukrywam, że znacznie przyjemniej byłoby podnieść powieki u boku pięknej pani. Tak czy owak, na pamiątkę tego zdarzenia została mi fotografia – skwitował, sięgając do wewnętrznej kieszeni wieczorowej marynarki. Wydobył stamtąd zdjęcie, na którym faktycznie widać go było ułożonego w trumnie i z wartą stojącą po bokach.

Fotografia krążyła z rąk do rąk, wzbudzając ogromne zainteresowanie.

– A to dopiero! – wykrzyknął Filip. – A ja myślałem, że pan konfabulujesz ku naszej uciesze.

– Nigdy w życiu! Gdzieżbym śmiał zmyślać jakiegokolwiek historie?

– Cóż za barwna postać z rotmistrza! – westchnęła Stanisława Nitribitt. – Nie nudno panu na prowincji? Osoba z takimi koneksjami pewnie tęskni za blichtrzem arystokratycznych salonów.

– Ależ *madame!* Jestem pod wrażeniem Krynicy. To szalenie piękne miejsce. I nie powiem, bawię się przednio. Tutejsze bale i dansingi nie ustępują tym, które odbywają się w Warszawie.

– Ach, bale! – westchnęła z rozrzewnieniem pani Pakubrotto. – Trochę tęsknię za ich przedwojennym sznytem.

– Oj tak! – podparła ją z miejsca Matylda. – Przed wojną na pewno bawiliśmy się inaczej.

– A pamiętają państwo o pewnej służącej, która zawisała pod sufitem sali balowej domu Pod Barankiem? – zagadnął Juraszko.

– Kto by nie pamiętał? – odparł ze śmiechem Trelewicz.

– Ja tam wspominam okropny zaduch, jaki panował w sali balowej – stwierdziła jego żona.

– Ależ nie! Musi ci chodzić o inny dom, Wiktorio. Pod Barankiem radzono sobie z tym nieźle. W suficie były duże otwory zabezpieczone siatką. Zapewniały dobrą cyrkulację powietrza – przypomniał Józef.

– Być może.

– A co z ową służącą? – zapytał rotmistrz, który jako jedyny nie był obeznany z tematem.

– Te otwory w suficie, o których wspominał pan doktor, nam zapewniały wentylację – podjął Filip. – Służbie natomiast dostarczały rozrywki. Czasami służące zaglądały do sali balowej przez otwory w sklepieniu. Pamiętam dobrze tamto wydarzenie. Orkiestra grała mazura aż miło. Szyby niemalże brzęczały w drzwiach i oknach. Tańczyliśmy z Aurelią, gdy nagle tuż obok nas upadła jakaś chusta. Jednocześnie rozległ się

okropny krzyk. Spojrzeliśmy w górę i naszym oczom ukazała się para nóżek. Nóżki były zgrabne, a i owszem, odziane w buciki, pończoszki i rzeczy nieokreślane na głos wśród eleganckiego towarzystwa. Zwisaly z otworu wentylacyjnego.

– No ba! Wszyscy panowie zapamiętali ten szczegół – przyznał Nitribitt, rubasznie rechocząc.

– Ach, bo wam tylko głupstwa w głowie! – prychnęła ślubna i trzepnęła delikatnie męża wachlarzem w przedramię. Nie była jednak zła, lecz rozbawiona. I to ona pociągnęła dalszą część opowieści. – Nie muszę chyba dodawać, że przed laty taki widok był doprawdy gorszący. Dzisiaj młode damy same ochoczo odsłaniają nogi. Ba! Nawet kolana! Ale wówczas owa nieszczęsnica wywołała prawdziwą sensację i na długo stała się pożywką plotkarzy. To było biedne dziewczę posługujące w łaźni. Chyba za bardzo przechyliła się przez otwór, nim wpadła w siatkę, a ta rozerwała się pod ciężarem jej ciała. Klasyczny przykład na to, że ciekawość jest pierwszym stopniem do piekła. Solidnie podrapana wścibska pannica została wyciągnięta z sufitu. A my bawiliśmy się dalej aż do rana. Jeszcze wiele tygodni po tym wydarzeniu dziewczę przemykało chyłkiem ulicami, bowiem wciąż się o tym dowcipkowało³⁶.

– Przednia historia! Ach, że też mnie nie było wtedy w Krynicy – westchnął znacząco Czacki.

– Drodzy państwo, skoro odpoczęliśmy, proponuję, abyśmy ku czci dawnych uciech zatańczyli mazura – zaproponowała przytomnie Aurelia.

Trelewiczowa jęknęła w duchu. Bała się, że mąż znowu będzie tańczył z Teodozją. Dyskretnie więc ujęła go za łokieć i nachyliła się nad jego uchem.

– Wracajmy do domu. Jestem już zmęczona – poprosiła.

– Ależ Wiktorio, zabawa trwa w najlepsze. Nie za wcześnie chcesz wyjść?

Ślubna spojrzała na niego tak wymownie, że nie próbował odwozić jej od tego zamiaru. Właściwie było mu to na rękę. Sam także potrzebował wytchnienia. Zresztą odkąd w domu Pod Lipami zamieszkała znowu Teodozja, nie czuł się tutaj komfortowo. Niby nigdy między nimi nic nie zaszło, już dawno wyleczył się z młodzieńczej fascynacji, ale ilekroć na nią spoglądał, przypominał sobie o porażce. Nie mógł także zapomnieć o tym, jak pewnego dnia widział ją na schadzce z Orzechowskim.

Rok 1932

Stach od kilku dni chodził zły, jakby go coś pokąsało. Konstancja odgadywała, co jest tego powodem: ostatnio coraz częściej uciekała się do wymówek, by unikać zbliżeń. A to bolała ją głowa, a to miała damską niedyspozycję, a to celowo przeczekiwała w pokoju Ewy, patrząc na spokojny sen córki, aż mąż także zaśnie. Brak pieśczęt próbowała rekompensować mężowi inaczej: była dla niego uprzedzająco miła, podtykała mu pod nos różne przysmaki, namawiała go na spotkania z przyjaciółmi. On jednak nie potrzebował ugrzecznionej wersji żony, nie zamierzał się opychać, by się nie roztyć, a na wyjścia do klubów nie miał ochoty, ponieważ roznosiła go chęć na figle.

Owszem, mógłby skorzystać z usług cór Koryntu – czynił to niejednokrotnie, lecz kobiety, które przechodziły z rąk do rąk, wzbudzały jego niechęć. On potrzebował Konstancji – kobiety tak niewinnej, jak chyba żadna inna.

Nie, nie podejrzewał żony o zdradę. Wszelkich adoratorów zawsze odprawiała w mgnieniu oka. Rotmistrza Czackiego, uwielbianego przez damy, traktowała z takim chłodem,

że mężczyzna trzymał się na dystans. Stach zakładał, że gdyby ktoś wzbudzał jej uczucia, prędzej czy później musiałyby się z tym zdradzić. A tymczasem Konstancja była zawsze jednakowa: za dnia pełna ciepła, troski i taka, że do rany przyłoży, a nocami sztywna i chłodna, jakby nie miała pojęcia, do czego służą pewne części ciała.

Próbował ją rozbudzić wyrafinowanymi pieściami, lecz działania te wywoływały skutek odwrotny do zamierzonego. Żona wyraźnie spinała się w jego ramionach. Nie miał już pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić.

Nie chciał się z nią rozwodzić, ponieważ bardzo ją kochał – mimo wszystko. Zresztą ona też chyba tego nie chciała, wielokrotnie słyszał, jak w rozmowach salonowych stała na stanowisku, że rozstanie małżonków, z jakiegokolwiek by było powodu, jest czymś skandalicznym.

Kariera rotmistrza Czackiego na krynickich salonach dobiegła końca nadzwyczaj szybko. Pewnego dnia Bogumiła na deptaku minął rotmistrz Józef Możdżeń³⁷. Adiutant komendy wojskowej ze Lwowa przystanął, by zamienić z Czackim parę słów. Zwrócił uwagę na to, że kolega ma źle przymocowane dystynkcje na mundurze. Okazał się przy tym wielkim służbistą i bez ceregieli zażądał od niego legitymacji. Czacki wykręcił się, że jako inwalida wojenny nie posiada takowej. Ale dociekliwemu rotmistrzowi nie dawało to spokoju. Chociaż pozwolił odejść Bogumiłowi, sam zadzwonił do nowosądeckiego garnizonu, by zapytać o żołnierza, który w jego odczuciu dziwnie się zachowywał.

Tego samego dnia w Krynicy wybuchł skandal, ponieważ do Willi Adela przyjechał kapitan 1. Pułku Strzelców Podhalańskich wraz z żandarmerią, żeby aresztować podejrzanego osobnika. Krótko później wyszło na jaw,

że w rzeczywistości człowiek, który podawał się za Bogumiła Czackiego, wcale nim nie był. Owszem, nosił imię Bogumił, lecz nazywał się Czechak. Nie był żadnym weteranem wojennym, tylko nader inteligentnym drobnym złodziejaszkiem z Kołomyi. Inwalidą został na skutek niefortunnej zabawy granatami, gdy był kilkunastoletnim podrostkiem. Mundur nabył, a książeczkę po prostu wydrukował sobie w drukarni, fałszując z pomocą pewnego rysownika pieczęć 22. Pułku Ułanów Podkarpackich oraz stosowne podpisy.

Krynica momentalnie zatrzęsała się od plotek. Damy, które wcześniej darzyły rotmistrza atencją, teraz płonily się ze wstydu. Panowie natomiast ochoczo sobie pokpiwali, chociaż swego czasu niejeden z nich mienił się przyjacielem Czackiego.

– A to dopiero oszust! – stwierdził Rapacz. – Okropnie nam wszystkim mydlił oczy.

– O tak, nawet ja dałam się nabrać – przyznała Teodozja – chociaż początkowo traktowałam go dość sceptycznie, bo byłam na wojnie i zaznałam jej trudów. Być może gdybym pilniej wsłuchiwała się w jego opowieści, to znalazłabym w nich jakąś nieściskość.

– Ależ Teosiu! Nikt nie zakłada z góry, że otaczają nas sami oszuści.

– Mnie historyjka z pochówkiem od razu wydała się niewiarygodna. Przeczuwałam, że może być zmyślona, gdyż dobrze wiem, że nim lekarz orzeknie zgon, dokładnie bada pacjenta. To zbyt poważna sprawa, by traktować ją lekko. Przekonało mnie jednak zdjęcie – przyznała z zażenowaniem.

– Zdjęcie też było lipą – powiedział Filip. – Podobno zostało wykonane dla zabawy w domu Adama Stadnickiego w Nawojowej. Hrabia ujawnił, że to jego przebrani parobkowie pozwali w charakterze ułanów. Oświadczył, iż nie miał

pojęcia, do jakich celów posłuży. Sam czuje się oszukany przez Czechaka.

– Och! Żeby tak nas wszystkich zwieść? – zachnęła się Teodozja. – Przez dwa lata wodził nas za nosy i bawił się naszym kosztem. Ależ byliśmy naiwni!

– Daliśmy się nabrać, ponieważ ten człowiek sprawiał wrażenie bardzo wiarygodnego. I muszę przyznać, że był wyjątkowo czarujący – odparła ciotka.

– No, no! Droga pani. Czy powinienem być zazdrosny o tamtego łotrzyka? – zażartował Filip.

Ślubna posłała mu miazdzące spojrzenie.

– Phi! No wiesz? Podejrzewać mnie o jakieś głupstwa? Czy ja jestem panną na wydaniu? Mam lustro w buduarze. A ono mówi mi, że czasy, gdy mogłam wzbudzać zainteresowanie jakichkolwiek mężczyzn, dawno przeminęły.

– Ach! Dla mnie zawsze będziesz młoda i piękna – skwitował Filip.

Teodozja uśmiechnęła się, słuchając ich przekomarzań. Nie знаła innego małżeństwa, które zachowywałoby się równie swobodnie. Ciotka i wuj wskoczyliby za sobą w ogień, gdyby zaszła taka potrzeba. Ilekroć na nich spoglądała, odnosiła wrażenie, jakby wciąż mieli po dwadzieścia parę lat i byli w sobie szaleńczo zakochani.

Dla porównania, gdy miała do czynienia ze Stanisławem i Konstancją, widziała małżeństwo, które jest już sobą mocno znudzone. Ich uczucie zdecydowanie musiało wygasnąć. Odnosili się do siebie grzecznie i z szacunkiem, ale także z dystansem. Widać to było zwłaszcza po Konstancji, która jak tylko mogła, starała się unikać bliskości męża. Dbała o to, by nie musnąć go choćby falbaną sukni. O ile w towarzystwie gości Aurelia i Filip nie naginali zasad dobrego wychowania,

to w domowym zaciszu często siedzieli bardzo blisko siebie, czasami wręcz przytulali się lub splatali palce dłoni. Spoglądali na siebie z czułością, jakiej próżno byłoby szukać w oczach Litworów.

Ciotka nie bez powodu uchodziła za ekscentryczkę – przemknęło przez myśl Teodozji. – Ale przynajmniej jest autentyczna w swym zachowaniu. Niczego nie udaje. Strzelecka zdecydowanie wolała taką postawę niż wymuszony dystans lub obłudę.

Z domu Pod Lipami nie było daleko do posesji, na której szybko wznosiły się mury hotelu budowanego dla słynnego tenora. Chociaż teren ogrodzony był parkanem, Strzeleccy chodzili czasem na spacer w tamtym kierunku. Zresztą wiele osób gnała ciekawość w to miejsce, bowiem niekiedy można tam było natknąć się na samego śpiewaka. Chociaż nadzór nad przedsięwzięciem sprawował Franciszek Kiepura, to jednak Jan także lubił się tam pokazywać. Wiadomo przecież nie od dziś, że pańskie oko konia tuczy.

Mieszkańców Krynicy oraz kuracjuszy najbardziej cieszyło to, że artyści nie trzeba długo namawiać na publiczne występy. Czasami godził się zaśpiewać jakąś pieśń, za co zawsze zbierał gromkie brawa. Uwielbiany mistrz cieszył się powszechnym szacunkiem.

Tego dnia Strzeleccy nie natknęli się na muzyka. Przystanęli jednak w pobliżu i zadarli głowy, by spojrzeć na pnące się w górę mury.

– Chyba już niedługo skończą – stwierdził Nikodem. – Podobno na piętra będzie można wyjechać windą. To ma być najnowocześniejszy budynek w całej Krynicy.

– Z całą pewnością będzie się wyróżniał – odparła Teodozja.

Nie zwrócili uwagi na drobnego, niepozornego człowieczka, który stał w pobliżu i również spoglądał na wznoszony obiekt. Miał ze sobą niewielką walizkę. Jego mocno podniszczone ubranie pokrywał brud. W oczach nędzarza nie było widać zachwytu. Wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem, a potem odwrócił się na pięcie i odszedł w stronę skweru.

– Spójrz, to chyba ten ubogi artysta, którego prace wystawiano we Lwowie oraz w Paryżu – rzucił Nikodem.

Ślubna spojrzała w ślad za odchodzącym mężczyzną. Rzeczywiście w jego posturze dostrzegła coś znajomego.

– Być może. Pewnie będzie malował hotel Kiepury.

– Wątpię – powiedział Strzelecki. – Parę razy zatrzymałem się przy nim i oglądałem jego rysunki. Na żadnym z nich nie ma współczesnych budynków. Odnoszę wrażenie, że on je ignoruje albo wręcz ich nie znosi. Rysuje tylko drewniane wille i cerkwie.

– Ach, to dziwak. Szkoda sobie nim zaprzętać uwagę.

– Może i dziwak, ale wystawa we Lwowie, a następnie w Paryżu robi jednak ogromne wrażenie. Wszak pisano o tym w prasie. Ten osobnik mocno wrósł w pejzaż naszego miasta.

– Nadal uważam, że to przypadek. Zresztą w Paryżu jego... hm... dzieła stanowiły zaledwie ułamek ekspozycji.

– Mimo wszystko jest to ogromne osiągnięcie jak na takiego biedaka. Nie można temu zaprzeczyć.

– Nawet nie próbuję – stwierdziła ślubna.

Nie lubiła rozmawiać na temat Nikifora. Sama nie wiedziała, czy bardziej żałuje tego człowieka, czy raczej się nim brzydzi. Miał w sobie coś odstręczającego: jego odzież zawsze była zniszczona, przydałoby mu się także solidne mycie, chociaż gdy podeszło się do niego bliżej, można było poczuć zapach wody kolońskiej. Kiedy Teosia wychodziła na spacer z Jonaszem,

pilnowała, aby syn nie zbliżał się do dziwaka z obawy przed robactwem lub chorobą. Jako pielęgniarzka podejrzewała, że taki osobnik musi mieć między włosami nieproszone lokatorki. Tam gdzie była bieda, bywał zwykle i brud. Brud natomiast nieodmiennie łączył się z chorobami. Kiedyś nawet Teodozja posprzeczała się o to z Nikodemem, który z jakiegoś nieuzasadnionego powodu bronił ubogiego Łemka. Przymykała jednak oko na to, że od czasu do czasu mąż rzucał mu do kapelusza drobne monety. Twierdził, że komuś takiemu należy się wsparcie. Ona natomiast wychodziła z założenia, że gdyby rzeczywiście Nikifor był wielkim artystą, to mecenas, który zorganizował dla niego wystawę, zatroszczyłby się również o dolę tego nędzarza.

– Nie uważasz, że powinniśmy już pomyśleć o budowie własnego domu? – Z zamyślenia wyrwały ją słowa ślubnego. – Przyznaję, że kiedy spoglądam na postęp prac przy budowie dla Jana Kiepurcy, to trochę mu zazdroszczę. Mamy już działkę, odłożyłem też nieco pieniędzy. Czas wziąć się do dzieła.

Przed kilkoma miesiącami małżonkowie nabyli uroczą parcelę nad samą Kryniczanką. Położona była wprawdzie w dolinie, ale słońce docierało tam w ciągu dnia, gdyż nie ocieniały jej ani drzewa, ani wysokie budynki. Co prawda posesja znajdowała się nie w Zdroju, lecz we Wsi, jednakże wciąż była to Krynica.

– Czyżbyś źle się czuł u Aurelii? – zmartwiła się Teodozja.

– Nigdy w życiu! Martwię się tylko, czy nie nadużywamy gościnności kuzynki. Może nadszedł już czas, abyśmy zaczęli działać. Nie możemy w nieskończoność tkwić na głowie Aurelii oraz Filipa.

– Ależ kochani! Nie musicie się spieszyć! – zaprotestowała Aurelia, słysząc, jak kuzyn sumituje się, że mieszkają już u nich zdecydowanie zbyt długo. – Przecież nie brakuje nam miejsca.

Jonasz ma tutaj doskonale warunki do życia, ja mam przynajmniej towarzystwo. A i wam chyba nie jest tu aż tak źle, aby stąd uciekać?

– Skądże znowu! – wykrzyknął Nikodem. – Mamy u ciebie jak u Pana Boga za piecem. Martwiliśmy się raczej o to, czy nie zawadzamy.

– Nigdy w życiu! Nasz dom jest waszym domem – oznajmił Filip. – Jeśli jednak zdecydujecie się ruszyć z budową, Makary i ja chętnie się tym zajmujemy. Myślę, że bez trudu osiągniemy porozumienie w kwestiach finansowych. Przypuszczam także, że Aurelia i Lucjan udzielą wam znacznego rabatu na drewno. Ale tak czy owak, nie spieszcie się, bo dom winien wam sprawić radość i zapewnić wygodę. Jeśli postawicie zbyt mały budynek, możecie później żałować, że nie odczekaliście trochę z inwestycją.

– Właściwie masz rację. Obecnie nie stać mnie na zbyt wiele. Ale mógłbym przynajmniej zacząć. Same prace ziemne potrważą pewnie dość długo – stwierdził Nikodem. – A to oznacza, że nadal będziemy korzystali z waszej gościny.

– I bardzo mnie to cieszy! – zapewniła go Aurelia.

– Gdyby jednak cokolwiek się zmieniło, proszę, powiedzcie.

– Droga Teosiu, choćby zwała mi się na głowę cała rodzina, choćby zamierzała tutaj się osiedlić Beatka z bliskimi, a także Lucjan oraz Stanisław, to i tak w dalszym ciągu byłoby dość miejsca, abyście i wy mogli zostać. Pamiętasz, jak przyjechała z Krakowa ciotka Matylda z dziećmi? Wtedy jeszcze żyli dziadkowie. Miałam także was pod opieką. Nikomu nie było ciasno.

– Oczywiście. Ale tak jak wspomnieliśmy, bardziej martwimy się o to, czy nie zawadzamy. Może pragniecie spokoju?

– Ależ dziecino! Kiedy mieszkaliśmy tutaj sami z Filipem, było bardzo pusto. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do samotności. Dzięki wam dom Pod Lipami ożył.

Rok 1933

Marzenia o budowie Strzeleccy zrealizowali dopiero rok później, gdy udało im się odłożyć dość pieniędzy, by nabyć niezbędne materiały i opłacić robotników. Oczywiście Aurelia wciąż zapewniała, że jeśli zajdzie potrzeba, tartak Lucjana dostarczy im drewna na budowę z odroczonym terminem płatności albo nawet za darmo. Nikodem jednak nie chciał niczego przyjmować. Był bardzo honorowym człowiekiem i uważał, że do majątku należy dojść własną pracą.

– Imponuje mi samodzielność Strzeleckiego – wyznał pewnego dnia Filip Witalisowi. – Aurelia niejedną raz oferowała mu pomoc, a on za każdym razem ją odrzucał.

– A nie przyszło ci do głowy, drogi przyjacielu, że chodzi po prostu o to, by zatrzeć nieprzyjemne wrażenie, jakie pozostawił po sobie Tytus? Dawno temu stwierdziliśmy z Matyldą, że wszystko, co robi Nikodem, ma jeden cel: ten człowiek próbuje nam udowodnić, że jest zupełnie inny niż jego rodzice.

– Oczywiście jest to chwalebne – stwierdził Filip. – Jednakże on nie musi mi niczego udowadniać. Obydwoje z Aurelią żywimy do niego sympatię płynącą ze szczerego serca. To przyzwoity mężczyzna i, co najważniejsze, ma doskonały wpływ na Teodozję.

– W rzeczy samej zauważyłam, że odkąd Teodozja jest związana z Nikodemem, zniknęła ta okropna gorycz, która trawiła ją przez wiele lat – powiedziała Aurelia.

– Osobiście uważam, że dzieci nie powinny pokutować za winy rodziców – oznajmiła Matylda. – Tak, tak, pamiętam doskonale. Sama nieomal wpadłam w tę pułapkę w stosunku do Stanisława. Ale okazało się, że mój zięć w pełni zasłużył na dobrodziejstwo zaufania. Jest bardzo dobrym człowiekiem i jak sądzę również dobrym mężem. Rzekłabym raczej, że to Konstancja stroi jakieś fochy. Bo Stanisław to taki człowiek, że do rany przyłóż!

– Nasze dziewczęta trafiły na dobrych mężów – skwitowała Aurelia. – Ale oczywiście wiek też robi swoje. Teosia nie jest już nieopierzoną młodką, której fiu-bździu w głowie i która tak bardzo pragnęła wydać się bogato za męża.

– Życie nauczyło ją pokory. Zresztą jak chyba każdego z nas. Bo każdy swego czasu dostał jakiegoś prztyczka w nos od losu. Każdy też był w sytuacji, gdy musiał gryźć własne ucho. Takie trudności hartują człowieka – podsumowała Matylda. – Wybieracie się na bal inauguracyjny do hotelu Patria? – Zmieniła temat, choć sprawa była raczej oczywista. Wszak Rapaczowie przyjaźnili się z rodziną tenora, a ich syn także bywał w domu Pod Lipami.

– Tak, otrzymaliśmy zaproszenie od Jana. Hotel robi imponujące wrażenie – wyznała Aurelia, gdyż miała już okazję widzieć jego wnętrza. – Wykonałaś kawał dobrej roboty – pochwaliła przyjaciółkę, której powierzono zaprojektowanie wystroju kilku pokoi.

– Przyznam szczerze, że to było prawdziwe wyzwanie. Jan jest człowiekiem bardzo wymagającym. Oczekuje wszystkiego, co najlepsze. Ale taka praca jest również bardzo satysfakcjonująca. No i przyjemnie będzie się pochwalić potencjalnym klientom, że byłam współdekoratorem tak wspaniałej budowli.

Hotel miał otworzyć podwoje dla gości za kilka tygodni, w grudniu. W jego wnętrzach wciąż trwały gorączkowe przygotowania, a luksusy, które miał oferować, już teraz obrosły w legendy. Zarówno mieszkańcy miasta, jak i stali bywalcy uzdrowiska przekazywali sobie z ust do ust plotki dotyczące wyposażenia. Padały przy tym astronomiczne kwoty, jakie wydano. A ponieważ jeden z apartamentów miał stanowić mieszkanie mistrza, kryniczanie żywili głęboką nadzieję, że tenor da w Krynicy niejeden koncert.

– Te kilkaset tysięcy dolarów, które Jan zainwestował, na pewno dość szybko mu się zwróci – stwierdził Filip.

– Z całą pewnością – poparła go ślubna. – Chyba żaden tutejszy hotel nie liczy aż dwieście pokoi. Na dodatek nigdzie nie ma aż takich luksusów. Niemalże w każdym pokoju jest osobna łazienka. W większości także mają być telefony. Jan sprowadził kosztowne dywany. Zadbał nawet o salę teatralną i rzecz jasna o restaurację. Choć o teatr trochę się na niego dąsam. Wszak mamy Modrzewiowy.

– Jestem pewien, duszko, że w naszym dotychczasowym teatrze nie zabraknie widowni. Ba, może nawet lepiej, że Patria także oferuje potencjalnym gościom takie atrakcje. Pomyśl tylko: dwieście pokoi oznacza co najmniej tyle osób więcej na deptaku niż do tej pory. Co mówię, dwieście? Wszak przyjadą małżeństwa oraz rodziny z dziećmi. Wyobraź sobie, że dodatkowych kilkuset wielbicieli Melpomeny chce przyjść na wieczorne przedstawienie do Modrzewiowego. Już teraz widownia ledwo mieści całą zainteresowaną sztukami publiczność. A zważywszy na to, kto jest właścicielem Patrii, trzeba przyjąć, że hotel będzie się cieszył ogromną popularnością. Będą do niego ciągnęły tłumy.

– Z całą pewnością przysporzy to niezłych przychodów wielu lokalnym przedsiębiorcom – skwitował Juraszko.

– Na pewno jest to doskonała wiadomość dla Izabeli. Jej kawiarnia może przynieść większe zyski. A tak w ogóle, bardzo mnie cieszy, że oficjalne otwarcie hotelu nastąpi w Boże Narodzenie. Przynajmniej nasze dzieciaki przyjadą na święta do Powroźnika, bo Mati będzie relacjonował inaugurację. Ostatnio jemu i Wisience wciąż brakowało czasu na wizytę w domu. Praca w „Ikacu” jest strasznie absorbująca. – Matylda przewróciła oczami.

– Czyżby Dąbrowski także wybierał się na przyjęcie inauguracyjne?

– Za to nie dam sobie głowy uciąć. Mateusz i Wisława nie są aż tak blisko dyrekcji, by znać wszystkie plotki. Ale wcale bym się nie zdziwiła, gdyby również jego rodzina tutaj zawitała.

– A ja słyszałem – powiedział Filip – że odkąd Kiepura dał dobitnie do zrozumienia Dąbrowskiemu, iż nie ożeni się z jego córką, redaktorzy z kuriera troszkę się nad nim pastwią. I że z tego powodu Jan przestał się przyjaźnić z Dąbrowskimi.

– Ach nie! To tylko pogłoski – odparła Matylda. – Akurat o tym mam wieści niemalże z pierwszej ręki. Wisława wspomniała mi kiedyś, że Tuta³⁸ w ogóle nie była zainteresowana Kiepurą. Ponoć wcale się nie kryła z tym, że ich temperamenty, zainteresowania i w ogóle styl bycia tak dalece się różnią, że nie byłoby dobrym małżeństwem. Chociaż szczerze przyznaję, że mnie to nie mieści się w głowie, bo któraż młoda dama nie chciałaby się związać z tak znaną osobą?

– Och! Teraz kobiety rzadko wychodzą za mąż, kierując się wyłącznie rozsądkiem lub podpowiedziami rodziców. Przeważnie dopuszczają do głosu porywy serca – zauważyła Drzewicka-Rapacz. – Uważam, że jest to o wiele zdrowsze niż

aranżowanie małżeństw, które bardzo często miało miejsce w czasach, gdy same byłyśmy pannami na wydaniu.

– Nie mówię, że nie – stwierdziła przyjaciółka. – Ale musisz przyznać, że byłoby z nich wyborne małżeństwo. Para milionerów!

– Pieniądze to nie wszystko – zachnął się Filip. – Owszem, są ważne, ale nie powinny przeważać o życiowych decyzjach. W czasach gdy starałem się o rękę Aurelii, byłem od niej znacznie uboższy. Gdyby państwo Drzewiccy stanęli twardo na stanowisku, że córka powinna związać się z kimś w tej samej sytuacji finansowej, dzisiaj nie byłibyśmy małżeństwem. Stracilibyśmy wiele szczęśliwych lat. – Spojrzał z czułością na żonę.

– To prawda, Filipie – przyznała Matylda. – Czasami wychodzi ze mnie okropnie mieszczańskie myślenie. Tak czy owak, cieszę się, że Wisia i Mateusz przyjadą. W rzeczy samej martwię się o Wisławę. Niedawno skończyła trzydzieści dwa lata i ani myśli się ustatkować. Pochłania ją nieustanna pogoń za sensacją i pisanie artykułów do prasy.

– Ależ duszko! – zaprotestował Witalis. – Nie uważasz, że twoja córka jest w pełni ustatkowana? Od dawna sama zarabia na swoje potrzeby. Nie wyciąga ręki po nasze pieniądze. Trzeba jej pozwolić, by żyła tak, jak tego pragnie. Przecież nikomu nie czyni krzywdy – perswadował.

– Och! Że też zawsze musisz jej bronić! – Matylda westchnęła ciężko.

Matczyne serce podpowiadało, że córka jest szczęśliwa, ale rozum próbował się temu przeciwstawiać, wskazując małżeństwo jako jedyną słuszną drogę życiową.

WIELKA WODA

Rok 1934
Powroźnik

Juraszkowie siedzieli przy stole rozstawionym w sadzie pomiędzy drzewami. Tego dnia w gospodarstwie Dymitra zgromadziła się cała familia. Przyjechała nawet Aurelia z Filipem. Okazja do świętowania była nie byle jaka: Gregor, chrześniak Witalisa, świętował pięćdziesiąte urodziny.

Dzień był piękny i pogodny, jak to w lipcu. Okoliczni gospodarze kilka dni wcześniej rozpoczęli żniwa. Juraszkom jednak się nie paliło. Rodzina była na tyle liczna, że raz-dwa mogli uwinąć się z robotą. Kilka dni opóźnienia w niczym im nie zaszkodzi.

Dymitr, który niedawno ukończył siedemdziesiąt lat, wciąż jeszcze trząśł gospodarstwem. I to on zarządził, by w niedzielę solidnie odpocząć i zebrać siły przed pracą. Nawet Gregor mu się podporządkowywał, choć już dawno to on powinien podejmować wszystkie decyzje. Ba! Właściwie winien wręcz myśleć o tym, by dać wolną rękę swemu synowi Nazarymowi, który od trzech lat był żonaty i doczekał się pierwszego dziecięcia. Rodzina rosła więc w siłę. Tymczasem to Dymitr wciąż rozstawiał po kątach parobków, posługujące w obejściu komornice, synową, a nawet Nataszę – młodziutką żonę Nazaryma.

– A dałbyś już spokój młodym! – Witalis w końcu nie wytrzymał, widząc, jak Dymitr kolejny raz posyła Nataszę

do kuchennej izby. – Baby poradzą sobie bez twoich rządów.

– Pańskie oko konia tuczy. Powinieneś coś o tym wiedzieć.

– Nie przeczę, że tuczy, ale przychodzi czas, kiedy człowiek powinien sięść na tyłku i zaufać młodszemu.

Kilka lat temu Witalis przekazał zarząd tartaku w ręce swojego syna. Oczywiście uzgodnił to wcześniej z Aurelią oraz Lucjanem. Aurelia także od dawna nie wtrącała się w sprawy przedsiębiorstwa, w pełni polegając na swym potomku. Również Filip wycofał się ze spółki z bratem oraz jego synem. Każde z nich uznało, że nadszedł czas na to, by odpocząć. I tylko Dymitr jak wściekły giez wciąż musiał kęsać służbę oraz bliskich.

– Ty mi nie mów, jak mam żyć! Mnie ojciec też do ostatnich chwil życia patrzył na ręce.

– Młodym trzeba zaufać – stwierdził Witia.

– Młodych to trzeba pilnować na każdym kroku, żeby nie pomarnowali dobytku.

– Ech, Dimka, Dimka! Ty się nigdy nie zmienisz. Wszędzie cię pełno. Nie mów mi, że jeszcze i do pszczół chodzisz.

– A chodzę. Bo mnie pszczołki lubią, a Gregor nie ma do nich serca. Może z Nazaryma będą ludzie. On, podobnie jak świętej pamięci ojciec, ma rękę do owadów.

– No widzisz? Skoro masz godnego następcę, to po co się jeszcze bierzesz do roboty?

– A bo mnie jakieś licho wodzi i nie potrafię usiedzieć w miejscu. Bóg dał mi dobre zdrowie i sprawność, więc trzeba korzystać.

– Ojciec to nawet na chwilę nie usiadzie – wtrącił się Gregor. – Dasz wiarę, stryju, że nie tak dawno wyprawił się nawet do Florynki? Zebranie jakieś było i on musiał koniecznie wziąć w nim udział. Mówiłem, że pojedę z nim albo nawet zamiast

niego, ale on się zawziął. Sam zaprzągnął konia do wozu i sam pojechał.

– Na litość boską, Dymitrze! – oburzył się Witalis. – A co by było, gdybyś tak w drodze zasłabł? Albo gdyby Siwek poniósł? Nie jesteś już młodzikiem!

– Ty ze mnie starca nie rób, a skoro sam czujesz się stary, to twoja rzecz.

– Dimka, a dajże spokój! Musicie się ciągle z Witalisem przegadywać? – skarciła go Anastazja. – Niedziela jest! Dzień Pański! Zresztą świętujemy dzisiaj. Dość tych swarów!

Witalis nie zamierzał robić przykrości bratowej. Wszak faktycznie przyszedł tutaj w gości.

*Ech... Odkąd zabrakło matuli, ciężko się porozumieć z tym gamoniem – pomyślał pod adresem brata i wspomniał, jak to nieboszczka Paraska zażegnywała wszelkie spory pomiędzy nimi. Odkąd sięgał pamięcią, zawsze miał z Dimką na pieńku. Wciąż się o coś wadzili. Ale musiał też oddać sprawiedliwość Dymitrowi: w krytycznych sytuacjach potrafił się zjednoczyć. Teraz jednak zżymał się na brata. *Stary piernik z niego, a nie siądzie sobie na tyłku!**

Niestety następnego dnia nie było dane Juraszkom wyjść w pole, ponieważ z nieba padał ulewny deszcz. Chociaż jeszcze dzień wcześniej było ciepło, sucho i pogodnie, rzeki momentalnie zaczęły występować z koryt. Sytuacja pogarszała się z godziny na godzinę.

– O Święta Przekzysta! Toż to armagedon! – jęknęła Anastazja, łapiąc się za serce, gdy zobaczyła, jak woda podchodzi pod chałupę.

Dymitr, Gregor i Nazarym z posępnymi minami obserwowali rozwój sytuacji.

– Może nas nie zaleje – westchnął stary.

Jakby w odpowiedzi już po chwili rozległ się we wsi krzyk, że wylał Poprad, zalewa okolicę i zrywa wszystkie mosty.

– Dojdzie i do nas – zmartwił się Gregor.

Kraków

Wisława była tego dnia wyjątkowo zmęczona. Przyszła do pracy ospała jak mało kiedy. Niemalże całonocne tańce w modnym klubie dały jej mocno w kość. Powinna była zachować rozsądek uprzedniego wieczoru i położyć się spać znacznie wcześniej. Kiedy jednak orkiestra zaczynała grać charlestona, ona traciła wszelki umiar. Rzuciła się więc w wir zabawy. A teraz marzyła tylko o tym, by jak najszybciej odbębnić swoje i wrócić do domu.

Jak na złość przed południem wezwał ją do siebie naczelny. Idąc do gabinetu Dąbrowskiego, robiła pospieszny rachunek sumienia. Czyżby coś zaniedbała, że sam szef chciał ją zobaczyć? Nie mogła sobie przypomnieć o żadnym przewinieniu. Zawsze wywiązywała się z terminów, a jej artykuły podobały się czytelnikom. Chwalono ją za celne riposty oraz lekkie pióro.

Przed drzwiami niemalże zderzyła się z bratem.

– Ty też? – krótko wyraziła zdziwienie.

Mateusz skinął głową i zapukał do drzwi. Natychmiast wpuszczono ich do środka. Sekretarka poprosiła, by chwilę poczekali, ale już za moment skierowała ich do gabinetu redaktora naczelnego. Ten w kilku słowach oznajmił, że telefony się urywają i napływa mnóstwo depeesz dotyczących niespodziewanej powodzi.

– Dobrze mi powiedziano, że jesteście z Krynicy?

Rodzeństwo zgodnie pokiwało głowami. Nie prostowali informacji, gdyż Powroźnik leżał bardzo blisko miasta, które

znali jak własną kieszeń.

– Dostaniecie samochód i pojedziecie robić reportaż o powodzi. Macie dojechać tak daleko, jak tylko się da. Znacnie teren, więc powinniście się dobrze spisać. Prócz was pojedą jeszcze inni reporterzy w różne regiony Małopolski.

Adamczykowie bezzwłocznie opuścili gabinet przełożonego. Wisława ciężko westchnęła, lecz nawet nie próbowała się uskarżać. Wszystko wskazywało na to, że w końcu dostała temat z prawdziwego zdarzenia. Zwykle pisała o jakichś towarzyskich bzdurach.

Beskid

Droga do Krynicy okazała się prawie nie do pokonania. W wielu miejscach musieli zawracać, szukać innej możliwości dojazdu, bowiem gościńce były zalane, a mosty pozrywane. Niejeden raz widzieli spienione nurty rzek, które wystąpiły z koryt, podtopione miasteczka oraz wsie. Na powierzchni unosiło się mnóstwo rzeczy porwanych z gospodarstw, padłe bądź żywe zwierzęta, sprzęty, drzewa wymyte z ziemi wraz z korzeniami. Ba! Płynęły całe domy i zabudowania gospodarcze. Od Dąbrowskiego Adamczykowie wiedzieli o topielcach, którzy przegrali walkę z żywiołem. Na szczęście na razie uniknęli takiego widoku.

Samochód telepał się po nierównościach, a Wisława odnosiła wrażenie, że jej żołądek wyczynia najdziksze harce i podchodzi do gardła. Jeszcze nigdy tak bardzo nie żałowała całonocnej hulanki. Obiecywała sobie, że więcej tego nie powtórzy. *Mój Boże – jęczała w duchu – jak już wrócę do domu, przysięgam na wszystkie świętości, że zarzucę dotychczasowy tryb życia. Koniec z charlestonem, opiatami i alkoholem! Koniec z przelotnymi miłostkami i budzeniem się w ramionach obcych*

mężczyzn. Dość już się wyszalałam. Nadeszła pora, by zacząć zachowywać się rozsądnie.

Co jakiś czas kierowca zatrzymywał samochód, by dziennikarze mogli się rozejrzeć i przeanalizować sytuację. Mateusz robił zdjęcia, a siostra notatki. Starali się jak najwierniej opisać swe spostrzeżenia. Notowali godziny oraz nazwy miejscowości. Rozmawiali ze znękanymi ludźmi, wypytywali ich o poniesione straty. Zewsząd dobiegał płacz, a ogrom zniszczeń był zatrważający. Wątpili, czy zdołają dostać się do Krynicy, lecz zgodnie z wytycznymi pracodawcy próbowali dojechać jak najdalej. Trudno było zachować orientację w terenie, gdyż pozalewane drogi oraz pola wyglądały inaczej niż zwykle.

Kolejny raz zatrzymali się, gdy szosę zagroziła im woda. Adamczykowie wysiedli z samochodu. Teraz znajdowali się na bezludziu. Stali na pagórku, u ich stóp chlupotało rozlewisko. Przed potopem mogły tutaj być pola uprawne lub rozległe łąki. Gdzeniegdzie widać było korony drzew wyrastających ponad brunatną topiel. W oddali majaczyły dachy zabudowań, a na nich wytrawne oko mogło dostrzec sylwetki ludzkie.

Mateusz oczywiście zaczął robić kolejne fotografie, chociaż w podręcznej torbie miał już kilka rolek z wypełnionymi kliszami. Wisława bezradnie rozglądała się wokół. Tuż obok niej zamuczała rozpaczliwie krowa niesiona przez nurt. Bydlątko próbowało się uratować, prąd był jednak zbyt szybki.

– Biedne zwierzę – westchnął bezradnie kierowca, chociaż tego dnia napatrzył się dość na podobne widoki.

– A to co? – zainteresowała się Adamczykówna, spoglądając na przedmiot kołysany przez fale. Ze skarpy, na której przystanęli, nie widziała wyraźnie wszystkiego. Z kształtu

jednak odgadywała, że woda unosi jakieś koryto bądź kołyskę. Wyteżyła wzrok, a wtedy zdało jej się, że wśród piernatów widzi niemowlęcą buźkę. – Jezus Maria! Mateusz! Spójrz! Tam jest dziecko! – wrzasnęła.

Niewiele myśląc, ruszyła z pomocą.

– Co robisz, głupia? Stój! Utoniesz! Ono na pewno nie żyje! – wrzasnął brat, widząc, jak siostra wchodzi do wody.

Przez chwilę Wisława brodziła najpierw po kolana, potem po pas, lecz nagle utraciła grunt pod nogami. Wynurzyła się, parskając i złorzecząc. Po chwili młóciła ramionami wezbrane fale, nic sobie nie robiąc z zagrożenia. Co jakiś czas jej głowa znikwała pod powierzchnią. Przerażony Mateusz wcisnął w ręce skonsternowanego kierowcy aparat.

– Pilnuj tego jak najcenniejszego skarbu. A gdyby nam się coś stało, dostarcz Dąbrowskiemu – wydał polecenie, a potem skoczył w ślad za siostrą.

Nie mógł dopuścić, by Wiśka utonęła. Matka nigdy by mu tego nie darowała, wszak miał sprawować nad nią opiekę. To był najważniejszy warunek ich samodzielnego zamieszkiwania w Krakowie. Jak na złość Wisława znowu zniknęła mu z oczu. Wykrzyknął jej imię, a wtedy woda wlała mu się do gardła.

Krynica

Krynice odcięły od świata mętne wody powodzi. Kuracjusze, którzy nie zdołali odjechać ostatnim pociągiem zmierzającym do Nowego Sącza, z przestachem obserwowali rozwój wypadków. Początkowo wiele osób bagatelizowało doniesienia o żywiole, teraz jednak okazało się, że zostali na jakiś czas uwięzieni w uzdrowisku.

Na stałych mieszkańców padł blady strach, że potop może pochłonąć wszystko: piękne wille i pensjonaty, sklepy,

kawiarnie i inne lokale usługowe.

Teodozja i Nikodem ze zgrozą obserwowali szybko pogarszającą się sytuację. Ich dom, wznoszony z mozołem i będący niemalże na ukończeniu, stał w dolinie, tuż nad rzeką. Obydwoje modlili się, by nie doszło do nieszczęścia. Utrata dorobku życiowego byłaby dla nich ogromnym ciosem. Nie posiadali już niemal żadnych pieniędzy, bowiem budowa pochłonęła wszystkie oszczędności oraz posag Teosi.

– Boję się tam pójść – przyznała, gdy mąż zaproponował, by udali się na parcelę. Chciał sprawdzić, czy nic złego się nie wydarzyło.

Teodozja jeszcze nigdy nie odczuwała takiego strachu, chociaż usiłowała tłumaczyć samej sobie, że to tylko dobra materialne. Wszak niejeden raz ryzykowała zdrowie, a nawet życie i wręcz słynęła z odwagi.

Problem w tym, że była wówczas znacznie młodsza i momentami wręcz celowo zaglądała śmierci w oczy, ponieważ w sercu nosiła żalobę po Augustcie. Wtedy wydawało jej się, że to, co najlepsze, ma już za sobą. Teraz czterdziestoczteroletnia kobieta nie tylko pragnęła żyć, ale chciała bezpieczeństwa i stabilizacji – również materialnej.

– W porządku – odparł Nikodem. – Pójdę sam.

– Tylko wracaj jak najprędzej – poprosiła ślubna.

Gdy odszedł, nie była w stanie znaleźć sobie miejsca. Krążyła po domu, raz po raz wyglądając przez okna.

– A może jednak chcesz, abym poszła tam z tobą? – zaproponowała w końcu Aurelia.

Strzelecka pokręciła głową.

– Nie, nie... Nie trzeba, ciociu. Na pewno nic złego się nie stało – powiedziała bez namysłu, chociaż wiedziała, że wiele

osób ucierpiało wskutek powodzi, gdyż służba i znajomi wciąż przynosili dramatyczne wieści.

Dwie godziny później do domu wrócił Nikodem. W przemoczonym i uszarganym ubraniu wyglądał jak obraz nędzy i rozpacz. Najgorsze jednak było to, co od razu dało się wyczytać z jego oczu oraz ściągniętej cierpieniem twarzy.

– O nie! – wykrzyknęła Teodozja, gdy mąż w milczeniu pokręcił głową, a potem w geście bezradności zwiesił ramiona. – O nie... – jęknęła znacznie ciszej, a następnie zemdlona osunęła się na dywan.

Beskid

Mateusz zdołał się wynurzyć na powierzchnię wody. Obok niego przepływały jakieś belki, prawdopodobnie ze zrujnowanego budynku. By nie zatonąć, złapał jedną z nich. Był zmęczony, przez chwilę z trudem łapał oddech. Nerwowo rozglądał się wokół, wypatrując siostry. Nagle zobaczył Wisławę.

– Matko Boska! Baby są jednak głupie! Żeby tak ryzykować dla trupa albo lalki?

Nie wierzył, by jakiegokolwiek dziecko mogło przeżyć podróż kolebką wśród niespokojnych fal.

Tymczasem Wisława dopłynęła do kołyski. Złapała krawędź, aby przedmiot nie odpłynął. Zajrzała do środka i upewniła się, że wewnątrz rzeczywiście jest dziecko. Żyło, spało w najlepsze, nieświadome ryzyka. W na wpół rozchylonych usteczkach co jakiś czas pojawiał się bąbelek ze śliny. Adamczykówna odetchnęła z ulgą. Wszak niewiele zabrakło, by doszło do nieszczęścia. Nie chciała wyjmować maluszka, ponieważ bała się, że mogłaby go utopić. Spróbowała więc, czy da radę

popłynąć z kołyską w stronę brzegu. Ostrożnie zaczęła ją przed sobą popychać, uważając, by nie przechylić jej zbyt mocno, bo wówczas niemowlę mogłoby wypaść. Na szczęście zadanie okazało się możliwe do wykonania. Kobieta co chwilę przystawała, by zbadać stopą, czy wyczuwa grunt. W pewnym momencie udało jej się stanąć.

– Ty wariatko! – wysapał brat, który zdołał się do niej przedrzeć.

– Ono żyje – oznajmiła krótko, na nic więcej nie miała siły.

Wspólnie doholowali kołyskę z niemowlęciem do brzegu. Ponieważ nie znali terenu, nie chcieli ryzykować wyciągnięcia maleństwa wcześniej, by nie zafundować mu nieprzyjemnej kąpieli. Dopiero kiedy uznali, że dotarli w bezpieczne miejsce, Wisława wzięła niemowlę w ramiona. Ledwo żywi ze zmęczenia wrócili do kierowcy, który kompletnie sparaliżowany stał o wiele dalej.

– I co teraz? – zapytał Mateusz, gdy już nieco ochłonęli. – Co zrobimy z tym dzieckiem? Na pewno ma jakichś krewnych.

– Pewnie tak. Przypuszczam jednak, że widząc, co się dzieje, matka rzuciła się za nim w fale. Mam nadzieję, że nie utonęła. Nie wiadomo, skąd dziecko przypląnęło.

– Ciężko będzie odnaleźć tę kobietę – stwierdził przytomnie kierowca. – Zalany teren jest gigantyczny.

– Myślę, że dotarło tutaj z tamtych domów. – Wisława wskazała dłonią zatopione zabudowania. Były na tyle blisko, by można było uznać za realne, że stamtąd dopłynęło niemowlę.

– Raczej tam nie dotrzemy, wieś wygląda na całkowicie odciętą od świata – ocenił Mateusz. – Nie mam pojęcia, co to za miejscowość.

– Obawiam się, że faktycznie dalej nie możemy jechać. Coraz mniej prawdopodobne wydaje mi się, że dotrzemy aż do Krynicy.

– Możemy jeszcze spróbować inną drogą, nie jesteśmy chyba znowu aż tak daleko od celu. Przecież minęliśmy już dawno Nowy Sącz. Nie wolno nam się poddawać. A co do dziecka, chyba najlepiej by było, gdybym zawiozła je do naszej matuli. Ona by się nim zajęła, a my dalibyśmy komunikat w „Ikacu”, że znalazł się taki maluszek. Opiszę wszystkie okoliczności związane z tym wydarzeniem. Zrób zdjęcia kołyski, może ktoś ją rozpozna – poleciała bratu, bowiem przedmiot był zdecydowanie zbyt duży, by wepchnąć go do samochodu.

– Słusznie – przytaknął Mateusz, pełen podziwu dla siostry, która zachowała przytomność umysłu w krytycznym momencie. – Jeśli ktoś będzie szukał bobasa, to przynajmniej będzie wiedział, dokąd się po niego zgłosić.

W tej samej chwili dziecko zaczęło kwilić.

– No masz ci los! – powiedział przerażony kierowca, kawaler, który nigdy nie miał do czynienia z niemowlętami.

– Mam nadzieję, że potrafisz zajmować się takim berbeciem – jęknął Adamczyk. – Bo ja nie mam o tym zielonego pojęcia.

W następnych dniach „Ilustrowany Kuryer Codzienny” drukował dramatyczne doniesienia z zalanych wodą obszarów. Powódź zbliżała się również do Krakowa. Na objętych żywiołem terenach rozgrywały się dantejskie sceny. Ludzie tracili dorobek całego życia, próbowali uciekać przed wodą na dachy swoich domostw, lecz woda zabierała również budynki. Powodzianom doskwierał głód oraz pragnienie i paradoksalnie to właśnie brak czystej wody stanowił największy problem. Do wielu miejsc nie można było dostarczyć żywności, posyłano

więc pomoc samolotami i po prostu ją zrzucano. Krynica została całkowicie odcięta od świata.

Niewiele brakowało, aby Mieczysław Dąbrowski³⁹, redaktor „Kuryera Literacko-Naukowego”, utknął w kurorcie. Zdołał wyjechać ostatnim pociągiem, który ruszył ze stacji kwadrans po dwunastej w południe i z przygodami dotarł do Nowego Sącza. Dwudziestego pierwszego lipca profesor zrelacjonował swą feralną podróż na łamach „Ikaca”.

...Za pociągiem tym szła śmierć... Cudem chyba jakimś należy nazwać uratowanie tego pociągu. W 15 minut po przejeździe wagonów przez most na Dunajcu zadrżały przęsła mostu i runęły skręcone w fale wzburzonej rzeki. (...) – Najdramatyczniejszy moment przypada na przeprawę koło wsi Bobowej. Tutaj woda zrobiła wielką wyrwę w nasypie kolejowym. Tor złożono prowizorycznie na podkładach i zaczyna się jedyna w swoim rodzaju podróż pociągiem zaprzężona... w ludzi. Mianowicie na przestrzeni 200 do 300 metrów na torze chwiejnym przetacza się pojedynczo wagony, pchając je wraz z podróżnymi. Część jadących chciała opuścić pociąg i iść pieszo, jednakże na zapewnienie fachowe inspektora kolejowego, iż nie grozi niebezpieczeństwo, uspokoiła się⁴⁰.

PEJZAŻ PO KATAKLIZMIE

Powroźnik

Aurelia nie czekała, aż wody powodziowe opadną na dobre. Ponieważ już od dłuższego czasu nie jeździła konno, a wyprawa samochodem wiązałaby się ze zbyt dużym ryzykiem uszkodzenia kosztownego pojazdu, poleciła, aby zaprząć konia do bryczki. Poprosiła woźnicę o zawieszenie jej do Powroźnika. Musiała jak najprędzej sprawdzić, co się dzieje z jej bliskimi, ponieważ od kilku dni nie miała o nikim żadnych wieści. Przez ten czas ze strachu niemalże odchodziła od zmysłów.

W pierwszej kolejności skierowała kroki do willi Juraszków. Witalis i Matylda nie ucierpieli na szczęście zbyt mocno w czasie potopu. Woda podmyła nieco ich dom i wdarła się do pomieszczeń na parterze. Zalała jednak tylko podłogi, a i to w nieznacznym stopniu, ponieważ budynek stał na dość wysokim podmurowaniu. Matylda z pomocą służby szybko zdążyła uprzątnąć niewielki bałagan.

– Przepraszam, Aurelio, że nie dałam żadnego znaku życia, lecz byłam tak pochłonięta domowymi sprawami, że na nic nie wystarczało mi czasu.

– Domyślam się – odparła Drzewicka-Rapacz, ponieważ nim weszła do domu, dostrzegła dywany suszące się w promieniach słońca. – Skoro jakoś udało wam się uniknąć najgorszego, jestem już spokojniejsza. Zajrzę jeszcze do Dymitrów – oznajmiła.

– Ależ kochana! Nigdzie cię teraz nie puszczę! Wszak nie wspomniałaś, czy w Krynicy wszystko w porządku, a wnioskując po chmurnym czole, zakładam, że i wam woda dała się we znaki. Wejdz choć na chwilę do salonu, musisz mi opowiedzieć, jak przetrwaliście kilka ostatnich dni.

W obszernej bawialni zastały Wisławę. Aurelia ze zdumieniem spojrzała na młodą kobietę pochyloną nad pięknie rzeźbioną kolebką i nucącą cicho kołysankę. Ten mebelek dobrze był jej znany, stanowił dzieło rąk Witalisa, który przed laty wykonał go dla Mateuszka.

– Wisławo! Co ty tutaj robisz? A cóż to za maluszek? – wykrzyknęła Drzewicka-Rapacz.

Adamczykówny nie widziała od Bożego Narodzenia, więc pierwsza myśl, jaka jej przyszła do głowy, była taka, że Wisława przyjechała do Powroźnika z własną nieślubną dzieciną.

Wisia, widząc jej zaskoczoną minę, parsknęła śmiechem.

– O! Mniemam, że cioteczka dorobiła sobie już całą historię do tego dziecięcia. Poznaj Wiktora.

Ostrożnie wyjęła z kolebki niemowlę i podeszła z nim do ciotki.

– Wiktor? – upewniła się Drzewicka-Rapacz, wyciągając dłoń, by musnąć rumiany policzek.

– Tak naprawdę nie wiem, jak go ochrzczono. Na razie nazywamy chłopca Wiktor, bo to imię oznacza zwycięstwo. Ten dzielny maluch wygrał z powodzią – oznajmiła, a następnie opowiedziała pokrótce ciotce, jak uratowała go z kipieli.

Na koniec włączyła się Matylda.

– Wyobraź sobie, Aurelio, moje zdumienie, gdy Wisława stanęła na progu domu z dzieckiem w ramionach. Wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy, choć ubranie zdążyło na niej trochę przeschnąć. Kierowca z „Ikaca” nie był w stanie dojechać

aż tutaj, odprawiła go więc wraz z Mateuszem do Krakowa, a sama z tym niebożęciem dotarła do domu dzięki uprzejmości jakiegoś chłopca, który podwiózł ją konno. Na szczęście wcześniej jego żona nakarmiła dziecko.

– Nie miałam wyboru, musiałam tak zrobić. Wiem, że w „Kuryerze” ukazuje się notatka o uratowanym malcu. Niestety, na razie nikt nie zgłosił się po chłopca – dodała Wisława.

– Obawiam się, że jego matula nie żyje. Nie znam osobiście kobiety, która nie wskoczyłaby w rozszalały żywioł za własnym dzieckiem – stwierdziła zafrasowana Matylda.

– I co teraz będzie? – zapytała Aurelia.

– Skoro się dla niego narażałam, nie mogę go ot tak porzucić. Na razie zostanę tutaj z dzieckiem – powiedziała Adamczykówna, tuląc w ramionach oseska. – Gdy trochę odpoczniemy, a mały zacznie jadać z flaszki, zabiorę go do miasta. Muszę tylko poszukać kobiety, która zajmie się nim pod moją nieobecność w mieszkaniu, bo przecież nie zrezygnuję z pracy.

Oczywiście mogłaby zostawić niemowlę pod opieką matki. Matylda na pewno dobrze zadbałaby o Wiktora, wszak od razu postarała się o mamkę, która nakarmiła wygłodzone dziecko. Ale Wisława czuła się emocjonalnie związana z tym maluchem niewiadomego pochodzenia.

– A co, jeżeli jego matka się nie znajdzie? – drążyła Drzewicka-Rapacz.

– Wówczas mu ją zastąpię.

Matylda i Aurelia wymieniły pomiędzy sobą spojrzenia. Żadna z nich nie skomentowała słów Wisławy, choć obie pomyślały to samo. Na ustach Matyldy pojawił się delikatny uśmiech. Przyszło jej do głowy, że być może Wiktor został ocalony przez

córkę jakimś niezwykłym zrządzeniem losu. Miała przeczucie, że chłopiec już na zawsze zostanie z Wisławą.

– Na szczęście niedługo kończy się kolejna umowa najmu, więc zwolni się jeszcze jedno mieszkanie w naszej kamienicy. Będziesz mogła je zająć – oznajmiła Juraszkowa.

– Naprawdę? – ucieszyła się córka.

– Oczywiście. Już dawno o tym myślałam. Skoro swą przyszłość wiążesz z Krakowem, przyda ci się własne lokum. Zwłaszcza gdyby się okazało, że nie znajdziesz rodziców Wiktora. Maluchowi raczej nie służyłoby przebywanie w tych samych kątach, w których mieszka kawaler niestroniący od dobrej zabawy. – Spojrzała znacząco na Wisławę. – I obyś zechciała dobrze się prowadzić, gdy już się przeniesiesz na własne śmieci. Jak znam życie, ludzie i tak będą gadać, że to małe jest twoje nieślubne. – Westchnęła ciężko. Nie próbowała jednak odwozić pannicy od pomysłu, by zaopiekować się znajdką. Być może właśnie tego potrzebowała Wisienka, aby spoważnieć choć trochę.

– Pff! To oczywiste, że z dzieckiem na ręku nie pójdę do klubu ani na tańce.

– No dobrze, a co w Krynicy? – zapytała w końcu Matylda Aurelię.

Drzewicka-Rapacz przygryzła wargę.

– My szczęśliwie nie ponieśliśmy strat. U Lucjana też wszystko w porządku, podobnie jak u Stacha. Konstancja prosiła, abym ci od niej przekazała, żebyś się nie martwiła. Nie przyjechała ze mną, ponieważ Ewa spadła wczoraj ze schodków przed gankiem i trochę się potłukła. Ale nic jej nie dolega, skrzyła tylko nogę – wyjaśniła szybko, widząc przestrach malujący się na twarzy Juraszkowej. – Nikt z naszych bliskich nie został ranny. Tartak także ocalał.

Matylda w ostatnich dwóch zdaniach wyczuła niedopowiedzenie.

– A Strzeleccy?

– Woda zabrała im dom. – Aurelia westchnęła z zatroskaną miną. – Teodozja straszliwie rozpacza.

– I dopiero teraz to mówisz?! – wykrzyknęła przyjaciółka. – Och! Mogę sobie wyobrazić, co to biedactwo przeżywa. Wiem, jak to jest, gdy w jednej chwili ziemia usuwa ci się spod stóp i zostajesz niemalże z niczym. – Załamała ręce. – I co teraz?

– Trudno powiedzieć. Woda w tamtym miejscu nie opadła jeszcze całkowicie. Dom jednak popłynął. Na parceli zostanie pewnie spory bałagan. Pytanie tylko, czy jest jakikolwiek sens w stawianiu nowego budynku w miejscu obciążonym ryzykiem podtopienia? Skoro wcześniej przez wiele lat działka nie była zagospodarowana, to widocznie jej poprzedni właściciele zdawali sobie sprawę z zagrożenia powodziowego w tamtym rejonie.

Przez chwilę trzy kobiety użalały się nad dolą Teodozji. Później przygnębiona Aurelia pożegnała się z Matyldą oraz Wisławą i powędrowała do chyży Dymitra. Już wiedziała, że zastanie tam Witalisa, który pomagał w porządkowaniu zalanego gospodarstwa.

Choć Matylda wspomniała wcześniej o nieszczęściu, które dotknęło rodzinę szwagra, Aurelia nie była przygotowana na niemalże postapokaliptyczny obraz. W obejściu Juraszków oplakiwano rzewnie pasiekę porwaną przez potop oraz doszczętnie zniszczone uprawy.

– Toć te pszczołki były naszymi żywicielkami – jęczała zdruzgotana Anastazja, załamując ręce. – Ani jeden rój się nie ostał, wszystkie ule popłynęły.

– Tak bardzo mi przykro – powiedziała Drzewicka-Rapacz, zamykając kobietę w objęciach ramion.

Juraszkowa szlochała rozpaczliwie, aż żal ścisnął, gdy się na nią patrzyło. Aurelia martwiła się nawet, aby bratowa nie doznała apopleksji.

– Nie frasuj się, Nastko, postawicie nowe ule. A i pszczołki się sprowadzi – usiłowała ją pocieszać.

Kobiety usiadły przed chałupą na przewróconym korycie, które niedawno służyło do pojenia zwierzyny. Z urokliwego kwiatowego ogródka, w którym jeszcze przed kilku dniami świętowali pięćdziesiąte urodziny Gregora, nie zostało nic poza mułem. Woda wprawdzie nie zabrała Juraszkom domu, ale zalała wnętrza. Kto żyw wynosił na zewnątrz sprzęty ocalone z żywiołu. W promieniach lipcowego słońca suszono odzież i pierzyny. Wokół panował potworny rozgardiasz. Walały się różne przedmioty. Aż serce się krajało na widok tego nieszczęścia. Nawet Witalis zakasał rękawy i przyszedł z pomocą rodzinie brata, jakby nie był siedemdziesięciodwuletnim mężczyzną, lecz młodzikiem.

– Ach żal, żal! – jęczała tymczasem Anastazja. – Że też woda nie porwała mnie razem z ulami!

– Bój się Boga! Nastko! Co ty wygadujesz? – Aurelia zdrętwiała, słysząc ten lament.

– A na co nam dalej żyć, skoro nie ma pszczołek? – poparł ślubną Dymitr. – Jakże sobie te nasze niebożęta poradzą, skoro w polach wszystko przegniło, wypłukało nam też ziemniaki. Ale najbardziej żal pasieki, którą założył nieboszczyk ojciec. Przecież pszczołki służyły naszej rodzinie blisko siedemdziesiąt lat. Były z nami, odkąd pamiętam. Człowiek od małego uczył się z nimi obchodzić. A teraz nie ma nic – powiedział łamiącym się

głosem, a potem ukrył twarz w dłoniach i zaszlochał niczym małe dziecko.

Witalis przypadł do brata.

– Przecież pomożemy wam wraz z Ałenką! Podniesiecie się po tej klęsce! – zapewnił, spoglądając w oczy przybranej siostry. Ufał, że jego obietnica nie jest na wyrost.

Drzewicka-Rapacz skinęła głową.

– Ależ to oczywiste, że nie zostawimy was bez pomocy – potwierdziła szybko.

– Mnie tam wasza łaska pańska niepotrzebna do niczego – burknął Dymitr, jak miał to w zwyczaju. – Nie chcę niczych pieniędzy. Żebrakiem nie jestem. Gregor i Nazarym też po nic nie wyciągną rąk.

– Dymitrze, nikt nie chce cię urazić. Jesteśmy rodziną. A rodzina jest od tego, by sobie wzajemnie pomagać – zaprotestowała Aurelia.

– Rodziną? – prychnął gniewnie Dymitr.

Nie zdążył jednak dodać ani słowa więcej, bowiem Anastazja, która do tej pory siedziała ze zwieszonymi ramionami, zerwała się z koryta, dopadła do ślubnego i szarpnęła nim z całych sił.

– Przestań, stary głupku! – wrzasnęła. – Nie musisz się tak unosić honorem! Ałena i Witia chcą pomóc z dobrego serca.

– Nie potrzebujemy ich pomocy. Mam swoją godność.

– Ależ nikt ci jej nie odmawia! – zaprotestował Witalis.

Rozsierdzona Anastazja dalej szarpała męża.

– Gadaj zdrów, stary capie. Może ty niczego nie potrzebujesz! Ale ja nie chcę, żeby moje wnuki i prawnuś pomały z głodu. Najwyższa pora, żebyś zaprzestał swarów z Witalisem. Świętej pamięci matula wciąż cię o to karciała. Mało razy dostałeś od niej przez łeb? Nie pamiętasz już? Coś się tak uwziął na Witę i Ałenkę? Nic ci nie zawinili! A że żyją inaczej niż my, to ich

sprawa. Z jednej wyszliście chaty. Ałenko, Witalisie – zwróciła się do bliskich. – Darujcie temu staremu gamoniowi. Na mózg mu się rzuciło. Ja już mam dość tych wszystkich swarów. Rodzina nie może się zebrać przy wspólnym stole, żeby nie obeszło się bez jakiejś kłótni! Na Świętą Przepczystą, Dima! Wyciągnijże w końcu rękę do brata.

Dymitr spojrział bykiem na żonę. Zmełł w ustach przekleństwo. Już miał na końcu języka, że baby nie powinny się mieszać w męskie sprawy. Nagle jednak oprzytomniał, wszak ani powódź, ani swary w rodzinie nie były męskimi sprawami. Kataklizm spowodowała siła wyższa. Ale za kłótnie odpowiadał sam, bo zawzięty był jak mało kto. I solą w oku mu było, że bratu powodzi się lepiej. O Aurelii nawet nie chciał myśleć, a przecież ona faktycznie nic mu nie zawiniła.

– Dobrze już, dobrze – burknął do ślubnej i odsunął ją od siebie. Potem wyciągnął rękę do Witalisa. – Wybacz, bracie. Jakim stary, takim durny! Daruj mnie i ty, Ałenko. Dopiero jak na człowieka spada nieszczęście, to uczy się rozumu. Nigdy nie miał powodu, by się z wami wadzić. Jakieś licho mnie ku temu kusilo. Ale dość na tym! Faktycznie bez waszej pomocy nie poradzimy sobie.

– To żaden dyshonor przyjąć pomoc w dramatycznej sytuacji – skwitowała Aurelia, a potem uściskała przybranego brata.

Anastazja znowu uderzyła w głośny płacz. Tym razem jednak były to łzy ulgi.

Krynica

Wracając do domu, Aurelia rozmyślała o tym, jak może pomóc powodzianom. Z Juraszkami nie było większego problemu. Trzeba będzie po prostu odbudować pasiekę, a także zadbać o to, by mieli co jeść do czasu przyszłorocznych żniw. Gorzej

ze Strzeleckimi. Wiedziała, że Nikodem i Teodozja nie przyjmą od niej pieniędzy na kupno innej parceli i budowę nowego domu. Pod tym względem byli wyjątkowo honorowi. Może nawet za bardzo? Jakby nigdy do samego końca nie wymazali ze swych umysłów poczucia winy za grzechy swych rodziców.

Nagle jednak przyszedł jej do głowy wyborny concept. Musiała tylko omówić tę sprawę ze ślubnym oraz swoimi dziećmi, chociaż Lucjanem i Beatą nie musiała się martwić. Im niczego nie brakowało. Do tej pory otrzymali od niej dość dóbr materialnych, a po jej oraz Filipa śmierci każde dostanie jeszcze niemałą schedę.

Filip siedział w gabinecie i przeglądał prasę, sącząc burbona.

– Czy coś złego stało się w Powroźniku, Aurelio? Masz niewesołą minę – zapytał zatroskany.

Kobieta klapnęła na skórzaną kanapę. Zdała mu krótką relację z wyjazdu na wieś i napomknęła o zakresie wsparcia, jakie chciałyby udzielić bliskim. Mąż ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Mogę pomóc w wykonaniu uli. Trochę się na tym znam – przyznał. – Twój stary mąż może się przydać chociaż do tego.

Aurelia dobrze wiedziała, że Filip nie rzuca słów na wiatr, ponieważ czasami gdy był znudzony, lubił bawić się majsterkowaniem. Zrobił kiedyś piękny dom dla lalek Ewy. Jak stwierdził później, stanowiło to namiastkę jego niegdysiejszych dokonań. Sklecenie uli na pewno było znacznie prostsze.

– Stary? Głuptas chyba! Każdy gest jest ważny – ucieszyła się jego propozycją. – Gorzej ze Strzeleckimi, bo oni, jak wiesz, nie przyjmą zapomogi.

– Niestety. Ta piękna cnota Nikodema może mu teraz zaszkodzić – stwierdził ślubny, odruchowo sięgając po cygaro.

W porę jednak uprzytomnił sobie, że nie wypada palić przy damie, więc zdusił chęć zapalenia.

– Mam koncepcję, jak temu zaradzić – wyznała żona. – Chciałabym z tobą skonsultować mój pomysł. Otóż jak sam widzisz, Lucjan opuścił nas na dobre, wątpię, by kiedykolwiek wrócił do rodzinnego domu, skoro w willi Traczów dobrze mu się mieszka. Beatka ułożyła sobie życie w Krakowie i wiem, że ona także nie sprowadzi się tutaj z rodziną. Może powinniśmy zaproponować Strzeleckim, aby zostali z nami na stałe?

– Chcesz w przyszłości oddać dom Pod Lipami Teodozji? – zdziwił się Filip.

– W rzeczy samej właśnie to przyszło mi na myśl. Między nami mówiąc, tak naprawdę należy się on bardziej Teodozji niż Lucjanowi lub Beatce. To Teodozja była spokrewniona z mą przybraną matką i naprawdę niewiele brakowało, aby willa przeszła na własność Litworów. Felicycyta i Ksawery wcale nie musieli podejmować decyzji o uznaniu mnie formalnie za córkę. Wszak po śmierci Janka mogli odprawić mnie do Powroźnika. Choć nigdy nie mówiłam o tym na głos, przez wiele lat gnębiłam się przeświadczeniem, że pozbawiłam Teosię i Stasia dziedzictwa.

– Czyżbyś zapomniała o tym, co zrobili ich rodzice?

– Nie. Takich rzeczy się nie zapomina. Zrobili to, co zrobili, właśnie dlatego, że uważali, iż należy im się ten dom.

– O ile wiem, na Słotwiny także mieli chrapkę – przypomniał ślubny.

– Decyzją Drzewickich to ja zostałam ich jedyną spadkobierczynią. Mogę swobodnie dysponować majątkiem, który mi pozostawili. Lucjan dostał Słotwiny, Beata otrzymała bardzo wysoki posag. Obydwoje zawsze będą mogli tutaj gościć.

Ale jak Beata sama podkreśla, przyszłość wiąże z Krakowem. A to oznacza, że na starość zostaniemy zupełnie sami. Tak, wiem, że w Krynicy jest Lucjan, a niemalże po sąsiedzku mieszka Stanisław z Konstancją i na całą czwórkę w każdej chwili możemy liczyć. Stanisław po mojej śmierci dostanie znaczną kwotę w gotówce. Podobnie jak Lucjan oraz Beata, która prócz pieniędzy otrzyma jeszcze całą biżuterię. Teodozji natomiast chciałabym pozostawić ten dom – oznajmiła.

– Oczywiście rozumiem twoją decyzję – odparł Filip. – To twój majątek, masz prawo nim swobodnie dysponować, jak sama zauważyłaś. Naszym dzieciom niczego nie brak. Może faktycznie wskazane byłoby, gdyby ktoś tutaj mieszkał na stałe prócz nas? Ten dom jest zdecydowanie za duży dla dwóch osób. Ale czy nie obawiasz się, że Teodozja może poczuć się zbyt pewna siebie i znowu zacznie pokazywać pazury? Gdy była młodziutką dziewczyną, mocno dawała nam w kość.

– W ostatnich latach, mieszkając tutaj, nie sprawiała mi żadnych przykrości.

– Bo nie czuła się panią na swoich włościach.

– Może tak, może nie. Uważam, że należy jej się dobrodziejstwo zaufania.

– Właściwie jest to dobry pomysł, ale sama wiesz, że zarówno Teodozja, jak i Nikodem wzbraniają się przed przyjmowaniem pomocy, jakby chcieli udowodnić, że wystarcza im tego, co sami zarabiają, i nie chcą korzystać z cudzych pieniędzy. Już sam rabat na drewno stanowił dla nich problem, chociaż z reguły klienci tartaku liczą na spore zniżki. Nawet ja lubiłem się czasami z tobą potargować. – Filip puścił oko do ślubnej.

– Postawię Strzeleckich przed faktem dokonanym. Pójdę do notariusza, aby sporządzić testament. Już dawno powinnam była to zrobić, wszak obydwójce mamy kilku spadkobierców.

– Nieżle to sobie wymyśliłaś – stwierdził ostrożnie mężczyzna. – W gruncie rzeczy Nikodem to wyjątkowo przyzwoity człowiek, a Teodozja bardzo się zmieniła. Tak. Możemy dać sobie wzajemnie szansę.

– Nie masz nic przeciwko temu? – upewniła się Aurelia.

– Ależ nie.

– Ale nie ustępujesz mi tylko dlatego, że dom stanowi moją wyłączną własność? – drążyła. – Nie masz żalu, że w ten sposób umniejszą trochę schedę, która zostanie Beatce oraz Lucjanowi?

– Naszym dzieciom niczego nie brakuje – powtórzył. – Kobieto! Czy przez całe życie będę musiał ci przypominać, że ożeniłem się z miłości, a nie dla korzyści finansowych? Z tobą mógłbym mieszkać nawet w mysiej dziurze – zapewnił.

– Pff... Przecież mamy dach nad głową. I póki żyjemy, nikt nam go nie odbierze – zauważyła ze śmiechem Aurelia. – A zatem możemy przyjąć, że zostało to uzgodnione?

– Zdecydowanie!

Gdy wody powodziowe opadły, przyszedł czas na liczenie strat. Jakoś trzeba było pomóc biedakom dotkniętym przez kataklizm. Wkrótce do Krynicy przyjechał Jan Kiepusa, poruszony ogromem nieszczęścia, jakie dotknęło okolicę. Zaraz zaczęto organizować koncert charytatywny, podczas którego główną gwiazdą miał być sławny tenor. Bilety wstępu rozeszły się niczym świeże bułeczki, zasilając fundusz przeznaczony na rzecz powodzian. Prócz tego zaplanowana została kwesta. Niektórzy mieszkańcy Krynicy, choć sami ponieśli straty, nie wahali się nawet przez moment, by pomóc tym, którzy ucierpieli dotkliwiej.

Trelewiczom przykładowo woda narobiła trochę bałaganu w żegiestowskim pensjonacie, ale poza tym nie mieli powodów do większego narzekania. Bałagan w miarę szybko uprzątnięto.

Józef natomiast zaprzestał pobierania opłat za leczenie ofiar powodzi. Zgłaszali się bowiem do niego ludzie, którzy odnieśli różne urazy podczas walki z żywiołem. Wielu osobom, które solidnie przemokły i cierpiały z powodu przeziębienia, Trelewicz rozdał nieodpłatnie aspirynę oraz inne medykamenty. Pracy miał teraz co niemiara, lecz nie ustawał w wysiłkach.

Lokalna społeczność musiała się solidnie zmobilizować, by usunąć skutki potopu i zapobiec dalszym nieszczęściom.

Zgodnie z przewidywaniami Rapaczów Strzeleccy wzdragali się przed przyjęciem jakiegokolwiek pomocy. Twierdzili, że własnymi siłami odbudują dom, może będzie znacznie mniejszy, ale jakoś sobie poradzą. Kiedy jednak Aurelia wcisnęła w dłoń zaskoczonej Teodozji testament sporządzony u notariusza, nie było już dalszej dyskusji, choć padły słowa wdzięczności oraz że to zdecydowanie za dużo. Polały się także łzy wzruszenia.

Do Klary Bogusz nowina o testamencie dotarła dopiero pod koniec roku, gdy w Boże Narodzenie zajrzeli do niej z wizytą Litworowie. Wówczas to Stach nieopatrznie się wygadał, że siostra dostanie w spadku po ciotce willę. Klara użalała się nad nieszczęściem siostrzenicy i nawet trochę utyskiwała na bogaczkę Drzewicką-Rapacz, która sama siedzi na milionach, a nie pomoże swej wychowance. Stach nie mógł zdzierżyć takich obelg pod adresem niegdysiejszej opiekunki i powiedział Boguszowej o wspaniałomyślnym geście, dodając przy tym nieco złośliwą uwagę, że Aurelia nie jest spokrewniona z Teodozją, a zrobiła dla niej więcej niż prawdziwi krewni.

Klary z trudem zapanowała nad oburzeniem. Dopiero gdy Litworowie opuścili progi jej domu, dała upust emocjom, utyskując na bezczelność siostrzeńca, który śmiał zasugerować,

że nigdy im w żaden sposób nie pomogła. A ona przecież pomagała tak, jak potrafiła najlepiej: zainteresowaniem i dobrym słowem. Czy to mało? Na ostatek jednak parsknęła śmiechem.

– A to dopiero! Emilka dopięła swego! Dom Pod Lipami, na którym tak bardzo jej zależało, wróci w posiadanie naszej rodziny. Teodozja jest doprawdy w czepku urodzona! – stwierdziła z satysfakcją.

TO, CO NAJWAŻNIEJSZE

Rok 1937

Krynica

W Krynicy robiło się światowo. Beskidzkie uzdrowisko z roku na rok przyciągało coraz większe rzesze kuracjuszy oraz osób łaknących dobrej zabawy i było jednym z najmodniejszych miejsc wypoczynku zamożnych Polaków. Nic więc dziwnego, że w styczniu w hotelu Patria pojawili się tajemniczy zagraniczni goście, których wizyta poruszyła całe miasteczko. W ślad za nimi przybyły rzesze dziennikarzy, więc szybko wyszło na jaw, że u Jana Kiepurzy swój miesiąc miodowy spędza holenderska następczyni tronu księżniczka Juliana⁴¹ wraz ze swoim świeżo poślubionym małżonkiem – niemieckim księciem Bernhardem Lippe-Biesterfeldem⁴². To dowodziło tylko najwyższego poziomu usług świadczonych przez Patrię. Kiepurze wydarzenie to zrobiło fenomenalną reklamę, bowiem jego hotel określano na łamach prasy „Paryżem na polskim pustkowiu”.

Uszczęśliwiony tak zacnymi gośćmi tenor udzielił dość muzykalnemu księciu lekcji śpiewu. Księżniczka natomiast w wielkim sekrecie konsultowała się z doktorem Mieczysławem Dukietem⁴³ słynącym ze skutecznych metod leczenia bezpłodności. Kuracja owa była nieco na wyrost, gdyż związek małżeński miał zaledwie kilkudniowy staż. Chodziły jednak słuchy, że Julianę skłoniły ku temu problemy, jakie wcześniej miała jej matka. Skoro więc nadarzyła się okazja,

by konsultować się z wybitnym doktorem, arystokratka postanowiła skorzystać.

Młodzi małżonkowie z entuzjazmem oddawali się wszystkim rozrywkom oferowanym przez modny kurort, dobrze się bawiąc w towarzystwie Jana Kiepury oraz jego niedawno poślubionej wybranki Marty Eggert⁴⁴. Panie zapalały do siebie ogromną sympatią i często płatały różne figle innym kuracjuszom. Zdarzało im się chociażby przemykać korytarzami i podmieniać buty stojące przed drzwiami pokoi. Nie obyło się bez dobrej zabawy w postaci koncertów, balów, kuligów czy jazdy na nartach. Juliana często zachodziła do pijalni, gdzie spożywała zalecaną przez Dukietę wodę.

Kuracja w zdroju okazała się nader skuteczna, gdyż krótko po wyjeździe małżonków z Holandii nadeszła wspaniała nowina, że Juliana jest przy nadziei.

Pewnego popołudnia do domu Pod Lipami zawitał Lucjan i oznajmił, że tartak w Słotwinach otrzymał zamówienie na niewielką ilość drewna bukowego oraz dębowego w najlepszym gatunku. I że zamówienie to złożył sam dyrektor Lasów Państwowych na zlecenie polskiego rządu.

– Ciekaw jestem, po co im to drewno? – zastanowił się na ostatek.

– A ja wiem – odparła matka, robiąc tajemniczą minę. – Zanim pan dyrektor zjawił się u ciebie, trafił tutaj. Myślał chyba, że to ja wciąż podejmuję najważniejsze decyzje, i chciał mi w ten sposób okazać szacunek. Dobrze sobie! – Zachichotała. – Pokaż mi kobietę w moim wieku, która zarządza tak wielkim przedsiębiorstwem.

Niebawem miała ukończyć sześćdziesiąty siódmy rok życia. Od dawna nie mieszała się w sprawy tartaku, chociaż interesowała się poczynaniami Lucjana.

– Zdradzisz mi ten sekret? Bo rzecz wygląda arcyciekawie.

– Nie będę cię trzymała w napięciu. Pamiętasz księżniczkę Julianę, która wraz z mężem gościła tutaj pewnego styczniowego popołudnia? Był wtedy również obecny Jan Kiepura z żoną.

– No ba! Pierwsza tak utytułowana osoba w domu Pod Lipami mocno zaprzętała twoją, a przy okazji również naszą uwagę – stwierdził syn. – I skutecznie przyćmiła niekwestionowany brylant w osobie sławnego tenora. Do tej pory nikt nie zdołał dokonać tej sztuki.

– Otóż Juliana spodziewa się maleństwa. A nasz rząd oraz Dyrekcja Lasów Państwowych chcą przekazać w darze dla królewskiej pary ręcznie rzeźbioną kołyskę. Projekt jej wykonania zlecono Janowi Bogusławskiemu⁴⁵.

– Ja nie mogę! Królewiatko będzie spało na naszych deskach? – sapnął przejęty Lucjan.

– Być może. – Aurelia puściła oko do syna.

Stach miał kochankę.

Konstancja wiedziała o tym, ponieważ przestał nachodzić ją nocami.

Zadziwiające, jak mało ją to obchodziło. Nie czuła zazdrości, jedynie obawę, że może się rozpaść jej małżeństwo.

Właściwie nigdy w życiu by na to nie wpadła, ponieważ mąż wciąż traktował ją z szacunkiem. W domu nic się nie zmieniło, nie było mowy o rozwodzie, czego Konstancja na początku bardzo się obawiała.

Nie miała nic przeciwko dzieleniu się ślubnym z inną. Dbała o niego jak zawsze. Była troskliwa i uważająca. Pilnowała, by smacznie jadał i chodził dobrze ubrany. Obydwoje zachowywali się jak gdyby nigdy nic.

Ona wolała udawać, że o niczym nie wie.

On łudził się, że ślubna go nie rozszyfrowała. Nie chciał jej ranić, ponieważ wciąż ją kochał, ale miał potrzeby, których nie była w stanie zaspokoić.

Nasze małżeństwo jest chore – myślało każde z nich z osobna.

Mimo wszystko byli jednak ze sobą szczęśliwi. I kochali się – platonicznie.

W oczach Konstancji znowu zaczęły migotać radosne iskierki. Stachowi wrócił dobry humor.

Powroźnik

Nikifor otworzył wieko drewnianej skrzyni, w której przechowywał swoje najcenniejsze rzeczy. Mimo że zawsze starannie ją zamykał, każdego dnia przed wyjściem z domu oraz po powrocie ze swych wędrówek sprawdzał zawartość. Trzymał w niej ukończone dzieła oraz zapas artykułów malarskich. Ale prócz tego miał tam jeszcze wielki skarb otrzymany w darze od pewnego malarza. Był to pakiet zeszytów opatrzonych dziwacznymi tytułami. Nawet nie potrafił odczytać nagłówków, chociaż litery, jakimi je zapisano, przypominały do złudzenia te pochodzące z alfabetu służącego Polakom oraz Austriakom. W czasach gdy Austriacy panoszyli się po Beskidzie, Nikifor przez krótki czas uczęszczał do szkoły i tam uczono go tych znaków. Niewiele jednak z owej edukacji zapamiętał, choć frapowały go bardziej niż cyrylica służąca Rusnakom, i właśnie dlatego wykorzystywał łacińskie litery na swych pracach. Zdecydowanie łatwiej przychodziło mu odczytywanie liczb naniesionych obok tytułów czasopisma. Potrafił je nawet uszeregować od 37 do 60.

Lubił oglądać owe publikacje, choć starał się robić to rzadko, by ich nie uszkodzić. Tego dnia jednak uległ pokusie i sięgnął po jeden z egzemplarzy opatrzonych nagłówkiem

*Monographies de bâtiments modernes*⁴⁶. Otworzył go i powoli przekartkował, przyglądając się czarno-białym rysunkom przedstawiającym wille przypominające nieco krynickie zabudowania. Człowiek, który mu je ofiarował, wierzył w jego talent. Próbował mu nawet coś powiedzieć na temat malowania. To na polecenie ma-lar-sa przejętego losem ubogiego Łemka kilka lat wcześniej dwaj dżentelmeni zabrali Nikifora z Krynicy i próbowali wprowadzić do A-ka-de-mji, aby tam uczył się sztuki. Z nauki niewiele wyszło, ale Nikiforowi została piękna pamiątka po tamtych chwilach i mnóstwo wspomnień.

Łemko po raz ostatni pogładził kciukiem okładkę zeszytu, a następnie odłożył go na miejsce, dbając o to, by nie uszkodzić i nie zagiąć rogów periodyku. Później zamknął skrzynię na kłódkę.

Sięgnął po flaszkę z wodą kolońską i solidnie się skropił. Poprawił kołnierzyk znoszonej koszuli, włożył mocno wyświechtaną marynarkę. Pragnął chociaż trochę upodobnić się do dżentelmenów, których widywał na deptakach w Krynicy, Muszynie czy Żegiestowie. Oni zawsze nosili eleganckie ubrania i ładnie pachnieli. Dawno temu umyślił sobie, że jeżeli będzie ich naśladował, to może ludzie zaczną traktować go z większym szacunkiem i zechcą kupować jego dzieła.

Na ostatek wziął w rękę walizkę oraz oprawiony w drewnianą ramkę list proszalny, a potem wyruszył w drogę do Krynicy. Czekał go kolejny pracowity dzień.

Nie opuszczało go przecucie, iż moment, w którym wielki świat okrzyknie go prawdziwym artystą malarzem, jest coraz bliżej, wszak pojawiały się już pierwsze jaskółki, gdy zaproszono go do A-ka-de-mji lub wystawiano jego prace

we Lwowie oraz w Paryżu. Paryża nie widział na własne oczy, ale pan Turyn mu wspomniał, że to wielkie i wspaniałe miasto. Większe nawet od Warszawy. A potem jeszcze napisano o Nikiforze w gazecie.

Krynica zmieniała się na oczach ubogiego Łemka. Nie wszystko chciał utrwać. Nie podobały mu się nowe budynki, o których mawiano, że powstają w modernistycznym stylu.

Cóż to za styl? – zżymał się w duchu.

Prawdziwie stylowe były drewniane, bajecznie kolorowe wille. Problem w tym, że te powoli zaczynały znikać z pejzażu miasta, jak choćby willa Pod Orłem, w której niegdyś mieściła się apteka prowadzona przez Nitribittów. Teraz w tym miejscu miał stanąć Nowy Dom Zdrojowy. Nikifor przeczuwał, że ów budynek będzie go odstręczał swą bryłą i zupełnie nie wkomponuje się w panoramę Krynicy. Artysta uważał, że w jego dłoniach spoczywa nader ważna misja. Musiał ocalić takie domy od zapomnienia i uwiecznić je dla potomnych, zanim zostaną rozebrane. Pragnął, by kuracjusze przyjeżdżający do uzdrowiska spoglądali na nie tak samo jak on – równie zachwyconymi oczami. I aby wiedzieli, że Krynica nie zawsze była murowana. Że kiedyś większość budynków wznoszono z drewna i każdy z nich ozdobiony był mnóstwem ażurowych detali – pięknych, przyciągających wzrok. Takich, jakich nie można zobaczyć ani we Lwowie, ani w Warszawie, ani zapewne w Paryżu. Tych miast nie dawało się w żaden sposób równać z jego ukochaną Krynica.

Krynica

Grubo by się pomylił ten, kto by pomyślał, że podczas wizyty książęcej pary Krynica osiągnęła kres swoich możliwości. To miasto zdawało się żyć własnym życiem i wciąż rozkwitać,

a jego włodarze oraz mieszkańcy wręcz prześcigali się w dogadzaniu zamożnym kuracjom.

Miasto rozbudowywało się na potęgę, powstały Nowe Łazienki Mineralne, wznoszono Nowy Dom Zdrojowy. Planowano także budowę innych obiektów, w większości służących sportom zimowym, a od niedawna na Górę Parkową można było dostać się kolejką linową. To była nie lada atrakcja, z której ochoczo korzystali zarówno kuracjusze, jak i stali mieszkańcy miasta. Teatr Modrzewiowy wciąż wystawiał świetne przedstawienia, w których główne role obsadzali najlepsi polscy aktorzy.

Tylko kino nie cieszyło się wśród elit żadną estymą. W porównaniu z teatrem wypadało nader słabo. Socjeta traktowała je jako rozrywkę dla plebsu. Niemniej jednak kiedy na ekrany wszedł film *Książątko* nakręcony w uzdrowisku, przyciągnął wielu widzów. Na premierę dotarli Trelewiczowie, Rapaczowie, Strzeleccy, Litworowie i wiele innych zacnych rodzin.

Przed wejściem do sali kinowej doktorostwo natknęli się na Strzeleckich. Wiktoria, którą od lat trawiła zazdrość o Teodozję, zżymała się w duchu, że nie zdoła zapobiec kolejnemu zetknięciu się męża z jego niegdysiejszą ukochaną. Przeszłość wciąż piekła ją do żywego, a odkąd Strzelecka ponownie zamieszkała w uzdrowisku, Wiktoria nie zaznała ani chwili spokoju. Bała się, że pewnego dnia dawne uczucia męża odżyją. Starła się więc nie utrzymywać ze Strzeleckimi bliskich relacji, chociaż spotkania były nieuniknione, gdyż nie wypadało odrzucać zaproszeń do domu Pod Lipami.

Jak na złość po seansie Nikodem zatrzymał na moment Józefa. Chciał u niego zasięgnąć drobnej porady. Panie w tym czasie wymieniały się spostrzeżeniami na temat dzieci. Wiktoria od razu skorzystała z okazji, aby wbić szpilkę Teodozji.

– Powinnaś zwrócić uwagę na poczynania swojego syna. Kilka dni temu widziałam, jak Jonasz wraz z grupką kolegów dokuczał pewnemu łemkowskiemu przybłędzie. Chodzi mi o nędzarza, który uważa się za wielkiego artystę. Odnosiłam wrażenie, że Jonasz był prowodyrem tej nieprzyjemnej sytuacji. Bardzo mi się to nie spodobało. Oczywiście podeszłam do chłopaków, by zrobić z nimi porządek. Zaznaczam, że jeżeli nie wpłyniesz na syna, będę musiała zakazać naszemu Tadziowi kontaktów z Jonaszem. Bardzo bym nie chciała, aby twój chłopak miał zły wpływ na naszego.

Teodozja zamarła, słysząc ostre słowa Trelewiczowej. Od razu przypomniała sobie, jak przed laty Stanisław dokuczał temu samemu człowiekowi. Sęk w tym, że wówczas były to przepychanki pomiędzy chłopakami będącymi mniej więcej w zbliżonym wieku. Teraz dzieciaki pastwiły się nad znacznie starszym mężczyzną. To było wyjątkowo niegodziwe, ponieważ on był niepełnosprawny, a oni zawsze mieli przewagę liczebną. W grupie nie brakowało im odwagi, w pojedynkę pewnie żaden nie odważyłby się tak postępować. Sama niejedną raz widziała z daleka podobne sytuacje. Nie miała jednak pojęcia, że jej syn bierze w tym udział. Od razu postanowiła, że rozprawi się z łobuzem.

– Bardzo mi przykro, że doszło do czegoś takiego. Oczywiście zajmę się tą sprawą – odparła ugodowo. – Jesteś pewna, że to mój syn był inicjatorem? – wołała się upewnić.

Nie dowierzała Wiktorii. Wyczuwała niechęć tej kobiety względem siebie. Nigdy nie były przyjaciółkami. Czasami nawet Teodozja zastanawiała się, czy Wiktor wie o zdradach Augusta. Nieważne, że od tamtej pory minęło wiele lat, a one pomału zaczynały się starzeć, zadra musiała pozostać. Teodozja uznała, że w rachubę raczej nie wchodzi zazdrość o Józefa. Trelewicz

nigdy nie posunął się w rozmowach lub gestach zbyt daleko. Zawsze traktował Teodozję z chłodnym, acz uprzejmym dystansem, nie dając Wiktorii powodów do tak niskich uczuć.

Czy kobieta dobiegająca pięćdziesiątki może jeszcze w kimkolwiek wzbudzać pożądanie? – zastanawiała się Strzelecka. Zdawała sobie sprawę z upływu czasu. Lustro ujawniało siwiejące włosy i pogłębiające się zmarszczki. Niemalże czuła, jak przekwita. Skąd więc miałyby się wziąć zazdrość, skoro Wiktoria wciąż wyglądała pięknie i przyćmiewała urodą niejedną młodszą damę? Musiało zatem chodzić o coś innego. A może to po prostu była zwykła niechęć?

Następne słowa Wiktorii sprawiły Teodozji jeszcze większą przykrość.

– Ależ owszem, doskonale wiem, co mówię. A ty zdajesz się bagatelizować problem. W gruncie rzeczy wcale mnie to nie dziwi. W młodości byłaś niezłym ziółkiem. Jak widać, niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Wiktorio, jak możesz?! – wykrzyknął Józef, który usłyszał ostatnie zdanie.

– Nie broń tej kobiety. Dobrze wiem, do czego jest zdolna – rzuciła pogardliwie.

– No, no! Wypraszam sobie, droga pani! – huknął Nikodem w obronie ślubnej.

– Najmocniej przepraszam! – Józef poczuł potrzebę, by jakoś usprawiedliwić niezręczną sytuację. – Żona jest w złej formie.

Ujął kobietę pod ramię i bezceremonialnie odciągnął na bok, by uniknąć awantury w miejscu publicznym. Czuł jednak, że nie obejdzie się bez przeproszenia Strzeleckich, ale postanowił zostawić to na inny moment.

– Moja droga, zdaje się, że mamy ze sobą do pomówienia! – powiedział ostro. – Ale zrobimy to w domu.

Trelewiczowie pospiesznie odeszli. Strzelecka została sama z mężem.

– Możesz mi wyjaśnić, Teosiu, dlaczego ta kobieta zionie do ciebie taką niechęcią? – zapytał Nikodem o coś, co już od dłuższego czasu nie dawało mu spokoju. Zauważył bowiem, że Trelewiczowa wybitnie unika jego żony.

Teodozja westchnęła ciężko. Nie chciała rozdrapywać ran sprzed wielu lat. Nie miała także pewności, ile wie Wiktoria. Podejrzewała jednak, że wszystko, choć nie przypuszczała, by Trelewiczowa kiedykolwiek zdobyła się na odwagę, aby powiedzieć o tym wprost.

– Dawno temu Józef uznawany był za mojego adoratora. Widocznie ona uważa, że ten afekt nigdy mu nie przeszedł. To zdumiewające, że jest o mnie zazdrosna, zważywszy, że nigdy nie dawałam Józefowi nawet cienia nadziei, a on nie zdecydował się oświadczyć – podała wytłumaczenie, które wydało jej się równie prawdopodobne jak podejrzania, że Wiktoria wie o zdradzie. Z całą pewnością było łatwiejsze do przełknięcia.

– W gruncie rzeczy jej się nie dziwię, aniele mój. Jesteś nietuzinkową osobą. Dam głowę, że gdy byłaś panną, niejeden mężczyzna marzył o tym, aby cię poślubić. Dobrze wiesz, że mnie zauroczyłaś, będąc debutantką. Trelewiczowa, przy całej swej urodzie, wygląda na osobę niepewną swych atutów, a ponadto ty przyćmiewasz ją intelektem.

Teodozja odetchnęła z ulgą. Za nic w świecie nie chciałyby sprawić mężowi przykrości. Kochała go, był światłem jej życia. Skutecznie potrafił rozproszyć mrok, który wcześniej spowijał je gęstym welonem.

– Możesz mi wreszcie wytłumaczyć żono, o co chodzi z twoją ogromną niechęcią do pani Strzeleckiej? – zapytał Józef, gdy

tylko znalazł się w domu sam na sam ze ślubną. – Mam już dość twojego zachowania. Wciąż czynisz tej kobiecie jakieś przykrości, a odkąd zamieszkała w domu Pod Lipami, unikasz tego miejsca i skracasz wszelkie wizyty do minimum, nawet wówczas gdy mamy okazję spotkać dzięki temu jakieś wybitne osobistości. Do tej pory jednak tego nie komentowałem, bo wszystko mieściło się w granicach zasad dobrego wychowania. Dzisiaj jednak przeszłaś samą siebie. Żądam wyjaśnień.

– Nie powinienes jej bronić. Kto jak kto, ale ty winien jesteś stać po mojej stronie.

– A niby dlaczego?

– Bo jesteś moim mężem.

– Oczywiście, że nim jestem, ale ty zachowujesz się irracjonalnie. Na litość boską, kobieto! Masz piąty krzyżyk na karku. Powagi i rozwagi! – rzucił zgryźliwie. A potem spojrzał podejrzliwie na żonę. – Nie wyznasz mi chyba, że jesteś zazdrosna o Strzelecką?

– Owszem, jestem. Zanim zacząłeś się do mnie zalecać, łączono cię z nią w parę.

– Ależ Wiktorio! To było tak dawno temu, że nikt już dzisiaj o tym nie pamięta. Poza tym nigdy nie poprosiłem o jej rękę. To chyba o czymś świadczy.

– Dla mnie to bez znaczenia.

– Kobiety są najbardziej zadziwiającymi stworzeniami na świecie – westchnął Józef. – Jeśli nie mają rzeczywistego powodu do zmartwienia, muszą go sobie same wymyślić.

– Naprawdę uważasz, że nie mam powodu do zmartwienia? – prychnęła Wiktoria. – Doskonale wiemy o tym, że przed laty byłeś nią zafascynowany. Chociaż sama byłam zajęta, nie uszło mojej uwadze, co dzieje się wokół. Widziałam wówczas, jak

na nią spoglądałeś. Byłam głęboko przekonana, że poprosisz państwa Rapaczów o jej rękę. Wszyscy o tym mówili, ale tylko baczni obserwatorzy dodawali szeptem, że boisz się rekuzy. Teodozja, zanim podjęła tę dziwaczną decyzję o nauce, wręcz słynęła z wybredności. Kręciła nosem na każdego kawalera, który się nią zainteresował. Mawiało się wtedy, że mierzy wysoko. Według mnie mierzyła zdecydowanie zbyt wysoko – podsumowała cierpko.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Józef.

Wiktoria spłonęła rumieńcem, poczuła, że mocno się zagalopowała. Wstyd by jej było wyznać przed mężem prawdę.

– Nic takiego. Miała apetyt na mężczyznę, który był poza jej zasięgiem – wybrnęła dyplomatycznie, a przynajmniej tak jej się wydawało.

Józef jednak był już zniecierpliwiony pokrętnymi odpowiedziami i dziwnym postępowaniem Wiktorii. Miał tego dość i postanowił raz na zawsze oczyścić atmosferę.

– Czy podejrzewasz, iż Teodozja chciała wyjść za mąż za Augusta?

Trafił w samo sedno. Kobieta pobladła, słysząc jego słowa.

– Zamilcz! – wykrzyknęła.

– A więc jednak – stwierdził triumfalnie. – Wiedziałaś o wszystkim? – drążył.

– O czym? – udała zdziwienie. – O tym, że chciała się za niego wydać? Pff! On i tak wybrał mnie, a nią wzgardził.

– To dlatego jesteś o mnie taka zazdrosna? No, powiedz. Chcę znać prawdę. Czy to z powodu Teodozji zaczęliśmy się rozmijać? Bo dwukrotnie poczułaś zagrożenie z jej strony?

Nie miała odwagi, by przyznać to wprost. Mąż jednak świdrował ją wzrokiem. Opuściła powieki, nie mogąc znieść jego spojrzenia.

– Czy możesz być ze mną szczerą chociaż ten jeden raz?
– Nigdy cię nie okłamywałam. Zawsze byłam z tobą szczerą.
– A jednak masz przede mną sekret.
– Nie, to żaden sekret. Mąż mnie zdradzał. Mówiłam ci o tym jeszcze przed ślubem, tylko że wtedy nie wiedziałam, z kim prowadzi się August. Nie przypuszczałam, że moją rywalką jest kobieta, która wzbudzała emocje i w tobie, i w nim – odparła z rozgoryczeniem. Bała się, że lada moment może wybuchnąć płaczem. Ostatecznie poddała się i wyłkała: – Tak, wiem, że August zdradzał mnie z Teodozją. Wiem także, że ty się w niej kochałeś. Od lat zastanawiam się, czy poślubiłeś mnie wyłącznie dlatego, że byłam wdową po twoim rywalu. Bo i ty wiedziałeś o romansie Augusta, prawda? To o Teodozję ci chodziło, gdy tuż po naszym ślubie wygadałeś się, że nakryłeś mojego pierwszego męża na schadzce. Po co ci to było? Chciałeś mieć satysfakcję, że zdobyłeś kobietę, która wcześniej była jego, tak jak on zabrał ci Teodozję?

– Nie! To nie tak! – wykrzyknął Józef.

– A jak? Nie widzę tego inaczej. Wy mężczyźni jesteście okropni! Kiedy cierpi wasze urażone ego, musicie zrobić co tylko w waszej mocy, by zemścić się na wrogu. Nieważne jakim kosztem. Dla was kobiety są jedynie zabawkami!

– Błagam, Wiktorio, nie mów takich rzeczy! Kocham cię. Jesteś moją żoną – dodał znacznie łagodniejszym tonem.

– Chciałabym ci wierzyć, ale prawda jest taka, że skierowałeś ku mnie swe zainteresowanie wtedy, kiedy w Krynicy rozeszły się wieści, że Teodozja wychodzi za mąż. Straciłeś ostatnią nadzieję na małżeństwo z tamtą kobietą i postanowiłeś wybić klin klinem? Padło na mnie, tak?

Józef stał ze zwieszonymi ramionami, słuchając wywodów żony. Rozszyfrowała go. Starając się o jej rękę, faktycznie miał

takie pobudki. Ale później po prostu się w niej zakochał. I teraz nie wyobrażał sobie życia bez Wiktorii. Była całym jego światem.

Czy ich małżeństwo da się jeszcze uratować?

– Zaufaj mi, Wiktorio. Jakkolwiek by to wyglądało, kocham cię całym sercem. Jesteś dla mnie wszystkim. Zapomnij o Teodozji, przestań się nią zadrećzać. Ona jest mężatką i widać, że z Nikodemem jest szczęśliwa. Tak jak ja jestem szczęśliwy z tobą. Przyznaję, że przed laty rzeczywiście odczuwałem drobną satysfakcję na myśl o tym, że biorę odwet na Orzechowskim. Ale to było krótkotrwałe doznanie. Wiktorio, powiedz: czy kiedykolwiek dałem ci realny powód do zazdrości? Teodozja jest mi całkowicie obojętna. Jeśli z nią rozmawiam, robię to wyłącznie dlatego, że tak nakazuje grzeczność. Błagam, zaufaj mi. Nie przekreślaj szesnastu lat naszego związku. Bez ciebie moje życie całkowicie straci sens.

Nie czekając na odpowiedź, porwał żonę w ramiona i mocno ją do siebie przytulił. Zatopił twarz w jej starannie ułożonych włosach. Napawał się zapachem perfum. Kobieta wyczuwała delikatne drżenie jego ciała.

– Wiktorio, Wiktorio, Wiktorio. Co mam zrobić, abyś mi uwierzyła?

Odsunął ją na wyciągnięcie ramion i zajrzał jej w oczy. Zatonęła w ich ciepłe. Nagle zrozumiała, że nigdy żaden mężczyzna nie spoglądał na nią w taki sposób. Kiedy była z Augustem, wciąż odnosiła wrażenie, że mąż nie patrzy na nią, lecz przez nią, jakby była przezroczysta.

Wyciągnęła dłoń i dotknęła twarzy Józefa. Powiodła opuszkami po gładko ogolonym policzku. *Na litość boską! Nie jesteśmy już młokosami!* – skarciła samą siebie w duchu. – *A ja wciąż zachowuję się jak nieopierzony podłotek. To, że raz moje*

uczucia zostały zdeptane, nie oznacza, że przez resztę życia mam być podejrzliwa.

– Ja też cię kocham, Józefie. Serce pękało mi na myśl o tym, że historia może się powtórzyć. Przepraszam. Nie powinnam cię mierzyć tą samą miarą co Augusta.

– Wiesz, Matyldo? Zabawne jest to, jak czasami plecie się nasze życie – powiedziała Aurelia pewnego dnia, gdy przyjaciółki niespiesznie przechadzały się po parku zdrojowym.

Na Górę Parkową wjechały kolejką linową, lubiły najnowszą atrakcję uzdrowiska. Zresztą ostatnio nawet Aurelia z niechęcią przyznawała, że ma coraz słabszą kondycję i szybciej się męczy. Nic dziwnego, skoro wiosną ukończyła sześćdziesiąty siódmy rok życia.

– Zawsze byłam tego zdania. Często o czymś marzymy lub planujemy sobie przyszłość, a przewrotny los śmieje nam się w twarz. Ja na przykład zawsze marzyłam, aby Wisienka wyszła za mąż i urodziła dzieci. I cóż z tego się spełniło? Wyłącznie dziecko, a i to nie jej własne, tylko przygarnięte – odparła Matylda.

– Wisława być może nigdy nie zdecyduje się na małżeństwo. Ale ja uważam – powiedziała Drzewicka-Rapacz – że Wiktor jest dla niej prawdziwym błogosławieństwem. Nie można jej winić, że wychowuje chłopca samotnie. Dała mu dom, to jest właśnie najważniejsze w jego życiu: nie trafił do przytułku, ma matkę, która bardzo go kocha. Przecież widzę, jak wspaniała więź łączy tych dwoje.

– Ach! Ale ludzie gadają – westchnęła Juraszkowa.

Córka z „wnuczkiem” od tygodnia bawiła w Powroźniku. Każdy ich przyjazd na wieś wzbudzał niezdrowe zainteresowanie ziomków. Matylda nie ustawała w tłumaczeniu znajomym, że Wiktor nie jest żadnym bękartem. Potem

machnęła na to ręką, chociaż odczuwała wielką przykrość na myśl, że szkaluje się jej córkę. Gdy chłopiec nauczył się mówić, siłą rzeczy zaczął nazywać Wisławę mamą. A ona nigdy tego nie prostowała, choć twierdziła, że kiedyś zdradzi prawdę wychowankowi. Dla wieśniaków słowo „mama” w ustach dziecka było wodą na młyn.

Aurelia już niejedną raz pocieszała Matyldę, że plotkarze kiedyś dadzą spokój Wisience, bo znajdą sobie inny temat do rozmów. Miała w tej kwestii ogromne doświadczenie, sama bywała bohaterką plotek nader często. Do tej pory o niej gadano, zdawała sobie z tego sprawę.

– Kochana! O mnie ludzie mówią, że podobnie jak przed laty Felicycyta, ja także kupiłam sobie rodzinę. Wieści o testamencie zdążyły się rozpowszechnić w Krynicy. I coś mi się wydaje, że stoi za tym Klara. Pewnie ona rozpowiedziała wszystko swoim znajomym, a ci nie zostawili na mnie suchej nitki.

– Głupota! – prychnęła przyjaciółka. – Przecież ty masz rodzone dzieci, niczego sobie nie kupiłaś. Zresztą w przyszłości Teodozja dostanie tylko dom, całą resztę otrzymali Lucjan z Beatą.

– Otóż to. Ale niektórzy uważają, że bałam się samotnej starości. Bo córka opuściła mnie i zaszyła się w Krakowie, a syn zamieszkuje u żony. Musiałam więc być nie najlepszą matką, skoro nie mogę liczyć na własne pociechy, a opieki na stare lata oczekuję od wychowanicy. Nawiasem mówiąc, sama widzę w tym pewną ironię losu. Albo inaczej: przygarniając Litworzątkę, nie myślałam, że tak mocno związę się z nimi emocjonalnie. Historia zatoczyła koło i podobnie jak przed laty Felicycyta pokochała mnie, tak teraz ja przyznaję, że Teodozja jest mi pociechą i opromienia mój świat. Dzięki niej tęsknota za

Beatką staje się łatwiejsza do zniesienia. Tylko ci wstrętnei plotkarze... Czy oni już nigdy nie zostawią mnie w spokoju?

– Ech... Okropne pleciugi! Uff... Ależ się zmęczyłam. Starość nie radość – sapnęła Juraszkowa, której w ostatnim czasie ubyło parę kilogramów, lecz to nie przełożyło się znacząco na jej formę. – Co nas tutaj przygnało? – zapytała, gdyż zbliżały się właśnie do Źródelka Miłości.

– Nie narzekaj na kondycję, nie ma dramatu. Na pocieszenie mogę ci wyznać, że mnie też przechadzki nie sprawiają już tyle radości co niegdyś. Ale trzeba czasami rozprostować nie najmłodsze kości i zmusić się do wysiłku – oznajmiła.

– Aha! A przy okazji skosztować cudownej wody. W każdym razie ja muszę się napić, bo inaczej wyzionę ducha – stwierdziła Juraszkowa, nachylając się nad ruczajem.

– Uważaj, abys się nie pośliznęła. Pewnie miałabym znaczny problem z tym, by cię pozbiierać z dna strumyka. Przyznaję bez bicia: brak mi już sił na takie ekscesy.

Aurelia obserwowała ruchy przyjaciółki, gotowa, by w każdej chwili posłużyć jej pomocą. Ta jednak dość sprawnie poruszała się pomiędzy kamieniami.

– Teraz twoja kolej – odparła Matylda, trzymając wciąż dłonie ułożone w dość szczelną miseczkę.

– To oczywiste, że też się napiję, skoro już tutaj jestem – powiedziała Drzewicka-Rapacz, czerpiąc z krynicy. – Chcę wypić za to, by ludzkością zawsze rządziła miłość.

Chociaż od dłuższego czasu ze świata znowu napływały różne niepokojące wieści, starała się wierzyć, że piekło minionej wojny nauczyło już czegoś ludzi i w porę się opamiętają. Wszak niemożliwe było, aby nie zostały wyciągnięte wnioski i aby śmierć milionów istnień była daremną ofiarą.

– A za przyjaźń? – zapytała Matylda, wznosząc udawany toast.

– No ba! I za przyjaźń, i za miłość! Oby także nasi bliscy zaznali jej jak najwięcej!

Nad głowami kobiet świergotały radośnie ptaki, a wiatr szumiał delikatnie w koronach drzew.

– Mój Boże! Jaki tutaj panuje błogi spokój! – Aurelia odetchnęła pełną piersią.

Niemożliwe, by ktokolwiek chciał tę ciszę zakłócić!

Rok 1938

Roman Turyn daremnie wypatrywał na krynickim deptaku znajomej postaci. Szukał drobnego, wręcz cherlawego mężczyzny o nieco wypukłym i dość szerokim czole, odzianego w wyświechtany garnitur i podniszczone trzewiki – ubogiego Łemka, który chciałby chociaż trochę upodobnić się do dżentelmenów spacerujących po urokliwym kurorcie.

Przeszedł już przez cały deptak. Ba! Minął rozstaje dróg i dotarł w pobliże Nowych Łazienek Mineralnych. Tam, przy ulicy Pułaskiego, w końcu wypatrzył Nikifora siedzącego na murku okalającym skwer. Wiedział, że to jedno z ulubionych miejsc artysty, bowiem nachylenie ulicy sprawiało, że murek mógł jednocześnie służyć jako siedzisko oraz warsztat pracy.

Nie był zdziwiony, widząc, że Nikifor pochłonięty jest malowaniem. Przez chwilę w milczeniu obserwował, jak Łemko nanosi kolory na przygotowany wcześniej szkic. Zdusił chichot, widząc nieistniejącą fontannę z amorkiem dorysowaną przed Nowym Domem Zdrojowym, a na innym obrazku ewidentnie współczesny budynek „poprawiony” kilkoma wieżyczkami oraz spadzistym dachem.

– Nikiforze, ten hotel wygląda zupełnie inaczej – pozwolił sobie zauważyć. – To modernistyczna budowla. Modernizm – zaakcentował – charakteryzuje się prostymi bryłami, płaskimi

dachami i balustradami okalającymi balkony przywodzące na myśl mostek kapitański. Wiesz, co to mostek kapitański? Widziałeś kiedyś okręt?

– Nie zna się na sztuce – burknął nieuprzejmie artysta. – Krynica drewniana. Piękna. Tak namalowała, tak zostanie – skwitował dość nieskładnie malarz.

Roman wzruszył ramionami. Właściwie co go obchodziło, ile prawdy jest w sztuce Nikifora? Wszak artyście wolno kłamać na płótnach i mocno naginać rzeczywistość. Taki Salvador Dalí czy Picasso też tworzą absurdalne dzieła, a jednak ludziom się to podoba. Portrety malowane przez Tamarę Łempicką również są dość zadziwiające. A teraz przyszedł czas na to, by świat dowiedział się czegoś więcej o Nikiforze.

– Zna się, zna – odparł Turyn, wpasowując się w styl mówienia artysty. – Jakby się nie znał, nie zabrałby dzieł Nikifora na wystawę we Lwowie i w Paryżu. Świat zaczyna cię doceniać, Nikiforze! Twoje obrazy zainteresowały cenionego krytyka sztuki Jerzego Wolffa⁴⁷ do tego stopnia, że poświęcił twojej twórczości artykuł w „Arkadach”. Wiesz, co to znaczy, Nikiforze?

Łemko pokręcił głową.

Turyn rozwinął gazetę, którą do tej pory zwiniętą w trąbkę trzymał w dłoni. Starannie ją rozprostował i podał artyście.

– Skoro tutaj o tobie piszą, to oznacza, że świat obwołał cię wielkim malarzem. To pismo dla prawdziwych znawców sztuki!

– Ma-lar-sa? Netyfor ma-lar-sa Ma-tej-ko? – zapytał zaskoczony Nikifor.

– Mniej więcej – odparł Roman. – Jak chcesz, przeczytam ci artykuł – zaproponował, domyślając się, że ma przed sobą półanalfabetę.

Łemko pokiwał głową na znak zgody. Roman rozłożył gazetę. Gdy skończył lekturę, wręczył Nikiforowi egzemplarz publikacji, a następnie zagadnął.

– A jak ty właściwie masz na nazwisko? Wypada, aby jakoś podpisywano twoje przyszłe wystawy, bo na pewno będzie ich wiele. Samo imię to raczej za mało. W świecie liczą się nazwiska. Matejko, Dań, Łempicka, Gierymski, Kossak – wyliczył. – Chociaż akurat w przypadku Gierymskich i Kossaków imię też ma znaczenie.

Łemko spojrzał na niego bezradnie. Zamrugał szybko powiekami. Przed oczami na moment stanęła mu zabiedzona kobiecina dzierzżąca w dłoniach ciężkie kubły z wodą.

– Ne-ty-for – odparł bezradnie i dość cicho.

– Możesz powtórzyć? – poprosił Turyn.

– Niejtor Malarz K Matejko⁴⁸ – wydukał. – Netyfor z Krynicy. Ma-lar-sa.

Koniec Niepołomice, 16 sierpnia 2023 r. Ten dzień był wyjątkowo upalny i zanosilo się na burzę.

OD AUTORKI

Drodzy Czytelnicy,

serdecznie dziękuję za to, że sięgnęliście po kolejną sagę mojego autorstwa. Dzisiaj udało mi się postawić kropkę po ostatnim zdaniu i od razu ogarnęły mnie dwa skrajnie odmienne uczucia. Euforia, ponieważ mam za sobą ogrom pracy oraz długie godziny spędzone nie tylko przed komputerem podczas pisania, ale również na poszukiwaniu różnych informacji, które były niezbędne do stworzenia niniejszej opowieści. Żal, że kończy się przygoda z bohaterami, do których zdążyłam się przyzwyczaić, chociaż czasami nastęrczali mi sporo problemów.

Chciałabym krótko opowiedzieć o kulisach powstawania serii *Saga krynicka*.

Kiedy byłam dziewczynką, przyjeżdżałam do Krynicy na letnie wakacje. Uwielbiałam spędzać tutaj czas. Kosztowałam wód prosto ze źródeł bijących na Górze Parkowej, podziwiałam urokliwe wille w stylu szwajcarskim, a nade wszystko pokochałam lasy otaczające miejscowość.

Na pewno zauważyliście przewijające się przez karty czterech tomów postaci autentyczne, w moim cyklu przywołuję także wiele prawdziwych wydarzeń. Oczywiście sama musiałam się nagłować nad tym, co czuli, mówili i myśleli ludzie, którzy faktycznie żyli w tamtej pięknej epoce. Siłą rzeczy niejednokrotnie włożyłam w usta autentycznych postaci zmyślone dialogi.

Ważną grupę bohaterów stanowią Łemkowie zwani także Rusnakami, czyli wschodniosłowiańska grupa etniczna, która

przed laty licznie zamieszkiwała tereny Beskidu. Ludność ta, usposobiona bardzo pokojowo, zajmowała się głównie rolnictwem. Łemkowie nie przejawiali większych dążeń narodowościowych, lecz faktycznie marzyli o utworzeniu własnego państwa, co poniekąd im się udało, bowiem w dwudziestoleciu międzywojennym zdołali stworzyć własne struktury organizacyjne. Mimo pewnych zawirowań historycznych żyli zgodnie na jednej ziemi z Polakami oraz Żydami. Po drugiej wojnie światowej władza ludowa uznała Łemków za ludność narodowości ukraińskiej i w ramach akcji „Wisła” przesiedliła ich z terenów, które zajmowali od wielu pokoleń, na Ziemię Odzyskaną.

Jednym z przedstawicieli Łemków był przywoływany przeze mnie w powieści Nikifor Krynicki, czyli Epifaniusz Drowniak. Artysta malarz, przedstawiciel prymitywizmu, bardzo późno doczekał się prawdziwego uznania. Przez dziesięciolecia wiódł życie ubogie i naznaczone cierpieniem. Po wojnie trzykrotnie przesiedlany w okolice Szczecina, wracał pieszo do ukochanej Krynicy. Ostatecznie jego stały pobyt w uzdrowisku został usankcjonowany, gdy przypisano mu nazwisko Krynicki. Przez wiele lat nic nie było wiadomo na temat jego pochodzenia, nieznana była także data urodzin. Sam artysta często podpisywał się jako Nikifor z Krynicy lub Matejko, zniekształcając niejednokrotnie własne imię. Szacuje się, że w ciągu całego życia Nikifor stworzył kilkadziesiąt tysięcy dzieł, był wyjątkowo płodny twórczo. Niestety wiele z nich bezpowrotnie zniszczono. Dzisiaj obrazy jego autorstwa znajdują się w prywatnych kolekcjach – głównie zagranicznych, oraz w muzeach i są wysoko cenione.

Dla Jana Kiepurzy hotel Patria w Krynicy na krótko stał się domem rodzinnym, chociaż artysta nieczęsto miał okazję

w nim przebywać. Koncertujący na całym świecie tenor powierzył zarząd nad hotelem swoim rodzicom, dla siebie przeznaczył w Patrii osobny apartament. W czasie drugiej wojny światowej hotel został skonfiskowany przez Niemców, a po jej zakończeniu upaństwowiony. W tym czasie Jan Kiepusza mieszkał poza granicami Polski. Gdy w 1958 roku przybył do ojczyzny, przedstawiciele władzy ludowej nie pozwolili mu przenocować w Patrii, mimo iż tenor koncertował w tym czasie w Krynicy-Zdroju. Artysta, który przez całe życie był patriotą, zmarł na obczyźnie, nie odzyskawszy swej własności.

Krynica nie poniosła większych szkód w czasie zawieruchy wojennej. Elitarne niegdyś uzdrowisko z biegiem czasu stało się dostępne dla wszystkich. Miasto wciąż się rozwija, a jego zabytkowe wille i obiekty cieszą oczy nie tylko amatorów balneoterapii. W Krynicy-Zdroju wciąż pojawiają się interesujące osoby, a ponad głowami kuracjuszy unoszą się duchy doktorów medycyny, artystów, polityków, sportowców oraz innych znanych osobistości. Nie nad każdą ze znanych postaci byłam w stanie pochylić się na kartach mojej powieści. W niektórych przypadkach pojawiły się wyłącznie krótkie wzmianki. O Krynicy-Zdroju można byłoby jeszcze wiele pisać, gdyż jest to miejsce nie tylko piękne, ale również niezwykle inspirujące.

Na koniec chciałabym podziękować wydawnictwu Mando za zaufanie i nader miłą współpracę. Osobne wyrazy uznania jak zawsze kieruję do mojej nieocenionej redaktorki Moniki Orłowskiej, która czuwa nad tym, aby każdy tekst był jak najstaranniej opracowany. Pozdrawiam serdecznie wszystkich blogerów i recenzentów zaangażowanych w promocję mojej twórczości. Dziękuję bibliotekarzom, którzy tak pięknie

upowszechniają czytelnictwo w Polsce, zapraszają mnie na spotkania z czytelnikami i dbają o to, by pisane przeze mnie powieści trafiały na półki w bibliotekach. A wreszcie dziękuję Wam, moi Czytelnicy, za moc pozytywnej energii, jaka płynie do mnie podczas wszelkiego rodzaju spotkań na żywo. Dziękuję także za to, że tak po prostu sięgacie po powieści mojego autorstwa.

Pozdrawiam serdecznie!Edyta Świątek

BIBLIOGRAFIA

- Krynica z Janem Kiepurą w herbie*, red. Danuta Chrostowska, Krynickie Towarzystwo Fotograficzne, Krynica 1999.
- Tadeusz Chrzanowski, *Krynica*, Sport i Turystyka, Warszawa 1980.
- Marceli Ciechanowicz, *Krynica i zdrojowiska karpackie*, Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne, Kraków 1958.
- Piotr Czerwiński, *Vademecum. Historia*, Greg, Kraków 1999.
- Eleonora z Cerchów Gajzlerowa, *Tamten Kraków... Tamta Krynica*, Wydawnictwo SPES, Kraków 2021.
- Piotr Franaszek, *Krajowy szpital powszechny we Lwowie na przełomie XIX i XX wieku*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Jagiellońskiego”, MCCXXXVIII – 2000.
- Historia Polski. Atlas ilustrowany*, Demart, Warszawa 2014.
- Historia. Studia z dziejów prowincji galicyjskiej*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1993.
- Władysław Krygowski, *Krynica, Muszyna, Żegiestów, Piwniczna i okolice*, Sport i Turystyka, Warszawa 1974.
- Krynica*, red. Feliks Kirk, Secesja, Kraków 1994.
- Tomasz Ławecki, Kazimierz Kunicki, *Sekrety Krakowa*, Księży Młyn Dom Wydawniczy Michał Kiliński, Łódź 2017.
- Małgorzata Możdżyńska-Nawotka, *O modach i strojach*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 2004.
- Ignacy Potocki, *Krynica i uzdrowiska Doliny Popradu*, Wydawnictwo Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji, Kraków 1948.

Bartłomiej G. Sala, *Sekrety Krynicy i okolic*, Księży Młyn Dom Wydawniczy Michał Kiliński, Łódź 2019.

Anna Sieradzka, *Tysiąc lat ubiorów w Polsce*, Arkady, Warszawa 2003.

Agnieszka Smerdka, *Historyczne aspekty zawodu położnej w latach 1900–1918 na ziemiach polskich oraz ich porównanie ze współczesnością*, „Kwartalnik Naukowy” 2019, nr 39.

Włodzimierz Sołowjow, *Krótką opowieść o Antychryście*, Wydawnictwo AA, Kraków 2018.

Maria Strzelecka, *Nikifor*, Libra PL, Rzeszów 2022.

Śpiewniczek łemkowski, red. Tomasz Traczyk, Stowarzyszenie Res Carpathica, 2017.

Bożena Urbanek, *Towarzystwa dobroczynności na ziemiach polskich w XIX stuleciu*, „Medycyna Nowożytna” 2003, nr 10/1–2.

Jerzy Waldorff, *Jan Kiepusza*, Polskie Wydawnictwo Muzyczne, 1988.

Agnieszka Zakrzewska, *Deficyt niebieskich migdałów*, Flow, Gdańsk 2022.

Strony internetowe

<https://www.krynica.pl/>

<https://bazhum.muzhp.pl/>

<https://czasemancypantek.pl/>

<https://emisilo.pl/>

<https://historiaposzukaj.pl/>

<https://polska-org.pl/>

<https://strakija.pl/blog/>

<http://new.krynica.pl/>

<https://www.stroj ludowy.com>

<https://historiapolski.eu/>

<https://www.krajoznawcy.info.pl/>

<http://www.muzeumwp.pl/>

<http://warszawa-stolica.pl/>

<https://www.rescarpathica.pl>

\$

SPIS ROZDZIAŁÓW

[W poprzedniej części](#)

1. [Rozrachunki](#)

2. [Przedślubny zamęt](#)

3. [Problemy małżeńskie](#)

4. [Hiszpański pocałunek](#)

5. [Nadzieje](#)

6. [Giełda matrymonialna](#)

7. [Echo przeszłości](#)

8. [Narzeczeni](#)

9. [Rabuś](#)

10. [Czas powitań i czas pożegnań](#)

11. [Zazdrość](#)

12. [Sztuka](#)

13. [Dom](#)

14. [Wielka woda](#)

15. [Pejzaż po kataklizmie](#)

16. [To, co najważniejsze](#)

[Od autorki](#)

[Bibliografia](#)

PRZYPISY KOŃCOWE

- ¹ Polska nazwa schorzenia wywołanego wirusem typu H1N1.
- ² Mychajło Jurczakewycz (1869–1952) – ksiądz greckokatolicki, przewodniczący Rady Zwierzchniej Łemkowskiej Rusi. Uczestnik i reprezentant delegacji łemkowskiej na konferencji pokojowej w Paryżu w 1919 r.
- ³ Tomáš Masaryk (1850–1937) – pierwszy prezydent Czechosłowacji powołany na stanowisko w 1918 r.
- ⁴ Roman Nitribitt (1893–1988) – aptekarz krynicki, działacz społeczny.
- ⁵ Postać autentyczna.
- ⁶ Szynion – przypinany warkocz.
- ⁷ Antoni Cierplikowski, pseudonim Antoine (1884–1976) – polski fryzjer o międzynarodowej sławie, twórca nowoczesnego fryzjerstwa, stylistą, producent kosmetyków. Zaskłynął jako autor fryzury „na chłopczycę”, lansując krótkie fryzury pań.
- ⁸ Fryzura à la garçonne – uczesanie na chłopczycę, wylansowane w 1912 r.
- ⁹ Mowa o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej z d. Kossak (1891–1945), córce Wojciecha Kossaka, zwanej przez bliskich Lilką – polskiej poetce i dramaturgice.
- ¹⁰ Władysław Janota Bzowski (1885–1945) – podpułkownik kawalerii Wojska Polskiego.
- ¹¹ Mowa o Wojciechu Kossaku herbu Kos (1856–1942) – polskim malarzu, przedstawicielu nurtu historycznego i batalistycznego.
- ¹² Stwierdzenie nieważności sakramentalnego małżeństwa Marii oraz Władysława Bzowskich orzeczono w dniu 12 marca 1919 r.
- ¹³ W rzeczywistości Lilka nosiła wówczas długie włosy, obcięła je znacznie później. Pozwoliłam sobie nagiąć nieco ten fakt na potrzeby mojej powieści.
- ¹⁴ Wers pochodzi z utworu *A jak poszedł król na wojnę* Marii Konopnickiej.
- ¹⁵ Jarosław Kaczmarczyk (1885–1944) – doktor prawa, w latach 1918–1920 premier Ruskiej Narodowej Republiki Łemków.
- ¹⁶ Wiktor Hładyk, Zachary Kopystiański – postaci autentyczne.
- ¹⁷ Dmytro Chylak (1865–1955) – ksiądz greckokatolicki, minister spraw wewnętrznych Ruskiej Ludowej Republiki Łemków.
- ¹⁸ Wasyl Stepan Kuryło (1861–1940) – ksiądz greckokatolicki, minister spraw zagranicznych Ruskiej Ludowej Republiki Łemków.
- ¹⁹ Postać autentyczna.

- [20](#) Postać autentyczna.
- [21](#) Postać autentyczna.
- [22](#) Jan Gwałbert Henryk Pawlikowski (1891–1962) – polski pisarz i poeta.
- [23](#) Mowa o Magdalenie Samozwaniec (1894–1972), córce Wojciecha Kossaka, siostrze Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, polskiej pisarce satyrycznej.
- [24](#) Postać autentyczna.
- [25](#) Enrico Caruso (1873–1921) – włoski śpiewak, tenor.
- [26](#) Oryginalna treść listu prośbalego (fragment), który służył Nikiforowi. Tekst zaczerpnięty z książki Bartłomieja G. Sali: *Sekrety Krynicy i okolic*, Księży Młyn Dom Wydawniczy Michał Kiliński, Łódź 2019 r.
- [27](#) Stefania Tuwim z d. Marchew (1894–1991) – tłumaczka i literatka, żona poety Juliana Tuwima.
- [28](#) Działkę, o której wspomina Jan Kiepura, nabyła spółdzielnia „Dom Wypoczynkowy Urzędników Naftowych – Małopolska”.
- [29](#) Bohdan Pniewski (1897–1965) – polski architekt, przedstawiciel modernizmu.
- [30](#) Fragment utworu: *Jicha ʼw kozak czerez misto*, autor tekstu oraz melodii nieznany. Tekst pochodzi ze zbioru *Śpiewniczek łemkowski*, redakcja Tomasz Traczyk, Stowarzyszenie Res Carpathica, 2017.
- [31](#) Ciąg dalszy przytaczanej wcześniej pieśni.
- [32](#) Mowa o Jerzym, synu doktorostwa. Postać autentyczna.
- [33](#) Roman Turyn (1900–1979) – ukraiński malarz, kolekcjoner sztuki.
- [34](#) Postać autentyczna.
- [35](#) Postać autentyczna.
- [36](#) Opisane zajście rzeczywiście miało miejsce.
- [37](#) Postać autentyczna.
- [38](#) Tuta właściwie Jadwiga Dąbrowska – córka magnata prasowego.
- [39](#) Postać autentyczna.
- [40](#)
- Tekst pobrano ze strony: <https://krakow.wyborcza.pl/krakow/56,44425,21690542,gdy-domy-plynely-powodz-stulecia-1934-w-malopolsce-zdjecia.html> w dniu 09-08-2023 godz. 19:43.
- [41](#) Juliana Louise Emma Marie Wilhelmina (1909–2004) – królowa Holandii.
- [42](#) Bernhard Leopold Friedrich Eberhard Julius Curt Karl Gottfried Peter zu Lippe-Biesterfeld (1911–2004) – niemiecki arystokrata, mąż królowej Holandii Juliany.
- [43](#) Mieczysław Dukiet (1899–1983) – polski doktor nauk medycznych, lekarz ginekolog, położnik, balneolog i lekarz uzdrowiskowy.
- [44](#) Marta Eggert (1912–2013) – śpiewaczka i aktorka węgierskiego

pochodzenia.

⁴⁵ Jan Bogusławski (1910–1982) – polski architekt.

⁴⁶ Nieukazująca się już francuska seria zeszytów traktujących o architekturze. Dzisiaj stanowi unikat. Zeszyty o numerach od 1 do 36 znajdują się w Bibliotece Głównej Akademii Sztuk Pięknych. Prawdopodobnie w 1921 roku zostały odkupione od Tadeusza Stryjeńskiego. W związku z tym istnieje domniemanie, że Stryjeński jako człowiek wspierający obiecujące talenty malarskie podjął na początku lat 20. XX wieku próbę zapewnienia Nikiforowi edukacji artystycznej.

⁴⁷ Jerzy Wolff (1902–1985) – ksiądz rzymskokatolicki, malarz, grafik, krytyk sztuki.

⁴⁸ Epifaniusz Drowniak Nikifor podpisywał w ten sposób część swoich prac.

© Wydawnictwo WAM, 2024

© Edyta Świętek, 2024

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Monika Orłowska

Korekta: Maria Armatowa

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Skład: Lucyna Sterczewska

EPUB E-ISBN: 978-83-277-3668-0

MOBI E-ISBN: 978-83-277-3669-7

MANDO

ul. Kopernika 26 **** 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl